

Ta historia
nie kończy się
happy endem

PRAWO
Mojzesza

AMY HARMON

Bestsellerowa pisarka „New York Timesa”

Amy Harmon

Prawo Mojżesza

Tytuł oryginału: The Law of Moses

Tłumaczenie: Marcin Machnik

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-283-2232-5

Copyright © 2014 by Amy Harmon

All rights reserved.

Without limiting the rights under copyright reserved above, no part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise) without the prior written permission of both the copyright owner and the above publisher of this book

Polish edition copyright © 2016 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

http://septem.pl/user/opinie/pramoj_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

MARY SUTORIUS,
MOJEJ BABCI,
KTÓREJ BARDZO BY SIĘ SPODOBAŁO,
ŻE ZOSTAŁAM PISARKĄ

Ta książka jest fikcją literacką. Nazwiska, postacie, miejsca, marki produktów, media i zdarzenia są albo tworem wyobraźni autorki, albo zostały użyte w fikcyjnej fabule. Autorka nie rości sobie żadnych praw do znaków handlowych oraz nazw produktów, zespołów muzycznych i restauracji, które zostały użyte bez zezwolenia w tej powieści. Wykorzystanie tych znaków i nazw nie było autoryzowane ani sponsorowane przez właścicieli praw.

Prolog

W KAŻDEJ OPOWIEŚCI NAJTRUDNIEJSZE są pierwsze słowa. To niemal tak, jakby wydobyć ich z siebie i przerzucenie na papier zobowiązywało do zobaczenia wszystkiego aż do końca. Bo skoro już się coś zaczęło, to trzeba to skończyć. Ale jak można skończyć, skoro niektóre rzeczy się nie kończą? To jest opowieść o miłości bez końca. Chociaż trochę mi zajęło, zanim to zrozumiałam.

Jeśli powiem ci z góry, na samym początku, że go straciłam, łatwiej będzie ci to znieść. Będziesz wiedzieć, że do tego dojdzie, i będziesz cierpieć. Poczujesz ból w klatce piersiowej i wszystko będzie się w tobie skręcać z niepokoju. Ale będziesz o tym wiedzieć i się do tego przygotujesz. To mój dar dla ciebie. Ja nie miałam tyle szczęścia. Nie byłam na to przygotowana.

A po jego odejściu? Wcale nie było lepiej, tylko gorzej. Każdy kolejny dzień był coraz trudniejszy. Żal był tak samo intensywny, smutek tak samo przenikliwy, a perspektywa tych wszystkich dni bez niego równie trudna do zniesienia. Prawdę powiedziawszy, od momentu, gdy uznałam, że to wszystko, co mam, z chęcią poświęciłabym się czemuś innemu. Czemukolwiek, byle nie temu. Ale to właśnie zostało mi dane. A ja nie byłam przygotowana.

Nie potrafię wyrazić tego, jak się poczułam. I jak wciąż się czuję. Nie potrafię. Słowa wydają się płytkie i puste. Wszystko, co mówię, i wszystko, co czuję, przekształcają w tandetny romans pełen kwiecistych fraz obliczonych na wywołanie łez współczucia i natychmiastowej reakcji. Reakcji, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, bo bazuje na płytkich emocjach, które możesz odłożyć na bok razem z książką. Otrzesz łzy po krótkim łkaniu, ciesząc się, że na szczęście to tylko opowieść. Co najważniejsze, nie Twoja. Ale ja nie mam tego komfortu.

Bo to jest moja opowieść. A ja nie byłam na nią przygotowana.

CZĘŚĆ 1. PRZED

GEORGIA

MOJŻESZA ZNALEZIONO zawiniętego w ręcznik w koszu na pranie w pralni Quick Wash, gdy miał zaledwie kilka godzin i był bliski śmierci. Pewna kobieta usłyszała jego płacz i wzięła go, przytuliła, okryła płaszczem i wezwała pomoc. Nie miała pojęcia, kim jest jego matka i czy wróci. Wiedziała tylko, że był niechciany, że umierał i że jeśli jak najszybciej nie trafi do szpitala, będzie po nim.

Nazwano go dzieckiem cracku. Mama powiedziała mi, że crack to rodzaj kokainy i że tak nazywa się dzieci, które rodzą się z uzależnieniem od tego narkotyku, gdyż ich matki brały w okresie ciąży. Dzieci cracku są zazwyczaj mniejsze niż inne dzieci, bo z reguły rodzą się przedwcześnie, a stan zdrowia ich mam pozostawia wiele do życzenia. Kokaina wpływa na fizjologię mózgu, przez co często mają ADHD i zaburzenia kontroli impulsów. Czasem cierpią też na różne ataki i schorzenia psychiczne. Bywają nadwrażliwe i mogą doświadczać halucynacji. Przypuszczano, że Mojżesz będzie dotknięty przynajmniej częścią tych dolegliwości, a może nawet wszystkimi.

Jego historia trafiła do przedpołudniowego dziennika. Była to świetna i budząca żywe emocje opowieść: noworodek porzucony w koszu na pranie w obskurnej pralni w niebezpiecznych okolicach West Valley City. Mama powiedziała, że dobrze pamięta tę historię i wzruszające zdjęcia ze szpitala, które przedstawiały walczące o życie dziecko z podłączoną do żołądka rurką do karmienia i malutką niebieską czapeczką na główce. Jego matkę znaleziono trzy dni później, chociaż nikt nie miał zamiaru oddać jej dziecka. Nie było zresztą takiej możliwości. Kobieta, która porzuciła dziecko w pralni, została uznana za martwą, przypuszczalnie wskutek przedawkowania. Pogotowie przywiozło ją do tego samego szpitala, w którym jej dziecko kilka piętér wyżej walczyło o życie. Ją też ktoś znalazł, chociaż nie w pralni.

Jej współlokatorka, zatrzymana jeszcze tego samego dnia za prostytutkę i posiadanie narkotyków, powiedziała policji wszystko, co wiedziała o kobiecie i jej porzuconym dziecku, licząc na łagodniejsze potraktowanie. Sekcja zwłok wykazała, że kobieta faktycznie niedawno urodziła, a wykonane później badania DNA potwierdziły, że była matką chłopca. Cóż za szczęście dla malca.

W prasie tytułowano go „dzieckiem z kosza”, a personel szpitala nazywał go „małym Mojżeszem”. Ale w przeciwieństwie do biblijnego imiennika mały Mojżesz nie został znaleziony przez córkę faraona. Nie wychowywał się w pałacu. Nie miał siostry, która patrzyła zza trzciny, żeby się upewnić, że jego

kosz zostanie wyłowiony z Nilu. Nie oznacza to jednak, że w ogóle nie miał żadnej rodziny. Mama powiedziała mi, że wybuchła lokalna sensacja, gdy się okazało, że zmarła matka była „dziewczyną z sąsiedztwa”. Nazywała się Jennifer Wright i każde lato spędzała z babcią, która mieszkała na tej samej ulicy co my. Babcia wciąż tam mieszkała, rodzice Jennifer rezydowali w sąsiednim mieście, a jej rodzeństwo, które wyprowadziło się już z rodzinnego domu, wielu mieszkańców nadal kojarzyło. Mały Mojżesz miał więc jakąś rodzinę, chociaż nie można powiedzieć, żeby którykolwiek z jej członków palił się do zajmowania chorym dzieckiem, które wedle wszelkich przypuszczeń miało się borykać z licznymi problemami. Jennifer Wright złamała ich serca i doprowadziła do tego, że wszyscy byli wycieńczeni i rozbici. Mama powiedziała mi, że tak to wygląda, gdy ktoś bierze. Dlatego nikt nie był specjalnie zaskoczony, kiedy się okazało, że zmarła zostawiła po sobie dziecko cracku. Mama mówiła, że wcześniej Jennifer była zupełnie normalną dziewczyną. Ładną, miłą, inteligentną, ułożoną. Ale nie na tyle inteligentną, żeby trzymać się z dala od metamfetaminy, kokainy i wszelkich innych substancji, których stała się niewolnicą. Wyobrażałam sobie, że Mojżesz, jako dziecko cracku, musi mieć gigantyczne pęknięcie wzdłuż całego ciała^[1]. Wiedziałam, że nie chodzi o to znaczenie, ale taki obraz utkwił mi w pamięci. Może właśnie to, że był pęknięty, od samego początku mnie do niego przyciągało.

Mama opowiadała, że całe miasto śledziło historię małego Mojżesza Wrighta. Każdy oglądał reportaże, a tylko po to, żeby poczuć się ważnym, zmyślał to, czego nie wiedział, i udawał, że ma dostęp do ukrywanych informacji. Ale ja nie miałam okazji poznać małego Mojżesza, bo mały Mojżesz dorósł i stał się tylko Mojżeszem, przerzucanym między różnymi członkami rodziny Jennifer Wright. Każdy zajmował się nim przez chwilę, a gdy nie mógł go już znieść, przekazywał go kolejnemu wujkowi, kolejnej cioci lub dziadkom. W każdym razie sensacja związana z jego znalezieniem skończyła się, zanim przyszedłam na świat. Kiedy go poznałam, a mama opowiedziała mi o nim, żeby pomóc mi go „zrozumieć i być dla niego miłą”, jego historia była już przestarzałym newsem i nikt nie chciał już mieć z Mojżeszem do czynienia. Ludzie kochają małe dzieci, nawet chore. Nawet dzieci cracku. Ale małe dzieci rosną i stają się nastolatkami, a nikt nie chce się kłopotać rozbitymi nastolatkami.

A Mojżesz był rozbity.

Do czasu, gdy go poznałam, wiedziałam już wszystko o rozbitych nastolatkach. Moi rodzice byli rodziną zastępczą dla wielu takich dzieciaków. Przez całe moje życie przyjmowali pod dach kolejne. Miałam dwie starsze siostry i starszego brata, którzy opuścili nasz dom, zanim skończyłam sześć lat. Byłam poniekąd wpadką i koniec końców dorastałam z nastolatkami, którzy nie byli moim rodzeństwem i którzy na zmianę pojawiali się w moim życiu i z niego znikali. To w pewnym sensie wyjaśnia, dlaczego moi rodzice odbyli przy naszym kuchennym stole kilka rozmów o Mojżeszu z Kathleen Wright, babcią Jennifer i jego

prababcią. Usłyszałam wtedy mnóstwo rzeczy, których przypuszczalnie nie powinnam słyszeć. Szczególnie tamtego lata.

Starsza pani zabierała Mojżesza na stałe do siebie. Za miesiąc kończył osiemnaście lat i wszyscy mieli go serdecznie dość. Lecz Mojżesz od najmłodszych lat spędzał z nią każde lato i była przekonana, że bez problemu się dogadają, gdy pozostali dadzą im spokój i pozwolą robić swoje. Nie wyglądała na zmartwioną faktem, że kiedy Mojżesz skończy osiemnaście lat, jej stuknie osiemdziesiątka.

Wiedziałam, kim był, i pamiętałam go z letnich wakacji, chociaż nigdy się z nim nie bawiłam. To nie było duże miasto i dzieci znały się nawzajem. Kathleen Wright przyprowadzała go do kościoła przez te kilka niedziel, gdy mieszkał u niej. Spotykałam go też na szkółce niedzielnej, na której wszyscy z zainteresowaniem obserwowali, jak nauczycielka próbuje skłonić go do jakiegokolwiek uczestnictwa. Nigdy jej się to nie udało. Mojżesz siedział na swoim metalowym rozkładanym krzeselku, jakby był do niego przyklejony, wykręcał ręce na kolanach i błędził wzrokiem po sali. Gdy tylko lekcja się kończyła, pierwszy ruszał w stronę drzwi, na słońce, i nie czekając na babcię, biegł do domu. Próbowałam go dogonić, ale zawsze udawało mu się wstać i dobiec do drzwi przede mną. Ale i tak go goniłam.

Czasem Mojżesz wybierał się z babcią na przejażdżkę rowerową lub spacer. Niemal codziennie babcia wyciągała go nad jezioro Nephi, czego zawsze mu zazdrościłam. Ja miałam szczęście, jeśli udało mi się wykapać w jeziorze kilka razy w ciągu całego lata. Gdy rozpaczliwie pragnęłam popływać, jechałam rowerem nad staw rybacki w kanionie Chicken Creek. Rodzice zabraniali mi tam pływać, bo woda była w nim zimna, głęboka i mętna, wręcz niebezpieczna. Wolałam jednak utonąć, niż w ogóle nie pływać. Chociaż jak na razie nie utonęłam.

Rok wcześniej Mojżesz w ogóle nie pojawił się w Levan. Pojawił się dopiero po dwóch latach, chociaż Kathleen już od dawna domagała się, żeby został z nią na stałe. Według rodziny jednak babcia nie dałaby sobie z nim rady. Usłyszała od nich, że Mojżesz jest „zbyt wybuchowy, porywczy i temperamentny”. Najwyraźniej jednak sami mieli go dość i się poddali, bo ostatecznie wylądował w Levan.

Oboje zaczynaliśmy ostatnią klasę szkoły średniej, chociaż ja byłam we właściwym wieku, a on był o rok starszy. Oboje byliśmy wakacyjnymi dziećmi — Mojżesz skończył osiemnaście lat drugiego lipca, a ja siedemnaście dwudziestego ósmego sierpnia. Ale Mojżesz nie wyglądał na osiemnastolatka. W ciągu tych dwóch lat nieobecności znacznie wyrósł. Był wysoki, miał szerokie ramiona i wyraźnie zarysowane, żylaste mięśnie, okrywające całe jego szczupłe ciało. Jasne oczy, wystające kości policzkowe i kanciasta szczęka sprawiały, że przypominał bardziej egipskiego księcia niż członka gangu, którym zgodnie z

plotkami podobno był.

Uczestnictwo w lekcjach sprawiało mu trudności, bo miał problemy z koncentracją i usiedzeniem na miejscu. Według jego rodziny zdarzały mu się ataki i halucynacje, które próbowano opanować za pomocą różnych medykamentów. Słyszałam, jak jego babcia mówiła mojej mamie, że owszem, jest humorzasty i irytujący, ma trudności z zasypianiem i często się wyłącza, ale poza tym jest niezwykle inteligentny, wręcz błyskotliwy, i potrafi malować tak, jak jeszcze nigdy wcześniej nie widziała. Ale pod wpływem leków, które miały ułatwić mu skupienie i usiedzenie na miejscu, stał się powolny i niemrawy, a jego dzieła wyglądały mrocznie i przerażająco. Kathleen Wright powiedziała mojej matce, że odstawia mu tabletki.

— Te leki zmieniają go w zombie — mówiła. — Wolę podjąć ryzyko zajęcia się dzieciakiem, który nie umie usiedzieć na miejscu i nie potrafi przestać malować. W moich czasach nie było to nic złego.

Pomyślałam wtedy, że zombie brzmi nieco bezpieczniej. Mimo całej swej urody Mojżesz Wright wyglądał przerażająco. Ze swoim szczupłym ciałem, brązową skórą i tymi niezwykłymi, jasnymi oczami przypominał mi dzikiego kota. Opływowego, niebezpiecznego, cichego. Zombie przynajmniej porusza się powoli. Dzikie kot skacze. Przebywanie w towarzystwie Mojżesza było jak zaprzyjaźnianie się z panterą, więc podziwiałam jego prababcię za to, że go przyjmuje do siebie. Wykazała się większą odwagą niż ktokolwiek inny.

Jako jedna z trzech dziewczyn w moim wieku na całe miasteczko byłam samotna częściej, niż bym sobie tego życzyła, szczególnie że ani jedna, ani druga rówieśniczka nie przepadała za końmi i rodeo w takim stopniu jak ja. Kolegowałyśmy się na tyle, żeby mówić sobie „cześć” i siadać razem w kościele, ale nie na tyle, żeby spotykać się częściej i razem zabijać czas w nudne letnie dni.

To lato było wyjątkowo gorące. Dobrze to pamiętam. Poprzedzała je rekordowo sucha wiosna, po której przez całe lato nieustannie wybuchały pożary. Farmerzy modlili się o deszcz, a szargający nerwy skwar sprawiał, że wszyscy byli nabuzowani i na krawędzi wybuchu. Doszło też do zaginięć w okolicznych hrabstwach środkowego Utah. Chodziło o dwie dziewczyny z dwóch różnych hrabstw. Jedna z nich podobno uciekła z chłopakiem, a druga miała beznadziejną sytuację w domu. Ludzie zakładali, że wszystko skończy się dobrze, lecz w ostatnich dziesięciu czy piętnastu latach zdarzyły się podobne przypadki, których nie udało się wyjaśnić, więc wszyscy rodzice byli wyjątkowo nerwowi w tej kwestii i nieco uważniej pilnowali swoich pociech. Moi rodzice także.

Wszystko to wzbudziło we mnie zniecierpliwienie i żal. Miałam straszną ochotę coś zrobić i nie mogłam się doczekać końca szkoły i początku nowego życia. Ćwiczyłam się w barrel racingu^[2] i chciałam ruszyć swoją półciężarówką z

przyczepą na konie w trasę po wszystkich okolicznych zawodach. Marzyłam o wolności z moimi końmi, kolejnych zwycięstwach i otwartej drodze przed sobą. Pragnęłam tego z całego serca. Ale miałam siedemnaście lat, a rodzice obsesyjnie zamartwiali się tymi zaginięciami, więc nie chcieli mnie puścić samej, a nie mogli ze mną pojechać. Obiecali, że wymyślimy coś, gdy skończę szkołę i będę już miała osiemnaście lat. Ale koniec szkoły był tak odległy, a lato rozciągało się przede mną niczym wyjałowiona pustynia. Może o to chodziło. Może dlatego rzuciłam się na to ze zbyt dużym zapałem i zdecydowałam się na coś, czego nie byłam w stanie ogarnąć.

Niezależnie od przyczyny, gdy Mojżesz przybył do Levan, był jak woda — zimny, głęboki, nieprzewidywalny i, jak staw w kanionie, niebezpieczny, bo nie dało się zobaczyć, co kryje się pod powierzchnią. A ja zachowałam się tak jak zwykle: wbrew zakazom rzuciłam się na główkę. Tyle że tym razem utonąłam.



— NA CO SIĘ GAPISZ? — powiedziałam ostro do Mojżesza, obdarzając go w końcu tym, czego według mnie pragnął, czyli swoją uwagą. Wszystkie przygarnięte przez moich rodziców dzieciaki pragnęły uwagi, jakby była powietrzem, którego potrzebowały, aby się nie udusić. Nienawidziłam tego. Nie tego, że potrzebowały jej od moich rodziców, lecz tego, że zdawały się potrzebować jej także ode mnie. Nie lubiłam, gdy ktoś zakłócał mi moją samotność z końmi. Konie się o nic nie dopraszały, a wszyscy inni nieustannie czegoś ode mnie chcieli i myślałam, że od tego oszaleję. A teraz w stodole zjawił się Mojżesz, który gapił się na mnie i przeszkadzał mi w spędzaniu czasu z Sackettem i Luckym, moimi końmi, wysysając z pomieszczenia cały tlen jak każde trudne dziecko.

Kathleen Wright spytała moich rodziców, czy nie mieliby nic przeciwko, żeby Mojżesz spalił nieco swojej obudzonej po odstawieniu leków energii na naszej małej farmie. Stwierdziła, że mógłby sprzątać odchody, pielic ogródek, kosić trawę, karmić kurczaki. Cokolwiek, co trzeba zrobić, byle miał jakieś zajęcie przez lato. Najlepiej aż do rozpoczęcia szkoły, jeśli to wszystko wypali. Te czynności należały wcześniej do moich obowiązków, więc cieszyłam się z jego pomocy, jeśli miała oznaczać, że ja nie będę musiała tego robić. Ale mój ojciec znalazł dla Mojżesza inne prace, które ten wykonywał z takim zapałem, że wkrótce ojcu skończyły się pomysły. Niemożliwością było zapewnić Mojżeszowi zajęcie na całe lato.

Najwyraźniej na liście jego obowiązków mój ojciec uwzględnił także sprzątnięcie stodoły i Mojżesz od rana jak opętany układał bele siana, zmiatał, czyścił i

porządkował. Sama nie wiedziałam, czy jego obecność mi tu odpowiada, czy nie. Szczególnie gdy nagle po prostu stanął z rękami po bokach i się gapił. Nie na mnie. Patrzył przez moje ramię dalej, a jego żółtozielone zwierzęce oczy były wielkie jak spodki. Stał kompletnie bez ruchu, czego nigdy wcześniej u niego nie zaobserwowałam, ani razu. Nie zareagował na moje pytanie, lecz jego palce się poruszyły, zaciskając się tak, jakby chciał poprawić krążenie krwi. Tak robiłam, kiedy czekałam na autobus i nie miałam rękawiczek. Ale teraz był lipiec i panował niemiłosierny skwar, więc nie sędzę, żeby było mu zimno w palce.

— MOJŻESZ! — krzyknęłam, próbując wyrwać go z tego transu. Bałam się, że jeśli tego nie zrobię, dostanie jakiegoś ataku i zacznie się wić na ziemi w drgawkach, a ja będę musiała robić mu sztuczne oddychanie czy coś. Myśl o przyłożeniu ust do jego ust wywołała dziwne doznanie w moim brzuchu. Zastanawiałam się, czy potrafiłabym przycisnąć wargi do jego warg, nawet jeśli chodziłoby tylko o wdmuchnięcie w niego powietrza. Nie był brzydki. Już raz kiedyś czułam to zabawne poruszenie w trzewiach, które w zasadzie nie było nieprzyjemne. Mojżesz wcale nie był brzydki. Raczej w nietypowy sposób piękny — wyglądał inaczej, szczególnie przez te swoje dziwaczne wilcze oczy. Musiałam przyznać, że dziwność mu pasowała. Wyglądał spoko. Szkoda, że był rozbity.

Moi rodzice wykorzystywali konie w terapii trudnych dzieci. To oni opracowali ten dość znany program, który był całkowicie niewerbalny, bo konie przecież nie mówią. Coś takiego mówili na prezentacjach, żeby rozśmieszyć i rozluźnić widownię. Konie nie potrafią mówić, ale dzieci także czasem nie potrafią, a hipoterapia — wymyślny termin oznaczający nawiązywanie więzi z koniem i radzenie sobie ze swoimi problemami poprzez obserwację tego zwierzęcia — była dla moich rodziców źródłem utrzymania. Prócz tego mój ojciec pracował jako weterynarz. Ja też chciałam być weterynarzem, gdy dorosnę. Nasze konie były dobrze wyszkolone i przyzwyczajone do dzieci. Wiedziały, że mają stać bez ruchu, gdy dziecko podchodzi i gdy jest blisko. Miały wprost anielską cierpliwość. Pozwalały obcej osobie założyć uzdę, a nawet pociągnąć za wargę, żeby włożyć wędzidło. A dzieci reagowały w sposób, który dorośli opisywali słowami w rodzaju „cud” i „przełom”, kiedy przyjęte przez moich rodziców problematyczne dziecko wracało na łono rodziny lub ruszało własną ścieżką.

Mojżesz kręcił się tu przez ostatnie dwa tygodnie. Pracował, pielął chwasty, jadł — do łyka, ile on jadł — i generalnie działał mi na nerwy, bo był strasznie niepokojący. Nie robił nic złego. Po prostu w jego obecności byłam roztrzęsiona. Nie mówił do mnie, co jak sobie wmawiałam, było jego jedyną zaletą. To i jego zimne oczy. I mięśnie. Wzdrygnęłam się, czując lekką odrazę do siebie. Był dziwny. Co ja sobie myślałam?

— Jeździłeś kiedyś na koniu? — spytałam, żeby się oderwać od tych myśli.

Mojżesz wyglądał, jakby wyrwał się ze snu na jawie, który zmuszał go do stania

bez ruchu i wpatrywania się w pustkę.

Na chwilę skupił spojrzenie na mnie, ale nie odpowiedział, więc powtórzyłam pytanie.

Potrząsnął głową.

— Nie? A byłeś kiedykolwiek blisko konia?

Ponownie potrząsnął głową.

— Chodź. Podejdź bliżej — powiedziałam, wskazując podbródkiem konia. Myślałam, że może pomogę Mojżeszowi odrobiną hipoterapii, jak mama i tato. Im to wychodziło. Uznałam, że mogę zrobić to, co oni. Że w ten sposób wyleczę jego rozbity mózg.

Mojżesz zrobił krok w tył, jakby się przestraszył. Odkąd pracował na farmie, jeszcze nigdy nie zbliżył się do zwierzęcia. Nigdy. On je tylko obserwował. Tak jak mnie. I nic nie mówił.

— No, śmiało. Sackett to najlepszy koń świata. Przynajmniej go trochę poklep.

— Przestraszę go — odpowiedział.

Wzdrygnęłam się po raz kolejny, gdy pierwszy raz usłyszałam jego głos. Nie był dwutonowy, jak u mojego przybranego brata Bobby'ego i wielu innych chłopców, których głos sprawiał wrażenie, jakby przeskakował między stopniami w drodze do piwnicy, skrzypiąc i zmieniając się w poszukiwaniu ostatecznej barwy. Głos Mojżesza był głęboki, ciepły i tak miękki, że muskał moje serce, wpływając do mojego wnętrza.

— Nie przestraszysz. Sackett niczym się nie ekscytuje. Nic go nie przeraża i nie denerwuje. Mógłby tak stać przez cały dzień i pozwoliłby ci się uściskać, gdybyś zechciał to zrobić. Lucky mógłby ugryźć cię w rękę i kopnąć w twarz. Ale nie Sackett.

Lucky był koniem, o którego zabiegałam przez długie miesiące. Ktoś dał go mojemu ojcu w ramach zapłaty za usługi, na które nie było go stać. Ojciec nie miał czasu na humory Lucky'ego, więc dał go mnie ze słowami:

— Bądź ostrożna.

Zaśmiałam się. Nigdy nie byłam ostrożna.

Też się zaśmiał, lecz potem mnie ostrzegł:

— Mówię poważnie, George. Nie bez powodu nazwano go Lucky, czyli „szczęściarz”. Będziesz miała szczęście, jeśli w ogóle pozwoli ci się kiedyś dotrzeć.

— Zwierzęta mnie nie lubią — głos Mojżesza był tak słaby, że nie wiedziałam, czy dobrze go zrozumiałam.

Otrząsnęłam się z myśli o Luckym i poklepałam mojego wiernego towarzysza, który był ze mną, odkąd potrafiłam usiedzieć w siodle.

— Sackett lubi wszystkich.

— Mnie nie polubi. A może nie chodzi o mnie. Może chodzi o nich.

Rozejrzałam się zdezorientowana. W stodole nie było nikogo poza Sackettem, Mojżeszem i mną.

— O jakich „nich”? — spytałam. — Nikogo tu nie ma poza nami, człowieku.

Mojżesz nie odpowiedział.

Patrzałam więc na niego z uniesionymi pytająco brwiami i czekałam. Klepnęłam Sacketta w nos i bok szyi, a on nawet nie drgnął.

— Widzisz? Jest jak posąg. Wprost emanuje miłością. Chodź.

Mojżesz zrobił krok do przodu i niepewnie uniósł dłoń w stronę konia, który zarżał nerwowo.

Mojżesz natychmiast opuścił dłoń i się wycofał.

Parsknęłam śmiechem.

— Co, do licha?

Może powinnam posłuchać Mojżesza, gdy mówił, że zwierzęta go nie lubią. Ale tego nie zrobiłam. Chyba mu nie wierzyłam. Nie ostatni raz.

— Chyba nie zamierzasz stchórzyć, co? — spytałam prowokacyjnie. — Dotknij go. Nie robi ci krzywdy.

Mojżesz podniósł swoje złotozielone oczy na mnie, zastanowił się nad tym, co powiedziałam, po czym ponownie wyciągnął dłoń i rozprostowując palce, zrobił krok naprzód.

A Sackett po prostu stanął dęba, jakby zbyt długo przebywał z Luckym. To było zupełnie niepodobne do tego konia, którego znałam całe życie i który nie wierzgnął ani razu przez te wszystkie lata, kiedy obdarzałam go swoją miłością. Nie miałam szans krzyknąć, ani nawet złapać go za uzdę. Dostałam z kopyta w twarz i poleciałam na ziemię jak worek mąki.

Krew piekła mnie w oczach, gdy otworzyłam je i zobaczyłam krokwie starej stodoły. Leżałam na plecach, a głowa bolała mnie tak, jakbym została kopnięta przez konia. Nagle uświadomiłam sobie, że *naprawdę* zostałam kopnięta przez konia. Przez Sacketta. Szok był niemal większy od bólu.

— Georgia?

Skupiłam załzawione oczy na twarzy, która nagle zamajaczyła nade mną, zasłaniając mi widok krzyżujących się krokwi i drobin kurzu tańczących w smugach światła słonecznego przedzierającego się przez szczeliny w ścianach.

Mojżesz trzymał moją głowę na kolanach, przyciskając swój podkoszulek do mojego czoła. Mimo zamroczenia zauważyłam jego nagie ramiona i tors oraz poczułam miękkość skóry jego brzucha na policzku.

— Muszę sprowadzić pomoc, okej?

Przesunął się i położył mi głowę na ziemi, nie odrywając swojego podkoszulka od mojego zakrwawionego czoła. Staralam się nie zwracać uwagi na ilość krwi na materiale.

— Nie! Czekaj! Gdzie Sackett? — spytałam, próbując się podnieść.

Mojżesz przycisnął mnie z powrotem na ziemię i spojrzał w stronę drzwi, jakby nie miał pojęcia, co zrobić.

— On... uciekł — odpowiedział powoli.

Przypomniało mi się, że Sackett nie był przywiązany. Nigdy nie musiałam go wiązać. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co musiało strzelić mu do głowy, żeby miał wierzgnąć tylnymi nogami i wyrwać się ze stodoły. Spojrzałam na Mojżesza.

— Jak kiepsko to wygląda? — próbowałam zabrzmieć jak Clint Eastwood lub ktoś, kto potrafi znieść poważną ranę głowy i nie stracić zimnej krwi. Ale mój głos lekko drżał.

Mojżesz przełknął ślinę ze współczuciem, a jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół opalonej krtani. Jego dłonie także drżały. Był równie wstrząśnięty jak ja. Nie dało się tego ukryć.

— Nie wiem. Rana nie jest duża. Ale mocno krwawi.

— Zwierzęta naprawdę cię nie lubią, co? — szepnęłam.

Mojżesz nie udawał, że nie rozumie. Potrząsnął głową.

— Robią się przy mnie nerwowe. Wszystkie zwierzęta. Nie tylko Sackett.

Ja też byłam przy nim nerwowa. Ale nerwowa w pozytywnym znaczeniu. Nerwowa w sposób, który mnie fascynował. I chociaż głowa mi pękała, a oczy zalewały się krwią, chciałam, żeby został. Chciałam, żeby opowiedział mi wszystkie swoje sekrety.

Mojżesz jakby wyczuł tę nagłą zmianę we mnie, bo zniecierpliwiony zerwał i wybiegł, zostawiając mnie ze swoim podkoszulkiem przyciśniętym do skroni i nienasyconym zainteresowaniem tym nowym w okolicy dzieciakiem. Chwilę później zobaczyłam, że wraca. Za nim truchtała moja mama, a nieco dalej jego babcia. Na twarzy jego babci malował się wyraz przerażenia, zresztą podobnie jak na twarzy mojej mamy. Widząc ich zaniepokojenie, zaczęłam się zastanawiać, czy moja rana nie jest czasem gorsza, niż mi się wydawało. Doświadczylam przebłysku kobiecej próżności, co było dla mnie czymś zupełnie nowym. Czy będę miała wielką bliznę na całe czoło? Tydzień temu uznałabym to

za odlotowe. Nagle jednak poczułam, że nie chcę blizn. Chciałam, żeby Mojżesz uważał mnie za piękną.

Stał z tyłu w znacznej odległości, pozwalając dorosłym na przejmowanie się i bieganie wokół mnie. Kiedy się okazało, że prawdopodobnie obędzie się bez kosztownej wyprawy na ostry dyżur, a rana została zamknięta kilkoma samoprzylepnymi bandażami, Mojżesz zniknął. Hipoterapia jednak nie nadawała się do wyleczenia jego pęknięć, lecz obiecałam sobie, że znajdę sposób na przecięnięcie się przez te pęknięcia, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię. Moje lato właśnie zmieniło się w tropikalny las deszczowy.

[1] *Crack* to po angielsku „pęknięcie” — *przyp. tłum.*

[2] Barrel racing — dyscyplina jeździecka, której celem jest jak najszybsze przejechanie trasy dookoła beczek, w USA często uprawiana przez kobiety — *przyp. tłum.*

GEORGIA

MNIEJ WIĘCEJ TYDZIEŃ PO TYM, jak Mojżesz przestraszył mojego konia, a ja oberwałam z kopyta w głowę, odkryliśmy z ojcem mural na ścianie naszej stodoły. W nocy ktoś namalował uderzająco realistyczny widok zachodzącego słońca nad wzgórzami na zachód od Levan. Na różowawym tle widać było konia wyglądającego jak Sackett, który stał z dumnie uniesioną głową. W siodle na jego grzbiecie pewnie siedział jeździec, który był pokazany z profilu. Zachodzące słońce ukrywało go w cieniu, lecz wydawał się jakiś znajomy. Ojciec przez dłuższy czas patrzył na malowidło z zadumą. Myślałam, że będzie zły, iż ktoś wykorzystał ścianę naszej stodoły jako płótno malarskie... Wyobrażałam sobie, że tak właśnie robią gangi w wielkich miastach. Ale to nie wyglądało jak geometryczne symbole gangów ani napuchnięte litery w ostrych barwach. To było całkiem fajne. To było coś, za co ludzie byliby skłonni zapłacić. I to niemałe pieniądze.

— Wygląda jak mój tato — szepnął ojciec.

— A koń wygląda jak Sackett — dodałam, nie potrafiąc oderwać wzroku od ściany.

— Dziadek Shepherd miał konia o imieniu Hondo, który jest pradziadkiem Sacketta. Pamiętasz?

— Nie.

— No tak, chyba byłaś zbyt mała. Hondo był świetnym koniem. Dziadek kochał go tak jak ty Sacketta.

— Pokazałeś mu zdjęcie? — spytałam.

— Komu? — ojciec odwrócił się do mnie zdezorientowany.

— Mojżeszowi. To on to zrobił? Słyszałam, jak pani Wright mówiła mamie, że trafił do schroniska dla nieletnich za wandalizm, zniszczenie mienia czy coś w tym rodzaju. On chyba lubi malować. Pani Wright powiedziała, że to kompulsywne. Cokolwiek to znaczy. Myślałam więc, że to ty kazałeś mu to zrobić.

— Hm. Nie. Nie prosiłem go o pomalowanie stodoły. Ale podoba mi się to.

— Mi też — wyznałam z przekonaniem.

— Jeśli on to namalował, a nie wiem, kto inny mógłby to zrobić, to ma prawdziwy talent. Ale to nie oznacza, że może sobie malować, co chce i gdzie chce. Bo za

chwile się okaże, że mamy na garażu mural przedstawiający Elvisa.

— Mamie by się to spodobało.

Tato zaśmiał się z mojego sarkazmu, ale wiem, że nie żartował. Gdy wieczorem obwieścił, że wybiera się w odwiedziny do Mojżesza i Kathleen Wright, zaczęłam go błagać, żeby zabrał mnie ze sobą.

— Chcę porozmawiać z Mojżeszem — powiedziałam.

— Nie chcę go zawstydzić, George. A twoja obecność, gdy będę go łajał, zdecydowanie go zawstydzi. Tego typu rozmowa nie powinna się odbywać przy świadkach. Chcę tylko, żeby wiedział, że nie może robić takich rzeczy, niezależnie od tego, jak bardzo jest utalentowany.

— A ja chcę, żeby Mojżesz namalował coś na ścianie w mojej sypialni. Mam trochę odłożonych pieniędzy i mu zapłacę. Więc ty mu powiesz, że nie może malować, gdzie mu się podoba, a ja zaoferuję mu miejsce do malowania. Może tak być?

— Co chcesz, żeby ci namalował?

— Pamiętasz tę bajkę, którą opowiadałeś mi, gdy byłam mała? O ślepym człowieku, który każdego wieczoru o zachodzie słońca zmieniał się w konia, a o wschodzie słońca stawał się z powrotem człowiekiem?

— Tak. To stara historia, którą opowiadał mi ojciec.

— Wciąż o niej myślę i chcę ją mieć na ścianie. Albo przynajmniej białego konia biegnącego w chmury.

— Spytaj mamę. Jeśli ona się zgodzi, to ja też się zgadzam.

Westchnęłam ciężko. Mama była trudniejszym zawodnikiem.

— To tylko malowidło — jęknęłam.

Ku mojemu zaskoczeniu mama zgodziła się na ten pomysł, chociaż trochę obawiała się obecności Mojżesza w moim pokoju.

— On jest intensywny, Georgio, i trochę mnie przeraża. Szczerze powiedziawszy, nie wiem, co myśleć o tym, że mielibyście się zaprzyjaźnić. Wiem, że to niezbyt miłe z mojej strony. Ale jesteś moją córką i zawsze ciągnęło cię do niebezpieczeństwa jak ćmę do ognia.

— On będzie malował, mamó. A ja nie zamierzam paradować przed nim w koronkowej bieliźnie. Myślę, że jestem bezpieczna — stwierdziłam, puszczając jej oczko.

Mama klepnęła mnie w tyłek i uległa ze śmiechem. Prawdę mówiąc, dobrze jednak zrobiła, że mnie ostrzegła. Miała rację. Byłam nim absolutnie zafascynowana i nic nie zapowiadało, żeby ta fascynacja miała w najbliższym

czasie wygasnąć.

Wyruszyłam więc z ojcem i krótko po zachodzie słońca zapukaliśmy do tylnych drzwi domu Kathleen Wright. Mojżesz siedział przy stole w kuchni i jadł największą miskę płatków kukurydzianych, jaką kiedykolwiek widziałam, a babcia siedziała naprzeciw niego i obierała jabłko, tworząc ze skórki jedną długą czerwoną wstążkę. Nagle zaczęłam się zastanawiać, ile jabłek musiała obrać przez te osiemdziesiąt lat, żeby robić to tak perfekcyjnie.

— Nie będę już więcej malował na waszym mieniu — powiedział z przekonaniem Mojżesz, gdy mój ojciec delikatnie wyjaśnił, że nie życzy sobie malowania na naszych ścianach bez pozwolenia.

Kathleen wydawała się nieco zdenerwowana, ale uspokoiła się, kiedy ojciec zapewnił, że malowidło jest piękne i nie chce, żeby Mojżesz je zamalowywał. Po tych słowach się rozluźniła, a ja miałam wrażenie, że jako jedyna zauważyłam, iż obietnica Mojżesza nie oznaczała, że nie będzie malował na nie swoim mieniu. On obiecał tylko, że nie będzie malował na naszym.

— Dość dobrze udało ci się uchwycić mojego ojca — dodał tato, co zabrzmiało jak zakończenie. — Spodobałoby mu się twoje dzieło.

— Starąłem się namalować ciebie — odparł Mojżesz, unikając wzroku mojego ojca.

Z jakiegoś powodu wiedziałam, że kłamie, ale nie umiałam wyjaśnić, dlaczego miałyby to robić. Przecież to było znacznie logiczniejsze, że zainspirował się ojcem, bo przecież nie mógł znać mojego dziadka.

— Wiesz co, Mojżeszu — wtrąciłam się do rozmowy — zastanawiałam się, czy nie chciałbyś namalować mi czegoś na ścianie w moim pokoju. Zapłaciłabym ci. Przypuszczalnie nie tyle, ile powinnam, ale przynajmniej coś.

Spojrzał na mnie, po czym odwrócił wzrok.

— Nie wiem, czy potrafię.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na niego z dezorientacją, bo na całej ścianie stodoły mieliśmy dowód na to, że potrafi.

— Ja muszę... musi... mnie coś zainspirować — dokończył cicho, wyrzucając dłonie niemal tak, jakby próbował mnie odepchnąć. — Nie potrafię namalować czegokolwiek. To tak nie działa.

— Mojżesz z przyjemnością to zrobi, Georgio — przerwała mu stanowczo Kathleen i rzuciła prawnukowi ostrzegawcze spojrzenie. — Przyjdzie jutro po południu, to pokażesz mu, co ma ci namalować.

Mojżesz odepchnął pustą miskę i gwałtownie wstał.

— Nie potrafię tego zrobić, babciu — stwierdził, po czym odwrócił się w stronę

ojca. — Żadnych malunków na waszym mieniu. Obiecuję — oznajmił, po czym wyszedł z kuchni.



DOPIERO DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ znowu wpadliśmy na siebie z Mojżeszem, chociaż okoliczności były jeszcze nieprzyjemniejsze niż za pierwszym razem. Rodeo Ute Stampede w hrabstwie Juab dla większości okolicznych mieszkańców jest ważniejsze niż Boże Narodzenie. Trzy dni pokazów, wesołe miasteczko i oczywiście rodeo. Co roku niecierpliwie odliczałam dni. Impreza odbywała się w drugi weekend lipca i było to najważniejsze wydarzenie lata. Jakby tego było mało, zakwalifikowałam się do zawodów barrel racingu. Rodzice powiedzieli, że z dołączeniem do stowarzyszenia jeździeckiego muszę poczekać do ukończenia szkoły, ale pozwolili mi wystartować we wszystkich zawodach w całym stanie, do których się zakwalifikuję. Wygrałam w czwartkowy wieczór i przeszłam do mistrzostw odbywających się w sobotę. Te także wygrałam. Mój pierwszy raz w roli zawodowej kowbojki okazał się całkowitym sukcesem.

Po zawodach postanowiłam powrócić się po wesołym miasteczku, żeby uczcić swoje zwycięstwo. Ale moja przyjaciółka Haylee, która mieszkała w Nephi, około piętnastu minut na północ od Levan, była ze swoim chłopakiem Terrence'em, a ja niespecjalnie za nim przepadałam. Zawsze robił głupie kawały i zamiast kapelusza kowbojskiego nosił czapkę jak kierowca ciężarówki, z daszkiem zadartym mocno do góry.

— Nosisz ją tak, bo to jedyny sposób, żebyś wydawał się wyższy od dziewczyn — powiedziałam mu.

— Wysokie dziewczyny nie są w moim typie — odparł, wymierzając mi lekkiego kuksańca.

— Chyba jeszcze nigdy tak się nie cieszyłam z tego, że jestem wysoka.

— Ja też.

— I tak nie mogłabym się z tobą umawiać, Terrence. Wszyscy myśleliby, że jesteś moim młodszym bratem — stwierdziłam prowokacyjnie, po czym rzuciłam mu czapkę do pobliskiego kubła na śmieci i poklepałam go po spoconej głowie.

Terrence zaczął rzucać mięsem pod moim adresem, a ja widziałam, że Haylee wolałaby, żebyśmy przestali ze sobą walczyć. Ponieważ i tak mnie to już znudziło, zostawiłam ich ze słowami, że jestem głodna i potrzebuję wyższych facetów. Ostatecznie odeszłam od wesołego miasteczka i zawędrowałam w stronę torów jeździeckich i zagród, w których trzymano zwierzęta w trakcie

tych trzech dni spędu.

Było ciemno i pusto, ale chciałam się lepiej przyjrzeć bykom. Zawsze miałam ochotę spróbować ujeżdżania, ale nie byłam pewna, czy dałabym radę. Wspięłam się na pierwsze szczeble ogrodzenia i oparłam się na nim, gdy byłam już na tyle wysoko, żeby móc zajrzeć do zagród oddzielających człowieka od bestii. Arena wciąż była oświetlona, więc chociaż zagrody znajdowały się w cieniu, wyraźnie widziałam umięśniony grzbiet byka, na którym kilka godzin temu jeździł Cordell Meecham. Przekroczył pułap dziewięćdziesięciu punktów i wygrał zawody, ujeżdżając byka w iście ikonicznym stylu: kolana wysoko, pięty wbite w boki, wygięte plecy i prawa dłoń skierowana w niebo, jakby sięganie do gwiazd mogło sprawić, że sam także stanie się gwiazdą. I tego wieczoru się nią stał. Publiczność szalała. Ja też. A gdy byk o imieniu Satan's Alias w końcu go zrzucił, było już po dzwonku i Cordell zwyciężył. Uśmiechnęłam się do tego wspomnienia i wyobraziłam sobie, że to ja tego dokonuję.

Kowbojki mogły brać udział tylko w barrel racingu i kochałam to robić. Uwielbiałam ten moment, gdy wychodziłam na ostatnią prostą z głową nisko i dłońmi wplecionymi w grzywę Sacketta. Gdy czułam się, jakbym złapała wiatr w żagle i pozwalała, by doprowadził mnie z powrotem do mety. Zastanawiałam się jednak czasami, jak by to było ujeżdżać trzęsienie ziemi zamiast łagodnej fali. W górę i w dół, z boku na bok, wierzganie, strząsanie, kielznanie trzęsienia ziemi.

Satan's Alias nie interesował się mną. Podobnie jak pozostałe zamknięte w zagrodzie byki. Obornik był świeży, słoma też. Oddychałam, nie przejmując się zapachem, pod którego wpływem inni krzywili nosy, gdy przechodzili obok żywego inwentarza. Pooglądałam zwierzęta jeszcze przez chwilę, po czym zeszłam ze swojego punktu obserwacyjnego na ogrodzeniu. Było już późno. Musiałam znaleźć Haylee i zbierać się do domu. Męczyło mnie to, że wciąż obowiązywała mnie ta rodzinna godzina policyjna, więc automatycznie wybiegłam myślami w przyszłość, w której nie będę musiała się przed nikim tłumaczyć.

Kiedy z mroku wyłoniła się zacieniona postać, w ogóle się nie przestraszyłam. Nigdy nie miałam powodu, żeby bać się kowboja. Kowboje byli najlepszymi ludźmi na świecie. Wystarczy wybrać się na dowolne rodeo, gdziekolwiek w Ameryce, żeby się przekonać, że są to ludzie, którzy mogliby ocalić wszechświat. Ale nie dlatego, że są najmądrzejsi, najbogatsi i najpiękniejsi na świecie, tylko dlatego, że są dobrzy. Kochają się nawzajem. Kochają swój kraj. Kochają swoje rodziny. Śpiewają hymn ze szczerym przekonaniem. Ściągają kapelusze, gdy podnosi się flagę. Żyją z prawdziwym oddaniem i tak samo kochają. Więc nie. Nie bałam się. Nie bałam się do chwili, kiedy zostałam pchnięta twarzą w luźną ziemię, świeżo wzruszoną przez kopyta zwierząt i obcasy ludzi.

Oniemiałam na chwilę i to wystarczyło, żeby napastnik spętał mi ręce na plecach

jak bydła na rodeo. Ten mężczyzna wiedział, jak wiązać. Wygięłam się i próbowałam krzyknąć, ale nabrałam tylko w usta mającej posmak obornika ziemi. Wiedziałam, że wpadłam w gówno po uszy. Mój umysł zarejestrował dwuznaczność tego stwierdzenia, mimo że poczułam dłonie na pasku dżinsów. Wtedy naprawdę się wkurzyłam, a początkowy szok zmienił się we wściekłość, gdyż jego dłonie sięgnęły tam, gdzie nie powinny sięgać. Wierzgnęłam do tyłu i trafiłam go tyłem głowy w twarz. Przeklął i wepchnął mnie z powrotem nosem w ziemię, a potem przywiązał mi nogi do rąk i mnie odwrócił. To była niemożliwie niewygodna pozycja. Nogi i ręce miałam wygięte pod sobą i całym ciężarem ciała opierałam się na głowie i karku, a mięśnie ud wyły z bólu. Napastnik sypnął mi ziemią w oczy. Zaczęłam rozpaczliwie mrugać, a on zakrył mi usta dłonią. Nos miałam pełny ziemi, więc straciłam możliwość oddychania. Stęknęłam, wierzgnęłam ciałem i próbowałam ugryźć go w palce. Ból w płucach był gorszy niż strach i myślałam, że umrę. Napastnik chrząknął, przerzucił mnie sobie przez ramię i odwrócił się, jakby chciał uciec. Nagle zamarł, bo usłyszał niedaleko trzaśnięcie drzwi samochodu i czyjś głos wołający moje imię.

Rzucił mnie. Tak po prostu. I uciekł. Chyba słyszałam jego przekleństwo, które zmieszało się z odgłosem rozgniatających ziemię butów. Nie rozpoznałam tego głosu. Od chwili, gdy wyłonił się z ciemności, do chwili, gdy z powrotem w nich zniknął, minęło może sześćdziesiąt sekund. Z całą pewnością był to kolejny rekord tego rodeo.

Więzy na nadgarstkach i stopach nie rozluźniły się, kiedy zostałam rzucona, a upadek z takiej wysokości bez możliwości zamortyzowania sprawił, że straciłam oddech. Zaczęłam się krztusić i dławić. Przewróciłam się na bok, żeby wypluć ziemię z ust, i poczułam, jak sprzączka paska wbija mi się w biodro. Napastnik próbował ściągnąć mi spodnie i pasek się poluzował. Nie potrafiłam wstać. Nie mogłam nawet wytrzeć oczu. Leżałam jak bydło na rodeo, bezbronna i ze spętanymi rękami i nogami. Próbowałam otrzeć twarz o ramię, bo chciałam oczyścić oczy z piachu i ziemi przynajmniej na tyle, żeby cokolwiek widzieć. Musiałam przejrzeć na oczy, żebym mogła go zidentyfikować i się obronić, jeśli wróci. Żebym mogła zaatakować. Nie wiem, jak długo leżałam. Może godzinę, może dziesięć minut, ale miałam wrażenie, jakby minęły całe lata.

Mogłabym przysiąc, że słyszałam, jak ktoś mnie woła. Czy nie dlatego napastnik uciekł? A teraz chyba go przyciągnęłam myślami, bo wrócił. Poczułam nowy zastrzyk adrenaliny i zaczęłam się kołysać i toczyć, próbując za każdym razem przesunąć się o parę centymetrów. Chciałam krzyknąć, ale z moich ust wydobył się tylko rozpaczliwy kaszel. W ustach wciąż miałam resztki ziemi i część wciągnęłam do płuc. Napastnik zatrzymał się, jakby był zaskoczony, że wciąż tu jestem.

— Georgia?

To nie był on. To nie był ten facet.

Szybko do mnie podszedł, niwelując dzielącą nas przestrzeń. Zacisnęłam mocno powieki jak dziecko, które myśli, że po zamknięciu oczu stanie się niewidzialne. Nie, nie, nie. Znałam ten głos. Tylko nie Mojżesz. Tylko nie on. Dlaczego to musi być Mojżesz?

— Mam kogoś wezwać? Zadzwoń po pogotowie?

Wyczułam go za sobą. Otarł mi twarz, jakby chciał mnie lepiej zobaczyć. Potem poczułam szarpanie za więzy na kostkach i nadgarstkach i nagle mogłam wyprostować nogi. Krew uderzyła do stóp z radosnym bólem, a ja zaczęłam płakać. Płacz sprawiał mi ulgę, lecz rozpaczliwie mrugałam powiekami, żeby przejrzeć na oczy, a Mojżesz odplątywał linę obwiązaną wokół moich rąk. W końcu one też zostały uwolnione. Jęknęłam, gdy poczułam ich zdrętwienie i palący ból w ramionach.

— Kto ci to zrobił? Kto cię związał?

Patrzałam wszędzie, tylko nie na niego. Zauważyłam, że ma na sobie czarny podkoszulek wsunięty w bojówki oraz buty wojskowe, jakich nie założyłby żaden szanujący się kowboj w Ute Stampede. Mój napastnik był ubrany w stylu dzikiego zachodu. Miał zapinaną koszulę. Na zatrzaski. Typowo kowbojską. Czułam te zatrzaski na swoich plecach. Zaczęłam się trząść i wiedziałam, że za chwilę zwymiotuję.

— Nic mi nie jest — skłamałam, łapiąc oddech, bo desperacko chciałam, żeby Mojżesz się odwrócił i nie patrzył, jak wymiotuję. Nie czułam się dobrze. Ani trochę. Otarłam policzki i podniosłam wzrok na niego. Chciałam przyjrzeć się jego twarzy i sprawdzić, czy mi uwierzył, ale natychmiast odwróciłam wzrok.

Spytał, czy potrafię się podnieść, po czym pomógł mi wstać. Z jego pomocą mi się to udało, chociaż chwiałam się jak nowo narodzone źrebę.

— Możesz iść. Nic mi nie jest — znowu uciekłam się do desperackiego kłamstwa.

Ale on nie odchodził.

Odwróciłam się, zrobiłam kilka kroków na drżących nogach i zwymiotowałam na ogrodzenie. Ziemia, gnój i zjedzony na rodeo hamburger wytrysnęły ze mnie w zupie z pepsi. Kolana się pode mną ugięły. Oparłam się o zagrodę, żeby się nie przewrócić podczas tego oczyszczania, ale Mojżesz nie odchodził. Parsknięcia i tupanie byków po drugiej stronie drewnianego płotu przypomniały mi, gdzie jestem. Satan's Alias i jego kumple byli w pobliżu, a ja pomyślałam, że wpadłam do króliczej jamy prowadzącej prosto do najgorszego piekła.

— Jesteś cała ubłocona i pasek ci zwisa — stwierdził płasko, niemal oskarżycielsko, okazując, że nie wierzy w to, że nic mi nie jest. Kto by pomyślał? Nie odwracając się, sztywnymi palcami zapięłam pasek i wepchnęłam jego koniec w szlufki spodni. Zignorowałam rozpięty guzik i rozporek. Liczyłam, że

tęgo nie zauważy, bo mój T-shirt był wyciągnięty ze spodni. Nie chciałam, żeby zauważył, a pasek wystarczał, żeby utrzymać spodnie na właściwym miejscu. Zatrzęsłam się.

— Ktoś cię związał.

— Sądzę, że ktoś chciał zrobić mi kawał — wykrztusiłam, nadal kaszląc i rżąc z powodu podrażnienia w gardle. — Myślę, że to Terrence. Był na mnie wkurzony i może zakładał, że będę się śmiać lub piszczeć, zamiast walczyć. Walczyłam jak lew, ale może nie chodziło o to, żeby mnie przerazić. Może on chciał mnie tylko związać, żeby potem razem z innymi mnie znaleźć i śmiać się z mojego spętania... Naprawdę nic mi nie jest. — Nie byłam pewna, czy uwierzył w chociaż jedno moje słowo. Ale bardzo tego chciałam.

Dziwne, że właśnie Mojżesz mnie uwolnił. Co za ironia. Kowboj mnie skrzywdził, a problematyczny chłopiec przybył mi na ratunek. Moja mama sądziła, że to on jest niebezpieczny. To przed nim mnie ostrzegała, a tymczasem on mnie uratował.

— Nic mi nie jest — upierałam się i odepchnęłam się od ogrodzenia, żeby się wyprostować. Wciąż ocierałam oczy i drżące wargi, upokorzona obecnością Mojżesza i zdruzgotana tym, do czego mogło dojść. Do czego niemal doszło. Przede wszystkim jednak nie wierzyłam, że coś takiego mogło się stać. Jeśli to naprawdę był kawał, który się nie udał, to okazał się katastrofalny w skutkach. Bo teraz ja, Georgia Shepherd, byłam przerażona i nie znosiłam tego zbyt dobrze. Chciałam wrócić do domu. Nie wiedziałam, gdzie jest Haylee, ale nie uśmiechało mi się szukanie jej, szczególnie jeśli była zamieszana w to coś, co się wydarzyło.

— Odwieszysz mnie do domu, Mojżeszu? Proszę — mój głos brzmiał nieznajomo, a ja skrzywiłam się na to dziecinne zawołanie.

— Ktoś musi za to zapłacić.

— Co?

— Ktoś musi za to zapłacić, Georgio.

Dziwnie brzmiało moje imię wypowiedziane tak, jakby doskonale mnie znał. Wcale mnie nie znał. Teraz to nawet ja sama siebie nie znałam. Niby to samo miasteczko, te same ulice. Ten sam świat. Ale ja czułam, że wszystko jest inne. Zdecydowanie nie byłam tą samą dziewczyną co wcześniej. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie jestem w szoku. Przecież tak naprawdę nic się nie stało. Nic mi nie było. A przynajmniej tak powinnam się czuć. I tak będzie, gdy znajdę się w domu.

— Muszę wrócić do domu. Nic mi nie jest — naciskałam. — Proszę — powiedziałam błagalnie. Płaczliwie. A po moich policzkach znowu popłynęły łzy.

Mojżesz niemal desperacko rozejrzał się wokoło, jakby chciał zawołać pomoc lub zapytać kogoś, jak powinien się zachować w tej sytuacji. *Ja* byłam tą sytuacją. Nie wiedział, jak sobie poradzić ze *mną*. Zabranie mnie do domu było najłatwiejszym rozwiązaniem, ale najwyraźniej nie uważał go za wystarczająco dobre.

— Proszę — nalegałam.

Otarłam twarz w rękaw. Łzy i ziemia zostawiły mokre pasy na nowej koszulce, którą kupiłam specjalnie na ten wieczór. Zawsze kupowałam coś nowego na tę imprezę. Nowe spodnie, nową koszulkę, czasem nawet nowe buty. Nowe ciuchy na wielką noc.

Widziałam w oddali obracający się diabelski młyn, który wynurzał się znad rzędu konturów zabudowań oddzielających zwierzęta i arenę od ułożonego dalej wesołego miasteczka. Łagodny podmuch wiatru odgarnął kosmyki włosów z moich wilgotnych policzków i przyniósł ze sobą zapach waty cukrowej i prażonej kukurydzy, który stracił swój urok, gdy połączył się z odorem wymiocin i gnoju.

Zachwiałam się lekko i poczułam, jak horror ostatnich kilku minut zaczyna się we mnie zagnieżdżać i coraz bardziej mnie przygnębia. Chciałam wrócić do domu.

Mojżesz chyba wyczuł, że powoli zapadam się w sobie, bo bez słowa wyciągnął dłoń i chwycił mnie lekko za ramię, oferując swoje wsparcie. Uwielbiałam go w tej chwili, bardziej, niż w ogóle wydawało mi się to możliwe. Znacznie bardziej, niż uzasadniałyby to nasze krótkie spotkania. Problemатyczne, będące na bakier z prawem dziecko cracku zostało teraz moim bohaterem.

Szedł za mną powoli, pozwalając mi się na siebie oprzeć. A kiedy dotarliśmy do jego auta, zatrzymałam się, patrząc na nie pustym wzrokiem. To był jeep, którego widziałam codziennie, odkąd Mojżesz zamieszkał w Levan sześć tygodni temu. Zazdrościłam mu tych fajnych kół, bo sama miałam tylko starą półciężarówkę, która wyciągała maksymalnie czterdzieści mil na godzinę. Ale teraz cała zazdrość ze mnie uszła i czułam taką wdzięczność, że miałam ochotę paść na kolana, żeby ją wyrazić. Mojżesz delikatnie pomógł mi wsiąść i zapiął mi pasy, które przypominały uprząż. Cieszyłam się z oferowanego przez nie względnego poczucia bezpieczeństwa, chociaż trochę obawiałam się tego, że samochód nie miał dachu ani drzwi.

— Mojżesz, jeep, pasy, dom, Mojżesz — powiedziałam nieświadomie na głos, nie przejmując się tym, że dwukrotnie powtórzyłam jego imię. Zasłużył dzisiaj na dwa miejsca na tej liście.

— Co? — nachylił się do mnie i podniósł mi twarz za podbródek, patrząc na mnie z zaniepokojeniem.

— Nic. Nawyk. Gdy jestem... zestresowana, wymieniam wszystko, za co jestem

wdzięczna.

Nic nie odpowiedział i nie odrywając ode mnie wzroku, wsiadł i zapalił silnik. Czułam, że mnie obserwuje, kiedy manewrował po żwirze, objeżdżał zagrody i przyczepy dla koni, a potem wyjechał przez parking na drogę.

Wiatr chłostał nasze twarze, plątał mi włosy i naciskał na moje ciało, gdy mknęliśmy autostradą, zostawiając za sobą wesołe miasteczko, skrzący się światłami diabelski młyn i radosne dźwięki, które dawały mi tak złudne poczucie bezpieczeństwa. Dźwięki, które mnie usypiały i zwoziły przez całe dotychczasowe życie. Zastanawiałam się, jakim cudem miałabym kiedykolwiek do tego wrócić.

III

MOJŻESZ

POJECHAŁEM NA RODEO dla Georgii. Nie, żebym miał przeczucie, że będzie mnie potrzebowała, czy wątplą nadzieję, że chciałyby, żebym tam był. Nie spodziewałem się jednak, że znajdę ją związaną, ubrudzoną ziemią i zapłakaną, bo ktoś próbował ją skrzywdzić lub przestraszyć. Albo porwać. Twierdziła, że to był prawdopodobnie żart. Zastanawiałem się, jacy przyjaciele robią takie żarty. Ale nie mogłem tego wiedzieć. Nie miałem żadnych przyjaciół.

Babcia dała mi po południu bilet wstępu z informacją, że Georgia będzie brała udział w beczkowych wyścigach i że nie chciałybym tego przegapić. Przed oczami stanął mi widok Georgii, która balansuje na toczącej się beczce i macha nogami jak szalona, żeby nie upaść i przekroczyć linię mety przed pozostałymi zawodnikami na beczkach.

Nigdy wcześniej nie byłem na rodeo. Nie miałem pojęcia, że biali ludzie potrafią być tak stuknięci. Chociaż w sumie powinienem to wiedzieć, biorąc pod uwagę, że zostałem porzucony przez białą kobietę uzależnioną od cracku.

Muszę przyznać, że dobrze się bawiłem. W tej imprezie było coś ujmującego — mnóstwo rodzin, powiewające flagi i muzyka — co sprawiało, że żałowałem, iż nie mam na sobie kapelusza kowbojskiego, niezależnie od tego, jak głupio bym w nim wyglądał. Zjadłem sześć burgerów i całkiem możliwe, że w życiu nie miałem w ustach niczego lepszego. Babcia pohukiwała, jakby właśnie została wybrana z publiczności do wzięcia udziału w teleturnieju, potupywała i generalnie zachowywała się, jakby skończyła osiemnastkę, a nie osiemdziesiątkę, co także było przyjemne. Lassa, jazda konna, kowboje wyrzucani w górę przez wierzgające konie i byki niczym szmaciane lalki oraz dziewczyny pokroju Georgii, które wyglądały, jakby urodziły się w siodle. Georgia z całą pewnością urodziła się w siodle. Obserwowałem ją mnóstwo razy, gdy nie wiedziała, że patrzę.

Unikałem jej po incydencie w stodole. Nie wiedziałem, co mam z nią zrobić. Była jak dzoker w kartach. Małomiasteczkowa dziewczyna o bezpośrednim stylu wysławiania się i myślenia oraz szczerym sposobie bycia, który jednocześnie mnie kręcił i odstręczał. Chciałem od niej uciec. Ale jednocześnie cały czas o niej myślałem.

Obserwowałem ją, jak z rozwianymi włosami wpadła na arenę na swoim bladym koniu w kłębach wirującego pyłu, mijając strategicznie rozmieszczone beczki z tak szerokim uśmiechem, że wiedziałem, iż rozkoszuje się tym flirtowaniem ze śmiercią. Miałem świadomość, że konie są dla niej tym samym, czym dla mnie

malowanie, a patrząc na jej rajd, desperacko pragnąłem ją namalować. Właśnie taką, pełną życia i w ruchu, kompletnie nieskrępowaną. Zazwyczaj zabierałem się do malowania, gdy nie potrafiłem już znieść obrazów, które miałem w głowie, i musiałem je wyrzucić w akcie wścieklej frustracji. Rzadko tworzyłem coś dla samej radości tworzenia i przyjemności namalowania czegoś, co mnie urzekło. A Georgia gnająca po pełnej pyłu arenie przed wrzeszczącym tłumem gapiów w jakiś sposób mnie urzekła.

Wyjechałem, zanim wszystko się skończyło. Babcia stwierdziła, że nie muszę czekać, bo ona wróci ze Stephensonami. Jeździłem bez celu po okolicy, bo nie miałem ochoty przedzierać się przez tłumy w wesołym miasteczku, jeździć na diabelskim młynie ani oglądać, jak Georgia celebruje z przyjaciółmi swoje zwycięstwo. Na pewno miała przyjaciół. A ja z całą pewnością do nich nie pasowałem.

Gdy tak jeździłem, nagle poczułem to wewnętrzne ostrzeżenie, które wzbierało w moich żyłach i sprawiało, że skronie i uszy pulsowały mi z gorąca. Podkręciłem radio, próbując zatopić narzucające się obrazy w powodzi dźwięków. Nie udało się. Po kilku sekundach zobaczyłem mężczyznę na poboczu. Stał bez ruchu i patrzył na mnie. Nie powinienem go widzieć, bo zapadł zmrok, a ja byłem na wiejskiej drodze, którą z mroku wydobywał wyłącznie blask księżyca i reflektorów mojego jeepa. Ale on stał oświetlony, jakby pożyczył światło od księżyca i się nim owinał.

Niemal od razu go rozpoznałem. A moją głowę zaczęły zalewać obrazy. Wszystkie z Georgią: Georgia ze swoim koniem, Georgia przeskakująca ogrodzenia, Georgia upadająca na ziemię w stodole, gdy przestraszyłem jej konia.

Ten ostatni obraz wciąż się powtarzał. Georgia upada, Georgia upada, Georgia upada. Nie przerażało mnie to. Widziałem, jak upada. To już się zdarzyło. I wydobrzała. Zacząłem się jednak zastanawiać, czy na pewno. Zastanawiałem się, czy stojący na poboczu mężczyzna — którego widziałem w stodole Georgii, gdy Sackett stanął dęba i ją kopnął, i którego namalowałem na ścianie tej właśnie stodoły, bo wciąż mnie nawiedzał — próbuje mi coś powiedzieć. Nie o swoim życiu, lecz o życiu Georgii.

Zawróciłem więc i pojechałem z powrotem do wesołego miasteczka. Nie zatrzymałem się na parkingu, lecz objechałem teren imprezy i kluczyłem między budynkami gospodarczymi i przyczepami na konie, bo nie miałem pojęcia, dokąd właściwie jadę. Wydawało mi się, że mignął mi znowu ten zagadkowy mężczyzna. A może był to po prostu płomień zapalniczki, bo jakiś kowboj chciał sobie zapalić? Zatrzymałem się, wysiadłem z samochodu i zawołałem Georgię. Czułem się niedorzecznie i przez chwilę stałem niepewnie bez ruchu, bo nie chciałem dołączyć do tłumów przelewających się w kolorowych światłach wesołego miasteczka jakieś sto metrów ode mnie. Czułem się pewniej,

obserwując to wszystko z ciemności.

Nagle ktoś wpadł na mnie od tyłu. Zatoczyłem się do przodu i potknąłem, a napastnik pobiegł dalej, znikając w ciemnościach bez przeprosin i nie dając mi szansy na kontratak. Pijany kowboj. Potem jednak zapadła cisza, przerywana jedynie przez sporadyczne tupnięcia i prychnięcia zwierząt rozlokowanych w pobliskich zagrodach. Nie chciałem się do nich zbliżyć, bo bałem się, że spowodowałbym jakiś masowy popłoch.

Ruszyłem w stronę wesołego miasteczka. Szedłem wzdłuż ogrodzenia, wypatrując Georgii. Wtedy znowu zobaczyłem tego mężczyznę. Dziadka Georgii. Stał, opierając się o zacięte wejście na arenę. Nie wołał mnie. Oni nigdy nie wołają. Oni jedynie wypełniają mi głowę swoimi wspomnieniami. Ale tym razem nie było żadnych obrazów. Mężczyzna po prostu stał oświetlony wiązką perłowej księżycowej poświaty. Ruszyłem w jego stronę, aż w końcu znalazłem się w tym samym miejscu, z którego wyszedłem. Zniknął, gdy byłem blisko, ale coś poruszyło się po lewej, gdzieś między zagrodami i arenami, bliżej zwierząt. I tak znalazłem Georgię.



GEORGIA

POWIEDZIAŁAM RODZICOM, co się stało na imprezie. Musiałam. Powiedziałam im też, że to mógł być Terrence. Mojżesz wszedł do środka za mną, lecz stał nerwowo przy drzwiach z oczami wbitymi w ziemię i nie nawiązywał z nikim kontaktu wzrokowego. Moi rodzice zachęcali go, by usiadł, ale odmówił, więc dali mu spokój, ignorując go równie konsekwentnie, jak on ich.

Było już późno w nocy, ale zrobiło się jeszcze później, kiedy moi rodzice wszczęli alarm, zasypali mnie lawiną pytań i zadzwonili do szeryfa, który na szczęście mieszkał na peryferiach Levan, a nie na drugim końcu hrabstwa.

Rodzice zadzwonili do babci Mojżesza i powiedzieli jej, że będzie musiał u nas zostać, żeby powiedzieć szeryfowi, co widział. Koniec końców babcia też do nas przyjechała i dobijała się do tylnych drzwi, jakby to była dziesiąta rano, a nie druga w nocy. Poklepała Mojżesza po policzku i uściśnęła go, a potem podeszła do mnie i przytuliła. Sięgała mi głową do ramienia, a jej szare loki łaskotały mnie w podbródek, ale od razu poczułam się bezpieczniej. Lepiej. Usiadła przy stole, a ja poszłam pod prysznic zmyć ziemię ze skóry i włosów, gdy czekaliśmy na szeryfa. Byłam obolała i posiniaczona. Miałam palące ślady lin na nadgarstkach i

długie zadrapanie na lewym policzku. Bolał mnie tył głowy. Nawet usta były wrażliwe w miejscu, w którym zostałam przyciśnięta do ziemi. Najgorszy z tego wszystkiego był jednak kłujący strach w żołądku. I wrażenie, że uniknęłam czegoś naprawdę paskudnego.

Gdy wróciłam do kuchni z ręcznikiem na głowie i w piżamie w kropki, szeryf Dawson siedział już przy stole. Mama, jako nienaganna gospodyni, zadbała o to, by miał przed sobą pepsi i kawałek ciasta. Był to szczupły mężczyzna w dopasowanym mundurze, ze starannie uczesаныmi włosami z przedziałkiem. Jego jasnoniebieskie oczy kontrastowały z opaloną twarzą, która zdradzała, że preferuje pracę poza biurem. Był tuż przed czterdziestką lub tuż po niej i niedawno został wybrany ponownie. Ludzie go lubili, a on lubił konie. Całkiem niezłe CV dla mieszkańców naszego hrabstwa. Nie wydawało mi się, żeby miał w najbliższym czasie stracić pracę. Kiedy zajmowałam miejsce obok pani Wright, rozmawiał z moim ojcem o kielźnaniu Lucky'ego. Mojżesz usiadł naprzeciw szeryfa, który od razu zaczął go przesłuchiwać. Mojżesz był cichy i ostrożny i przez cały czas patrzył w stronę drzwi, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się stąd wyrwie. Przypomniała mi się szkółka niedzielna, przez co niemal się uśmiechnęłam. Przesłuchanie nie trwało długo, bo Mojżesz udzielał najkrótszych odpowiedzi, jakie kiedykolwiek uzyskano.

Wybrał się na rodeo z prababcią. Prababcia pomocnie przytaknęła. Chciał zobaczyć, jak jeżdżę. Pani Wright znowu przytaknęła.

Naprawdę? Na tę myśl poczułam skurcz i falę ciepła w środku. Mojżesz ciągnął cichym głosem, podając jak najmniej szczegółów.

Zaparkował obok zagród dla zwierząt. Stanął przy samochodzie i zastanawiał się, czy pójść do wesołego miasteczka na kilka corndogów i karmelowe jabłko czy wrócić do domu. Ktoś wpadł na niego od tyłu, ale uciekł nierozpoznany. Chyba kowboj. Niezbyt pomocne, pomyślałam. Ale ja też nie potrafiłam powiedzieć o nim nic więcej. Mojżeszowi wydawało się, że słyszy jakieś wołanie, czy nawet krzyk. I tak mnie znalazł. Rozwiązał mnie i przywiózł do domu. Koniec.

Potem już tylko patrzył na szeryfa i powtarzał te same odpowiedzi, gdy ten próbował wydobyć z niego coś więcej. Zapytał Mojżesza, dlaczego zaparkował przy zagrodach zamiast na parkingu.

Mojżesz odpowiedział, że nie chciało mu się zbyt daleko chodzić.

Następnie szeryf chciał wiedzieć, dlaczego Mojżesz nie potrafił bardziej szczegółowo opisać uciekającego mężczyzny, który na niego wpadł.

Mojżesz odparł, że stał plecami do niego i że było ciemno.

Szeryf sprawiał wrażenie niespokojnego i podejrzliwego, ale ja nie miałam wątpliwości. To nie Mojżesz mnie związał. On mnie uwolnił. I tylko to mnie

interesowało.

Potem nadeszła moja kolej. Opowiedziałam swoją historię, a niewielka publika chłonęła każde moje słowo. Dodałam też, że sądzę, iż to mógł być żart ze strony Terrence'a Andersona, co było bardzo niekomfortowe, zważywszy na to, że szeryf Dawson był jego wujkiem. Trzeba mu to jednak przyznać, że nawet nie mrugnął okiem i nie próbował mi tego wyperswadować, lecz obiecał, że to sprawdzi. Notował wszystko, co mówiłam, i nawet zrobił kilka zdjęć śladów po linie na nadgarstkach i otarć na twarzy.

— A to co? Czy to też powinienem udokumentować? — spytał, wskazując miejsce na moim czole, w które trafiło mnie kopyto Sacketta. Minęły już trzy tygodnie i rana niemal się zagoiła, ale po tym, jak wylądowałam twarzą w ziemi i żwirze, została na nowo podrażniona, zaczerwieniła się i wyglądała dość świeżo.

— Sackett się spłoszył — odparłam ze wzruszeniem ramion, bo nie chciałam odgrzewać tego incydentu. Wiedziałam, że szeryf zna Sacketta.

Szeryf uśmiechnął się nieznacznie i wskazał bliznę na swoim czole.

— Ciekawe, czy Tonga spłoszyła się z tego samego powodu. Nieźle mi przywalił ten cholerny koń. Nigdy nie można być zbyt pewnym siebie w towarzystwie zwierząt, bo gdy myślisz, że masz je rozpracowane, one robią coś, czego w ogóle się nie spodziewasz.

— Właśnie. Ludzie też tacy są — stwierdziłam bez namysłu.

To była prawda. Szczególnie po dzisiejszym dniu. Natychmiast poczułam w ustach smak strachu i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem miałabym dzisiaj zasnąć... Chyba już nigdy nie zmrużę oka. Szeryf pokiwał głową ze współczuciem i wstał, żeby wyjść, ale odwrócił się i poklepał mnie po ramieniu.

— Przykro mi, Georgio. Naprawdę. Niezależnie od tego, czy to był żart czy coś znacznie poważniejszego, cieszę się, że nic ci nie jest. Przesłuchamy Terrence'a Andersona i Haylee Blevins i zobaczymy, czy wiedzą coś na ten temat. Mamy też twoje zeznania i zdjęcia. I oczywiście zeznanie pana Wrighta. — Szeryf spojrzał nerwowo na Mojżesza, a ja niemal przewróciłam oczami. Wszyscy się bali Mojżesza. Byłam przekonana, że gdyby nie moje solenne zapewnienia, że to nie on mnie związał po to, by potem mnie uwolnić, byłby podejrzanym numer jeden. On po prostu *wyglądał* na mrocznego typu.

Szeryf podszedł do drzwi kuchni.

— Cieszę się, że to ostatnia noc imprezy. Ludziom trochę od tego odbija. Miejmy nadzieję, że życie w miasteczku w końcu trochę się uspokoi i rozwiążemy tę zagadkę. Będziemy w kontakcie.

Z tymi słowami szeryf Dawson zniknął w mroku kończącej się nocy. Przez jakiś czas siedzieliśmy pogrążeni w myślach ze wzrokiem wbitym w stół, bo nikt nie

miał sił, żeby się ruszyć.

— Cóż — westchnęła Kathleen Wright. — Szeryf Dawson jest całkiem miłym chłopcem. — Miał już prawie czterdziestkę na karku, ale dla osiemdziesięciolatki najwyraźniej wciąż był smarkaty. — Mojżesz, on i twoja mama chodzili kiedyś ze sobą. Był w niej szaleńczo zakochany. Miałam nadzieję, że Jennifer wróci do Levan i za niego wyjdzie. Starał się. Nieustannie się za nią uganiał. Bóg wie, jak bardzo się starał. Ale ona najwyraźniej odeszła zbyt daleko, jak sądzę. — Pani Wright poklepała Mojżesza po policzku i wstała od stołu. Jego twarz spięła się na wzmiankę o matce. Zastanawiałam się, jak często ktokolwiek o niej mówi, bo miałam wrażenie, że Mojżesz nigdy nie podejmuje tego tematu.

Moi rodzice także wstali, lecz Mojżesz ku mojemu zaskoczeniu spojrział na mnie. Już tylko my siedzieliśmy i przez chwilę dorośli nas nie obserwowali.

— Chciałaś, żebym pomalował twój pokój. Jestem tu, więc mogę rzucić okiem.

Moja mama natychmiast wyostrzyła słuch.

— Jest prawie trzecia w nocy — zaproponowała.

Mojżesz podniósł na nią wzrok.

— Georgii trudno będzie dzisiaj zasnąć.

Tylko tyle powiedział i wszyscy zamilkli, lecz moje serce łomotało jak bęben. Wstałam i poprowadziłam go korytarzem. Nikt się nie sprzeciwił. Słyszałam, jak pani Wright wychodzi, a rodzice przechodzą do sypialni na końcu korytarza.

— Jest lato, Mauna. — Dotarł do mnie szept taty. — Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy tu oddzieleni zaledwie kilkoma ścianami. Dajmy im spokój.

I tak zrobili. Dali nam spokój.

— Opowiedz mi tę historię — zażądał Mojżesz, gdy wyjaśniłam, co chcę mieć namalowane na ścianach.

Patrzył na pustą białą ścianę, którą oczyściłam dwa tygodnie temu z nadzieją, że zgodzi się na ten mural. Miałam prosty, wręcz zwyczajny gust i czułam dumę z braku zbędnych dodatków, a także z rzędów książek na półkach. Były to same westerny, poza *Where the Red Fern Grows*, *Summer of the Monkeys* i długim ciągiem powieści Deana Koontza, który był moim drugim ulubionym pisarzem po Louisie L'Amourze.

— Lubisz czytać? — spytałam, wskazując na swoją małą biblioteczkę.

— Tak — odparł, zerkając na moje książki.

Jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Może z powodu tych plotek, że jest młodocianym członkiem gangu. A może z powodu jego wyglądu, bo nie wyglądał na człowieka, który lubi usiąść w ciszy z książką.

— Jaka jest twoja ulubiona książka? — spytałam podejrzliwie, a on przymrużył oczy.

— Lubię *Buszującego w zbożu*, *Outsiderów*, *Rok 1984*, *Myszy i ludzi*, *Diunę*, *Kawalerię kosmosu*, *Władcę pierścieni*. I wszystkie powieści Toma Clancy'ego i J.K. Rowling.

To ostatnie nazwisko powiedział bardzo szybko, jakby nie chciał się przyznać, że lubi Harry'ego Pottera. Ale ja byłam oszołomiona.

— Naprawdę przeczytałeś te wszystkie książki? — Spośród wymienionych przez niego książek czytałam tylko *Outsiderów*, którzy mi się podobali. Zastanawiałam się, czy nie kłamię. — A lubisz Stephena Kinga lub Deana Koontza? — dodałam, próbując znaleźć jakiś wspólny grunt.

— *Zieloną milę* i *Dziewczynę, która kochała Toma Gordona*. I tyle, jeśli chodzi o Stephena Kinga. A Dean Koontz zbyt dużo wie.

— Co masz na myśli?

Mojesz potrząsnął głową, unikając wyjaśnienia.

— Nie mieści mi się w głowie, że potrafisz wytrzymać bez ruchu tak długo, by coś przeczytać.

— Potrafię się nie ruszać, gdy mój umysł jest na czymś skupiony. Od telewizji głupieję. Od muzyki zazwyczaj też. Ale lubię opowieści — stwierdził i znowu spojrzał mi w oczy. — Miałaś mi opowiedzieć swoją.

— A, tak, opowieść. Tę historię mój dziadek opowiadał mojemu ojcu w dzieciństwie, a potem mój ojciec opowiadał ją mnie. Nie wiem, skąd tak naprawdę pochodzi, ale zawsze wydawała mi się bardzo prawdziwa.

— Twój dziadek. Chodzi o tego, którego twój ojciec wtedy wspomniał? Tego, którego zobaczył na moim malowidle?

— Tak.

Mojesz sprawiał wrażenie, jakby te słowa przyniosły mu niezrozumiałą ulgę. Wpatrywałam się w niego przez kilka długich sekund, próbując odszyfrować wyraz jego twarzy.

— Mów dalej — zachęcił mnie.

— W pewnym małym zachodnim miasteczku żył kiedyś pewien niewidomy. Nie był ślepcem od urodzenia. Stracił wzrok wskutek choroby przebytej w dzieciństwie. Wraz ze wzrokiem stracił także wolność. Musiał prosić innych ludzi, by go prowadzili, gdy chciał wyjść na zewnątrz, i ktoś musiał dla niego gotować i za niego sprzątać. Co najgorsze, nie mógł już zobaczyć swoich koni i otaczających jego dom wzgórz. Pewnej nocy miał sen, w którym biegał po górach. Kiedy zatrzymał się na chwilę, żeby napić się wody z zimnego

strumienia, zobaczył w wodzie swoje odbicie. Nie był już człowiekiem, lecz pięknym, białym koniem, który mógł bez zmęczenia przebiec wiele mil. Gdy obudził się rano, kobieta, która przychodziła codziennie, żeby mu pomagać, zauważyła, że ma on strasznie brudne ręce i stopy, chociaż brał kąpiel przed snem.

Zamilkłam na chwilę, po czym ciągnęłam dalej:

— Ten sam sen powtórzył się następnej nocy. We śnie koń, skacząc przez leżącą kłodę, przeciągnął nogą po gałęzi. Było to tylko zadrapanie, lecz rano, gdy mężczyzna się obudził, zorientował się, że ma długi ślad na nodze w tym samym miejscu, w którym zadrapał się we śnie jako koń.

Mówiłam płynnie, jakbym recytowała przysięgę wierności. Słyszałam tę historię w dzieciństwie tak wiele razy, że przypuszczalnie używałam tych samych słów i tych samych określeń, które wtedy padały.

— Mieszkający w okolicy ludzie zaczęli widywać w nocy białego konia, a gdy plotki dotarły do owego ślepcy, zorientował się, że to wcale nie sen. On naprawdę zmienia się w nocy w konia, żeby biegać, skakać i oglądać to wszystko, czego przez długi czas nie widział, lecz teraz mógł zobaczyć oczami tego pięknego zwierzęcia. Nie odważył się nikomu o tym powiedzieć, bo wiedział, że zostałby uznany za szaleńca. Ale taka była prawda. Każdej nocy zmieniał się w konia i każdej nocy oglądał widoki. W końcu kilku mężczyzn z miasteczka postanowiło schwytać pięknego, białego wierzchowca. Jak pomyśleli, tak zrobili. W trójkę okrążyli białego konia i zapędzili go w róg. Myśleli, że go mają, lecz koń przeskoczył nad ogrodzeniem i pobiegł prosto w chmury, znikając na zawsze. Następnego dnia opiekująca się ślepcem kobieta przyniosła mu śniadanie, lecz jego nie było. I nigdy już nie wrócił. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, chociaż jego opiekunka podejrzewała prawdę, bo ślady stóp prowadzące od łóżka do drzwi wejściowych w miękkim błocie podwórka zmieniały się w ślady końskich podków.

Mojesz przez całe opowiadanie miał oczy skierowane na moją twarz, lecz jego wzrok stawał się coraz bardziej rozmyty i odległy, jakby tak naprawdę wcale na mnie nie patrzył.

— Mogę zająć więcej niż jedną ścianę?

— Uhm, jasne.

Wygramoliłam się z łóżka i zaczęłam ściągać zdjęcia i wyrywać pinezki. Niedługo potem mój regał stał na środku pokoju, a Mojesz namiętnie szkicował czymś, co określił jako ołówek woskowy. Wyciągnął kilka takich ołówków z kieszeni, jakby wszędzie je ze sobą nosił.

Obserwowałam z fascynacją, jak zatapia się w opowiedzianą przeze mnie historię. Rzadko się oddalał, żeby zobaczyć, co naszkicował, a jego dłonie po

prostu latały. Przez jakiś czas używał na zmianę lewej i prawej dłoni, szybko jednak wziął drugi ołówek i zaczął szaleńczo rysować obiema rękami. Nie mieściło mi się to w głowie. Sama ledwo potrafiłam pisać lewą dłonią, nie mówiąc już o rysowaniu nią, gdy druga dłoń także była czymś zajęta. Mojżesz nic nie mówił, a ten jeden raz, kiedy mu przerwałam, bo zbliżał się świt i moje powieki stawały się coraz cięższe, spojrzał na mnie pustym wzrokiem, jakby zapomniał o moim istnieniu.

— Zróbmy przerwę. Oczy mi się zamykają — ziewnęłam. — A nie chcę niczego przegapić. Jesteś geniuszem. Wiesz o tym, prawda? Jeśli pewnego dnia staniesz się sławny, mój pokój zostanie przekształcony w muzeum Mojżesza Wrighta — powiedziałam, a on od razu zaczął potrząsać głową.

— Nie chcę przerywać — odparł, spoglądając na mnie błagalnie. — Nie mogę teraz przerwać. Jeśli przerwę, to przypuszczalnie nie będę już w stanie dokończyć.

— Dobrze — zgodziłam się natychmiast. — Ale lepiej, żeby cię nie było, gdy moi rodzice się obudzą. Możesz przychodzić codziennie, żeby skończyć. Obiecuj mi tylko, że pozwolisz mi patrzeć.

Walczyłam ze snem tak długo, jak potrafiłam, żeby nie przegapić tej magii. Pojawiające się na moich ścianach obrazy były kapitalne, ale to Mojżesz najbardziej mnie oczarowywał. W końcu przegrałam walkę, lecz gdy powieki zamknęły mi się na dobre, w moich snach nadal tańczył Mojżesz, który z błyszczącymi oczami wymachiwał dłońmi, a spod jego palców wychodziły kręte barwne linie.

Otworzyłam oczy grubo po południu, i to tylko ze względu na straszny harmider pod moim oknem.

— Co robisz? — spytałam Mojżesza osłupiała, wyskakując z łóżka i ścierając z twarzy resztki snu.

— Zakładam moskitiery na twoje okna. Jeśli mam tu malować, potrzebujemy wentylacji, a bez moskitier insekty będą kłębiły się wokół światła, gryzły mnie i przylepiały się do farby. Do tego oboje się naćpamy oparami, a mój mózg jest wystarczająco poszatkwany.

— Pęknięty — powiedziałam bez namysłu.

— No — potwierdził, krzywiąc się Mojżesz.

— Ale ma to na ciebie dobry wpływ — stwierdziłam, odwracając się w stronę ścian. — Pęknięcia i w ogóle. Gdyby twój mózg nie miał pęknięć, twój geniusz nie miałby jak wydostać się na zewnątrz. Wiesz o tym?

Jego dzieło było naprawdę genialne, chociaż nie użył jeszcze żadnej farby. Wykorzystując woskowy ołówek i swój pęknięty mózg, Mojżesz pokrył dwie

ściany początkowymi scenami przedstawiającymi ślepego człowieka, który odzyskał możliwość widzenia, i konia, który pojawiał się wyłącznie w nocy. Już teraz wykraczało to poza moje najśmielsze wyobrażenia.

— Spałeś w ogóle? — odwróciłam się z powrotem do niego z ziewnięciem.

— Nie. Ale teraz pójdę się na chwilę zdrzemnąć i wrócę po kolacji.

Do kolacji było jeszcze strasznie daleko, więc miałam sporo czasu do zabicia. Oporządziłam kury, skosiłam trawnik przed domem i przez godzinę pomagałam mamie zajmować się dwójką dzieci, które trafiły do nas na kilka dni, a potem uciekłam do zagrody. Moje konie ucieszyły się, gdy mnie zobaczyły, a ja poczułam się źle, że kazałam im tak długo na siebie czekać. Łąka była wciąż zielona i nie brakowało im wody, więc nie można powiedzieć, żeby przymierały z głodu i pragnienia, ale rzadko zdarzało mi się nie przyjść do nich zaraz z rana. Wynagrodziłam im to, spędzając z nimi całe popołudnie do zmroku i próbując doprowadzić do tego, by Lucky mnie pokochał.

Lucky miał czarną sierść i jeszcze czarniejszą grzywę. Był najpiękniejszym koniem, jakiego kiedykolwiek widziałam, ale on wiedział, że jest piękny i miał ognisty temperament. Nie chciał być dotykany, ujeżdżany czy zmuszany do stania bez ruchu. Chciał, żebym zostawiła go w spokoju. Tata miał klienta, który nie był w stanie zapłacić rachunku za usługi weterynaryjne, więc umówili się na zapłatę innego rodzaju. Nie był to zbyt dobry interes, gdyż nam były potrzebne konie, które mama z tatą mogliby wyszkolić do pracy z dziećmi. Ale Lucky miał dobry rodowód i ojciec uznał, że być może zarobi na nim, użyczając go jako ogiera rozplodowego.

Lucky przypominał mi Mojżesza. Potężny, o idealnej sylwetce, ze stonowanymi i wyrobionymi mięśniami pod gładką powierzchownością. Ignorował mnie w niemal identyczny sposób jak Mojżesz. Ale w końcu spoglądał na mnie i wiedziałam, że doskonale zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Nawet na moment o mnie nie zapominał i chciał, żebym się za nim uganiała. Może i jestem szalona, ale byłam pewna, że to, co zadziało na konia, zadziało także na chłopaka.

Mojżesz wrócił jeszcze tej nocy. A potem w następną noc. I następną. Obserwowałam ze zdumieniem, jak wypełniał kontury barwami, a cała opowieść zaczynała wyglądać jak sen. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w głowie ślepcy, patrzyła na to jego oczami i po raz pierwszy w życiu zobaczyła świat.

Mojżesz nie ograniczył się do ścian. W trzecią noc opowieść rozprzestrzeniła się na sufit, a Mojżesz naprędce skonstruował tymczasowe rusztowanie, żeby na powierzchni trzech metrów na trzy i pół metra zrobić mi Kaplicę Sykstyńską. Muszę się przyznać, że nie słyszałam wcześniej o tej kaplicy, dopiero Mojżesz, gdy montował platformę, na której miał zamiar leżeć w trakcie malowania, opowiedział mi o Michale Aniele. Stwierdził, że któregoś dnia zobaczy tę kaplicę

na żywo. Chciał objechać cały świat i zobaczyć wszystkie wielkie dzieła sztuki. To było jego marzenie. Milczałam, kiedy mówił; wtrącałam się tylko w chwilach, gdy wydawało mi się, że traci zapał, i bałam się, że przestanie mówić. Chciałam, żeby mówił. Chciałam dowiedzieć się o nim wszystkiego. Chciałam zajrzeć do jego wnętrza, a on kawałek po kawałku je przede mną odsłaniał, szczególnie gdy malował. Te ulotne chwile z nim ceniłam sobie tak, jak dziecko ceni znalezione muszelki i błyszczące kamyki. A gdy nie był ze mną, w myślach oglądałam bez końca całą kolekcję tych skarbów, studiując je pod każdym kątem i ucząc się jego.

Moi rodzice nie wiedzieli, co myśleć o moim pokoju. Nikt nie wiedział. To było niemal zbyt wiele jak na tak niewielką przestrzeń. Gdy stało się w środku spowitym w barwny kokon opowieści na ścianach i suficie, sam rozmach szczegółów i głębia tego dzieła przyprawiały o zawroty głowy. Ale mnie się podobało. Zrobiłam na środku pokoju wyspę z mebli, żeby nic nie przesłaniało mi ścian i rozwiesiłam wokół krawędzi lampki o żółtym poblasku, dzięki czemu po zgaszeniu światła przy łóżku sen ślepeca był spowity delikatnym złotym blaskiem. To było magiczne.

Czułam się jak idiotka, wręczając Mojżeszowi sto dolarów, gdy skończył. Byłam przekonana, że to ledwo pokryło koszty farb i innych materiałów, ale nie miałam więcej, a nie wiedziałam, w co się pakuję, kiedy prosiłam go o namalowanie muralu na mojej ścianie.

Wydawało się, że pieniądze sprawiły Mojżeszowi przyjemność i że zapomniał, że to była praca na zlecenie, bo szczerze mi podziękował, wpychając zwinięte banknoty do skórzanego portfela, który wsunął do kieszeni dzinsów.

IV

GEORGIA

TATO MÓWIŁ, ŻE KONIE ODZWIERCIEDLAJĄ energię otaczających je ludzi. Jeśli jesteś przerażony, koń będzie się ciebie bał. Jeśli wątpisz w siebie, wykorzysta cię. Jeśli nie ufasz samemu sobie, on też ci nie zaufa. One są wykrywaczami kłamstw. To nie żadna skomplikowana nauka czy magia. Nie bez powodu można zdać się na konia, gdy się zgubisz, bo on zawsze doprowadzi cię do domu.

Nie umknęło mojej uwadze, że konie bały się Mojżesza. Jeśli teoria taty była prawdziwa, to przyczyną był lęk Mojżesza, a koń po prostu odzwierciedlał bardzo potężną emocję. Konie budzą przerażenie u niektórych ludzi. Są duże i potężne, a jeśli będziesz próbował z nimi walczyć, to skopią ci tyłek.

Nie wydawało mi się jednak, żeby Mojżesz bał się koni. To nie dotyczyło tylko ich. Byłam prawie pewna, że Mojżesz miał w sobie jakiś ogólny lęk. Nerwowość, rozpacz, manię, cokolwiek. A nasze konie to wyczuwały.

— Wiesz, jak doszło do tego, że Sackett mnie kopnął? — spytałam ojca pewnego ranka, gdy przygotowywaliśmy się do sesji terapeutycznej.

— Tak — mruknął ojciec.

— On odzwierciedlał wewnątrz Mojżesza, prawda?

Mój ojciec poderwał gwałtownie głowę, niezbyt zadowolony z sugestii, że Mojżesz chciał, żebym oberwała w głowę.

— Mojżesz ma w sobie lęk, tato. Moim zdaniem maluje po to, by wyrzucić z siebie nadmiar nerwowej energii. Zastanawiałam się, czy gdybyśmy pomogli mu zbliżyć się do koni, to pozwoliłoby mu to pokonać swój lęk.

— Pierwsza reguła terapii, George.

— Czyli?

— Możesz zaprowadzić konia do wody...

— ...ale nie zmusisz go, żeby się napił — dokończyłam z westchnieniem stare przysłowie.

— Właśnie. Być może masz rację co do Mojżesza. Jestem pewien, że bylibyśmy w stanie mu pomóc, pod warunkiem że tego by chciał. Dzieci, małżonkowie, ludzie z nałogiem lub depresją... Hipoterapią można wyleczyć niemal każdego człowieka. Nie spotkałem jeszcze osoby, która nie skorzystałaby na spędzaniu czasu z koniem. Ale wszystko zależy od Mojżesza. Jesteś dość zawzięta,

George, ale trafiłaś w nim na godnego przeciwnika.

Wiedziałam, że tak było. Że trafiłam na godnego przeciwnika. Może ten kopniak w głowę lub zetknięcie z przemocą na imprezie trwale mnie odmieniły, może chodziło o to, że mnie ocalił, albo może po prostu zakochywałam się w artyście, który ożywił białego konia na ścianach mojego pokoju. Tak czy owak, nie potrafiłam wyrzucić Mojżesza ze swoich myśli. Zorientowałam się, że wypatrywałam go od rana, gdy wychodziłam na dwór, do wieczora, kiedy zrezygnowana wracałam do domu. Jego babcia dzwoniła z prośbą o pracę do wszystkich ludzi, którzy byli jej winni jakąś przysługę, i gdy tylko Mojżesz skończył wykonywać dziwne prace dla mojego taty, zaczął naprawiać ogrodzenie u Gene'a Powella, co mogło potrwać nawet do końca wakacji, zważywszy na to, ile akrów posiadał Powell. A prócz tego został zatrudniony w zachodniej części miasteczka do rozbiórki w starym młynie, który nie działał już od dwudziestu lat.

Znalezienie pretekstu do przejażdżki konnej wzdłuż ogrodzenia nie było problemem, lecz stary młyn okazał się trudniejszą kwestią. Uznałam, że zmierzę się z nią, gdy będę musiała, ale i tak już knułam spiski. Nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o zadurzeniu, bo to oznaczałoby, że przyjmuję je do wiadomości. A ja nie byłam dziewczyną, która się zadurza lub zakochuje po uszy i która poprawia szminkę lub włosy, kiedy w pobliżu są jacyś chłopcy.

Zorientowałam się jednak, że tak właśnie robiłam — rozplotłam warkocz i przeczesalam dłonią rozpuszczone włosy, gdy pod koniec lipca zbliżałam się konno do granic posiadłości Gene'a Powella. Miałam lunch dla Mojżesza. Niby przypadkiem zatrzymałam Kathleen, kiedy wychodziła z domu, i wspomniałam, że tak się składa, iż jadę na Sacketcie w tamtym kierunku. Uśmiechnęła się, jakby nie dała się nabrać, i poczułam się dość głupio. Może i miała osiemdziesiąt lat, ale byłam pewna, że nic jej nie umyka. Szczególnie gdy przypadkiem wpadałam na nią przez trzy dni z rzędu dokładnie w chwili, w której mogłam wziąć Mojżeszowi jego lunch.

Kiedy Mojżesz mnie zobaczył, nie wyglądał na zadowolonego, a ja po raz nie wiadomo który zaczęłam się zastanawiać, czym go wkurzyłam.

— Gdzie Gigi? — spytał.

— Kto to jest Gigi?

— Moja babcia. A właściwie prababcia. Tak ją nazywam.

— Szła w tym kierunku i pomyślałam se, że skoro akurat tu jadę, przywiezę ci lunch.

— „Sobie”, a nie „se” — spojrzał na mnie zniesmaczony. — I mówi się „przywiozę”, a nie „przywiezę”. To też źle powiedziałaś.

Nie brzmiało mi to źle, ale postanowiłam zapamiętać. Nie chciałam, żeby Mojżesz uważał mnie za głupią.

— Wszyscy w tym mieście mówią źle. Łącznie z moją babcią! Doprowadza mnie to do szału — narzekał.

Zachowywał się dzisiaj inaczej niż zwykle, ale nie przeszkadzało mi, że narzeka, dopóki coś do mnie mówił.

— Dobrze, zapamiętam. Chcesz mi powiedzieć o czymś jeszcze, co ci się we mnie nie podoba? Bo mam wrażenie, że to nie wszystko? — spytałam.

Westchnął i zignorował moje pytanie, zadając własne:

— Dlaczego tu jesteś, Georgia? Czy twój ojciec o tym wie?

— Przywiozłam ci lunch, Einsteinie. A odpowiedź na drugie pytanie brzmi: „nie”. Dlaczego miałby wiedzieć? Nie melduję się u niego za każdym razem, gdy jadę gdzieś konno.

— Widział, jak skaczesz przez ogrodzenia?

Wzruszyłam ramionami.

— Jeżdżę, odkąd nauczyłam się chodzić. To nic wielkiego.

Odpuścił, ale po kilku kęsach kanapki znowu się do mnie przyczepił:

— Georgie Porgie, niegrzeczna dziewczyna, całuje chłopców i o nich zapomina. Co to za imię: Georgia?

— Moja prababcia tak się nazywała. Była pierwszą Georgią Shepherd. Mój ojciec nazywa mnie George.

— Tak, słyszałem. To po prostu paskudne.

Poczułam, jak policzki ciemnieją mi z gniewu, i miałam ochotę napluć na niego z siodła, gdy patrzyłam na jego równo ostrzyżoną i kształtną głowę. Podniósł na mnie oczy i wykrzywił usta, wzbudzając we mnie jeszcze większy gniew.

— Nie patrz tak na mnie. Nie chcę być niemiły, ale George to okropne imię dla dziewczyny. Do licha, i dla każdego, kto nie jest królem Anglii.

— Myślę, że mi pasuje — prychnęłam.

— Doprawdy? George to imię dla faceta ze staroświeckim brytyjskim akcentem lub dla mężczyzny w białej pudrowanej peruce. Lepiej módl się, żeby do ciebie nie pasowało.

— Cóż, ja nie potrzebuję seksownego imienia, prawda? Nigdy nie byłam seksowną dziewczyną.

Spięłam Sacketta po bokach i mocno pociągnęłam wodze, gotowa, by natychmiast odjechać. Zarzekałam się w myślach, że już więcej nie przywiozę Mojżeszowi lunchu. Był dupkiem, a ja miałam tego dość.

Ale gdy odjeżdżałam, wydawało mi się, że słyszę, jak mówi za mną:

— Tak sobie wmawiaj, Georgie Porgie. Jateż będą sobie to wmawiał.
Następnego dnia znowu przywiozłam mu lunch.



MOJŻESZ

— ONA CIĘ LUBI, WIESZ? — Gigi uśmiechnęła się do mnie prowokująco.

Mruknąłem tylko w odpowiedzi.

— Georgia cię lubi, Mojżeszu. Jest dobrą dziewczyną. Miłą. I ładną. Dlaczego nie poświęcisz jej odrobiny uwagi? Tylko tyle chce, wiesz? — puściła mi oczko, a ja poczułem, że ciepło, nad którym dotychczas z dumą panowałem, zaczęło rozprzestrzeniać się na całą klatkę piersiową i w dół, na brzuch.

Być może Georgia chce teraz tylko odrobiny uwagi. Ale taki stan nie potrwa długo. Jeśli obdarzę ją uwagą, będzie chciała spędzać ze mną więcej czasu. A gdy będziemy spędzać ze sobą więcej czasu, przypuszczalnie zechce, żebym był jej chłopakiem. A gdy zostanę jej chłopakiem, pewnie będzie chciała, żebym był normalny. A normalność była dla mnie czymś tak obcym, że nawet nie wiedziałem, gdzie jej szukać.

Ale...

Przypomniało mi się, jak wyglądała tamtej nocy, kiedy malowałem jej sufit i zasnęła. Patrzałem na nią przez szpary w rusztowaniu. Była tuż pode mną, przytulona do poduszki, którą ściągnęła z łóżka. Miałem wrażenie, że pływam nad nią, że unoszę się dwa metry nad nią. Rozrzucone wokół ramion włosy miały ten sam kolor co pszenica na otaczających nasze miasteczko polach. Tyle że jej włosy nie były szorstkie i łamliwe, lecz jedwabiste, grube i pofalowane od warkocza, w który przez cały dzień były splecione. Była wysoka, nie tak bardzo jak ja, ale wysoka i szczupła. Miała złocistą skórę i ciemnobrązowe oczy, które mocno kontrastowały z jasnymi włosami. Moje przeciwieństwo. Ja miałem jasne oczy i ciemne włosy. Może gdybyśmy zostali połączeni, nawet fizyczne niedopasowania zostałyby zniwelowane. Poczułem napięcie w brzuchu na tę myśl. Nikt nas nie będzie łączył. A już na pewno nie ja.

Zorientowałem się, że zapomniałem na chwilę o malowaniu, bo obserwowałem, jak śpi. Stojący wcześniej w rogu pokoju mężczyzna, który dzielił się swoimi przemyśleniami i uzupełniał opowieść Georgii obrazami, a następnie umieszczał je w mojej głowie i przelewał za pośrednictwem moich dłoni na ściany, zniknął. Zastanawiałem się, czy potrafiłbym go przywołać, bo jeszcze nie skończyłem.

Nie próbowałem jednak tego zrobić. Zamiast tego patrzałem na Georgię przez długi, długi czas. Ta dziewczyna była równie uparta jak duchy w mojej głowie. Po raz pierwszy mój umysł wypełnił się obrazami stworzonymi przeze mnie i marzeniami, które sam wyczarowałem. I po raz pierwszy w życiu zasnąłem z Georgią pod sobą i ze spokojem w duszy.



GEORGIA

NIKT NIE PRACOWAŁ NAD LUCKYM, zanim trafił do nas. Tato był zbyt zajęty, żeby go szkolić, ale ja nie narzekałam na niedobór czasu. I miałam do tego talent, każdy to przyznawał. Spędzałam więc z Luckym kilka godzin każdego ranka, żeby go do siebie przyzwyczaić. To ja go karmiłam i to mnie oglądał każdego dnia. Uciekał, gdy się zbliżałam, dreptał nerwowo, gdy zastępowałam mu drogę, i w ogóle strasznie się irytował moim widokiem. Musiał minąć miesiąc, zanim pozwolił mi założyć sobie linę na szyję i poprowadzić się po podwórku. Dwa tygodnie później doszliśmy do uzdy i pozwolił mi odciągnąć głowę w tył w moją stronę, kiedy stałam przy jego boku.

— Dokładnie tak, mały. Dasz mi swoją głowę?

Uśmiechałam się, gdy to mówiłam, starając się nie puszyć z dumy. Konia trenuje się za pomocą presji. Nie bólu, lecz presji. Nie chce wejść do przyczepy? Nie zmuszasz go. Każesz mu biegać dookoła niej, aż zacznie dyszeć. Wtedy ponownie próbujesz wprowadzić go po rampie. Nie chce? No to wracacie do biegania. W końcu się zorientuje, że pozbędzie się presji, gdy wejdzie do przyczepy. W przyczepie będzie mógł odpocząć. Tak więc w końcu chętnie do niej wchodzi.

Zniecierpliwiłam się trochę. Ojciec zawsze mi powtarzał, że w pracy z ludźmi lub zwierzętami zniecierpliwienie jest najgorszym błędem, jaki można popełnić. Ale ja nabrałam zbytnej pewności siebie. Dawał mi swoją głowę, a ja chciałam więcej. Zacisnęłam pięści na jego grzywie i przyciągnęłam się do niego, dotykając brzuchem jego boku. Znieruchomiał, drżąc, a ja czułam echo tego drżenia w swoim żołądku. Nadzieja przeszyła moje nogi i ręce, odbierając mi zdrowy rozsądek.

— Jesteśmy przyjaciółmi, co, Lucky? — szepnęłam. — Wybierzmy się na małą przejażdżkę. Zwykłą małą przejażdżkę.

Nie oderwał się ode mnie, a ja uznałam jego wahanie za zgodę. Jednym szybkim ruchem podciągnęłam się w górę, lecz gdy tylko moje pośladki dotknęły jego

grzbietu, zerwał się gwałtownie, a paskudne skręcanie w żołądku uświadomiło mi, że nie był jeszcze gotowy. Teraz jednak nie miało to już znaczenia. Siedziałam z determinacją na jego grzbiecie z rękami w jego grzywie. Nic by mi nie było, gdyby zwyczajnie postanowił mnie zrzucić. Wiedziałam, jak upadać. Ale on się spłoszył i ruszył przez pola ze mną na grzbiecie. Przeskoczyliśmy przez ogrodzenie oddzielające nasze pola od pól Gene'a Powella. Robiłam, co w mojej mocy, żeby się z nim stopić, lecz niewiarygodnie trudno utrzymać się na koniu bez siodła. Jest gładki, śliski i potężny, a moje uda krzyczały z wysiłku, gdy próbowałam go utrzymać między nimi. Przeskoczyliśmy kolejne ogrodzenie. Nadal na nim siedziałam, ale ręce mi się trzęsły. Bałam się też, że zrobi sobie krzywdę. Koniom zdarza się złamać nogę, ale nie da się wtedy pojechać na pogotowie, gdzie założą mu wielki gips i dadzą kule. Dla konia to koniec. Nie myślałam o sobie. Myślałam o swojej błędnej ocenie, o tym, że przegięłam z naciskaniem go, i o tym, że nie mam pojęcia, jak to naprawić.

Po trzecim ogrodzeniu Lucky twardo wylądował i zaczęłam się zsuwać na bok. Wyrzuciłam z siebie potok najbrzydszych wyrazów, jakie kiedykolwiek przeszły mi przez usta, szarpiąc z całej siły za jego grzywę i próbując się wyprostować, ale nie udało mi się zatrzymać zsuwania i uderzyłam twardo o ziemię. Ramię i biodro przyjęły pierwsze uderzenie, a potem zaczęłam się toczyć. W końcu zatrzymałam się, patrząc w niebo, które było zbyt niebieskie, żeby umierać.

Gdyby nie to, że walczyłam o odzyskanie oddechu i przywrócenie władzy w kończynach, być może od razu bym zauważyła, gdzie Lucky mnie zrzucił, ale dotarło to do mnie dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam Mojżesza, który kucnął nade mną i mi się przyglądał.

Nie pytał, czy wszystko w porządku. Przez chwilę w ogóle nic nie mówił. Patrzyliśmy tylko na siebie. Zauważyłam, że był równie zdyszany, jak ja, i poczułam się miło, że biegł, żeby się upewnić, że przeżyłam.

— Do dupy — westchnęłam, próbując się podnieść.

Mojżesz usiadł i patrzył, jak oczyszczam lewy bok z ziemi. Skrzywiłam się, gdy przejechałam dłonią po ramieniu. Miałam długie zadrapanie sięgające niemal do łokcia, ale poza tym nic mi nie było. Jutro będę cierpiała jak diabli, ale nie miałam żadnego złamania. Wstałam bez pomocy Mojżesza, otrzepałam tyłek i zaczęłam się rozglądać po horyzoncie.

— Widziałeś, w którą stronę pobiegł? — spytałam, spoglądając w dal.

— Nie — odpowiedział po chwili. — Byłem zbyt zajęty obserwowaniem twojego upadku.

— Ale przez chwilę się na nim utrzymałam — odpowiedziałam obronnie. — Przeskoczyliśmy trzy ogrodzenia.

— To dla ciebie normalne?

— Co?

— Jeżdżenie bez siodła, galopem, na koniu, który najwyraźniej nie chce, by na nim jeździć?

— Dał mi swoją głowę... i uznałam, że jest gotowy. Myliłam się.

— Dał ci swoją głowę?

— Tak... nieważne. Tak się mówi o koniach. Gdy koń pozwala ci kontrolować swoją głowę, odciągnąć ją do tyłu i poruszać w różne strony, to jest twój. Ale na Lucky'm nikt jeszcze wcześniej nie jeździł. Mogłam się jeszcze trochę do niego pozalecać.

Mojesz ściągnął usta i zmarszczył brwi. Wydawało mi się, że lada chwila wybuchnie śmiechem. Widać tak właśnie na niego działałam.

— Zamknij się — powiedziałam.

Zaśmiał się, tak jak przewidywałam.

— Nic nie powiedziałem!

— Ale pomyślałeś.

— Co pomyślałem?

— Coś nieczystego. Masz to wypisane na twarzy.

— Nie. To nie jest nieczystość. Jestem po prostu czarny.

— Ha, ha.

— Jeszcze nigdy nie zostałam zrzucona, co? — wstał i stanął przede mną.

— Mnóstwo razy zostałam zrzucona — ucięłam rozmowę i się odwróciłam.

Ruszyłam w stronę, z której przyjechałam. Nie było sensu włączyć się w poszukiwaniu Lucky'ego. Musiałam wziąć auto i jeździć po okolicy tak długo, aż go znajdę.

— Czyli to właśnie próbujesz ze mną zrobić? Chcesz, żebym dał ci swoją głowę, jak koń? — zawołał za mną.

Zatrzymałam się. Mojesz zbyt wiele mi nie dawał. Od chwili, gdy pomalował mi pokój, naciskałam go dzień po dniu, tydzień po tygodniu, tak jak Lucky'ego. Lucky zmieniał zdanie, lecz Mojesz nie.

— Nie chcę od ciebie niczego — skłamałam.

— To dlatego codziennie przynosisz mi lunch, dlatego mnie szpiegujesz i co wieczór wpadasz do mojej babci.

Poczułam się, jakbym znowu upadła, chociaż tym razem to nie ramię mnie bolało. Czułam ściskanie w sercu, jakby Lucky przywalił mi z kopyta w pierś.

— Nie chcę twojej głowy, Mojżeszu. Myślałam tylko, że być może chciałbyś mieć przyjaciółkę.

— Nie dopuszczę cię do mojej głowy, Georgio. Nie chcesz zobaczyć, co w niej mam.

— Dobrze. W porządku. W takim razie ja dam ci moją — powiedziałam, odwracając się do niego.

Nie wiem, gdzie podziała się moja duma. Powinnam była na niego splunąć i powiedzieć, żeby spadał na drzewo. Tymczasem kłaniałam mu się do stóp.

— Zaczynam myśleć, że w twojej głowie jest zupełnie pusto. Widziałem, jak zostajesz kopnięta i zrzucana, domyślam się jednak, że spróbujesz znowu, gdy tylko znajdziesz swojego konia.

— Pieprz się, Mojżeszu.

— To pierwsze wypowiedziane przez ciebie słowa, które do mnie trafiają.

Westchnęłam, a on parsknął śmiechem. Znowu. Wiedziałam, że próbuje mnie zirytować i sprawić, żebym uciekła z płaczem. Ale ja nie byłam z tych, co płaczą. Miał rację co do jednego: dostaję kopniaki, zostaję zrzucana, lecz wracam po więcej.

Zrobiłam więc coś, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Podeszłam do niego, ujęłam jego twarz w dłonie i mocno go pocałowałam. To był przypuszczalnie najgorszy pocałunek świata w historii wściekłych pocałunków. Wszedł mi beznadziejnie. Nigdy wcześniej z nikim się nie całowałam. Przyciskałam usta do twardej, wąskiej linii, zaciskając mocno powieki i ściskając w dłoniach jego twarz niczym grzywę Lucky'ego.

Oderwał się, ale nie oddalił się zbyt. Czułam na ustach jego przyspieszony oddech.

— Ostrożnie, Georgio. Za chwilę zostaniesz zrzucana.

— Ty skur...

Jego usta wróciły, wchłaniając moje wściekłe słowa, a ja niemal natychmiast zapomniałam, jakim był dupkiem. Nie był taki jak ja — niecierpliwy, nachalny i niedelikatny. Nie spieszył się i pokazywał mi, jak powinnam czerpać z tego przyjemność. Jedną dłonią trzymał mnie z tyłu głowy, a drugą objął mnie w pasie. A gdy próbowałam przejąć kontrolę, przygryzł moją dolną wargę.

— Przestań — wysyczał. — Pozwól mi prowadzić.

Więc pozwoliłam.

Prowadził mnie tam i z powrotem, w górę i w dół, aż moje nogi zamieniły się w galaretkę, oczy uciekły mi do góry i opadłam na niego całym ciałem, bo czułam się zbyt podniecona, żeby ustać.

Nagle podniósł głowę i zaśmiał się, a raczej nieznacznie zachichotał, a ja z trudem otworzyłam ociężałe powieki, żeby wrócić z powrotem na ziemię.

— Cóż za niespodzianka!

Otrząsnęłam się z mgły i odwróciłam głowę w stronę, w którą kierował wzrok.

Po drugiej stronie pola Lucky przechadzał się, jakby wcale przed chwilą nie ześwirował i nie zapewnił mi jazdy życia.

— Widzisz? Gdy tylko przestajesz się za nim uganiać, on zaczyna cię chcieć. Wygląda na zazdrosnego. Chyba myśli, że zająłem jego miejsce.

Nasze spojrzenia zderzyły się ze sobą. Oderwałam się od niego, próbując się zachowywać tak, jakbym była już całowana setki razy przez setki różnych chłopców.

Wzrok Mojżesza zsunął się na moje usta, a ja wepchnęłam dłonie do kieszeni, żeby powstrzymać się przed chwyceniem go i udowodnieniem mu, że potrafię prowadzić równie dobrze, jak on.

Mojżesz jakby czytał w moich myślach, bo skinął w kierunku konia.

— Idź. Dostałaś nauczkę. On nie chce, żeby na nim jeździć.

Odwróciłam się na pięcie, natychmiast wyleczona z pragnienia pocałowania go jeszcze raz. Zgrzytałam zębami i zaciskałam pięści, sadząc długie kroki w stronę mojego konia.

Lucky patrzył, jak się zbliżam. Nie płoszył się i nie wzdrygał, gdy podeszłam, więc nie dając sobie chwili na zawahanie, chwyciłam go za grzywę i natychmiast wskoczyłam na jego grzbiet. Staął na tylnych kopytach i okręcił się trochę, tańcząc i paradując, ale byłam na to gotowa i mocno się trzymałam.

W końcu uległ.

Gdy skierowałam go w stronę domu, nie mogłam się powstrzymać i obejrzałam się za siebie. Mojżesz stał jak wmurowany, z wyrazem absolutnego zdumienia na twarzy. Teraz była moja kolej, żeby się zaśmiać.

V

MOJŻESZ

SPAŁEM NA PIERWSZYM PIĘTRZE, a pokój Gi był po przeciwnej stronie korytarza. Stary dom nie miał klimatyzacji i pod koniec dnia w pokojach na górze można się było udusić. Gi nigdy to nie przeszkadzało, bo zawsze było jej zimno, ale ja każdej nocy otwierałem okno, zamaczałem koszulkę w wodzie przed jej założeniem i włączałem mały wentylator w rogu na pełną moc, żeby wiał prosto na mnie. Tylko wtedy mogłem zasnąć, nie tonąc we własnym pocie.

W Utah przez całe lato panowały rekordowe temperatury, ale pierwszy tydzień sierpnia był kompletnie nie do zniesienia. Czwartą noc z rzędu leżałem w łóżku o północy w takim stanie, że zastanawiałem się, czy wziąć kolejny prysznic, żeby się trochę ochłodzić. Nagle usłyszałem swoje imię.

Usiadłem na łóżku i zacząłem nasłuchiwać.

— Mojżesz!

Wyłączyłem wentylator i czekałem.

— Mojżesz!

Podbiegłem do okna i zobaczyłem na dole Georgię w szortach i koszulce na ramiączkach, z ręcznikiem kąpielowym zarzuconym na szyję i z wielką torbą w paski na ramieniu.

Machała do mnie radośnie, jakby to, że stoi pod moim oknem w stroju plażowym, było zupełnie normalne.

— Chciałam się wkraść do twojego domu i wejść na górę do twojego pokoju, ale pomyślałam, że może śpisz nago i mogłabym cię zawstydzić.

Patrzałem na nią osłupiały. Nie próbowała szeptać ani w żaden sposób tłumić głosu. Spojrzałem w stronę pokoju Gi. Korytarz między naszymi pokojami był ciemny, a spod drzwi nie przebijało się żadne światło. Mimo to położyłem palec na ustach i potrząsnąłem głową. Nie miałem pojęcia, skąd Georgia w ogóle wie, który pokój jest mój.

— Wybieram się do zbiornika wieżowego. Chodź ze mną. Jest zbyt gorąco, żeby spać — powiedziała, ani trochę nie tłumiąc głosu.

— Ciszej! — syknąłem na nią. Georgia uśmiechnęłam się i potrząsnęła głową.

— Im szybciej zejdziesz na dół w szortach i z kluczykami do twojego jeepa, tym szybciej stąd znikniemy i tym szybciej zamilknę. Nie możemy wziąć mojej Myrtle, bo obudziłaby sąsiadów.

Próbowałem stłumić śmiech, który zabrzmiał jak nieatrakcyjne parsknięcie. Georgia uśmiechała się szelmowsko, najwyraźniej w pełni świadoma tego, że z nas dwojga to jej bardziej mogło zaszkodzić obudzenie sąsiadów lub mojej prababci.

— A co tam. Jest za ciepło, żeby spać — westchnąłem, a jej uśmiezek znacznie się poszerzył.

— Spotkamy się przy wejściu — szepnęła. O, teraz potrafiła się uciszyć. Teraz, gdy uzyskała to, czego chciała.

Nigdy nie byłem w zbiorniku wieżowym. Georgia pokierowała mnie na wąską, brukowaną drogę na południe od miasteczka, która wiała się przez pola i przecinała kilka razy tory kolejowe. W końcu przejechaliśmy obok dużego metalowego zbiornika z drabiną z boku. Napis zabraniający wstępu osobom nieupoważnionym i ogrodzenie ze stalowej siatki z kłódką na bramie jeszcze bardziej zniechęciły mnie do tego, co zamierzaliśmy zrobić, ale na Georgii nie robiło to najmniejszego wrażenia.

— Łatwo się wspiąć na tę siatkę. Robiłam to wiele razy. Zbiornik wieżowy jest lepszy od stawu w kanionie, w którym zazwyczaj pływam, gdy bardzo tego potrzebuję. Tyle że tu nie mogę pływać w dzień, bo zostałabym zatrzymana i wyciągnięto by wobec mnie konsekwencje „w pełnym majestacie prawa” — powiedziała, parodiując tabliczkę z zakazem. — Ale w poprzednie lato przyjeżdżałam tu raz w tygodniu, zawsze mniej więcej o tej porze, i nikt się nigdy nie zorientował. To jak mój prywatny basen.

Na myśl o Georgii przychodzącej do ciemnego zbiornika wieżowego późno w nocy, samotnej, bez niczyjej wiedzy, dostałem gęsiej skórki na ramionach. Potrząsnąłem głową i wyszedłem za nią. Dobrze, że założyłem trampki, skoro mamy się wspinać na ogrodzenie. Wręczyła mi swoją torbę, wdrapała się na bramę i przeskoczyła ją, jakby naprawdę robiła to po raz setny. Zrzuciłem torbę na ramię i bez problemu także przeskoczyłem bramę. Georgia nie czekała na mnie, lecz zaczęła pewnie wdrapywać się po drabinie zbiornika i plotła coś przez cały czas, wypełniając ciemności swoim radosnym szczebiotaniem.

Pchnęła małe drzwi na wąskiej półce otaczającej zbiornik wodny i wsunęła się do środka. Wszedłem za nią, zostawiając drzwi otwarte. Perspektywa bycia zamkniętym w wieży przez całe dni skłoniła mnie do wsadzenia butów w próg i kilkukrotnego sprawdzenia gałki.

— Zamyka się od zewnątrz, głuptasie. Poza tym zamknięcie jest zepsute i dlatego mamy to wszystko dla siebie — oznajmiła.

Wyciągnęła z wiszącej na moim ramieniu torby w paski wielką lampę LED i włączyła ją. Oświetlone wewnątrz zbiornika przypominało jaskinię z ukrytymi basenami.

— A teraz zamknij drzwi, żeby nikt nie zobaczył światła.

Bez słowa wykonałem polecenie.

— Nieźle, co?

Całkiem nieźle, musiałem przyznać. Lampa rzucała cienie na ścianę i Georgia tańczyła przed nią przez chwilę, doprowadzając nas do śmiechu.

— Spadniesz — ostrzegłem ją, gdy zaczęła znany wszystkim fragment choreografii z teledysku do *Thrillera* Michaela Jacksona, w którym wyciąga się ręce przed siebie jak zombie i chodzi na sztywnych nogach.

Półka była za wąska, żeby na niej tańczyć, ale Georgia miała najwyraźniej inne zdanie. Ściągnąłem koszulkę, położyłem ją na naszych ręcznikach i spojrzałem w czarne, gładkie lustro wody, czekając na dalsze instrukcje. Nie miałem zamiaru wskakiwać pierwszy.

Georgia ściągnęła top, a potem szorty, które odrzuciła na bok, zostając praktycznie nago poza oszczędnym jasnoniebieskim bikini. Zapomniałem o wodzie i tym, że przypuszczalnie pływa w niej potwór żywiący się ciemnym mięsem. Georgia by mnie uratowała. Z przyjemnością dam się jej uratować, jeśli będzie w tym kostiumie. Ku mojemu zaskoczeniu jej szczupłe i smukłe ciało miało wypukłości i krągłości we wszystkich miejscach, w których dziewczyna powinna je mieć. Najlepsze jednak było to, że wydawała się w ogóle tym nie przejmować, jakby całkowicie akceptowała swoje ciało i nie musiała się puszyć ani szukać mojej aprobaty.

Wyciągnęła do mnie dłoń, lecz ja odskoczyłem, bo nie chciałem, żeby wciągnęła mnie do wody, zanim będę gotowy.

— Wskoczmy razem. Pierwszy skok jest zawsze najlepszy. To będzie niesamowite, zobaczysz. — Nie chciałem ulec, lecz ona czekała z wyciągniętą dłonią. — No chodź, Mojżeszu. Pozwolę ci prowadzić — powiedziała.

Jej głos odbijał się gładko od metalowych ścian i brzmiał bardziej podniecająco niż głos najseksowniejszej wokalistki śpiewającej w najlepszym klubie w tym kraju. Nagle poczułem, że muszę się ukryć w wodzie, bo za chwilę sam siebie zawstydzę w tych cienkich szortach. Chwyciłem jej dłoń i bez ostrzeżenia wskoczyłem razem z nią w atramentową toń. Pisk Georgii został stłumiony, gdy woda zakryła mi głowę. Puściłem jej dłoń, żeby wydostać się na powierzchnię.

Wypłynęliśmy razem, krztusząc się — ja ze strachu, a Georgia ze śmiechu. Szybko jednak porzuciłem strach i zacząłem się śmiać razem z nią. Zachęcała mnie do zabawy, bryzgając wodą, mówiąc i bawiąc się tańczącymi na ścianie cieniami. Pływaliśmy potem przez długi czas, nie przejmując się ani późną porą, ani tym, że ktoś może nas nakryć, i było nam ze sobą dziwnie swobodnie.

Gdy po jakimś czasie oparłem się ramionami o brzeg i machałem nogami, żeby

chwilę odpocząć, zauważyłem, że odbijające się od wody światło nadaje ścianie przede mną opalizujący poblask. Wyciągnąłem dłoń, żeby go dotknąć, i wodząc palcami po bladym odbiciu, zastanawiałem się, jak namalowałbym taki blask. Georgia podpłynęła z boku, chwyciła się krawędzi i zaczęła obserwować, jak mój palec kreśli niewidzialne linie.

— Gdy malujesz... to od początku wiesz, co namalujesz... czy pozwalasz prowadzić się sercu? — spytała łagodnie.

To było dobre pytanie. I miłe. Jej nastawienie odblokowało we mnie coś, co zazwyczaj trzymam pod kontrolą. Ale i tak starannie dobieierałem słowa, bo nie chciałem powiedzieć jej wszystkiego i zrujnować tej chwili brutalną prawdą, a jednocześnie nie chciałem kłamać i zepsuć wspomnienia tej chwili, gdy już się skończy.

— Widzę bardzo wiele rzeczy... których wolałbym nie widzieć. W mojej głowie pojawiają się obrazy, o których wolałbym nie myśleć. Halucynacje, wizje lub po prostu zbyt bujna wyobraźnia. Najwyraźniej mam nie tylko pęknięty umysł. Niebo też jest pęknięte, a ja czasem potrafię dojrzeć, co jest po drugiej stronie.

Zerknąłem na Georgię, zastanawiając się, czy przeraziłem ją tym ostatnim wyznaniem. Ale ona nie wyglądała na przerażoną. Była raczej zaintrygowana, zafascynowana. Piękna. Zachęcony tym mówiłem dalej.

— Kiedyś strasznie się tego bałem. Gdy przyjeżdżałem do Gi, opowiadała mi historie, żeby mnie uspokoić. Biblijne historie. Opowiedziała mi też o dziecku o imieniu Mojżesz. Znalezionym w koszu, tak jak ja. Stąd mam to imię, wiesz?

Georgia przytaknęła. Wiedziała. Wszyscy wiedzieli.

— Gigi opowiadała mi to wszystko, żeby wypełnić moją głowę lepszymi historiami. Ale zmiana nastąpiła dopiero, kiedy pokazała mi dzieła sztuki. Miała książkę z malarstwem religijnym. Ktoś dał ją w ramach darów na kościół, lecz Gi wzięła ją do domu, żeby nikt w kościele nie poczuł się dotknięty oglądaniem tych wszystkich nagich białych ludzi. I wszelką nagość zamalowała czarnym markerem.

Georgia zaśmiała się, a ja poczułem, że w moim gardle rośnie gula powietrza. Gardłowy i łagodny śmiech Georgii sprawiał, że serce puchło mi w piersi jak balon i wypełniało ją coraz szczelniej, aż w końcu z trudem łapałem oddech.

— A podobały ci się te obrazy? — ponagliła mnie Georgia, gdy przez dłuższą chwilę milczałem jak zakłęty.

— Tak. — Georgia znowu zaczęła się śmiać. — Ale nie nadzy ludzie. — To było niedorzeczne i czułem, że moja twarz zaczyna płonąć. — Podobało mi się piękno. Barwy. Cierpienie.

— Cierpienie? — spytała z zaciekawieniem.

— Cierpienie, które nie miało nic wspólnego ze mną. Które każdy widział, nie tylko ja. I nikt nie oczekiwał ode mnie, że je zniweluję.

Wzrok Georgii musnął moją twarz jak szept, lecz natychmiast umknął przyciągnięty moimi poruszającymi się palcami.

— Widziałaś kiedykolwiek twarze *Piety*? — Chciałem, żeby spojrzała z powrotem na mnie, i uzyskałem to.

— Co to jest *Pieta*? — spytała.

— Rzeźba Michała Anioła. Przystawia Marię trzymającą Jezusa. Jej syna. Zmarłego — przerwałem, zastanawiając się, dlaczego jej o tym mówię. Wątpiłem, żeby ją to interesowało. Ale postanowiłem mimo wszystko kontynuować.

— Jej twarz, twarz Marii... jest taka piękna. Taka spokojna. Reszta rzeźby niezbyt mi się podoba, ale twarz Marii jest niesamowita. Gdy nie potrafię wyrzucić czegoś z głowy, myślę o jej twarzy. Wypełniam też umysł innymi rzeczami. Myślę o barwach i operowaniu światłem przez Maneta, o szczególności Vermeera, który uwzględniał w swoich obrazach najdrobniejsze detale. Pęknięcie w ścianie, plama na kołnierzyku, gwóźdź. W tych drobiazgach, w ich niezwykłej zwyczajności, jest niesłychane piękno. Myślę o tych rzeczach, żeby wyrzucić obrazy, których nie potrafię kontrolować i których nie chcę widzieć, lecz jestem do tego zmuszony... przez cały czas. — Przerwałem, bo prawie dostałem zadyszki. Moje usta były jakieś dziwne, odrętwiałe, jakbym wyczerpał dzienny limit słów i wargi razem z językiem były kompletnie wyczerpane. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tyle mówiłem.

— Niezwykła zwyczajność... — westchnęła Georgia, wyciągnęła dłoń i przeciągnęła po mokrym śladzie mojego palca, jakby też potrafiła malować. Potem spojrzała na mnie z namaszczeniem. — Jestem bardzo zwyczajną dziewczyną, Mojżeszu. Wiem o tym. I zawsze będę. Nie potrafię malować. Nie wiem, kim jest Vermeer czy Manet. Jeśli jednak myślisz, że w zwyczajności może być piękno, to dajesz mi pewną nadzieję. I być może kiedyś pomyślisz o mnie, gdy będziesz potrzebował ucieczki przed cierpieniem w swojej głowie.

Jej brązowe oczy odwróciły się w stronę przyciemnionego światła. Miały tę samą barwę co woda, w której byliśmy zanurzeni, a ja sięgnąłem na ślepo po cokolwiek, żeby w nich nie utonąć. Prawa dłoń Georgii była wciąż przyciśnięta do ściany za mną, więc zacząłem wodzić dookoła jej palców jak dziecko, które obrysowuje kredką swoją rękę. W górę i w dół, aż zatrzymałem się przy kciuku. Ruszyłem dalej, kreśląc delikatną jak piórko linię w górę jej ramienia. Potem wzdłuż obojczyka na drugą stronę i w dół po drugiej ręce. Kiedy dotarłem do palców, wsunąłem moje pomiędzy nie i chwyciłem mocno. Czekałem, aż się nachyli, przyciśnie ustami do moich, poprowadzi, jak to miała w zwyczaju. Ale ona się nie ruszała. Trzymała moją dłoń pod powierzchnią wody i obserwowała

mnie. W końcu uległem. Nerwowo.

Jej usta były mokre i chłodne. Wyobrażałem sobie, że moje też takie są. Ale ciepło w środku przywitało mnie jak gorący uścisk. Zatopiłem się w jej miękkość z westchnieniem, którym czułbym się zażenowany, gdyby nie to, że ona odpowiedziała takim samym westchnieniem.



GEORGIA

OBSERWOWAŁAM Z MOJŻESZEM prowadzoną przez rodziców sesję terapeutyczną z małą grupą uzależnionych z centrum leczenia uzależnień w Richfield, oddalonego o godzinę drogi na południe od Levan. Co dwa tygodnie przyjeżdżał do nas bus, z którego wysypywali się młodzi ludzie w wieku od siedemnastu do dwudziestu kilku lat, a moi rodzice zabierali ich na dwie godziny do zagrody na ćwiczenia z końmi, które miały pomóc tym dzieciakom zrozumieć własne życie.

Pomagałam w sesjach z dziećmi dotkniętymi autyzmem i takimi, dla których jazda konna była formą rehabilitacji fizycznej, ale gdy klienci byli w moim wieku lub starsi, rodzice nie chcieli, żebym angażowała się w terapię, nawet jeśli polegałoby to wyłącznie na zajmowaniu się końmi. Szłam więc do Kathleen, wiedząc, że Mojżesz będzie już po pracy, i nakłaniałam go do pójścia na ogródek z dwiema colami i dwoma kawałkami tarty cytrynowej, którą Kathleen z przyjemnością się z nami dzieliła. Wiedziałam, że mnie lubi, i była niesłychanie pomocna w manewrowaniu Mojżeszem, gdy ten udawał, że nie życzy sobie mojego towarzystwa i nie chce tarty, chociaż oboje dobrze wiedzieliśmy, że ma ochotę na jedno i drugie.

Leżąc na trawniku za domem Kathleen, nie słyszeliśmy, co mówią, lecz mieliśmy całkiem dobry widok. Wiedziałam, że jesteśmy wystarczająco daleko, żeby rodzice nie zwracali na nas uwagi, chociaż dobrze widzieliśmy przebieg zajęć. Byłam jak zwykle ciekawska i próbowałam odgadnąć, które dzieciaki wróciły, a które ukończyły dziewięćdziesięciodniowy program lub zostały zwolnione. Tworzyłam w myślach katalog tych, które wyglądały marnie, i tych, które robiły postępy.

— Jak ty je nazywasz? Te różne kolory? Czy one nie nazywają się czasem inaczej? — zapytał niespodziewanie Mojżesz, wpatrując się w krążące po wybiegu konie. Miał w dłoniach pędzel, jakby wziął go z nawyku. Obracał go między palcami niczym perkusista kapeli rockowej pałeczki.

— Istnieje tak wiele barw i odmian. To niby tylko konie, ale każda kombinacja ma inną nazwę. Widzisz tego czerwonego? — Wskazałam na rudawego konia w rogu. — Nazywa się Merle. Jego maść to sorrel. Sackett to palomino. Dolly to gniadosz, a Lucky jest kary.

— Kary?

— Tak, czyli idealnie czarny — odpowiedziałam zwyczajnie.

— Cóż, przynajmniej ten jeden jest łatwy — zaśmiał się Mojżesz.

— Uhm. Sierść może być szara, czarna, brązowa, biała. Reba jest maści tarantowatej, czyli szarawej z plamami na zadzie. Ale w trakcie terapii raczej nie mówi się o kolorach. Nie zdradzamy też imion koni. Nie mówimy nawet pacjentom, czy mają do czynienia z ogierem czy klaczą.

— Dlaczego? Ze względu na poprawność polityczną? — zażartował Mojżesz i zaśmiał się znowu.

Szturchnęłam go. Podobało mi się, że był zainteresowany, wręcz rozluźniony. Gdyby tylko udało mi się go zaciągnąć do zagrody.

— Bo chodzi o to, żeby pacjent utożsamił się z koniem. Sam powinien jakoś go nazwać. Jeśli koń przejawia określone zachowanie, z którym pacjent powinien się utożsamić, to lepiej, żeby nie miał on z góry wyrobionych wyobrażeń o tym, kim lub czym jest to zwierzę. Koń musi spełniać taką rolę, jaką widzi w nim pacjent. — Brzmiałam jak moja matka. W myślach pochwalałam się za to, że umiałam wyjaśnić coś, o czym słuchałam przez całe dzieciństwo, lecz czego jeszcze nigdy nie musiałam wyrażać własnymi słowami.

— To przecież nie ma żadnego sensu.

— No dobrze. Załóżmy na przykład, że masz problemy z matką.

Mojżesz rzucił mi spojrzenie mówiące: „Nawet nie próbuj iść w tę stronę!”, więc oczywiście zaczęłam drążyć.

— Załóżmy, że bierzesz udział w sesji terapeutycznej, na której omawiacie twoje uczucia wobec matki. I koń zaczyna przejawiać pewne zachowania, dzięki którym niespodziewanie zaczynasz lepiej rozumieć samego siebie... lub matkę. Gdybyśmy z góry nazwali twojego konia Gordie i powiedzieli, że jest ogierem, mógłbyś mieć trudności z zobaczeniem w nim swojej matki. W sesji terapeutycznej używa się wyłącznie określeń nadanych przez pacjenta.

— Więc nie chciałabyś, żebym powiedział, że koń maści palomino, ten z białą sierścią i jasnobrązowym grzbietem, wygląda jak ty i zawsze sprawia jakieś kłopoty?

— Sackett? — byłam wściekła bardziej w imieniu Sacketta niż we własnym. — Sackett nie jest denerwujący! A poza tym, to *on*, co dowodzi słuszności tego, co mówiłam o narzucaniu wyobrażeń. Gdybyś wiedział, że to *on*, a nie *ona*, to nie

mógłbyś nazwać go Georgią i mówić o nim niemiłych rzeczy. Sackett jest mądry! Zawsze w pełni się angażuje, gdy ma do czynienia z naprawdę głębokimi problemami. — Słyszałam urazę w swoim głosie i przez pewien czas patrzyłam na Mojżesza groźnie. A potem przypuściłam własny atak: — A Lucky jest taki jak ty! — stwierdziłam.

Mojżesz patrzył na mnie beznamiętnie, chociaż wiedziałam, że dobrze się bawi.

— Bo jest czarny?

— Nie, głupku. Bo mnie kocha i każdego dnia próbuje udawać, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego — wypaliłam.

Mojżesz się zakrztusił, a ja przywaliłam mu mocno w brzuch. Jęknął i chwycił mnie za dłonie.

— Czyli chcecie, żeby klienci nie zwracali uwagi na barwę konia. To wbrew ludzkiej naturze, wiesz? — Mojżesz przycisnął mi dłonie nad głową i patrzył w dół na moją zaczerwienioną twarz. Gdy zobaczył, że nie mam zamiaru więcej go bić, puścił mnie, odwrócił się w stronę koni i kontynuował: — Wszyscy mówią o tym, żeby nie zwracać uwagi na kolory. Rozumiem to, naprawdę. Ale może zamiast ignorować kolory powinniśmy je celebrować we wszelkich odmianach. Męczy mnie to, że wymaga się od nas ignorowania naszych różnic i udawania, że ich nie widzimy, podczas gdy dostrzeganie ich wcale nie musi być czymś negatywnym.

Gapiałam się bez słowa. Nie chciałam patrzeć nigdzie indziej, tylko na niego. Był taki piękny, a ja uwielbiałam, gdy do mnie mówił i gdy niespodziewanie wygłaszał takie filozoficzne kwestie. Uwielbiałam to tak bardzo, że nie chciałam dodawać nic od siebie. Czekałam po prostu, aż powie coś więcej. Po kilku długich minutach milczenia spojrzał na mnie i zorientował się, że na niego patrzę.

— Lubię twoją skórę. Lubię kolor twoich oczu. I mam to ot tak zignorować? — szepnął, a moje serce przegalopowało wokół okrągłej zagrody, przeskoczyło przez ogrodzenie i wróciło do mnie w oszalałym zachwycie.

— Lubisz moją skórę? — wyszeptałam osłupiała.

— Tak, lubię — przyznał i odwrócił się z powrotem w stronę koni.

To była chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedział, leżałam więc i rozkoszowałam się tym w milczeniu.

— Gdybyś miał mnie namalować, jakich kolorów byś użył? — Musiałam to wiedzieć.

— Brązowego, białego, złotego, pomarańczowego, brzoskwiniowego — westchnął. — Musiałbym poeksperymentować.

— Namalujesz mnie? — To było coś, czego desperacko pragnęłam.

— Nie — westchnął ponownie.

— Dlaczego? — starałam się nie zabrzmieć, jakby mnie to zabolalo.

— Łatwiej mi namalować to, co mam w głowie, niż to, co mam przed oczami.

— To... namaluj mnie z pamięci. — Usiadłam i zakryłam mu oczy. — Proszę. Zamknij oczy. I wyobraź sobie mnie. O tak. Widzisz mnie? Jestem koniem maści palomino, który fika ci bez przerwy przed oczami.

Wykrzywił usta. Wiedziałam, że powstrzymuje śmiech, ale nie odrywałam rąk od jego oczu.

— Nie otwieraj oczu. Masz w ręce pędzel. Oto twoje płótno. — Podniosłam jego dłoń z pędzlem do mojej twarzy. — Maluj.

Opuścił dłoń z powrotem na kolano w zamyśleniu. Zabrałam rękę z jego oczu, lecz on ich nie otworzył. W końcu podniósł dłoń i delikatnie musnął mnie po twarzy suchym pędzlem.

— Co to było?

— Moje czoło.

— Która część?

— Lewa strona.

— A to?

— Mój policzek.

— A tu?

— Mój podbródek.

Łaskotało mnie to, ale wytrzymałam bez ruchu. Mojżesz przejechał po wierzchu podbródka, a potem otoczył go i ruszył prosto w dół. Przełknęłam ślinę, kiedy pędzel zsunął się po moim gardle w dół klatki piersiowej do dekoltu bluzki. Dekolt układał się w zgrabne V na piersiach. Mojżesz zatrzymał się z pędzlem dokładnie na wysokości mojego serca. Nie otworzył oczu.

— Gdybym miał cię namalować, użyłbym wszystkich barw — powiedział nagle, niemal smutno, jakby wiedział, że nie potrafi mnie namalować... chociaż tego chce. — Miałybyś szkarłatne usta, brzoskwiniową skórę i hebanowe oczy z purpurowymi cieniami. W twoich włosach mieszałyby się złote, białe i niebieskie pasma, skóra miałaby odcień karmelowy i kremowy, z domieszką różu i z cynamonowymi cieniami.

Gdy mówił, poruszał pędzlem to tu, to tam, jakby naprawdę malował mnie w swojej głowie. Potem zatrzymał się i otworzył oczy. Mój oddech utknął gdzieś między sercem a głową i z całych sił skupiłam się na uwolnieniu go bez zdradzania swoich emocji. Ale on wiedział. Wiedział, jak na mnie działa.

Odrzucił pędzel i wstał, przerywając urok rzucony delikatnymi muśnięciami pędzla i łagodnymi słowami. Ruszył w stronę domu, zostawiając mnie na trawie. Przysięgam, że słyszałam, jak mruczy do siebie: „Nie mogę cię namalować, Georgio... jesteś żywa”.

VI

MOJŻESZ

GEORGIA NIE CHCIAŁA SIĘ ODCZEPIĆ. Robiłem, co mogłem, żeby sobie poszła. Nie chciałem, żeby się do mnie przywiązywała, i sam też nie chciałem się przywiązywać. Wychodziłem od razu, jak mogłem, i nie uwzględniałem jej w swoich planach. Przez większość czasu traktowałem ją jak śmiecia. A ona po prostu się z tego otrząsała i się odgryzała. Nie udało mi się jej zszokować i nie wyglądało, jakby miała zamiar odejść. Problem polegał na tym, że lubiłem się z nią całować. Przyjemnie było czuć jej włosy w dłoniach i jej ciało, gdy mnie oblegała i wdzierła się w moją przestrzeń, żądając uwagi i zdobywając ją za każdym razem.

A do tego mnie rozśmieszała. Nie byłem zbyt radosnym typem. Częściej kłamię, niż się uśmiechałem. Życie po prostu niezbyt mnie śmieszyło. Ale Georgia była niesłychanie zabawna. A wspólny śmiech i pocałunki nie ułatwiają przekonania kogoś, żeby sobie poszedł. Zresztą ona i tak nie miała zamiaru tego zrobić.

Myślałem, że straci trochę rezonu po tej nocy na rodeo, gdy została związana i zastraszona. Terrence Anderson, który nie miał dla Georgii niczego poza wyzwiskami, zdecydowanie stracił rezon, kiedy kilka dni później przyparłem go do muru i dałem wyraźnie do zrozumienia, że chłopcy, którzy lubią bawić się linami, mogą zostać pokrojeni przez mężczyzn lubiących noże. Prawda była taka, że potrafiłem się obchodzić z nożem. Bez trudu trafiałem w środek tarczy z dwudziestu kroków i dopilnowałem, żeby Terrence o tym wiedział. Pokazałem mu fajny duży nóż, który zabrałem z szuflady kuchennej Gigi, i zrobiłem mu małe nacięcie na policzku. Chciałem, żeby był naznaczony w tym samym miejscu, z którego krwawiła Georgia.

Twierdził, że to nie jego sprawka. Ale jego oczy błędziły na boki, jakby nie miał czystego sumienia. Nawet jeśli tego nie zrobił, był dupkiem, więc nie miałem wyrzutów, że go naciąłem. Czułem się źle tylko i wyłącznie z tym, że w ogóle miałem potrzebę nastraszenia go. Problemy Georgii nie były moimi problemami. To Georgia była moim problemem. Na przykład teraz, gdy uparła się, że pomoże mi naprawiać ogrodzenie. Rozśmieszała mnie swoim gadaniem, a ja irytowałem się tym, że daję się rozśmieszyć.

— Nie potrafię niczego skończyć, gdy jesteś w pobliżu. Za chwilę będzie padać i tego nie zrobię. Ta część płotu była wyjątkowo beznadziejna, a ty wcale mi nie pomagasz.

— Jęczysz jak baba — westchnęła Georgia. — Dobrze wiesz, że w reperowaniu płotów jestem najlepsza.

Zaśmiałem się. Znowu.

— Jesteś do niczego w reperowaniu płotów! I nie wzięłaś rękawic, więc musiałem ci dać swoje i teraz od tych wszystkich drzazg moje dłonie wyglądają jak jeżozwierze. Wcale mi nie pomagasz.

— Dość tego, Mojżeszu. Dawaj mi pięć plusów — powiedziała niczym sierżant w trakcie musztry domagający się kolejnych pompek.

— Pięć plusów?

— Pięć rzeczy, które sprawiają, że dzisiejszy dzień jest super. Że życie jest super. Dawaj.

Milczałem, patrząc na nią posepnie.

— No dobrze, ja zacznę. To proste. Bez zastanowienia, pięć rzeczy, za które jestem wdzięczna. Bekon, nawilżane chusteczki, Tim McGraw, tusz do rzęs i rozmaryn — stwierdziła.

— Dość nietypowe zestawienie — odparłem.

— Co mi mówiłeś o szukaniu piękna w drobnych rzeczach? Jak się ten malarz nazywał? Vermeer?

— Vermeer był artystą, a nie zwykłym malarzem — sprzeciwiłem się, patrząc na nią krzywo.

— Artystą, który malował gwoździe, plamy i dziury w ścianie, prawda?

Byłem pod wrażeniem, że pamiętała.

— Pięć plusów to właśnie tego typu gra. W szukanie piękna w zwykłych rzeczach. Jediną regułą jest wdzięczność. Moja mama i mój tato cały czas to wykorzystują. W moim domu narzekanie nie jest mile widziane. Przybrane dzieci szybko się tego uczą. Za każdym razem, gdy zaczynasz się nad sobą użalać lub pomstować na życie, musisz natychmiast wymienić pięć plusów.

— Mogę wymieć pięć irytusów. Pięć rzeczy, które mnie irytują. — Uśmiechnąłem się sarkastycznie, zadowolony ze swojej riposty. — To, że masz moje rękawice, jest na pierwszym miejscu. Potem byłaby ta twoja denerwująca lista i to, że nazwałaś Vermeera malarzem.

— Sam dałeś mi te rękawice! Owszem, to irytujące, ale jest w tym coś jeszcze. Zmusiło cię do skupienia się na czymś innym, nawet jeśli tylko na moment. I przestałeś jęczeć. Miałam przybraną siostrę, która za każdym razem wymieniała te same pięć rzeczy. Papier toaletowy, SpaghettiOs, sznurówki, żarówki i odgłos chrapania jej matki. Gdy do nas trafiła, miała ze sobą tylko japonki i nic więcej. Pierwsze buty, jakie jej kupiliśmy, miały fluorescencyjne zielone sznurówki i były ozdobione różowymi serduszkami. Chodziła potem ze wzrokiem wbitym w sznurówki.

— Odegłos chrapania jej matki?

— Bo wtedy wiedziała, że matka żyje.

Poczułem, że robi mi się od tego niedobrze. Dzieciaki na całym świecie musiały znosić tak wiele z rąk ludzi, którzy powinni wiedzieć, jak im pomóc. A potem te dzieciaki stawały się dorosłymi i powtarzały cały cykl od nowa. Sam przypuszczalnie zrobiłbym to samo, gdybym kiedykolwiek miał dzieci. Kolejny powód, żeby ich nie mieć. Georgia mówiła dalej, gdy ja myślałem o tym, że ludzie są naprawdę do niczego.

— Mama pozwalała wyrazić dzieciom pięć rzeczy, które je kłopotują i które powinny z siebie wyrzucić. Kazała im wyliczać je na palcach. — Georgia wzięła moją dłoń i dotykała kolejnych palców, żeby mi to zademonstrować. — Na przykład jestem zmęczona. Tęsknię za mamą. Nie chcę tu być. Nie chcę iść do szkoły. Boję się. Cokolwiek. Potem miały zacisnąć pięść z palcami, którym właśnie przypisały swoje problemy. A następnie wyrzucały je daleko od siebie. — Georgia pokazała mi ten ruch na mojej dłoni, składając ją w pięść, żebym mógł wyrzucić niewidzialną kulkę ze skargami. — A potem kazała im wymienić pięć plusów. To pomagało im się skupić i przypominało im, że nawet jeśli życie daje im w kość, nie jest tak zupełnie beznadziejne. — Spojrzała na mnie, trzymając moją dłoń, i czekała. Odwróciłem wzrok.

— Tak więc dawaj, Mojżeszu. Pięć plusów. Zaczynaj.

— Nie potrafię — odparłem bez namysłu.

— Jasne, że potrafisz. Mogłabym to zrobić za ciebie, ale wtedy nie będzie aż tak skuteczne. Wdzięczność działa najlepiej, gdy odczuwa się ją osobiście.

— No dobrze. W takim razie zrób to. Wymień pięć plusów za mnie — odparłem i zabrałem dłoń. — Myślisz, że mnie znasz? — spytałem łagodnie, ale czułem ciarki pod skórą od irytacji, której nie potrafiłem tak do końca stłumić. Georgia myślała, że wszystko rozgryzła, ale doświadczyła za mało bólu, żeby wiedzieć cokolwiek o życiu.

Uparcie chwyciła moją dłoń, podniosła ją i wypowiadając kolejne elementy listy, delikatnie pocałowała kolejne palce.

— Oczy Georgii. Włosy Georgii. Uśmiech Georgii. Osobowość Georgii. Pocałunki Georgii. — Zamrugnęła powiekami. — Widzisz? To z całą pewnością jest pięć plusów dla Mojżesza.

Nie dało się z tym dyskutować. Wszystkie te elementy były faktycznie dość fajne.

— Jesteś nieźle zapatrzona w siebie, co? — spytałem, potrząsając głową i szczerząc się wbrew sobie.

Czułem łaskotanie na końcach palców, których przed chwilą dotknęła ustami.

Chciałem, żeby to powtórzyła. A ona w jakiś sposób to wyczuła i podniosła moją dłoń z powrotem do ust.

— A to moje. — Pocałowała najmniejszy palec. — Oczy Mojżesza. — Potem palec serdeczny. — Uśmiech Mojżesza. — Kolejny pocałunek w palec środkowy. — Śmiech Mojżesza. — Jej usta były takie miękkie. — Twórczość Mojżesza. — Dotarła do kciuka i musnęła ustami jego poduszkę. — Pocałunki Mojżesza. — Oderwała usta od palców i przycisnęła je do wnętrza dłoni. — To dzisiejsze pięć plusów Georgii. Takie same miałam wczoraj i takie same będę miała jutro i pojutrze, aż znudzą mi się twoje pocałunki. Wtedy będę musiała wymyślić coś innego.



GEORGIA

WSZYSCY SIĘ GAPILIŚMY. Chociaż to był dopiero drugi tydzień szkoły, a Mojżesz był nowym uczniem, wszyscy go znali. Albo o nim słyszeli. Nie był biały, przez co wyróżniał się w małej szkole, w której większość dzieci była biała. Poza tym był śliczny. Ale nie dlatego się gapiliśmy. Mojżesz rysował na tablicy w mojej klasie z angielskiego, chociaż nie był do niej zapisany. Wróciliśmy z przerwy obiadowej i zastaliśmy go przed dwiema dużymi tablicami wypełnionymi rysunkiem, który wykraczał poza wszystko, co ktokolwiek z nas dotychczas widział. Poza mną, bo ja wiedziałam, do czego Mojżesz jest zdolny.

Mojżesz zastygł nagle, jakby był rozdarty między dokończeniem swojego dzieła a ucieczką z klasy. Przyszła jednak pani Murray, odcinając mu możliwość ucieczki. Miał czarną plamę na brązowym policzku i przybrudzone wierzchy dłoni, których przypuszczalnie używał do cieniowania erotycznego rysunku na tablicy. Przestępował nerwowo z nogi na nogę i miał szeroko otwarte, niespokojne oczy. Ich złotawy kolor nadawał mu wygląd przypartego do muru zwierzęcia. I trzeba przyznać, że był przyparty do muru. Pani Murray stała w drzwiach ze wzrokiem wbitym w tablicę. Ale gdy spojrzałam na nią, żeby zobaczyć, czy zacznie na niego krzyczeć lub, co gorsza, grozić mu wyrzuceniem ze szkoły, przyciskała dłonie do ust, a po jej policzkach płynęły łzy. To była bardzo dziwna reakcja.

Pani Murray była raczej poważna i surowa. Nie miała w zwyczaju płakać. Była dobrą nauczycielką, która nie krzyczała i nie denerwowała się, gdy uczniowie coś zawalili lub okazywali jej brak szacunku, za co szczerze ją podziwiałam. Szkoła średnia jest wystarczająco szalona sama w sobie, nawet bez dramatyzowania ze strony nauczycieli. Kiedy pani Murray była niezadowolona,

zazwyczaj patrzyła na uczniów surowo i zadawała mnóstwo do domu. Nie płakała.

To nie był dobry objaw. Mojżesz chyba też się tego domyślił, bo odłożył marker i zrobił krok w tył, rozglądając się na boki, jakby planował ucieczkę.

— Co to jest tak w ogóle? — odezwał się Charlie Morgan, który nigdy nie umiał stać bez ruchu i trzymać języka za zębami. Zwykle nie podobała mi się jego niezamykająca się buzia, ale teraz nie miałam nic przeciwko. Teraz się z tego cieszyłam, bo też chciałam wiedzieć. Charlie wskazał tablicę. — Czy to wodospad?

Gdy Mojżesz nie odpowiedział, Charlie dodał:

— A za wodospadem są ludzie, prawda? — parsknął śmiechem. — Oni się liżą! I wyglądają, jakby byli bez ubrań.

Kilku kolegów z klasy odpowiedziało śmiechem, ale nikt nie odrywał wzroku od tablicy. Nasze oczy były oczarowane wodą spływającą z klifu otaczającego tych dwoje ludzi, którzy byli niemal ukryci pod srebrzystą taflą. Gdy mrużyłam oczy, rozmywając czarne linie i mało romantyczną białą tablicę, potrafiłam sobie wyobrazić, że to rzeczywistość. Że ci ludzie za wodą żyją i oddychają, i że naprawdę się całują, a my z za wodnej ściany podglądamy ich intymne spotkanie. Byli z całą pewnością nadzy. Poczułam, że policzki zaczynają mi płonąć, i oderwałam wzrok. Od patrzenia na to dzieło moja skóra robiła się zbyt ciasna, a w ciele odzywał się głód, który stawał się czymś typowym, gdy w grę wchodził Mojżesz. Przypomniała mi się noc w zbiorniku wieżowym, nasze pocałunki i ciepło, które czułam w brzuchu jeszcze długo po naszym rozstaniu.

— Ty to namalowałaś? — odezwał się ktoś za mną. Chyba Kirsten, ale nie odwróciłam się, żeby się upewnić. — To jest piękne. Jesteś niesamowitym artystą.

— Uczniowie! — Pani Murray odzyskała głos, chociaż drżał i falował, jakby wciąż płakała. — Proszę udać się do świetlicy. Zabierzcie swoje rzeczy. Wykorzystajcie ten czas na pracę nad esejem na piątek. Mojżeszu, ty zostań.

Praca nad esejem nie brzmiała nawet w połowie tak interesująco jak widok pani Murray płaczącej przed tablicą z nagą parą namalowaną przez Mojżesza — mojego Mojżesza — który był najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Ale czas wolny był znacznie lepszy niż lekcja z nauczycielem, a my nie mieliśmy zasadniczo wyboru, więc wszyscy niechętnie wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę drzwi. Wychodziłam ostatnia i złapałam spojrzenie Mojżesza, gdy puszczałam drzwi, żeby się zamknęły. Patrzył na mnie, jakby chciał mnie zawołać, jakby chciał wyjaśnić. Ale drzwi się zatrzasnęły, a ja zostałam po drugiej stronie. Wydaje mi się jednak, że słyszałam, jak pani Murray zadaje Mojżeszowi najdziwniejsze możliwe pytanie.

— Skąd wiedziałaś? Skąd wiedziałaś o Rayu?



GEORGIA

MOJŻESZ ZOSTAŁ ZAWIESZONY. Najwyraźniej pani Murray nie spodobało się, że rysuje na jej tablicy całujących się pod wodospadem nagich ludzi. Trochę mnie to zdziwiło. Nic nie wskazywało na to, żeby Mojżesz zrobił to złośliwie. Domyślałam się jednak, że było to trochę zbyt erotyczne jak na klasę szkolną. Wciąż czułam fale gorąca i zastanawiałam się, co myślał sobie Mojżesz. Co go skłoniło do tak głupiego czynu? Chciał zwrócić na siebie uwagę? Rok szkolny dopiero się zaczynał i maj był jeszcze dość daleko, ale z tego, co udało mi się wydobyć od opornego Mojżesza, nie mógł sobie pozwolić na nieobecność. Był w ostatniej klasie, ale musiał wziąć się do roboty, jeśli chciał zdobyć wystarczającą liczbę punktów do ukończenia szkoły, i zawieszenie na pewno nie działało na jego korzyść.

Myślałam, że jego babcia pociągnie za parę sznurków i załagodzi sprawę, żeby mógł jak najszybciej wrócić, ale przez następne dwa miesiące takich sytuacji było kilka i wyglądało na to, że Mojżesz nie potrafi trzymać się z dala od kłopotów. Pomalował kolejną stodołę w miasteczku na czarno i srebrno ze złotymi smugami, które wyglądały, jakby cała północna strona została wciągnięta przez czarną dziurę wywołaną przez paskudną burzę. Dopiero później dowiedziałam się, że trzydzieści lat temu w tę stodołę uderzył piorun, przez co doszczętnie spłonęła, zabijając uwięzionego w środku mężczyznę. Mężczyzna próbował uwolnić konie i został otoczony przez płomienie. Dzieło Mojżesza nie było już aż tak piękne, gdy poznałam kryjącą się za nim historię.

Stodołę później odbudowano, a żona zmarłego, Charlotte Butters, wyszła powtórnie za mąż. Nie była jednak zbyt zachwycona talentem Mojżesza i dopilnowała, by każdy w miasteczku wiedział, jak okrutnie z niej zażartowano, chociaż byłam przekonana, że to musiał być zbieg okoliczności. Szkoda było zamalowywać coś tak zdumiewającego, lecz Charlotte Butters się wściekała, więc żeby ją ugłaskać, babcia Mojżesza obiecała, że Mojżesz to zamaluje i w ramach zadośćuczynienia pomaluje też resztę stodoły. Żadnych wibrujących barw ani Kaplicy Sykstyńskiej, lecz zwykła stodołowa czerwień, co oznaczało długie godziny na drabinie. Oczywiście dotrzymałam mu towarzystwa, choć próbował mnie przekonać, że powinnam odejść. Jak zwykle.

Był październik, ale chociaż czuć było ostre powietrze i słońce padało na ziemię pod innym kątem, doświadczyliśmy nietypowo jak na tę porę roku ciepłych dni.

Na tyle, że malowanie stodoły po szkole nie wydawało się tak kompletnie nieatrakcyjne, szczególnie jeśli oznaczało możliwość spotkania z Mojżeszem... niezależnie od tego, czy chciał się ze mną spotkać. Mieliśmy najdziwniejszą relację świata. W jednej chwili kazał mi spadać, lecz za moment całował mnie tak, jakby nigdy nie chciał wypuścić.

Stwierdzenie, że byłam skołowana, było poważnym niedopowiedzeniem. Gdy pojawiłam się w dzinsach i tank topie, które przetrwały tysiąc prań, żeby zaoferować mu pomoc, spojrzał na mnie i zaczął wymieniać całą listę rzeczy dozwolonych i niedozwolonych, która była dość skrajna, zważywszy, że mieliśmy tylko pomalować stodołę. Po wysłuchaniu tej wyczerpującej listy instrukcji i zadań westchnęłam głośno i wzięłam swój pędzel. Mojżesz obserwował mnie krytycznie przez kilka minut, po czym zabrał mi pędzel i zaczął poprawiać to, co już skończyłam.

Zaprotestowałam, lecz mi przerwał:

— Moje miejsce pracy, moje reguły.

— Niech będą twoje reguły. Twoje prawa?

— Tak. Prawa Mojżesza — uśmiechnął się.

— Myślałam, że prawa Mojżesza to dziesięć przykazań.

— Nie wiem, czy mam ich aż tyle.

— Cóż, to jest stan Georgia, a w Georgii obowiązują inne prawa. Więc gdy jesteś w Georgii...

— Gdy jestem w Georgii? — spytał tak łagodnie, że prawie mi to umknęło.

Zaczerwieniłam się, uświadamiając sobie seksualne znaczenie tego, co powiedziałam. Ale jako że nigdy się nie wycofywałam, wyrzuciłam z siebie:

— Ha. Marzenia.

Próbowałam zabrać się znowu za malowanie, ale Mojżesz odepchnął mnie od puszki z farbą.

— Kręcisz się tu tylko dlatego, że uwielbiasz łamać reguły. A nie wiem, czy czasem twoi rodzice nie mają jakichś reguł dotyczących naszej relacji. To, że jesteś ze mną, doprowadza ich do szaleństwa. Szczególnie twoją mamę. Ona się mnie boi.

Cóż, miał rację. I nie był głupi, bo z całą pewnością częściowo dlatego mnie do niego ciągnęło. Ale gdy się zatracił i malował jak opętany, tworząc niewiarygodne rzeczy, które wychodziły z jakiegoś miejsca za jego bursztynowozielonymi oczami, musiałam być jak najbliżej. I chciałam, żeby namalował mnie. Chciałam stanąć przed nim, pozwolić pokryć się barwami i stać się jednym z jego dzieł. Chciałam być częścią jego świata. Chciałam się wtopić.

To był paradoks, ale jeśli dopasowanie się oznaczało, że zostanę wciągnięta w jego myśli, do jego głowy, to po raz pierwszy w życiu chciałam się dopasować. Może chodziło o to, że miałam siedemnaście lat, może to była pierwsza miłość lub pierwsze pożądanie. Może po prostu było gorąco. Ale pragnęłam go tak rozpaczliwie, że trawiło mnie to od środka. Nigdy wcześniej niczego tak nie pragnęłam. I nie potrafiłam sobie wyobrazić, żebym jeszcze kiedyś miała czegoś tak bardzo pragnąć.

— Dlaczego mnie lubisz, Mojżeszu? — rzuciłam wkurzona, opierając dłonie na biodrach. Miałam dość zabawy w przyciąganie i odpychanie i tego, że nigdy nie wiedziałam, czego on naprawdę chce.

— A kto powiedział, że cię lubię? — odparł cicho. Ale spojrzał na mnie. Jego oczy dawały mi nadzieję, gdy jego słowa mnie raniły. Bo w oczach widziałam, że mnie lubi.

— Czy to jedno z twoich praw? Nie będziesz lubić Georgii?

— Nie. Ono brzmi: nie będziesz ryzykować, że cię powieszą.

Niedobrze mi się zrobiło od jego słów.

— Powieszą? W sensie linczu? To jest chore, Mojżeszu. Może i wyglądamy na wieśniaków. Może i mówię „se” zamiast „sobie” i „przywiezę” zamiast „przywiozę”. Może i jest to małe miasteczko z jego małomiasteczkowym stylem życia, ale to, że jesteś czarny czy jakiegokolwiek innego koloru, nie ma dla nikogo znaczenia. To nie lata sześćdziesiąte, ani tym bardziej nie Głębokie Południe.

— Ale to Georgia — odparł łagodnie, wykorzystując dwuznaczność mojego imienia tak jak ja wcześniej. — A ty jesteś słodką brzoskwinką z Georgii z mechata różową skórką, lecz ja nie mam zamiaru jej ugryźć.

Wzruszyłam ramionami. Tyle że on gryzł... i na tym polegał problem. Jego słowa sprawiały, że miałam ochotę nachylić się i wpić się zębami w jego umięśnione lewe ramię, żeby mu oddać. Chciałam ugryźć go tak mocno, żeby wyrazić całą swoją frustrację, lecz jednocześnie na tyle łagodnie, żeby chciał jeszcze.

— I co jeszcze? Jakie są twoje pozostałe prawa?

— Będziesz malować.

— No dobrze. Wygląda na to, że tego akurat przestrzegasz. Co dalej?

— Będziesz się trzymać z dala od blondynek.

Zawsze musiał mi jakoś dopiec. I zaleźć mi za skórę.

— Nie tylko od Georgii, lecz wszystkich blondynek? Dlaczego?

— Nie lubię blondynek. Moja matka była blondynką.

— A twój ojciec był czarny?

— No raczej. Większość blondynek sama z siebie nie rodzi czarnych dzieci.

Przewróciłam oczami.

— I ty myślisz, że to my jesteśmy uprzedzeni.

— O, ja zdecydowanie jestem uprzedzony. Ale mam swoje powody. Nigdy nie spotkałem blondynki, którą bym lubił.

— No dobrze. Zrobię się na czerwono.

Usta Mojżesza rozciągnęły się w tak szerokim uśmiechu, że miałam wrażenie, iż jego twarz pęknie na dwie części. Zaskoczyło mnie to i jego najwyraźniej też, bo nachylił się, oparł rękami o kolana i śmiał się jak nigdy dotąd. Odebrałam mu swój pędzel i zrobiłam na warkocz długi czerwony pasek. Mojżesz zaczął rzeźić, śmiejąc się jeszcze bardziej, ale potrząsał głową przecząco. Wyciągnął dłoń, żądając pędzla.

— Nie rób tego, Georgio — wykrztusił, śmiejąc się tak intensywnie, że w kącikach oczu pojawiły się łzy.

Ale ja nie przestawałam malować, więc rzucił się na mnie, próbując odebrać mi pędzel. Odwróciłam się do niego plecami, tworząc barierę między nim a trzymanym w dłoni pędzlem. Wyciągałam go przed siebie najdalej jak mogłam, ale Mojżesz był wyższy i dłuższy. Bez trudu objął mnie i wyszarpał mi pędzel z palców. Miałam farbę na palcach, więc odwróciłam się i przejechałam mu dłonią po twarzy. Wyglądał jak wojownik Apaczów. Jęknął i natychmiast powtórzył mój ruch, przeciągając mi pędzlem po policzku. Nachyliłam się do puszki z farbą i zanurzyłam palce w jedwabistym czerwonym płynie. A potem odwróciłam się do niego z uśmiechem.

— Staram się tylko przestrzegać praw, Mojżeszu. Jak to było? Będiesz malować? — błysnęłam złowieszczym uśmiechem, a Mojżesz chwycił mnie za nadgarstek. Machnęłam palcami, wyrzucając w powietrze czerwone krople, które upstrzyły jego koszulkę małymi kropkami.

— Georgia, lepiej uciekaj — wciąż się uśmiechał, ale miał w oku błysk, od którego robiło mi się miękko w kolanach. Odwzajemniłam jego uśmiech.

— A dlaczego miałabym to zrobić, Mojżeszu? Skoro chcę, żebyś mnie złapał?

Jego uśmiech przygasł, lecz spojrzenie jeszcze bardziej się ociepliło. A potem, nie puszczając mojego nadgarstka, drugą dłonią chwycił za mój śliski od farby warkocz i przyciągnął mnie do siebie.

I tym razem pozwolił mi prowadzić.

Jego usta były delikatne i pozwalały mi dyktować tempo. Wpiłam się w nie i pociągnęłam go za koszulkę, marząc o tym, by nie było żadnych praw. Żadnych

reguł. Żeby mogła zrobić to, czego pragnęłam. Żeby mogła położyć się w zacienionym wnętrzu stodoły i pociągnąć go na siebie. Żeby mogła zrobić to wszystko, co podpowiadało mi moje ciało. Żeby mogła pomalować jego ciało na czerwono, a on swoim ciałem pomalowałby moje, aż zatarłyby się wszelkie różnice. Żadnej bieli czy czerni, żadnego teraz i potem, żadnych wykroczeń i konsekwencji. Tylko żywa czerwień, jak moja jasnoczerwona tęsknota.

Ale istniały prawa. I reguły. Prawa natury i prawa życia. Prawa miłości i śmierci. A ich złamanie wiązało się z konsekwencjami. Ja i Mojżesz, podobnie jak wszyscy pisani sobie kochankowie, którzy odeszli przed nami, i ci, którzy pojawią się po nas, podlegaliśmy tym prawom, niezależnie od tego, czy ich przestrzegaliśmy, czy nie.

VII

MOJŻESZ

NAWET ZAPACH BYŁ ODURZAJĄCY. Wywoływał zawroty głowy i intensyfikował pulsowanie w czaszce i ciężar w piersi. Pociągnięcia czerwieni i żółci, kłęby srebra, pasma czerni. Moje ramiona fruwały ze sprejami, wznosiły się i opadały. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, czy faktycznie malowałem to, co widziałem w głowie. Ale nie miało to znaczenia. Nie dla mnie. Miało znaczenie dla dziewczyny. Ona chciała, żeby ktoś ją zobaczył. Więc ją namaluję, żeby pokazać światu jej twarz. Może wtedy sobie pójdzie.

Widywałem ją od połowy lata, od nocy na rodeo, gdy znalazłem związaną Georgię i odwiozłem ją do domu. Od tamtego momentu zacząłem mieć wizje z Molly. Napisała swoje imię grubymi, pochyłymi literami, kończąc literę „Y” długim zawijasem. Zobaczyłem je na sprawdzianie z matematyki. Musiała pokazać mi akurat swój sprawdzian z matematyki. Na górze było wyraźne „A”^[3], z którego Molly chyba była dumna. Kiedyś. Jakiś czas temu.

Molly była bardzo podobna do Georgii. Miała blond włosy i roześmiane oczy. Ale pokazała mi rzeczy i miejsca, które nic dla mnie nie znaczyły. Jak ten sprawdzian z matmy. Słoneczniki wzdłuż dróg, którymi nigdy nie jechałem, wzburzone niebo i krople deszczu na oknie ozdobionym zasłonami w żółte paski, kobiece dłonie i szarlotkę z perfekcyjnie ułożoną i przyrumienioną posypką.

Nagle moje dzieło zostało oświetlone od tyłu bliźniaczymi światłami punktowymi, które rozjaśniły cały przejazd pod estakadą. Wyrzuciłem puszkę, którą trzymałem w dłoni, zsunąłem się po krzywym betonowym murze i zacząłem uciekać, a puszki w moim prowizorycznym pasie roboczym obijały mi się o nogi.

Światła jednak podążyły za mną, więząc mnie między snopami. Potknąłem się i przewróciłem boleśnie. Puszki wbiły mi się w brzuch i biodra, a dłonie wylądowały na żwirze. Samochód gwałtownie skręcił i zahamował, i na chwilę zostałem uwolniony z blasku, bo wiązki światła strzelały nad moją głową. Próbowałem się podnieść, ale coś było nie tak z moją prawą nogą i upadłem z jękiem, gdy ból przebił się przez zalewającą mnie adrenalinę.

— Mojżesz?

To nie była policja. Ani zabójca dziewczyny. Bo byłem niemal pewien, że została zabita. Miała w sobie tę świeżość barw i powagę, jaką obserwowałem tylko wtedy, gdy śmierć była gwałtowna i niespodziewana. I niedawna.

— Mojżesz? — głos odezwał się znowu.

Odwróciłem się i podniosłem rękę, żeby zasłonić się przed skierowanym na mnie światłem latarki i rozpoznać właścicielkę głosu.

— Georgia?

Co ona tu, do cholery, robi o pierwszej w nocy, skoro jutro jest szkoła? Mój monolog wewnętrzny brzmiał jak narzekanie rodzica, więc natychmiast go uciąłem. To nie moja sprawa, co ona robi, i tak samo to nie jej sprawa, co ja robię. Równie dobrze mogłem to powiedzieć na głos, bo Georgia natychmiast spytała:

— Co ty tu robisz? — Też brzmiała jak rodzic. Nie odpowiedziałem jej, jak zwykle.

Próbowałem wstać i skrzywiłem się, gdy zobaczyłem coś wystającego z mojej nogi. Szkło. W okolicy kolana, w miejscu, które zetknęło się z betonem, tkwił długi odłamek szkła.

— Dlaczego to robisz? — jej głos był smutny. Nie oskarżycielski. Nie przerażony lub ostrożny. Po prostu smutny, jakby mnie nie rozumiała, lecz chciała zrozumieć. — Dlaczego malujesz cudze budynki?

— To własność publiczna. Nikt się tym nie przejmie. — To było głupie, ale nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Nikomu nie potrafiłem tego wytłumaczyć, więc nawet nie próbowałem.

— Charlotte Butters się przejęła. Pani Murray też z całą pewnością się przejęła.

— Rozumiem, że jeździsz po nocach, żeby uchronić miasteczko przed malarstwem? — spytałem.

Estakadę otaczały wyłącznie pola wysokiej złotej pszenicy czy czegoś tam, co uprawia się w Utah. W pobliżu zjazdu znajdowało się kilka firm, ale stanowiły zaledwie drobną wyspę w tym złotym morzu.

— Nie. Widziałam, jak wyjeżdżasz, i zauważyłam, że kierujesz się w stronę Nephi.

Patrzyłem na nią beznamiętnie.

— Twoje światła trafiły w moje okno, kiedy wyjeżdżałeś, a ja jeszcze nie spałam.

To nie miało sensu. Malowałem przynajmniej godzinę.

— Jeździłam po okolicy, aż cię znalazłam. Zobaczyłam twojego jeepa przy drodze — dokończyła cicho.

Jej szczerłość mnie zdziwiła. Nie miała w sobie żadnej sztuczności. Gdy próbowała ukryć swoje uczucia, bez trudu ją demaskowałem. Była jak szkło. Czysta, przejrzysta i otwarta. I jak to szkło jej szczerłość mnie kaleczyła.

Szarpnąłem za odłamek w kolanie z przekleństwem na ustach. Taktyka

dywersyjna zadziałała, bo wzrok Georgii spoczął na mojej ranie. Skierowała na nią latarkę, żeby lepiej się przyjrzeć, i zakląła równocześnie ze mną, gdy zobaczyła krew, od której moje spodnie w świetle księżycy robiły się czarne.

— To nic takiego — wzruszyłem ramionami. Ale trzeba przyznać, że bolało.

— Chodź. Mam apteczkę pod siedzeniem. — Machnęła na mnie latarką, wykonując świetlny okrąg, gdy się odwracała, oczekując, że za nią pójde. Co też zrobiłem.

Szarpnęła drzwi, wyciągnęła plastikową pomarańczową skrzynkę spod siedzenia pasażera i poklepała je oczekująco.

— Możesz wsiąść?

— To tylko zadrapanie, nie musisz mi niczego amputować — mruknąłem.

— No, ale krwawi jak cholera.

Podciągnąłem nogawkę i Georgia zajęła się zabawą w doktora. Patrzyłem na czubek jej pokrytej blond włosami głowy i zastanawiałem się po raz milionowy, dlaczego ona, u licha, wciąż za mną łązi. Co z tego miała? Uwielbiała wyzwania, trudno było nie zauważyć. Widziałem, jak ujeżdżała tego czarnego konia, mknęła na nim przez pola i skakała przez ogrodzenia, jakby chciała sięgnąć nieba. Widziałem, jak nakłania go i kusi, aż tak go oczarowała, że teraz przybiegał do niej na zawołanie. Ale ja nie byłem zwierzęciem i nie chciałem być jej następnym podbojem, a wszystko wskazywało na to, że tak właśnie jest.

Ta myśl wzbudziła we mnie wściekłość, więc gdy tylko skończyła, spuściłem nogawkę, wyszedłem z jej auta i bez słowa ruszyłem w stronę swojego jeepa. Pobiegnęła za mną.

— Wracaj do domu, Georgio. Łamiesz kolejne moje prawo. Nie będziesz za mną chodzić.

— To twoje prawa, Mojżeszu. Ja nie zgodziłam się na żadne z nich.

Usłyszałem, jak się potyka i przewraca, i zatrzymałem się wbrew sobie. Wszędzie na ziemi leżały odłamki szkła i puszki po piwie. To przejście było miejscem wypadów weekendowych. Sądząc po samych puszkach i butelkach, upiło się tu więcej dzieciaków niż w jakimkolwiek innym miejscu w mieście. Nie chciałem, żeby Georgia zrobiła sobie jakąś krzywdę. Wróciłem do niej, wziąłem ją za rękę i odprowadziłem do jej samochodu.

— Wracaj do domu, Georgio — powtórzyłem, lecz tym razem starałem się zabrzmieć nieco uprzejmiej. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy do jej zardzewiałego grata, którego nazywała Myrtle, bo rymowało się to ze słowem „turtle”^[4], które trafnie opisywało rozwijane przez to auto prędkości.

— Dlaczego namalowałaś tę dziewczynę? Na estakadzie. Dlaczego to zrobiłaś?

Co to oznacza? — jej głos był smutny, niemal jakby poczuła się zdradzona. Ale nie mam pojęcia przez co.

— Zobaczyłem jej wizerunek. Więc ją namalowałem — odpowiedziałem zdecydowanie.

Zasadniczo nie było to kłamstwem. Tyle że nie chodziło o wizerunek typu zdjęcie. Nie chodziło o ogłoszenie o zaginięciu, które faktycznie widziałem na tablicy na poczcie. Ja zobaczyłem tę dziewczynę w swojej głowie.

— Spodobała ci się?

Wzruszyłem obojętnie ramionami.

— Jest ładna. To smutne. Lubię malować.

Mówiłem prawdę. Ona była ładna. To było smutne. I naprawdę lubię malować.

— Znasz ją?

— Nie. Wiem tylko, że nie żyje.

Georgia wyglądała na przerażoną. W nieznacznie rozświetlanych blaskiem księżyca ciemnościach wyraźnie widziałem, jak bardzo nią to wstrząsnęło. Chyba chciałem ją poruszyć. Chciałem, żeby się przestraszyła.

— Skąd?

— Bo dzieciaki z ogłoszeń zazwyczaj nie żyją. Jest z okolicy, prawda?

— Nie całkiem. Z hrabstwa Sanpete. Ale także z dość małego miasteczka. Dziwne, że tak po prostu zniknęła. Jest drugą dziewczyną, która tak zniknęła w ciągu ostatniego roku. To po prostu... dziwne. Przerazające, wiesz?

Przytaknąłem. Dziewczyna miała na imię Molly. I była z całą pewnością martwa. Wciąż coś mi pokazywała. Nic związanego ze śmiercią. Raczej z życiem. Miałem nadzieję, że teraz zostawi mnie w spokoju. To trwało już zbyt długo. Nie miałem pojęcia, dlaczego w ogóle do mnie przychodziła. Zazwyczaj istniało jakieś połączenie, lecz ja jej nie znałem. Liczyłem jednak, że teraz sobie pójdzie. Namaluj ich, a oni odejdą. W taki sposób potwierdzałem ich obecność i przeważnie to wystarczało.

— Więc przyjechałeś tu w środku nocy i namalowałeś ją... to też dziwne — stwierdziła odważnie, patrząc mi prosto w oczy.

Znowu przytaknąłem.

— Boisz się, Georgio?

Spojrzała na mnie, jakby próbowała wejść do mojej głowy. Moja mała zaklinaczka koni, szepcząca do mnie swe zaklęcia. Potrząsnąłem głową, żeby wyrzucić te myśli. Nie była moją zaklinaczką. Nie była moim niczym.

— Tak, boję się. Boję się o ciebie, Mojżeszu. Bo wszyscy to zobaczą. Policja też.

I ludzie zaczną myśleć, że to ty coś zrobiłeś tej dziewczynie.

— Ludzie tak myślą wszędzie, gdzie się pojawiam, Georgio. Przywykłem do tego.

— Zawsze malujesz martwych ludzi?

Jej głos był jak uderzenie batem, a ja poczułem smagnięcie prawdy na twarzy oraz pęknięcie i ukłucie związane z moimi sekretami.

Zrobiłem krok w tył z wrażenia, że tak łatwo rozgryzła ten fragment mnie. Ruszyłem w stronę jeepa. Pragnąłem biec, biec i biec, bez końca. Dlaczego nie miałbym po prostu biec? Do zakończenia roku szkolnego zostało siedem miesięcy, ale pracowałem nad tym, by zdać egzamin GED^[5], i odkładałem wszystkie zarobione pieniądze. Siedem miesięcy. Potem mimo całej mojej miłości do Gi i mimo bólu wywoływanego przez myśl, że nigdy więcej nie zobaczyłbym Georgii, wyjadę z tego zabawnego miasteczka zamieszkałego przez wścibskich ludzi o podejrzliwych umysłach, którzy do wszystkiego się wtrącają i nieustannie plotkują. Ruszę przed siebie, malując po drodze. Nie wiem, z czego będę się utrzymywał, ale dam sobie radę i będę wolny. Tak wolny, jak jeszcze nigdy.

Georgia truchtała za mną.

— Namalowałaś na naszej stodole mojego dziadka, który umarł dwanaście lat temu. Miałam wtedy pięć lat. Namalowałaś burzę z piorunami na stodole Charlotte Butter, a jej mąż zginął w tej stodole po uderzeniu pioruna. Namalowałaś mężczyznę o imieniu Ray na tablicy u pani Murray i okazało się, że tak się nazywał jej narzeczony, który zginął w dziwnym wypadku dwa tygodnie przed ich ślubem. Malowałaś też ściany wewnątrz starego młyna. Widziałam to. Nie rozpoznałam tych ludzi, ale oni także nie żyją, prawda?

Nie miałem jak jej odpowiedzieć, nie wyjawiając całej prawdy. Chciałem jej wszystko wyjawić. Ale nie mogłem. Więc po prostu szedłem dalej.

— Mojżesz! Zaczekaj! Proszę, bardzo cię proszę, nie odchodź ode mnie — krzyknęła z frustracją tak bliska łez, że niemal słyszałem, jak zbierają się w kącikach jej oczu. Czuję ból w sercu i moja determinacja kruszała. Zrobiłem więc jedyną rzecz, która mogła sprawić, że Georgia zapomni o swoich pytaniach i zapomni o zwątpieniu we mnie. Która pozwoli nam obojgu zapomnieć.

Pozwoliłem się złapać.

Gdy do mnie dobiegła, odwróciłem się i objąłem ją tak mocno, że nasze serca zetknęły się ze sobą i znalazły wspólny rytm. Moje uderzało w jej piersi, a jej odpowiadało mu tym samym, prowokując mnie jak zawsze. Całowałem ją bez końca, pozwalając, by kolor jej ust zalał mój zmęczony umysł, zatopił wszystkie obrazy i pozostawił w nim tylko Georgię, jej różowe pocałunki i światło księżycy, jej ciepło. Dotknąłem jej ciała i zacząłem rozgrzewać swoje dłonie jej skórą, aż wszystkie pytania uleciały z wiatrem. A dziewczyna, którą namalowałem na betonowej ścianie przejazdu, nie odrywała twarzy od nieba i zostawiła nas w

spokoju.



GEORGIA

URWAŁAM SIĘ ZE SZKOŁY przed końcem dnia i pojechałam swoim gratem na estakadę, żeby popatrzeć w dziennym świetle na dzieło Mojżesza, zanim każą mu je zamalować.

Było piękne. Dziewczyna śmiała się do nieznanego adoratora. Unosiła twarz niczym w stronę słońca, a jej włosy opadały swobodnie na ramiona. Byłam niemal zazdrosna i poczułam wstyd z powodu swoich małoszkolnych uczuć. Ale Mojżesz taką ją widział. Nie miałam pojęcia, jak to możliwe. Lecz on był artystą, a ona jego muzą, nawet jeśli tylko przez krótki czas. Nie podobało mi się to. Chciałam być dla niego jedyną. Chciałam, żeby miał w głowie tylko moją twarz.

Siedziałam, patrząc na śmiejącą się dziewczynę, przywróconą do życia w opuszczonym przejściu podziemnym za pomocą farby w sprayu i genialnych dłoni współczesnego Michała Anioła. Albo raczej van Gogha. Czy to nie on był szurnięty? Namalowana przez Mojżesza dziewczyna była tak pełna życia, że nie wierzyłam w jej śmierć. Ale Mojżesz twierdził, że była martwa. Na tę myśl poczułam skurcz w żołądku i zmiękły mi nogi. Nie dlatego, że nie żyła, co było straszne, ale dlatego, że Mojżesz zdawał się o tym wiedzieć. Nikt patrzący na to dzieło nie mógłby pomyśleć, że jest kpina z czyjegoś żalu lub że jest pełne przemocy. Ale było to dziwne. I nikt nie wiedział, co zrobić z Mojżeszem. On nigdy niczego się nie wypierał. Ale też się nie bronił.

A wczoraj... Wczoraj byłam przerażona, wściekła i zdezorientowana. Mojżesz wydawał się taki nieosiągalny. Tak frustrująco odległy! Więc gdy nagle odwrócił się do mnie i mnie pocałował, przyciskając do siebie tak mocno, że nic nas od siebie nie dzieliło, coś w moim wnętrzu się poddało. I kiedy rzucił na ziemię swój płaszcz i osunęliśmy się na niego złączeni ustami, szarpiąc niewygodne ubrania, by zrzucić to wszystko, co nas dzieliło, to nie protestowałam, a on się nie zatrzymał.

Dorastałam na farmie w otoczeniu koni. Miałam bardzo jasną i obrazową wiedzę na temat mechaniki tego aktu. Nie byłam jednak kompletnie przygotowana na uczucia, na pragnienie, na intensywność doznań, ich potęgę, na tę słodką agonię. Znaleźliśmy się w tak pierwotnej i tak zakorzenionej w teraźniejszości przestrzeni, że nasze serca łomotały jak ogłuszający metronom, rozgniatający czas na miazgę i naznaczający chwilę obecną. Byłam tak

przepełniona wrażeniem cudowności, że nie mogłam oderwać wzroku. Nie potrafiłam nawet zamknąć oczu.

— Mojżesz, Mojżesz, Mojżesz — jęczało moje serce, a usta powtarzały za nim ten jęk.

Miał szeroko otwarte oczy, zapewne tak samo jak ja, jego oddech był równie szybki jak mój, a jego usta były rozchylone, gdy odrywały się ode mnie, i dyszał, kiedy przywieraliśmy mocno do siebie, obejmując się ciasno dłońmi i nie odrywając od siebie wzroku. Nasze ciała poruszały się w rytmie tak pradawnym jak ziemia, na której leżeliśmy.

Znałam samą siebie na tyle dobrze, że wiedziałam, iż później nie będę dumna ze swojego braku oporu. Nie będę dumna z zaśmieconego betonowego gmachu za nami i chwastów pod moimi plecami. Wiedziałam, że przez pewien czas nie będę w stanie spojrzeć ojcu w oczy. Miałam też jednak świadomość, że to było absolutnie nieuniknione. Dążyłam do tego od momentu, gdy moje oczy po raz pierwszy spoczęły na Mojżeszu. Moi rodzice byli bardzo religijni i myślałam, że ja też taka jestem. Zostałam wychowana, by chodzić do kościoła co tydzień i mieć świadomość grzechów ciała. Ale nikt nie powiedział mi, jakie to są uczucia. Nikt mi nie uświadomił, że opieranie się im przypomina oddychanie przez słomkę. Jest daremne. Niemożliwe. Nierealne.

Wyrzuciłam więc słomkę i napełniłam płuca powietrzem, napełniłam je Mojżeszem, wchłaniając go łąpczywie, niezdolna do tego, by zwolnić lub skupić się na czymkolwiek innym poza kolejnym oddechem.

Może powinnam była trzymać się od niego z daleka. Może miałam się nie zbliżać. Ale wczoraj nie byłam w stanie. Wczoraj nie trzymałam się z daleka. Lecz gdy siedziałam w świetle zachodzącego słońca w październikowe popołudnie i miałam przed sobą przyglądającą mi się twarz innej dziewczyny namalowanej przez mojego kochanka, przez chłopca, który zawładnął moim ciałem i duszą, żałowałam, że tego nie zrobiłam.

[3] W amerykańskim systemie ocen „A” jest odpowiednikiem polskiej szóstki — *przyp. tłum.*

[4] *Turtle* to po angielsku „żółw” — *przyp. tłum.*

[5] GED — amerykański egzamin będący swego rodzaju odpowiednikiem polskiej matury — *przyp. tłum.*

VIII

MOJŻESZ

PRZESŁUCHIWAŁA MNIE POLICJA. Nie pierwszy raz mi się to zdarzyło w związku z jakimś murałem. Nie dowiedzieli się nic. Nie powiedziałem im zbyt wiele. Zresztą nie było niczego, co mógłbym im powiedzieć, a oni nic na mnie nie mieli. Tak naprawdę sam nic nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że ona nie żyje. Żywi ludzie nie przychodzili do mnie o dziwnych porach, żeby zawładnąć moimi myślami. Powiedziałem policji, że usłyszałem o zaginięciu Molly i postanowiłem coś dla niej namalować. I to była prawda. W pewnym sensie. Bo tej prawdziwej prawdy nikt nie chciałby słuchać. Ludzie lubią wyznawać religię, ale nie są skłonni do wykazywania się wiarą. Religia ze swoją strukturą i regułami ma dodawać otuchy. I dawać poczucie bezpieczeństwa. Ale wiara nie jest bezpieczna. Wiara jest trudna, niewygodna i zmusza ludzi do zrobienia czegoś wbrew wszystkim. Tak przynajmniej twierdziła Gigi. A ja jej wierzyłem.

Babcia zjawiała się czym prędzej na komisariacie z burzą szarych loków i wyrazem twarzy, który zwiastował kłopoty. Na szczęście nie dla mnie, lecz dla policjanta, który nie zadzwonił po nią, gdy byłem przesłuchiwany. Miałem osiemnaście lat. Nie musieli po nią dzwonić, ale szybko się wycofali pod naporem jej gniewu, a ja zostałem wypuszczony po niecałej godzinie, gdy zgodziłem się zamalować swoje dzieło. Mam nadzieję, że Molly nie wróci, kiedy to zrobię. Gigi najechała na mnie dopiero w domu.

— Dlaczego dalej to robisz? Dlaczego malujesz na murach, stodołach i tablicach? Przez ciebie pani Murray płakała, sam trafiłeś do aresztu, a teraz to? Przestań! Albo, na litość boską, zapytaj najpierw o pozwolenie!

— Wiesz dlaczego, Gigi.

Ona wiedziała. To był brudny rodzinny sekret. Moje halucynacje. Moje wizje. Leki, które brałem przez większość życia, tylko to pogorszyły. Były przeznaczone dla ludzi z zupełnie innymi problemami i gdy przestawały działać, próbowano na mnie następnych. Całe życie spędziłem w gabinetach lekarskich — na łasce państwa, wróg państwa. Nic mi nie pomagało, lecz dopiero kiedy zamieszkałem z Gigi, w końcu uwolniłem się od leków. Nikt nigdy nie brał pod uwagę tego, że to być może nie są halucynacje. Nikt nigdy nie pomyślał, że być może jest właśnie tak, jak mówię.

— Nie mogę spytać o pozwolenie, Gigi. Bo musiałbym to wytłumaczyć. A ludzie mogliby mi odmówić. I co ja bym wtedy zrobił? — To był uzasadniony argument, jeśli chodzi o mnie. — Przebaczenie jest łatwiejsze do uzyskania niż pozwolenie.

— Ale gdy masz pięć lat! A nie gdy masz osiemnaście i jesteś notowany. Skończysz w więzieniu, Mojżeszu. — Babcia była wzburzona i czułem się przez to paskudnie.

Wzruszyłem bezradnie ramionami. Ta groźba nie była dla mnie czymś nowym i niespecjalnie mnie przerażała. Nie sądziłem, żeby moje życie jakoś znacznie się przez to pogorszyło. W więzieniach jest mnóstwo betonowych ścian, jak słyszałem. Ale nie byłoby tam Gigi. I Georgii. Nie spotkałbym jej już więcej. Tyle że ona myślała, że jestem stuknięty, więc nie wiem, dlaczego mnie to w ogóle obchodziło.

Ale mnie obchodziło.

— To byłaby taka strata, Mojżeszu. Takie marnotrawstwo! Twoja twórczość jest niesamowita. I wspaniała. Mógłbyś zarabiać na życie swoim darem. I to całkiem nieźle. Po prostu maluj obrazy jak Bóg przykazał! W swojej pracowni! To byłoby niesamowite! Dlaczego musisz malować stodoły, mosty, ściany i drzwi niebędące twoją własnością? — Gi wyrzuciła ręce w górę. Żałowałem, że nie potrafię tego wyjaśnić.

— Nie potrafię. Nie potrafię się powstrzymać. Tylko w ten sposób potrafię to znieść.

— Co znieść?

— To szaleństwo. To... to szaleństwo w mojej głowie.

— Mojżesz był prorokiem — zaczęła.

— Nie jestem prorokiem! A ty opowiadałaś mi już tę historię, Gi — przerwałem jej.

— Ale nie sądzę, żebyś ją zrozumiał, Mojżeszu — naciskała.

Patrzyłem na nią, na jej okrągłą twarz, czuły uśmiech i uczciwe oczy. Była jedyną osobą, przy której nie czułem się, jakbym był ciężarem. Albo chorym psychicznie. Jeśli chce mi znowu opowiedzieć o małym Mojżeszu, to posłucham.

— Mojżesz był prorokiem. Ale nie stał się nim od razu. Najpierw był dzieckiem, porzuconym dzieckiem w koszu — zaczęła od nowa.

Westchnąłem. Nienawidziłem opowieści o pochodzeniu mojego imienia, bo była kompletnie beznadziejna. Nie miała w sobie uroku ani romantyzmu. Nie przypominała historii biblijnej. Ani nawet hollywoodzkiej. Ale Gigi chciała mi ją opowiedzieć, więc milczałem i pozwoliłem jej mówić.

— Wszystkie hebrajskie dzieci płci męskiej miały zostać zabite. Hebrajczycy byli niewolnikami i faraon bał się, że jeśli nadmiernie zwiększą swoją liczebność, to zbuntują się przeciw niemu. Ale matka Mojżesza nie pozwoliła, aby jej syn został zabity. Żeby go ocalić, musiała pozwolić mu odejść. Włożyła go więc do kosza i pozwoliła mu odejść — powtórzyła Gigi z naciskiem.

Czekałem. Zazwyczaj nie przerywała w tym miejscu.

— Tak jak twoja matka ciebie.

— No, zostawiła mnie w koszu jak śmiecia.

— Nie. Nie o to mi chodziło. Twoja zrobiła sobie w życiu straszny bałagan. Tkwiła w nim tak głęboko, że nie było szans, żeby mogła się tobą zaopiekować. Więc pozwoliła ci odejść.

— Zostawiła mnie w publicznej pralni.

— Ocaliła cię przed sobą.

Westchnąłem znowu. Gigi kochała moją matkę, więc była dla niej bardziej pobłażliwa i litościwa. Ja nie kochałem swojej matki, więc nie miałem dla niej ani pobłażliwości, ani litości.

— Nie rób sobie bałaganu w życiu, Mojżeszu. Musisz znaleźć sposób, by ocalić samego siebie. Nikt tego za ciebie nie robi.

— Nie potrafię tego kontrolować, Gigi. A ty zachowujesz się, jakbym potrafił. — Gdy wypowiadałem te słowa, czułem falę ciepła idącą w górę po karku, a w czubki palców było mi tak zimno, jakbym trzymał w nich szklanę z lodem. Dobrze znałem to uczucie i wiedziałem, co za chwilę nastąpi, niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie. — Oni nie dadzą mi spokoju, Gi. Jeszcze trochę i od tego zwariuję. Ja *już* od tego wariuję. Nie wiem, jak mam z tym żyć.

Gigi wstała i objęła moją głowę, przyciągając ją do swojej piersi, jakby mogła stanąć między mną a tym, co już się we mnie kotłowało. Przyciskałem się do niej twarzą i z całych sił zaciskałem powieki, próbując myśleć o Georgii, o poprzedniej nocy, o tym, że Georgia nie odrywała ode mnie wzroku i że miałem wrażenie, iż serce mi eksploduje, gdy poczułem jej rozkosz. Ale te wyobrażenia nie wystarczyły, bo Molly zaczęła wracać. Chciała pokazać mi kolejne obrazy.

— Mojżesz sprawił, że rozstąpiły się wody Morza Czerwonego. Tę historię także już znasz, prawda? — mówiła z naciskiem, jakby w jakiś sposób rozumiała, że walczę z czymś, czego ona nie widzi. — Wiesz o tym, że zrobił to, żeby ludzie mogli przejść na drugą stronę?

Mruknąłem w odpowiedzi, a przez moją głowę zaczęły przesypywać się obrazy, jakby majacząca gdzieś w moim umyśle dziewczyna otworzyła tysiącstronicową książkę i zaczęła wertować strony z zawrotną prędkością. Jęknąłem, a Gigi przytuliła mnie mocniej.

— Mojżeszu! Musisz zamknąć to przejście, tak jak zrobił biblijny Mojżesz. Rozdzielił wody, tak jak ty. Rozdzielasz wody i ludzie przechodzą na drugą stronę. Ale nie możesz pozwolić przechodzić każdemu, gdy tylko będzie miał ochotę. Musisz zamknąć przejście. Możesz je zamknąć i utopić wszystkie obrazy!

— Jak? — jęknąłem kompletnie zrezygnowany.

— Jakiego koloru jest woda? — spytała z naciskiem.

Zacząłem sobie wyobrażać, jak musiała wyglądać ta woda, kiedy trzymana niewidzialną dłonią utworzyła gigantyczne ściany, a obrazy pokazywane przez Molly zwołniały trochę.

— Woda jest biała — wykrztusiłem. — Woda jest biała, gdy jest wzburzona. — Te słowa wzbudziły we mnie tak nieoczekiwaną wściekłość, że poczułem pulsowanie w skroniach i zaczęły mi drżeć dłonie. Miałem już serdecznie dość, że nie mogę zaznać nawet chwili spokoju.

— Co jeszcze? Woda nie zawsze jest wzburzona — naciskała Gigi. — Jakie jeszcze ma kolory?

— Woda jest biała, gdy jest wzburzona. Czerwona, gdy zachodzi słońce. Niebieska, gdy jest spokojna. Czarna, gdy zapada zmrok. Przejrzysta, gdy spada — paplałem, co mi przyszło do głowy, ale było to przyjemne. Podjąłem walkę i moje myśli zrobiły się bardziej przejrzyste. Tak jak woda.

— Więc pozwól jej spaść. Niech wszystko zaleje. Niech przetoczy się przez twoją głowę i twoje oczy. Woda jest przejrzysta, gdy zmywa ból i gdy oczyszcza. Woda nie ma żadnego koloru. Pozwól jej zmyć wszystkie kolory.

Niemal czułem walące się ściany i kotłowanie wody, jak wtedy, gdy miałem dwanaście lat i porwała mnie wzburzona fala oceanu. Fale mnie pokonały, ale nie było w nich żadnych obrazów. Żadnych ludzi. Nie było nic poza wodą, duszeniem się i nieokiełznaną siłą natury. Podobało mi się to.

— Jak to brzmi, Mojżeszu? Jak brzmią fale?

Niagara. Fale brzmiały jak wodospad. Słyszałem huk wodospadu na Hawajach, który słyszeli pani Murray i jej ukochany. Ray. Ray pokazał mi, jak jest za wodospadem. Było tam tak głośno, że nie słyszałem nic poza przewalającą się wodą. Ten huk wypełnił wtedy moje uszy. I wypełniał je teraz.

— Fale brzmią jak ryk lwa. Jak burza.

— Pozwól więc, żeby runęły otaczające cię ściany dźwięku — Gigi mówiła prosto do mojego ucha, lecz ledwo ją słyszałem, jakbyśmy też stali za wodospadem, który pochłaniał wszystkie inne dźwięki.

Oddałem się temu hukowi. Zatraciłem się w nim. Uwolniłem się od siebie, uwolniłem się od swoich myśli. I od obrazów.

Zobaczyłem te ściany wody trzymane ręką Boga, który jest wszechmogący i zrobił to, o co poprosił go Mojżesz, na długo przed tym, zanim się urodziłem. I poprosiłem go, żeby zrobił to jeszcze raz. Poprosiłem Boga, żeby uwolnił wodę. I Molly zniknęła bez śladu.



GEORGIA

MOJŻESZ NA DOBRE PRZESTAŁ chodzić do szkoły po tym, jak policja zgarnęła go z lekcji z powodu malowidła na przejściu podziemnym. Trzymałam się z dala od niego przez cztery tygodnie. Przez prawie cały miesiąc utrzymywałam dystans. A on ani razu mnie nie szukał. Nie wiem, dlaczego myślałam, że to zrobi. Przecież są jakieś reguły dotyczące tego rodzaju rzeczy, prawda? Nie można uprawiać seksu, a potem nie zadzwonić i nie wpaść. Nie można zabierać czyjegoś dziewictwa w najbardziej spektakularny, niesamowity sposób, a potem tak po prostu wrócić do swoich zajęć. A może on tak właśnie zrobił.

Wiedziałam jednak, że tamtej nocy czuł to, co ja czułam. Nie miałam wątpliwości. Niemożliwe, żebym była w tym odosobniona. A te uczucia mnie wykańczały. Byłam owładnięta pożądaniem i przytłaczającym pragnieniem, by zrobić to jeszcze raz, żeby mnie położył i skłonił do zrobienia tego wszystkiego, czego przysięgałam już nigdy więcej nie zrobić. Byłam w całkowitej rozsypce i w środę przed Świętem Dziękczynienia już nie wytrzymałam. Pojechałam do starego młyna i znalazłam jego jeepa zaparkowanego przy zamkniętym tylnym wejściu. Miał już dawno skończyć porządki, do których go zatrudniono, lecz mimo to był tutaj. Napisałam liścik na kwiecie z serwisu, który znalazłam w schowku mojej Myrtle:

Mojżeszu,

spotkajmy się w stodole, gdy skończysz.

Georgia

Nie chciałam się podpisywać, ale nie miałam nawet na tyle pewności siebie, żeby zakładać, że domyśli się bez mojego podpisu, kto to napisał. Włożyłam mu tę kartkę za wycieraczkę tekstem w dół, bo pomyślałam, że nawet jeśli ją przegapi, to będzie musiał zauważyć moje słowa, gdy usiądzie za kierownicą.

Potem pognąłam do domu, zadbałam o to, by pachnieć kwiatami i mieć świeży oddech i majtki. Starłam się nie myśleć o tym, jaka jestem żalosna, jak bardzo rozczarowuję samą siebie, kiedy nakładałam odrobinę tuszu do rzęs i patrzyłam sobie w oczy, próbując się nie widzieć.

Czekałam w stodole godzinę. W pewnym momencie przyszedł mój ojciec i niemal się zdradziłam, odwracając się do niego z szerokim uśmiechem. Zalała mnie fala przerażenia, bo bałam się, że się zorientuje, a jednocześnie poczułam rozczarowanie, że Mojżesz wciąż się nie pojawił. Nadchodziła burza, a gdy

robiło się zimniej, przyprowadzaliśmy konie na noc do stodoły. Lucky i Sackett oraz konie wykorzystywane przez moich rodziców w hipoterapii, czyli Dolly, Reba i Merle, były w swoich zagrodach, wyszczotkowane i wyczyszczone lepiej niż kiedykolwiek. Zapewniły mi wymówkę, w którą mój ojciec uwierzył. Poczułam się jak rozwiązła kobieta, gdy ruszył z powrotem w stronę domu bez obaw w swojej siwiejącej głowie, przekonany, że jego chłopczycy nic nie grozi ze strony sąsiada. Niestety, przypuszczalnie naprawdę nic mi nie groziło. Prędzej to jemu groziło coś z mojej strony. Mimo to wstyd był za mały, żebym opuściła stodołę.

Nie pojawił się. Czekałam do północy i w końcu owinęłam się jednym z koców, które rozłożyłam na słomie. Koców, na których mieliśmy siedzieć, kiedy będziemy rozmawiać. I zasnęłam samotnie.

Obudziło mnie bębnienie deszczu o blaszany dach. Słyszałam kojące ruchy koni i czułam zapach świeżej słomy, która rozeszła się trochę pod kocem, gdy spałam. Nie było zimno. Stodoła była przytulna i solidna, a ja przed zaśnięciem włączyłam grzejnik. Nad drzwiami wisiała goła żarówka, która rzucała na podłogę łagodny poblask. Otworzyłam ciężkie powieki, zastanawiając się, czy doczłapać do domu i wczłogać się na łóżko czy zostać. Spałam wcześniej w stodole, i to nie raz. Wtedy jednak zabierałam ze sobą poduszkę i nie miałam na sobie wrzynającego się w boki koronkowego stanika i nieco zbyt ciasnych jak na substytut piżamy dżinsów.

Dopiero gdy się podniosłam i wytrząsałam słomę z włosów, zobaczyłam Mojżesza siedzącego w dalekim kącie na niskim stołku, którego mój ojciec używał do podkuwania koni. Był najdalej od koni, jak tylko się dało, i dzięki Bogu żaden z nich nie wyglądał na zaniepokojonego jego obecnością. Ale ja byłam przez chwilę i odruchowo wyrwał mi się przestraszony skrzek.

Nie przeprosił, nie zaśmiał się, ani nawet nie zaczął jakiegokolwiek rozmowy o niczym. Po prostu przyglądał mi się ostrożnie, jakbym zaprosiła go tylko po to, by oglądał mój sen.

— Która godzina? — szepnęłam chrapliwym głosem i z ciężkim sercem. Przez niego poczułam się strasznie ciężka.

— Druga.

— Dopiero wracałeś do domu?

— Nie. Byłem już w domu. Wziąłem prysznic. I poszedłem spać.

— Czyli lunatykujesz, jak rozumiem? — starałam się, by mój głos brzmiał jasno i łagodnie.

— Czego ty chcesz, Georgio? Myślałem, że już ze mną skończyłaś.

Aj. No proszę. Przebłysk gniewu. Krótki, ulotny. Ale był. Upajałam się nim.

Mama zawsze mi powtarzała, że negatywne zainteresowanie jest lepsze niż brak zainteresowania. Chodziło jej o trudne dzieci, które źle się zachowywały, ale najwyraźniej miało to też zastosowanie do chłopców, w których siedemnastoletnie dziewczyny zakochiwały się bez wzajemności. Ta myśl wzbudzała we mnie złość.

— Kochasz mnie, Mojżeszu?

— Nie. — Jego odpowiedź była natychmiastowa. Buntownicza. Ale mimo to wstał i ruszył w moją stronę. Patrzyłam, jak nadchodzi, moje oczy błędziły wygłodniałe po jego ciele, a moje serce było jak wielki, spragniony węzeł w mojej piersi.

Nie dyskutowałam z nim, bo wiedziałam, że tak powie. A ja już wcześniej postanowiłam, że nie będę mu wierzyć.

Kucnął obok bel słomy, które przekształciłam w miłosne gniazdko. Chociaż może powinnam wymyślić inną nazwę, skoro powiedział, że mnie nie kocha. Położyłam się na plecach i otuliłam ramiona kocem, bo nagle poczułam się wyziębiona i zmęczona. Mojżesz podszedł i nachylił się nade mną, opierając się na rękach po obu stronach mojej głowy. Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę, po czym zbliżył się jeszcze bardziej i delikatnie mnie pocałował. Raz, drugi. A potem trzeci raz — już nie tak delikatnie, z większym naciskiem i determinacją.

Odetchnęłam głęboko, objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie. Chłonełam jego zapach, ostrą nutę farby zmieszanej z mydłem i cukierkami miętowymi w czerwone paski, które jego babcia trzymała w misie na stole kuchennym. Pachniał czymś jeszcze. Czymś, czego nie potrafiłam nazwać, ale to właśnie tej nieznanym części niego pragnęłam najbardziej. Całowałam go tak długo, aż zaczęłam czuć tę część niego w swoich ustach, lecz to mi nie wystarczyło, więc przycisnęłam go do siebie dłońmi i ocieraliśmy się ciałami. W pewnym momencie przesunął usta w stronę mojej szyi i szepnął mi do ucha:

— Nie wiem, czego ode mnie chcesz, Georgio. Ale jeśli tego, to ja też.



GEORGIA

GDY SŁOŃCE ZACZEŁO wpychać swoje różowe palce w niewielkie okno wychodzące na wschód, Mojżesz odwrócił się ode mnie i zabrał się za ubieranie, wpatrując się w świt za oknami. Był listopad i słońce wstawało bardzo leniwie. Musiało być po szóstej. Najwyższy czas. Moi rodzice niedługo wstają, a mama być może już nie śpi. W Święto Dziękczynienia było zawsze dużo roboty. Przez

te wszystkie godziny, gdy Mojżesz ze mną został, nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Byłam zaskoczona, że w ogóle został i że przespał ze mną kilka godzin, zanim mnie obudził pocałunkami i rozgrzаныmi dłońmi, co ostatecznie mnie przekonało, że nigdy nie będę w stanie bez niego żyć. Przez cały ten czas się nie odzywał, a jego milczenie stawało się powoli nie do zniesienia. Zastanawiałam się, jak nauczył się spychać słowa na bok, zatapiać je i ignorować ich łomotanie w sercu i w czaszce, gdy błagały, aby je wypowiedzieć. Powiedziałam sobie, że ja też od teraz tak potrafię. Też mogę milczeć. A przynajmniej do momentu jego wyjścia. Kiedy ruszył w stronę wrót stodoły, moje słowa wyrwały się na zewnątrz.

— Myślę, że mnie kochasz, Mojżeszu. I ja też cię kocham, chociaż łatwiej by było nie kochać — wyrzuciłam z siebie pospiesznie.

— Dlaczego byłoby łatwiej nie kochać? — spytał cicho, jakby wcale nie powiedział bez wahania, że mnie nie kocha. On mógł mówić, że mnie nie kocha, ale niespecjalnie lubił słyszeć, że nie da się go kochać.

— Bo ty myślisz, że mnie nie kochasz. Ot, dlaczego.

— To jedno z moich praw, Georgio. Nie będziesz kochać.

— To prawo nie obowiązuje w Georgii.

— Nie, tylko nie to — westchnął.

— Co by sprawiło, żebyś mnie pokochał, Mojżeszu? Co by cię przekonało, żeby przenieść się do Georgii? — Poruszyłam szybko brwiami w górę i w dół, jakby to był jeden wielki żart. — Powiedziałam ci, że zafarbuję się na czerwono. Powiedziałam, że wpuszczę cię do swoich myśli. I dałam ci wszystko, co mam. — Poczułam, że głos mi się łamie, bo wraz z tymi słowami do oczu napłynęła mi fala łez. Natychmiast się odwróciłam i zajęłam składaniem koca, który pachniał Mojżeszem. Złożyłam go i wyprostowałam, a potem założyłam buty. Mojżesz stał jak oniemiały dwa metry ode mnie. Przynajmniej nie poszedł, chociaż część mnie wolałaby, żeby to zrobił.

— Jest ci przykro — powiedział.

— No. Chyba tak.

— Dlatego właśnie stosuję się do tego prawa — szepnął niemal łagodnie. — Jeśli nie kochasz, nikt nie zostaje zraniony. Łatwo odejść. Łatwo pogodzić się ze stratą. Łatwo dać sobie spokój.

— W takim razie powinieneś mieć też kilka innych praw, Mojżeszu.

Odwróciłam się do niego i uśmiechnęłam szeroko, chociaż nie byłam pewna, czy wytrzymam. Nos mnie kłuł, a moje oczy przypuszczalnie zbyt mocno błyszczały. Mimo to ciągnęłam z wymuszonym uśmiechem.

— Nie będziesz całować. Nie będziesz dotykać. Nie będziesz się pieprzyć. —

Nigdy tak nie mówię, ale powiedziałam, jak było, chociaż słowo „pieprzyć” parzyło mnie jak kwas, gdy je wypowiadałam. Bo dla mnie to było coś innego. Dla mnie to była miłość, a nie seks. Albo i jedno, i drugie. Co najmniej jedno i drugie.

— Ty mnie znalazłaś, Georgio. Ty za mną chodziłaś. Ty mnie pragnęłaś. A nie odwrotnie — odparł. Nie podniósł głosu. Nie brzmiał nawet, jakby był poruszony. — Ja nie złamałem żadnej ze swoich reguł. Ty złamałaś swoje. A teraz jesteś na mnie zła z tego powodu.

Miał rację. Miał absolutną rację. A byłem w błędzie.

— Zobaczymy się później? — spytałam cicho, nie mając śmiałości na niego spojrzeć. — Przychodzisz dzisiaj z babcią na Święto Dziękczynienia, prawda? Zaczynamy wcześnie, żebyśmy mogli jeść cały dzień. — Byłam dumna ze swojego opanowania i gardziłam sobą za to, że nie nakopałam mu do tyłka.

— Tak. O jedenastej, tak?

Rozmowa o niczym jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak sztuczna. Przytaknęłam, a on czekał, obserwując mnie w milczeniu. Zaczął mówić moje imię, lecz westchnął, odwrócił się i bez słowa wyszedł ze stodoły.

— Wschód słońca, zapach słomy, obiad z okazji Święta Dziękczynienia, gorący prysznic, nowy dzień — wyszeptałam swoją listę plusów, żeby pohamować łyzy i nie myśleć o tym, co będzie później i jak przetrwam najbliższe kilka godzin.

IX

MOJŻESZ

— BABCIU! — Nie poruszyła się. — Gigi!

Potrząsałem nią i poklepałem ją po policzku. Ale jej głowa przetoczyła się nieco na bok, a oczy pozostały zamknięte. Leżała na podłodze w kuchni. Kupka bezwładnych kończyn owiniętych w ocieplany szlafrok. Obok niej leżały trzy duże odłamki szkła z potłuczonej szklanki. Trzy ostre wyspy w dużej kałuży wody zabarwionej krwią. Uderzyła się, gdy upadła, a jej krew zmieszała się z wodą ze szklanki. Nie było jej dużo. Wyglądało to tak, jakby umarła, zanim upadła, bo plama krwi sprawiała wrażenie niegroźnej. Przy śmierci powinno być dużo więcej krwi.

Kiedy wróciłem wczoraj wieczorem do domu, poszedłem prosto do łazienki, a stamtąd prosto do swojego pokoju. Leżałem w łóżku, żeby potrzymać Georgię w napięciu. Ulotniła się na miesiąc, a teraz mnie pragnęła? Wkurzało mnie to, lecz mimo to chciałem się z nią zobaczyć. Strasznie chciałem się z nią zobaczyć. W końcu uległem, ubrałem dżinsy i koszulkę i wymknąłem się cichaczem, żeby nie obudzić Gi.

A jeśli ona leżała tak przez całą noc?

Przyłożyłem głowę do jej piersi i czekałem, pragnąc, by jej serce znowu zaczęło bić. Lecz ona była zimna. A jej serce milczało. Była zimna. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, pobiegłem po koc i przykryłem ją, szczelnie upychając koc po bokach.

— Gigi! — krzyknąłem i zamknąłem oczy.

Chciałem, żeby powiedziała mi, co zrobić. Potrafię zobaczyć martwych ludzi. Przychodzą do mnie bez przerwy. Muszę zobaczyć Gigi. Chcę się od niej dowiedzieć, co się stało. Chcę, żeby zabrała mnie ze sobą.

Mam pędzle. Zebrałem farby i usiadłem obok niej, czekając na jej powrót w jakikolwiek sposób. Gdy się pojawi, zapełnię ściany jej obrazami. Namaluję każdy dzień jej życia, aż do tego feralnego dnia, a ona powie mi, co powiniennem teraz zrobić. Otworzyłem się szeroko, jak przepastny kanion z ostrymi krawędziami i stromymi zboczami. Rozdzieliłem wody, a gdy się skupiłem, ściany urosły tak wysoko, że nie mogłem dostrzec ich końca. Niech przedostanie się każdy, kto chce, pod warunkiem że przyprowadzi ze sobą Gigi.

Nie poczułem jednak Gigi. Nie zobaczyłem jej. Zobaczyłem moją matkę. Zobaczyłem dziadka Georgii, Molly i mężczyznę o nazwisku Mel Butters, który zginął w stodole. Miał ze sobą swoje konie i był szczęśliwy. Jego zadowolenie

strasznie mnie irytowało w tej sytuacji i wściekłem się na niego, kiedy pokazywał mi obrazy długich przejażdżek i letnich zachodów słońca. Natychmiast zniknął. Poczulem Raya, ukochanego pani Murray. Martwił się o nią, a jego obawy wypływały z niego szarymi falami. Pani Murray nie radziła sobie najlepiej, a obraz, jaki dla niej stworzyliśmy, wcale jej nie pocieszył.

Przeżywałem ich życia i wspomnienia, a potem spychałem je na bok, próbując znaleźć babcię. Byli też inni. Ludzie, których czułem, obrazy, których nigdy wcześniej nie widziałem, i wspomnienia, które nie należały do mnie. Ludzie, którzy odwiedzili mnie przez te wszystkie lata. Ludzie wszystkich ras i kolorów skóry. Zobaczyłem chłopaka z Polinezji o imieniu Teo i jego siostrę Kalię. Oboje należeli do gangu i zginęli w wojnie o teren z gangiem, z którym zadawałem się przez niemal rok przed przeprowadzką do Gigi. Żal mi było tego poczucia przynależności, nawet jeśli było złudzeniem. Żal był taki sam jak we wszystkich pozostałych sytuacjach, gdy zostałem wyrwany z jakiegoś środowiska. Polinezyjskie rodzeństwo próbowało mnie zatrzymać, pokazując mi obraz jakiegoś młodszego członka rodziny, którego zostawili po swoim odejściu, ale ja biegłem dalej i szukałem Gigi.

Jak zawsze byli też podglądacze, dręczące czarne plamy czające się na peryferiach mojej wizji za każdym razem, gdy zapuszczałem się zbyt głęboko. Nigdy się do nich nie zbliżałem ani się im nie przyglądałem. Trzymali się z dala od półprzejrzystości otaczającej ludzi, którzy pokazywali mi swoje życia. Nie miałem pewności, lecz podejrzewałem, że ci podglądacze to zmarli, którzy nie potrafili sobie odpuścić. Być może nie wierzyli w życie po śmierci, więc odrzucali je, chociaż biło ich po oczach jak blask morza świec i przyzywało do siebie. Może po prostu tego nie widzieli.

Seks, przemoc i desperacja dzieciaków z gangu, z których wiele porzuciło wszelką nadzieję, były dla podglądaczy swego rodzaju dekadencją szambem. Roili się wokół niego jak muchy. Im dłużej byłem w gangu, tym wyraźniej ich widziałem, lecz po moim przyjeździe do Levan trzymali się z dala.

Byli też nieznani mi ludzie, z którymi nigdy nie nawiązywałem kontaktu i którzy nigdy mi się nie narzucali. Całe pokolenia, jeden za drugim, w niekończącej się kolejce. Uśmiechali się do mnie, jakbym trafił do domu. Ale nie mogłem znaleźć Gigi, a to ona była domem.

— Gigi! — krzyknąłem.

Moje gardło było tak suche i obolałe, że przestałem biec przez świat, którego nikt poza mną nie widział. Zawroty głowy ustały, ale byłem cały w farbie. Malowałem przez cały ten czas poszukiwań babci. Ściany jej domu były pokryte obrazami, które płynnie przechodziły w kolejne bez żadnego porządku czy struktury. Namalowałem faceta, który z całą pewnością był moim pradziadkiem i mężem Gigi, chociaż nigdy go nie poznałem. Widywałem go w ostatnich dniach. Widziałem go przy prawym ramieniu Gi. Cały lśnił, jakby nie mógł się jej

doczekać. Teraz jego twarz była wśród innych namalowanych twarzy.

Było ich bardzo wiele. Namalowałem podglądaczy czających się w czterech rogach pomieszczenia. Mieli puste oczy i ponure twarze. A między znanymi mi twarzami i tymi, których nie znałem, widać było splecione dłonie, płonące stodoły, zderzające się fale i pioruny. Moja matka też tu była — trzymała kosz, jakby myślała, że musi użyć rekwizytu, bym ją rozpoznał. Jakbym nie wiedział. Widziałem ją tysiące razy. Na ścianie były też emblematy gangu, jakby Teo i Kalia próbowali mnie ostrzec. Czerwień przechodziła w czerń, czerń w zieleń, zieleń w biel, aż do miejsca, gdzie stałem. Tu obrazy się urywały.

— Mojżesz! Mojżesz, gdzie jesteś?

Georgia. Georgia przyszła do domu Gi. Georgia była w kuchni. Potok jej pospiesznych słów dotarł do moich uszu. Słyszałem, jak mówi do telefonu, że Kathleen Wright leży na podłodze w kuchni.

— Chyba nie żyje. Chyba nie żyje od jakiegoś czasu. Nie wiem, co jej się stało, ale jest bardzo, bardzo zimna — jęczała.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, skoro okryłem Gi kocem. Chciałem podejść do Georgii. Była przerażona. W przeciwieństwie do mnie nie miała wcześniej do czynienia ze śmiercią. Byłem jednak dziwnie odrętwiały, a mój umysł wirował w zawrotnym tempie, uwięziony między podłogą, na której stałem, a Morzem Czerwonym w mojej głowie.

Podeszła do mnie, tak jak zawsze. Znalazła mnie. Przytuliła mnie i zaczęła płakać. Przyciskała twarz do mojej piersi, ignorując czerwone, purpurowe i czarne plamy na mojej koszulce, które rozsmarowały się na jej policzkach.

— Och, Mojżeszu! Co się stało? Co się tutaj stało?

Ale ja nie potrafiłem z nią płakać. Nie mogłem się ruszyć. Musiałem zamknąć przejście przez wodę. Gigi ze mną nie wracała. Nie udało mi się jej znaleźć i nie mogłem tu dłużej zostać. Nie w takiej odległości od brzegu, gdzie widziałem tylko kolory i pytania.

Georgia odchyliła głowę. Jej usmarowana farbą twarz wyrażała kompletne zagubienie.

— Co się stało, Mojżeszu? Malowałeś. Dlaczego? Dlaczego, Mojżeszu? Jesteś taki zimny. Jak to możliwe, żebyś był tak zimny? — Szczękała zębami, jakby było jej naprawdę zimno w mojej obecności.

Zaśmiałem się bezradnie. Nie byłem zimny, lecz płonąłem. Pomyślałem, że Georgia musiała poczuć moje lodowate dłonie, bo tylko to jedno miejsce miałem zimne. Byłem rozpalony. Gorący. Kark i uszy paliły mnie żywym ogniem, a w głowie szalało istne piekło. Skupiłem się więc na ścianach wody tworzących przejście do mojego umysłu, które musiałem zamknąć. Nie odpowiedziałem

Georgii. Nie byłem w stanie. Odepchnąłem ją, odcinając się od niej tak samo, jak zamierzałem się odciąć od nich wszystkich.

— Woda jest biała, gdy jest wzburzona. Niebieska, gdy jest spokojna. Czerwona, gdy zachodzi słońce, i czarna o północy. I przejrzysta, gdy spada. Przejrzysta, gdy przelewa się przez głowę i wylewa z palców. Woda jest przejrzysta i zmywa wszystkie kolory oraz wypłukuje wszystkie obrazy.

Zorientowałem się, że mówię na głos, gdy poczułem dotyk Georgii. Odepchnąłem ją, bo musiałem się skoncentrować. Próbowałem zamknąć przejście i ściany już zaczynały się chwiać. Musiałem się tylko trochę bardziej skupić. Nagle poczułem lód, który rozprzestrzenił się od palców na rękę, a potem na ramiona i plecy, chłodząc mi kark i uspokajając oddech. Unosiłem się na tym lodzie. Ulga była tak wielka, że zadrżały mi nogi. W końcu mogłem wyciągnąć ręce do Georgii. Mogłem ją dotknąć. Niczego tak nie pragnąłem w tej chwili, jak jej dotyku. Ale tak jak obrazy w mojej głowie, Georgia zniknęła.



GEORGIA

GDY WPADŁAM DO KUCHNI, moskitiery zamknęły się z trzaskiem, a mama odwróciła się na pięcie, żeby mnie złajać. Musiała jednak dostrzec coś w mojej twarzy. Pospiesznie odłożyła garnek z ziemniakami.

— Martin! — zawołała ojca, gdy do niej człapałam.

Próbowała utrzymać gorącą temperaturę wszystkich potraw. Gdy Mojżesz i jego babcia nie pojawili się o jedenastej, trochę nas to zastanowiło, bo Kathleen Wright raczej nie miała w zwyczaju się spóźniać. W ogóle. O jedenastej piętnaście mama do niej zadzwoniła. Ale nikt nie odbierał i mama zaczęła się martwić zimnym indykiem i purée ziemniaczanym. Zaoferowałam więc, że pobiegnę sprawdzić, czy pani Wright nie potrzebuje pomocy, i ponaglę ją i Mojżesza. Upierała się, że przyniesie ciasta na deser, chociaż moja mama się sprzeciwiała, twierdząc, że są z Mojżeszem naszymi gośćmi.

Wcale nie miałam ochoty do nich iść. Czułam się obnażona i zmęczona i nie chciałam spotykać się z Mojżeszem wcześniej niż to konieczne. Nie miałam pojęcia, jak się zachować przy stole, żeby nikt nie zauważył szkarłatnej litery na mojej piersi^[1]. Wiedziałam, że Mojżesz nie będzie miał z tym problemów. Po prostu nic nie powie. A ja będę się pocić i wiercić, przez co nie poczuję smaku żadnej potrawy, którą zjem. Ta myśl mnie rozwścieczyła i dała mi odwagę, gdy wybiegłam przez drzwi. Śnieg, który spadł w nocy, chrząścił mi pod stopami.

Miałam sztywne i czyste dżinsy, wyprasowaną najlepszą bluzkę i starannie ułożone i pokręcone włosy. Zrobiłam sobie nawet makijaż. Wystroiłam się na Święto Dziękczynienia i nie miał mnie kto oglądać. Spóźnianie się na obiad było niegrzeczne, więc przyspieszyłam, gdy zbliżałam się do małego domku Kathleen z szarej cegły i wchodziłam na schodki.

Zapukałam kilka razy, po czym weszłam do środka, wołając jak zawsze:

— Pani Wright, to ja, Georgia.

Pierwsze, co mnie uderzyło, to zapach. Zapach terpentyny. I farby. To nie był zapach ciasta, a przecież powinno pachnieć ciastem.

Zamarłam. Stałam w przedpokoju, który był na tyle mały, żeby pomieścić stojak na płaszcze, niewielką ławę i schody na górę. Po lewej było wejście do niewielkiego salonu, a po prawej do jadalni, która prowadziła do kuchni. Z tyłu domu mieścił się drugi, obszerniejszy salon, dobudowany czterdzieści lat temu przez męża Kathleen Wright. Wchodziło się do niego przez kuchnię lub mniejszy salon. Układ pokoi na dole tworzył kiepsko zaprojektowany krąg wokół miniaturowego przedpokoju ze schodami prowadzącymi do łazienki i trzech niewielkich sypialni na górze. Spojrzałam w górę, zastanawiając się, czy mam odwagę tam wyjść. W domu było niezwykle cicho.

Nagle do moich uszu dotarły ciche świsty. Świst, świst, świst. I poruszające się stopy. Niemal natychmiast rozpoznałam te odgłosy. Słuchałam ich z zamkniętymi oczami przez kilka nocy z rzędu, gdy Mojżesz malował mój pokój.

— Mojżesz! — zawołałam, wchodząc do jadalni.

Trzy kroki dalej zobaczyłam ją. Kathleen Wright leżała na podłodze w kuchni, przykryta koronkową narzutą, która wyglądała na ściągniętą z jej łóżka.

— Kathleen! — zawołałam piskliwym głosem.

Może powinnam jak najszybciej do niej podbiec. Ale to było takie dziwne. Chyba nie do końca wiedziałam, na co patrzę. Podeszłam więc na palcach, jakbym myślała, że ona śpi, a ja przeszkadzam jej w tej dziwnej drzemce. Przyklęłam przy jej boku i odciągnęłam trochę narzutę. Zobaczyłam jej białe włosy, lecz nie mogłam dostrzec twarzy.

— Pani Wright? — odezwałam się znowu.

I wtedy się zorientowałam. Ona nie spała. A to nie działo się naprawdę. To ja byłam tą, która śniła.

— Kathleen? — pisnęłam i zaczęłam opadać na pośladki. Instynktownie podparłam się rękami, lecz poczułam ostre cięcie, niemal szarpnięcie, i od razu cofnęłam dłoń, próbując wstać i wrzeszcząc, jakby to było ugryzienie śmierci, która przyszła także po mnie. Moje świeżo wyprane dżinsy były mokre na pośladkach. Usiadłam na jakiejś wodzie, a na podłodze było szkło. Zwykle

odłamki szkła, a nie śmierć. Ale Kathleen Wright była martwa i ktoś o tym wiedział, bo ją okrył.

Porwałam z blatu ręcznik kuchenny i uświadomiłam sobie, że odkryłam ciasta. Piękne ciasta. Cztery. Z szarlotki ktoś ukroił sobie jeden kawałek. Wpatrywałam się przez chwilę w brakujący fragment i zastanawiałam się, czy Kathleen spróbowała swoich wypieków przed śmiercią. Nagle cała ta chwila nabrała realności i jeszcze większego tragizmu. Odwróciłam się, owijając krwawiącą dłoń, i ruszyłam w stronę ściany, na której wisiał stary telefon Kathleen. Musiałam ją przekroczyć, żeby po niego sięgnąć, i wtedy właśnie zaczęłam się trząść.

Wybrałam dziewięćset jedenaście, tak jak nas uczono w razie wypadku. Po kilku sygnałach odebrała operatorka o rzeczowym głosie, która zadała mi mnóstwo różnych pytań. Odpowiadałam jej bezmyślnie, zastanawiając się nad horrorem, z którym jeszcze się nie zmierzyłam. Gdzie był Mojżesz? Czułam zapach farby. Czułam ten zapach i słyszałam czyjeś ruchy. Farba oznaczała Mojżesza. Opuściłam słuchawkę, bo operatorka zadała mi pytanie, na które już odpowiedziałam. Potem na drewnianych nogach, z mokrym tyłkiem, krwawiącą dłonią i zamarłym sercem przeszłam przez wąskie drzwi prowadzące do drugiego salonu.

Mojżesz był cały w farbie — głowa, ręce i ubrania były upstrzone niebieskimi i żółtymi pasami, czerwonymi i pomarańczowymi plamami oraz fioletowymi i czarnymi rozbryzgami. Wciąż miał na sobie ubrania, w których wyszedł ode mnie rano, chociaż nic nie wyglądało tak samo. Tył koszulki, nie wiedzieć czemu, nie był ubrudzony, ale nie to było najdziwniejsze. Nawet w najmniejszym stopniu. Bo całe ściany zostały pokryte farbami, lecz absolutnie nie w przypadkowy lub bezładny sposób.

To było coś maniakalnego i hipnotyzującego, kontrolowany chaos i szczegółowa wizja demencji. Mojżesz pomalował także zdjęcia i okna. Nawet zasłony miały na sobie farbę i stanowiły część dzieła, jakby nie chciał przerywać, żeby je odsunąć. Biorąc pod uwagę rozmiar pokrytego farbą obszaru, musiał malować od kilku godzin. Graffiti, konie i ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałam. Korytarze, ścieżki, futryny i mosty sprawiały wrażenie, jakby Mojżesz przebiegał od jednego miejsca do następnego, malując wszystkie niewytłumaczalne wizje, jakie zobaczył. Dostrzegłam twarz kobiety nad koszem na pranie. Jej długie blond włosy spływały kaskadami w stronę pełnego niemowląt kosza. Te wizje były jednocześnie piękne i dziwaczne. Obrazy przechodziły w kolejne, bez porządku czy struktury. Na końcu zobaczyłam Mojżesza. Stał z opuszczonymi rękami, wpatrując się w biały fragment ściany przed sobą, który dopiero czekał na dopełnienie.

Spojrzał na mnie. Miał pusty wzrok, a oczy otoczone tak ciemnymi kręgami, że jego gładka skóra wyglądała przy nich blado. Smugi farby na twarzy nadawały

mu wygląda zmęczonego wojownika, który powrócił z bitwy i zastał swój dom w ruinie.

Podbiegłam do niego.

Wielokrotnie wracałam później do tej chwili. Odtwarzałam ją w pętli. Sposób, w jaki podbiegłam. Sposób, w jaki zarzuciłam na niego ramiona, pełna współczucia i kompletnie bez lęku. Przytuliłam go, a on stał cały drżący i mruzczał coś do siebie. Chyba spytałam go, co się stało. Nie pamiętam dokładnie. Pamiętam tylko, że był strasznie zimny, wręcz lodowaty, więc spytałam go, czy mu zimno. Zaśmiał się w odpowiedzi. Krótkie, niedowierzające parsknięcie. A potem odepchnął mnie z taką siłą, że potknęłam się i po raz drugi upadłam na podłogę, a zraniona dłoń zostawiła krwawą smugę na jasnym dywanie. Ale wszędzie były smugi farby i krwawy ślad mojej dłoni gubił się wśród nich. Był kompletnie niezauważalny.

Mojesz schował głowę w dłoniach, zasłaniając oczy, i powtarzał coś o wodzie, raz za razem. Jediną widoczną częścią jego twarzy pozostały usta, a ja obserwowałam, jak przeżuwiają kolejne słowa.

— *Woda jest biała, gdy jest wzburzona. Niebieska, gdy jest spokojna. Czerwona, gdy zachodzi słońce, i czarna o północy. I przejrzysta, gdy spada. Przejrzysta, gdy przelewa się przez głowę i wylewa z palców. Woda jest przejrzysta i zmywa wszystkie kolory oraz wypłukuje wszystkie obrazy.*

Nie mogłam już dłużej. Operatorka z dziewięćset jedenaście kazała mi czekać, ale nie byłam w stanie. Nie mogłam zostać w tym domu ani chwili dłużej.

I po raz pierwszy w życiu uciekłam od niego.

[1] Nawiązanie do zwyczaju opisanego w romansie *Szkarłatna litera* Nathaniela Hawthorne'a. Tytułowa litera była znakiem hańby wyszytym na ubraniu głównej bohaterki w ramach kary za dopuszczenie się cudzołóstwa — *przyp. tłum.*

X

MOJŻESZ

OBUDZIŁEM SIĘ W POKOJU WYŁOŻONYM PODUSZKAMI. Nie w celi. W pokoju. Ale równie dobrze mogliby mnie zamknąć w celi. Gdy mnie przywieźli, zabrali mi ubrania, udokumentowali wszystkie rany i ślady na mojej skórze, a potem dali mi żółtą szpitalną piżamę i skarpety. Zostałem poinformowany, że mogę zasłużyć na odzyskanie ubrań, jeśli będę przestrzegał reguł. Później przychodzili do mnie różni ludzie — doktorzy, terapeuci, psychiatrzy z formularzami karty choroby. Każdy z nich próbował ze mną rozmawiać, ale ja byłem zbyt odrętwiały, żeby mówić. W końcu dali mi spokój.

Siedziałem tu sam przez trzy dni. Przynoszono mi posiłki i zaopatrzone mnie w ołówki i notatnik w linie. Nikt nie chciał, żebym malował. Chcieli, żebym mówił. I pisał w notatniku. Pisał i pisał. Im więcej pisałem, tym bardziej byli zadowoleni. Do momentu, gdy przeczytali to, co napisałem, i uznali, że nie chcę współpracować. Ale słowa sprawiały mi trudność. Gdyby pozwolili mi malować, potrafiłbym wyrazić to, co mam w sobie. Poinstruowano mnie, żebym zapisywał każde swoje uczucie. Prosimi, żebym wyjaśnił, co zaszło w domu mojej babci w Święto Dziękczynienia. Nie było czasem jakiejś piosenki o babci i Święcie Dziękczynienia? Wydawało mi się, że była, więc kilka razy napisałem to w dostarczonym przez nich notatniku.

Za rzekami, za lasami babcia się przewróciła i basta. Policja przybyła, wszystko naprawiła i zabrała mnie z tego białego miasta.

Wydawałem się okrutny, pisząc tak o swojej babci, ale oni nie zasługiwali, by opowiedzieć im o Gi. Więc zachowałem ją dla siebie. Jeśli muszę być dupkiem, żeby się odczepili, to będę.

Babcia była jedyną osobą, na którą zawsze mogłem liczyć. Absolutnie jedyną. A teraz odeszła, a ja nie potrafiłem jej odnaleźć. Nie było jej po drugiej stronie razem z innymi, którzy czekali, aż ich wpuszczę. Nie wiedziałem, jak się z tym czuć. Po raz pierwszy Gi mnie opuściła.

Ołówki, które mi dano do pisania, miały nie więcej niż kilka centymetrów i z trudem utrzymywałem je palcem wskazującym i kciukiem. Przypuszczalnie chodziło o to, żebym nie użył ich jako broni przeciw sobie lub komuś innemu. I były tępe. Po kilku próbach zaszokowania ich swoim niestosownym brakiem powagi porzuciłem pisanie. Zamiast tego trzeciego dnia zacząłem rysować na ścianach. Gdy już zużyłem wszystkie ołówki, usiadłem na materacu w rogu pokoju i czekałem.

Nadeszła pora obiadu i czekałem na przyście sanitariusza imieniem Chaz, potężnego czarnego mężczyzny z jamajskim akcentem. Podejrzewam, że przydzielono mi go, gdyż był większy i czarniejszy ode mnie. Zawsze to bezpieczniej. Przydzielić czarnemu czarnego. Typowa mentalność białych. Szczególnie w Utah, gdzie stosunek białych do czarnych wynosił tysiąc do jednego. Mniej więcej. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, ilu czarnych żyje w Utah. Wiedziałem tylko, że nie jest ich zbyt wielu.

Chaz stanął w wejściu jak wryty, a taca z moim obiadem uderzyła o podłogę.



GEORGIA

UMIEŚCILI MOJŻESZA w jakimś odległym szpitalu. Dwie godziny jazdy z Levan do Salt Lake. Zabrali Mojżesza i jego babcię tym samym ambulansem. Byłam przerażona, gdy myślałam, co musiał czuć, lecz uświadomiłam sobie, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Powiedzieli, że walczył. Że trzeba było trzech mężczyzn, żeby go obezwładnić. A potem nafaszerowali go środkami uspokajającymi.

Słyszałam, jak pada słowo „wariat”. „Szaleniec”. „Morderca”. Tak, to też. I zabrali Mojżesza.

Wszyscy mówili, że zabił swoją babcię, zjadł kawałek ciasta na Święto Dziękczynienia i pomalował dom. Ale chociaż się bałam — bałam się tego, co widziałam i czego nie rozumiałam — nie wierzyłam w to.

Przeprowadzono szczegółowe śledztwo w związku z jej śmiercią, ale nikt mi niczego nie wyjaśnił.

Mojżesz nie mógł przyjść na pogrzeb babci. Jej dalsza rodzina się zjawiała. Wszyscy płakali, jakby sami ją zabili. Siedzieli w ławach kaplicy w Levan i nie było żadnej celebracji, żadnego uczczenia dobrze przeżytego życia, chociaż Kathleen Wright na to zasługiwała. Przeżyła wielu swoich przyjaciół, ale nie wszystkich. Zjawilo się całe miasteczko, chociaż mój wściekły umysł podpowiadał mi, że wiele osób po prostu chciało z bliska zobaczyć sensację związaną z Mojżeszem Wrightem. Jaka matka, taki syn, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Mojżeszowi nie spodobałoby się to porównanie.

Josie Jensen zagrała na pianinie. To jedyne, co dobrze zapamiętałam. *Ave Maria*, zgodnie z ostatnią wolą Kathleen. Josie była swego rodzaju gwiazdą w miasteczku z racji swojego talentu muzycznego. Była zaledwie trzy lata starsza

ode mnie, lecz patrzałam na nią z podziwem. Była wszystkim, czym ja nie byłam. Cicha, miła. Dystyngowana. Kobieca. Utalentowana muzycznie. Coś nas jednak łączyło. Obie straciłyśmy miłość, chociaż prócz mnie nikt o tym nie wiedział. Widywano mnie z Mojżeszem, ale tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, jak się czułam.

Ludzie nadal mówili o Josie, chociaż mieli przy tym smutne oczy i potrząsali głowami. Osiemnaście miesięcy temu Josie Jensen straciła narzeczonego w wypadku samochodowym. Podobnie jak pani Murray, tyle że Josie była zaręczona z chłopcem z okolicy i miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Miasteczko na pewien czas oszalało. Niektórzy mówili, że Josie też na pewien czas oszalała, chociaż szaleństwo jest kwestią subiektywną. Można szaleć z rozpaczy, lecz wcale nie być tak naprawdę szalonym.

Mama zapisała mnie na lekcje pianina u Josie, gdy miałam trzynaście lat. Staralam się, ale szybko się okazało, że nie wszyscy urodzili się z tym samym talentem i że nie będzie ze mnie pianistki. Zastanawiałam się, czy Mojżesz namalował gdzieś w miasteczku twarz narzeczonego Josie. Niedobrze mi się robiło na samą myśl.

Tydzień po pogrzebie Kathleen szeryf Dawson wpadł do nas, żeby oficjalnie mi powiedzieć, że nie mają pojęcia, kto mnie związał w ostatni dzień imprezy. Nie byliśmy zaskoczeni. Zaskoczyło nas jedynie to, że w ogóle wpadł, żeby to powiedzieć. Minęło już parę miesięcy, nie było żadnych tropów poza Terrence'em Andersonem, który okazał się ślepym zaułkiem, i chociaż szeryf Dawson nie potrafił tego w żaden sposób udowodnić, wydawał się mieć pewność, że był to po prostu nieudany żart.

Nie miałam siły, żeby się tym przejmować. W moim życiu doszło do nowej tragedii. Tamta noc na imprezie była niczym w porównaniu z tym, że Mojżesza nafaszerowano środkami uspokajającymi i zabrano gdzieś daleko. Tamta noc była niczym w porównaniu z tym, że okryta koronkową narzutą Kathleen Wright leżała martwa na podłodze w kuchni, a na blacie, jakby nigdy nic, leżały ciasta na Święto Dziękczynienia. Tamta noc była niczym w porównaniu z chaosem, w jakim byłam pogrążona.

Wtedy też, gdy szeryf Dawson siedział w naszej kuchni jak w tamtą noc po imprezie, dowiedziałam się, że babcia Mojżesza umarła na wylew. Żadne morderstwo. Wylew. Rodzice odchyliłi się na krzesłach z ulgą, nie spoglądając na mnie, bo nie mieli pojęcia, ile te słowa dla mnie znaczą. Przyczyna naturalna. Mojżesz nie zrobił jej krzywdy. On po prostu ją znalazł, tak jak ja jego, i poradził sobie z tym tak, jak radził sobie ze śmiercią. Namalował ją.

— To znaczy, że go wypuszczą? — spytałam.

Rodzice i szeryf Dawson spojrzeli na mnie zaskoczeni. Wyglądali, jakby zapomnieli, że jestem.

— Nie wiem — odparł szeryf asekuracyjnie.

— Mojżesz był moim przyjacielem. Być może nawet byłem jego jedyną przyjaciółką. Nie zabił Kathleen. Dlaczego więc nie może wrócić do domu? — Mój głos był przesycony emocjami, lecz moi rodzice wzięli to za traumę powypadkową. W końcu widziałam śmierć z bliska.

— On nie za bardzo ma dom, do którego mógłby wrócić. Chociaż słyszałem, że Kathleen zapisała mu swój razem z całym dobytkiem. Z tego, co mi wiadomo, skończył osiemnaście lat, więc może decydować o sobie.

— Nie jest już w szpitalu. Nie miał żadnych obrażeń. To gdzie on teraz jest? — dopytywałam.

— Nie wiem dokładnie...

— Owszem, wie pan, szeryfie. Proszę mi powiedzieć. Gdzie on jest? — Nie odpuszczałam.

— Georgia! — Mama poklepała mnie po ramieniu, każąc mi się uspokoić.

Szeryf Dawson założył swój kowbojski kapelusz i zdjął go z powrotem. Wyglądał, jakby nie chciał mi powiedzieć, ale było to dla niego udręką.

— Siedzi w więzieniu?

— Nie. Nie siedzi. Został zabrany do innego ośrodka w Salt Lake City. Jest na oddziale pomocy psychologicznej.

Gapiałam się na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

— Chodzi o szpital psychiatryczny, Georgio — powiedziała łagodnie mama.

Spojrzałam oniemiała na beznamiętne twarze rodziców, a szeryf Dawson wstał nagle, jakby to wszystko wykroczyło poza zakres jego kompetencji. Ja także wstałam, bo nagle poczułam mdłości. Drżały mi nogi. Udało mi się dotrzeć do łazienki, nie biegnąc, i nawet zarygłowałam za sobą drzwi, zanim zwymiotowałam kawałek ciasta wmuszony przez moją mamę, gdy przygotowywała poczęstunek dla szeryfa. Ciasto kojarzyło mi się z Kathleen Wright i środkami uspokajającymi.



MOJŻESZ

— MOŻESZ MI WYJAŚNIĆ, CO OZNACZAJĄ TE RYSUNKI?

Westchnąłem ciężko. Lekarka o azjatyckich korzeniach w jasnobrązowym

blezerze, nosząca z zarozumiałością okulary, których zapewne w ogóle nie potrzebowała, patrzyła na mnie znad oprawek. W ręce miała ołówek, żeby robić notatki na temat mojej psychicznej degrengolady.

— Musisz zacząć ze mną rozmawiać, Mojżeszu. To wszystko będzie łatwiejsze dla nas obojga.

— Chciała pani, żebym powiedział, co się wydarzyło w domu mojej babci. I to właśnie się wydarzyło. — Wskazałem ręką ścianę.

— Czy ona nie żyje? — spytała, patrząc na scenę śmierci mojej babci.

— Tak.

— Jak umarła?

— Nie wiem. Leżała na podłodze w kuchni, gdy wróciłem rano do domu.

Mogłem się domyślić, że umrze. Widziałem znaki. W noc przed jej śmiercią widziałem go, jak krążył wokół niej. Martwy mężczyzna, który wyglądał jak ten z fotografii ślubnej Gi. Mój pradziadek. Widziałem go dwa razy, jak stał przy jej prawym ramieniu, gdy drzemała w fotelu. A potem zobaczyłem go znowu tuż za nią, kiedy wałkowała kruche ciasto w środę po południu, a ja wychodziłem do starego młyna, żeby dokończyć rozbiórkę. On na nią czekał.

Ale nie powiedziałem o tym lekarce. Chociaż może powinienem. A potem dodałbym, że za jej ramieniem też stoi ktoś, kto czeka na jej śmierć. Może ogarnęłoby ją przerażenie i dałaby mi spokój. Ale za jej ramieniem nikt nie stał, więc ugryzłem się w język, gdy patrzyła na mnie wyczekująco.

Potem przez minutę coś notowała.

— Jak się wtedy poczułeś?

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem. Ona pyta na poważnie? Jak się wtedy poczułem?

— Smutno — odparłem, robiąc zasmuconego marsa na czole i trzepocząc powiekami w odpowiedzi na jej niedorzeczne, sztamkowe pytanie.

— Smutno — powtórzyła sucho.

— Bardzo smutno — poprawiłem się tym samym tonem.

— O czym pomyślałeś, gdy ją zobaczyłeś?

Wstałem z krzesła i podszedłem do ściany. Oparłem się o nią, całkowicie zasłaniając babcię przed klinicznym spojrzeniem lekarki. Zamknąłem oczy na chwilę, sięgnąłem do środka, tylko nieznacznie rozdzielając wody. Skupiłem się na błyszczącej czarnej głowie lekarki i jej włosach ściągniętych w idealny niski kucyk.

Zadała mi jeszcze kilka pytań, ale ja byłem skupiony na tworzeniu szczeliny w

wodzie. Chciałem znaleźć coś, po czym uciekłyby z krzykiem. Coś prawdziwego.

— Miała pani siostrę bliźniaczkę? — zapytałem nagle, gdy w moim umyśle pojawił się obraz dwóch identycznie ubranych azjatyckich dziewczynek z warkoczykami.

— C-co? — wykrztusiła zdumiona.

— Albo kuzynkę w tym samym wieku. Nie. Nie. Ona jest pani siostrą. Nie żyje, prawda? — Założyłem ramiona i czekałem, pozwalając na napływ obrazów.

Lekarka zdjęła okulary i spojrzała na mnie, marszcząc brwi. Musiałem jej to przyznać, że niełatwo nią było wstrząsnąć.

— Miałeś dzisiaj gościa. Georgia Shepherd. Nie ma jej na twojej liście. Może wolałbyś porozmawiać o niej? — odparowała, próbując zbić mnie z tropu.

Poczułem skurcz w sercu, kiedy usłyszałem jej imię, ale odepchnąłem ją i oddałem cios.

— Jak się pani czuła, tracąc siostrę w taki sposób? — spytałem, patrząc lekarce prosto w oczy. — Była stuknięta jak ja? To dlatego chciała pani pracować ze stukniętymi ludźmi? — Błysnąłem dzikim uśmiechem w stylu Jacka Nicholsona, a ona gwałtownie wstała, przeprosiła mnie i wyszła.

Po raz pierwszy w życiu zrobiłem coś takiego. Było to dziwne i w jakiś sposób wspaniałe. Musiałem przestać się przejmować tym, czy ktoś mi uwierzy. Nigdy nie wyjdę z psychiatryka, pogodziłem się z tym. Przynajmniej byłem tu bezpieczny. Gi już nie ma. Georgii też. Dopilnowałem tego. To jedyne, co mogłem teraz dla niej zrobić. Widziała, jak ładują mnie do karetki. Walczyłem. Ale mimo że cały świat wirował, przez wilgotne oczy widziałem jej przerażoną, usmarowaną farbą twarz. Płakała. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętam, nim zapadła ciemność.

Teraz byłem tutaj. I przestałem się przejmować. Wszystko było kwestią przecieków przez pęknięcia. Georgia prowokowała mnie, mówiąc, że jestem pęknięty, żeby geniusz mógł się ze mnie wylewać. Więc pozwalałem na te przecieki geniuszu i brutalności.

Robiłem tak przez następne kilka tygodni. Najtrudniej było wtedy, gdy terapeuta lub lekarz nikogo nie stracili. Zdarzali się tacy ludzie, a ja nie miałem po drugiej stronie nikogo do wykorzystania przeciwko nim. Powiedzieć, że wstrząsnąłem całym piętnem, byłoby niedopowiedzeniem. Próbowali naprawić moje pęknięcia lekami, jak wszyscy przez całe moje życie, ale leki tylko pogłębiały szczeliny i wpędzały mnie w otępienie. Żaden ze środków nie powstrzymał napływu obrazów. A ja zacząłem mówić bez ogródek o tym, co widziałem. Nie robiłem tego z miłości lub współczucia, lecz dlatego, że kompletnie przestałem się tym przejmować. Nie przedstawiałem im też tych obrazów delikatnie. Waliłem prosto z mostu, w stylu Georgii. Prosto w twarz, bez owijania w bawełnę.



GEORGIA

MAMA MIAŁA ZNAJOMOŚCI ze względu na pracę z trudnymi dziećmi i znalazła Mojżesza na moją prośbę. Nie sądzę, że chciała to zrobić. Ale zrobiła to, niezależnie od tego, czy powodowało ją współczucie dla trudnych dzieci czy szacunek dla Kathleen Wright. Musiałyśmy być na liście, żeby móc go odwiedzić. Lista składała się z lekarzy, najbliższej rodziny i osób wybranych przez Mojżesza.

Za pierwszym razem mama pojechała ze mną. Czekałyśmy w zewnętrznej recepcji, kiedy nasze nazwiska zostały przekazane do recepcji na innym piętrze. Był to budynek z wieloma piętrami, kodami i klawiaturami. Nie udało nam się dotrzeć dalej. Nie byliśmy krewnymi, a Mojżesz nie wpisał mnie na swoją listę. Zastanawiałam się, czy odwiedził go ktoś z rodziny. Nie sądzę. Mama poklepała mnie po dłoni i powiedziała, że przypuszczalnie tak będzie najlepiej. Przytaknęłam, ale wiedziałam, że tak wcale nie będzie najlepiej dla Mojżesza. Będę próbowała dalej bez niej.

Uciekłam z lekcji i ruszyłam swoją Myrtle do Salt Lake, aby podjąć kolejną próbę wejścia. Albo wyjścia. Zabrałabym go ze sobą, gdyby się na to zgodził. Dojazd moim cholernym samochodem zajął mi trzy godziny. Musiałam jechać powolnym pasem, chociaż pedał gazu miałam wciśnięty w podłogę, a Myrtle trzęsa się bardziej niż ja. Przekonywałam nas do tego przedsięwzięcia, poklepując ją po desce rozdzielczej i mówiąc, że przecież nie ma się czego bać. Zrobimy to powoli. Samochody osobowe i ciężarówki mijały mnie z rykiem klaksonów, a kierowcy wymachiwali pięściami. Ale dojechałam. Tydzień później również. I tak co tydzień przez miesiąc. Za każdym razem Myrtle nie potrafiła opanować nerwów, a Mojżesz mnie nie wpuszczał.

W siódmy tydzień z rzędu do recepcji przyszła kobieta, która zaprowadziła mnie do prywatnego pokoju spotkań. Mój puls przyspieszył i spocily mi się dłonie z podekscytowania. Miałam nadzieję, że w końcu będę mogła spotkać się z Mojżeszem. Musiałam się z nim spotkać. Musiałam z nim porozmawiać.

— Georgia?

Kobieta spojrzała na swój notatnik i uśmiechnęła się do mnie, chociaż widać było po niej, że wolałaby mieć to już za sobą. Jeśli była terapeutką lub psychologiem, powinna popracować nad swoją pokerową twarzą. Była zniecierpliwiona i nieznacznie marszczyła brwi z irytacji. Może dlatego, że miałam kowbojki, dzinsy i długi, huśtający się warkocz. Przypuszczalnie wyglądałam na kogoś,

kogo łatwo zbyć i odesłać.

— Tak? — odpowiedziałam.

— Nie jesteś na liście Mojżesza.

— Wiem, proszę pani. Słyszałam to wielokrotnie.

— To dlaczego wciąż przyjeżdżasz? — Uśmiechnęła się znowu, ale prócz tego spojrzała na zegarek.

— Bo Mojżesz jest moim przyjacielem.

— On najwyraźniej tak nie uważa.

Ból w piersi, który był teraz moim stałym towarzyszem, urósł jeszcze bardziej. Przyjrzałam się lekarce. Wyglądała strasznie sztywno w tym swoim białym kitlu. Założę się, że uwielbia go nosić. Przypuszczalnie czuje w nim, że ma władzę. Zastanawiałam się, czy celowo sprawiła mi ból czy po prostu jest lekarzem, który nie ma problemu z przekazywaniem złych wieści.

— Georgio?

Chyba oczekiwała, że odpowiem na jej stwierdzenie. Walczyłam z pragnieniem potarcia dłońmi dzinsów, co było moim nerwowym nawykiem. Dzins działał na mnie uspokajająco.

— Nigdy tak nie uważał. Zawsze mnie odpychał. Ale on nie ma nikogo innego. — Mój głos nie brzmiał zbyt mocno, co chyba sprawiało jej przyjemność.

— On ma nas. Dobrze się nim opiekujemy. Zrobił znaczne postępy.

To była dobra wieść. Znaczne postępy były dobre. Ból w piersi nieco zelżał.

— I co dalej? — wzruszyłam ramionami. — Co z nim teraz będzie?

— W tej chwili zależy to od niego. — Cóż za cudownie wymijająca odpowiedź.

— A mogę do niego napisać? Mogłaby pani przekazać mu list ode mnie? Czy to byłoby w porządku?

— Nie, Georgio. Mojżesz ma przyznany przywilej telefonowania. Nie dzwonił do ciebie, prawda?

Potrząsnęłam głową. Nie. Nie dzwonił.

— Jest niewzruszony. Nie chce cię widzieć i nie chce się z tobą komunikować. A my honorujemy te jego pragnienia, jeśli to możliwe. Ma kontrolę nad niewieloma kwestiami i taka jest jego wola.

Nie rozplacę się przed tą kobietą. Nie mogę. Wyjęłam z torebki list do Mojżesza, położyłam go na stole przed lekarką i wstałam. Może przekazać go Mojżeszowi, wyrzucić lub przeczytać swoim okropnym dzieciom do snu. Niech się pośmieją z mojego bólu. Razem z Mojżeszem. Oddałam decyzję w ręce

lekarki. Ja zrobiłam wszystko, co w mojej mocy. Ruszyłam w stronę drzwi.

— Georgio? — zawołała za mną.

Zwolniłam, lecz się nie odwróciłam.

— On wie, gdzie cię znaleźć, prawda?

Pchnęłam drzwi.

— Może do ciebie przyjedzie. Może cię odwiedzi, gdy zostanie wypisany.

Ale nie przyjechał. Ani wtedy, ani później, przez długi, długi czas.

XI

MOJŻESZ

ZOSTAŁEM PRZENIESIONY DO POKOJU bez poduszek, co było miłe, bo nie musiałem już malować nad nimi. Kazali mi przestać malować, ale skoro nie wiązali mi rąk, bo nie byłem „agresywny”, to nie miałem zamiaru się podporządkować. Przynosili mi puste kartki i pozwalali rysować zamiast pisać, pod warunkiem że będę opowiadał o tym, co narysowałem, i zostawię ściany w spokoju. Nie lubiłem interpretować swoich rysunków, lecz było to lepsze niż opowiadanie historii, które najłatwiej przekazać za pomocą obrazów.

W końcu dopuszczono mnie do sesji grupowych, a na drugiej lub trzeciej Molly postanowiła powrócić. Pojawiła się nagle, przemykając na peryferiach wizji. Osoba, która miała się już nie pojawić. Osoba, za którą nie tęskniłem. Osoba, która przypominała mi o Georgii. I sprawiła, że stałem się jeszcze bardziej drażliwy niż zwykle. Zacząłem rozglądać się za okazją do tego, by odesłali mnie do pokoju.

Na sesji grupowej pełno było wrażliwych ludzi, których mogłem sterroryzować. Dorośli w każdym wieku, z wszelkiej maści zaburzeniami i problemami. Ich cierpienia i rozpacz były jak dudniąca atramentowa czerń pozbawiona jakichkolwiek barw i świateł, które dawałyby nadzieję lub możliwość ucieczki. Miałem osiemnaście lat. W zależności od opinii lekarzy niektórzy osiemnastolatkowie byli traktowani jak nieletni, lecz ja po przywiezieniu zostałem umieszczony razem z dorosłymi. Oddział dla dzieci był chyba piętro niżej. Cieszyłem się, że tam nie trafiłem, bo wśród dzieci trudniej być okrutnym.

Sesję prowadził doktor Noah Andelin, psycholog z zadbaną brodą, którą zapuścił przypuszczalnie po to, by wyglądać na starszego. Gładził ją, gdy nad czymś myślał. Nadawała mu aurę melancholii. Był o wiele za młody na doktora i o wiele za młody na taką powagę. I smutek. Miał najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Czuję się przy nim niekomfortowo. Przy nim też trudno mi było zachować się okrutnie, a musiałem to zrobić. Jeśli chciałem zostać sam, musiałem być okrutny. Wybierałem terapeutów i sanitariuszy, gdy była taka możliwość, a gdy nie było, wybierałem pacjentów, którzy czepiali się wszystkich innych. Niestety, najczęściej były to osoby, które dotknęła największa strata. Zazwyczaj kończyło się to tak, że gryzłem się w język i odpychałem ich zmarłych. Byłem palantem, ale nie dręczycielem.

Siedziałem tam z szeroko otwartym przejściem i wypatrywałem amunicji, gdy nagle Molly przestała przemykać na peryferiach i zawirowała tuż przed moimi oczami. Falujące blond włosy i te same obrazy co poprzednio. Z trudem

powstrzymałem jęk. Nie tego chciałem. Potem ruszyła po obrzeżach naszego kręgu i zatrzymała się między dwoma mężczyznami naprzeciw mnie, patrząc na mnie wyczekująco.

— Kto zna dziewczynę o imieniu Molly? — wypaliłem bez namysłu.

Doktor Andelin przerwał w połowie zdania.

— Mojżeszu, czy jest coś, czym chciałbyś się z nami podzielić? — spytał delikatnym głosem, jak zawsze. Tak delikatnym i uprzejmym, że miałem ochotę chwycić go za poły marynarki i rzucić nim o ścianę.

Sprawiał wrażenie, jakby miał gdzieś w sobie ukryty ogień. Próbował ukryć swoją budowę ciała pod niedorzecznymi tweedowymi marynarkami z łątami na łokciach, jak nauczyciel z liceum z lat czterdziestych. Brakowało mu tylko fajki. Nie był jednak słabeuszem. Przyjrzałem mu się dokładnie. Robiłem to nawykowo. Kto może mnie skrzywdzić? Kto stanowi dla mnie zagrożenie fizyczne? I Noah Andelin, ze swoimi smutnymi oczami i wypiełęgowaną bródką, był odpowiedzią na oba te pytania, wiedziałem o tym.

Gdy tylko słowa opuściły moje gardło, poczułem się głupio. Molly nie była związana z nikim z tej grupy. Pojawiła się tu, bo... Nie miałem pojęcia dlaczego.

— Co powiedziałeś?

Pytanie zadał mężczyzna na lewo od Molly, który wyglądał na kogoś w moim wieku, na granicy kwalifikacji na piętro dla dorosłych. Miał bystre zielone oczy, lecz siedział w wyluzowanej pozycji z dłońmi swobodnie splecionymi na kolanach. Zauważyłem długą poszarpaną bliznę, która zaczynała się na nadgarstku, a kończyła w połowie przedramienia. Sądząc po niej, naprawdę mocno pragnął zakończyć swoje życie.

— Molly. Znasz dziewczynę o imieniu Molly? Martwą dziewczynę o imieniu Molly? — Powinienem być pożyczyc trochę uprzejmości i delikatnego podejścia od doktora Andelina, ale tego nie zrobiłem, tylko spytałem wprost.

Chłopak zerwał się z krzesła i w ułamku sekundy znalazł się przy mnie. Byłem tak zaskoczony, że nie zdążyłem zareagować. Chwycił mnie za koszulę i podniósł. Stałem twarzą w twarz z wściekłym zielonookim diabłem.

— Ty skurwielu! — wycedził prosto w moją twarz. — Lepiej gadaj, skąd wiesz cokolwiek o mojej siostrze!

Jego siostrze? Molly była jego siostrą? Moja głowa obróciła się bezwładnie, gdy znowu mnie pchnął. Tym razem nie domagał się odpowiedzi, tylko chciał mnie przewrócić. Upadliśmy obaj, przewracając krzesło, a ja zapomniałem o Molly i cieszyłem się, że to z siebie wyrzuciłem. Uderzyliśmy o ziemię, okładając się pięściami, a otaczający nas ludzie zaczęli krzyczeć.

Mało brakowało, a zaśmiałbym się na głos, gdy trafiłem go w żołądek.

Natychmiast mi oddał, a moje wyszczerzone w uśmiechu zęby jeszcze bardziej go rozwścieczyły. Zapomniałem, jak bardzo lubiłem się bić. Brat Molly też chyba to lubił, bo potrzeba było Chaza i trzech innych mężczyzn, żeby nas rozdzielić. Nie umknęło mi, że Noah Andelin bez wahania włączył się w akcję i że to on siedział mi na plecach, przyciskając mi twarz do ziemi, żeby mnie obezwładnić. W pokoju panował chaos, ale wśród poprzewracanych krzeseł i innych sanitariuszy, którzy wypraszaali pozostałych pacjentów, widziałem brata Molly w tej samej pozycji co ja, z twarzą skierowaną w moją stronę, policzkiem do linoleum w szare cętki.

— Skąd o niej wiesz? — spytał, patrząc mi prosto w oczy. Otaczający nas zgiełk nieco przycichł. — Skąd znasz moją siostrę?

— Tag, dosyć! — warknął doktor Andelin, zupełnie wyzbyty swej słodyczy i delikatności.

Tag? Co to za imię?

— Moja siostra zaginęła ponad rok temu, a ten skurwiel zachowuje się tak, jakby coś o tym wiedział! — Tag zignorował polecenie doktora Andelina i wrzeszczał dalej: — Myślisz, że się zamknę? To pomyśl jeszcze raz, doktorku!

Podnieśli nas obu na nogi. Doktor Andelin polecił Chazowi i innemu, nieznanemu mi sanitariuszowi, by zostali, a wszystkich pozostałych wyprosił. Za nami została jeszcze pulchna terapeutka, brunetka o imieniu Shelly, która wyglądała, jakby miała dokumentować całe spotkanie. Doktor Andelin podniósł trzy krzesła na środku i kazał nam usiąść. Chaz stanął za Tagiem, a drugi sanitariusz za mną. Noah Andelin usiadł w tej samej odległości od nas obu. Miał zakasane rękawy koszuli i trochę krwi na wardze. Chyba walnąłem go przez przypadek. Chaz podał mu chusteczkę. Doktor osuszył wargę, po czym wyprostował się na krześle i zmierzył nas wzrokiem.

— Mojżesz, chcesz wyjaśnić Tagowi, co miałeś na myśli, gdy spytałeś, czy ktokolwiek zna dziewczynę o imieniu Molly?

— Martwą dziewczynę o imieniu Molly! — syknął Tag. Chaz poklepał go po ramieniu, żeby się uspokoił, i Tag zaklął z furją.

— Nie wiedziałem, że to jego siostra. Nie znam go. Ale widywałem dziewczynę o imieniu Molly z przerwami przez prawie pięć miesięcy.

Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę.

— Widywałeś ją? To znaczy, że byliście z Molly razem? — spytał doktor Andelin.

— To znaczy, że jest martwa, a wiem to dlatego, że przez ostatnie pięć miesięcy mogłem ją widywać — powtórzyłem cierpliwie.

Furia na twarzy Taga przybrała niemal komiczny wyraz.

— W jaki sposób ją widywałeś? — głos doktora Andelina był beznamiętny, a jego

spojrzenie zimne.

Odpowiedziałem mu takim samym spojrzeniem i tonem głosu.

— W taki sam sposób, w jaki widzę pańską zmarłą żonę, doktorze. Bez przerwy pokazuje mi osłonę przeciwsłoneczną w samochodzie, śnieg i kamyki na dnie rzeki. Nie wiem dlaczego. Ale podejrzewam, że pan potrafiłby mi to wyjaśnić.

Doktor Andelin otworzył ze zdumienia usta i pobladł.

— O czym ty mówisz? — wykrztusił.

Czekałem na dobrą okazję, by to wykorzystać, ale ta chwila była równie odpowiednia, jak każda inna. Może jego żona odejdzie i będę mógł się skupić na wyrzuceniu Molly na dobre.

— Podążała za tobą przez całą sesję. Zbyt mocno za nią tęsknisz i ona się o ciebie martwi. U niej wszystko w porządku... ale u ciebie nie. Wiem, że jest twoją żoną, bo pokazała mi, jak czekasz na nią przy ołtarzu. W dzień ślubu. Twój smoking miał trochę za krótkie rękawy.

Staralem się brzmieć nonszalancko, żeby wytrącić go z roli psychologa. Kopałem w jego życiu, żeby przestał kopać w mojej głowie. Ale dotkliwa rozpacz, która przetoczyła się przez jego twarz, kazała mi przestać i złagodzić głos. Widząc jego cierpienie, nie byłem w stanie tego ciągnąć. Zawstydziłem się i spuściłem wzrok. Przez kilka sekund w pomieszczeniu było cicho jak na cmentarzu. Całkiem słusznie, bo wszędzie unosili się zmarli. W końcu doktor Andelin odzyskał głos.

— Moja żona Cora jechała samochodem z pracy. Policja podejrzewa, że oślepiło ją słońce odbijające się w śniegu. Coś jak błysk flesza, po którym przez chwilę nic się nie widzi. Uderzyła w barierkę. Samochód wylądował w rzece dachem do góry. I... utonęła.

Przekazał to suchym, rzeczowym tonem, lecz ręce mu drżały, kiedy gładził się po brodzie.

W którymś momencie podczas tej opowieści furia Taga opadła. Patrzył to na mnie, to na doktora Andelina z dezorientacją i współczuciem. Cora Andelin wcale jednak nie zniknęła, bo zaczęła się zachowywać tak, jakby nie miała ani chwili do stracenia, skoro już zdobyłem uwagę doktora.

— Masło orzechowe, płyn do zmiękczenia tkanin Downey, Harry Connick junior, parasolki... — urwałem, bo następny obraz był bardzo intymny. Postanowiłem jednak mimo wszystko dokończyć: — Pańska broda. Uwielbiała ją czuć, gdy... — Musiałem przerwać. Uprawiali seks, a ja nie miałem ochoty oglądać nagiej żony tego faceta. A tym bardziej *jego*. Ale to właśnie jego pokazywała mi żona. Wstałem gwałtownie, bo nie potrafiłem już usiedzieć na miejscu. Za dużo informacji, Coro Andelin. O wiele za dużo.

Sanitariusz nerwowo pchnął moje ramiona w dół, każąc mi usiąść. Zastanawiałem się, czy mu nie przywalić, ale westchnąłem tylko. Chwila minęła i nikt już nie miał ochoty się szamotać. Nawet Tag, który wyglądał, jakby właśnie doznał całkowitego wykasowania umysłu, i patrzył na mnie osłupiały.

Doktor Andelin dał się złapać. Jego niebieskie oczy były zamglone wspomnieniami i czymś jeszcze. Wdzięcznością. Jego niebieskie oczy były przepełnione wdzięcznością.

— To były jej ulubione rzeczy. W dzień ślubu szła do ołtarza przy piosence Harry’ego Connicka. I faktycznie miałem trochę za krótkie rękawy. Zawsze się z tego śmiała i mówiła, że to typowy ja. A jej kolekcja parasoli była po prostu nedorzecznie pokaźna — wyznał łamiącym się głosem i spuścił wzrok na swoje dłonie.

W pomieszczeniu zrobiło się gęsto od współczucia i takiej namiętności, że gdyby pozostała piątka widziała to, co ja, odwróciłaby wzrok, żeby dać kochankom chwilę dla siebie. Niestety, tylko ja widziałem, jak żona Noaha Andelina pogłaskała jego pochyloną głowę, a potem jej miękkie kontury rozpląnęły się w blasku późnego popołudnia. Okna pokoju wychodziły na zachód i chociaż w stanie Utah wiele rzeczy mi się nie podobało, zachody słońca z pewnością do nich nie należały. Cora Andelin wtopiła się w zachód słońca. Nie sądzę, żebym ją jeszcze kiedyś zobaczył. Mimo że nic nie namalowałem.

— Jeśli wiesz to wszystko o żonie doktora Andelina, to chcę z tobą porozmawiać o Molly — szepnął Tag, poprawiając krzesło i przenosząc wzrok z doktora na mnie.

Noah Andelin wstał. Nie patrzałem mu w twarz. Nie chciałem wiedzieć, czy był zdruzgotany, chociaż czułem się trochę zawiedziony sobą. Gdzie się podział twarde, którym postanowiłem być?

— Tag, obiecuję, że do tego wrócimy. Ale nie teraz. Nie teraz. — Andelin skinął na sanitariuszy, którzy wyglądali na równie wstrząśniętych, i zostaliśmy wyprowadzeni z pokoju.



GEORGIA

DZIWIŁO MNIE TO, za czym tęskniłam. Tęskniłam za jego ustami, zielonymi oczami i tym, że potrafił być słodki, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Tęskniłam za zagłębieniem szyi, w którym chowałam twarz, gdy się

przytulaliśmy. Tęskniłam za tym, jak obracał pędzel w palcach, i za tym, że jego uśmiech był z jednej strony nieco szerszy. Tęskniłam za błyskiem jego białych zębów i „diabelską iskrą w oku”, jak mawiała jego babcia. Całkowicie się z nią zgadzałam. Mojżesz miał niegrzeczną iskrę w oczach, gdy był rozluźniony, gdy się śmiał lub gdy mnie drażnił. Desperacko za tym tęskniłam.

Najgorsze było jednak to, że nie mogłam go opłakiwać. Musiałam ukrywać swoje uczucia, w czym nigdy nie byłam dobra. W mojej rodzinie mówiono: „Gdy Georgia jest nieszczęśliwa, wszyscy są nieszczęśliwi”. A ja byłam nieszczęśliwa. I zdruzgotana. W miasteczku nadal huczało po śmierci Kathleen i chociaż Mojżesz nie udusił jej we śnie ani nie poderżnął jej gardła, wszyscy zachowywali się, jakby tak właśnie zrobił. Moi rodzice też. Mojżesz był dziwny, a dziwność jest zawsze podejrzana. Dziwność jest przerażająca i niewybaczalna. Odkryłam jednak, że za tym także tęsknię. Za tą jego dziwnością, wspaniałością i odmiennością od wszystkich znanych mi osób. I tych, które jeszcze poznam. Lecz jego już nie było.

Zostałam zaproszona na bal maturalny, który miał się odbyć w ostatnią sobotę stycznia. Ze wszystkich możliwych facetów zaprosił mnie Terrence Anderson. Chyba uznał, że jednak lubi wysokie dziewczyny. Albo po prostu chciał wzbudzić zazdrość Haylee, która zerwała z nim na początku roku szkolnego. Chciałam mu odmówić. Mogłam przebierać w wymówkach, ale mama powiedziała, że to byłoby niegrzeczne i że po tym wszystkim, co się stało, powinnam być wdzięczna, że ludzie zaczynają się z tym oswajać. Wybuchłam histerycznym śmiechem i mama kazała mi iść do pokoju, przekonana, że zachorowałam. Płakałam tak długo, aż zasnęłam, a następnego dnia wcale nie poczułam się lepiej.

Przyjęłam zaproszenie Terrence'a, ale poszłam w czarnej sukience, bo byłam w żałobie. Założyłam też najwyższe szpilki, jakie znalazłam, żeby czuł się głupio. To nie było nic złego, skoro on mnie wykorzystywał. Nie zamierzałam mu tego ułatwiać. Tamtej nocy, gdy siedziałam na trybunach szkolnej sali gimnastycznej obok kipiącego ze złości Terrence'a i obserwowałam tańczące pary, tęskniłam za Mojżeszem jak nigdy. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, jak wyglądałby w smokingu lub garniturze, a ja mogłabym założyć nawet dziesięciocentymetrowe szpilki i wciąż byłabym od niego niższa. Miałam też wrażenie, że spodobałaby mu się moja czarna sukienka i to, jak zmieniało się moje ciało.

Terrence gapił się w moją pełniejszą klatkę piersiową z szyderczym uśmiechem, a ja uświadomiłam sobie, że mój plan przyniósł odwrotny skutek, bo moje piersi były praktycznie na poziomie jego wzroku. Postanowiłam więc tańczyć boso i udawać, że Terrence Anderson jest Kennym Chesneyem, słynnym piosenkarzem country, który był bardzo przystojny, chociaż nie grzeszył wzrostem. Niestety, odkryłam, że mój gust kompletnie się zmienił. Nawet najprzystojniejsi kowboje i piosenkarze country spadli na dalsze miejsca na rzecz ekscentrycznych

artystów osadzonych w szpitalach psychiatrycznych.

XII

MOJŻESZ

NIE WRÓCILIŚMY DO TEGO od razu. Nie w obecności doktora Andelina. Ja i Tag zostaliśmy umieszczeni w izolatkach za tę naszą bójkę. Nie wolno nam było z nich wychodzić, a ja znowu zacząłem prowadzić obrazkowy dziennik, rysując swoje „myśli i uczucia”. Doktor Andelin przyniósł mi kilka szkicowników. Dobrych. Nie żaden papier do drukarki. I kilka woskowych ołówków. Nie sądzę, żeby pytał o pozwolenie. Chyba w ten sposób mi dziękował. Wolałem niewerbalne podziękowanie niż jakiegokolwiek słowa, szczególnie że nie miałem zamiaru go uszczęśliwić. Zadbalem jednak o to, żeby na własny sposób wyrazić mu swoją wdzięczność.

Rysowałem tak długo, aż palce mi zdrętwiały i nie potrafiłem skupić wzroku. Ale miałem całą stertę obrazków i portretów. Parasolki, kamyki w strumyku i Noah Andelin ze swoją zadbaną bródką śmiejący się do kobiety, która odeszła, lecz nie została zapomniana. Gdy pokazałem mu te obrazki na najbliższej wizycie, wziął je z namaszczeniem i przez całe spotkanie przeglądał w milczeniu. To była nasza najlepsza sesja.

Trzeciego dnia Tag wparował do mojej izolatki i zamknął za sobą drzwi.

Spojrzałem na niego złowrogo. Zdziwiło mnie, że drzwi były otwarte. Ja nawet nie spróbowałem ich otworzyć. Było mi głupio, że siedziałem trzy dni w pokoju z otwartymi drzwiami.

— Patrolują korytarz co kilka minut, i tyle. To było niedorzecznie proste. Powiniennem być przyjsć wcześniej — stwierdził, siadając na moim łóżku. — Jestem David Taggart, nawiasem mówiąc. Ale możesz mi mówić Tag. — Nie zachowywał się, jakby chciał sprowokować bójkę, co lekko mnie rozczarowało.

Jeśli nie zamierzał się bić, to wolałem, żeby sobie poszedł. Bez słowa wróciłem do rysunku, nad którym pracowałem. Czułem obecność Molly tuż za morzem. Jej obraz migotał za ścianami wody. Westchnąłem ciężko, bo miałem już jej dość. A jeszcze bardziej miałem dość jej brata. Oboje byli niewiarygodnie uparci i odpychający.

— Jesteś stukniętym skurwielem — obwieścił bez ogródek.

Nawet nie podniosłem głowy znad rysunku, który wykańczałem ogryzkiem ołówka woskowego. Staralem się zapewnić sobie stałe dostawy. Moje zapasy zbyt szybko się kończyły.

— Tak mówią ludzie, prawda? — ciągnął. — Że jesteś stuknięty. Ale ja tego nie kupuję, stary. Już nie. Ty nie jesteś stuknięty, tylko masz zdolności. Szalone

zdolności.

— Szalone, stuknięte. Czy to nie przypadkiem to samo? — mruknąłem. Geniusz i szaleństwo są sobie bliskie. Zastanawiałem się, o jakich zdolnościach mówił, bo przecież nie widział, jak maluję.

— Nie, stary — odparł. — To nie to samo. Stuknięci ludzie muszą siedzieć w takich placówkach. A ty tu nie pasujesz.

— Chyba jednak pasuję.

Zaśmiał się, wyraźnie zaskoczony.

— Uważasz, że jesteś stuknięty?

— Nie, że jestem pęknięty. — Tak mówiła Georgia. Jej to nie przeszkadzało. A przynajmniej dopóki pęknięcia nie zrobiły się tak szerokie, że wpadła w jedno z nich i została skrzywdzona.

Tag przechylił głowę w zadumie. Milczałem jednak, więc przytaknął.

— No dobrze. Może wszyscy jesteśmy pęknięci. Albo skrzywieni. Ja na pewno taki jestem.

— Dlaczego? — spytałem. Molly znowu unosiła się wokół nas, więc zacząłem rysować szybciej, bezradnie zapelniając kartkę jej twarzą.

— Moja siostra zniknęła. To moja wina. Nie wyjdę na prostą, dopóki się nie dowiem, co się z nią stało. Będę skrzywiony na zawsze — wyznał tak cicho, że nie wiedziałem, czy ostatnie zdanie mówi do mnie czy do siebie.

— To twoja siostra? — spytałem niechętnie, podnosząc szkicownik.

Tag patrzył w milczeniu. Wstał. Usiadł z powrotem. W końcu przytaknął.

— Tak — wykrztusił. — To moja siostra.

A potem wszystko mi opowiedział.

Jak się okazało, jego ojciec pracował w branży rafineryjnej, chociaż zawsze pragnął zostać ranczerem. Gdy Tag zaczął się pakować w kłopoty i upijać co weekend, jego ojciec przeszedł na emeryturę, sprzedał część swoich udziałów za grube pieniądze, po czym za część z nich kupił pięćdziesięcioakrowe ranczo w hrabstwie Sanpete w Utah, bo stamtąd pochodziła jego żona. Przeprowadził się tam z całą rodziną. Był przekonany, że jeśli wyciągnie Taga i jego starszą siostrę Molly ze starego towarzystwa, to uda mu się sprowadzić ich na dobrą ścieżkę. Wierzył, że to dobry ruch dla całej rodziny. Otwarta przestrzeń, mnóstwo pracy, żeby się nie nudzić, i dobrzy, prości ludzie w okolicy. A do tego mnóstwo pieniędzy na ułatwienie całej tej operacji.

Dzieci jednak wcale nie zaczęły rozkwitać, tylko się zbuntowały. Starsza siostra Taga uciekła z domu i słuch po niej zaginął. Młodsze siostry, bliźniaczki, wróciły

do Dallas do matki, która złożyła pozew o rozwód. Okazało się, że ona też woli Dallas, a na dodatek obwinia męża o zniknięcie Molly. Na ranchu zostali więc tylko Tag i jego ojciec. Mieli mnóstwo pieniędzy, przestrzeni i bydła. Tag próbował nie pić, lecz nawet gdy tego nie robił, zżerało go poczucie winy. W końcu targnął się na własne życie. Kilka razy. I tak trafił do psychiatryka i poznał mnie.

— Ona zniknęła, ale nie wiemy tak naprawdę dlaczego. Radziła sobie najlepiej z nas wszystkich. Myślę, że wzięła na siebie część moich problemów, które nie ograniczały się do picia. Wiesz, wszędzie miałem tabletki, a ona je zabrała. Nie wiem dlaczego. Może jej problemy były poważniejsze, niż mi się wydawało. A może chciała je wziąć, żebym ja ich nie wziął.

Milczałem, pozwalając mu się wygadać. Niestety, o jej śmierci wiedziałem dokładnie tyle co on, czyli nic. Nie takimi informacjami dzielili się ze mną zmarli. Oni pokazywali mi swoje życie, a nie śmierć. Nigdy nie pokazywali mi śmierci.

— Ona nie żyje, prawda? Skoro ją widzisz, to znaczy, że nie żyje.

Przytaknąłem.

— Musisz mi powiedzieć, gdzie ona jest, Mojżeszu. Chcę, żebyś się tego dowiedział.

— To tak nie działa. Ja nie widzę całego obrazu. Tylko fragmenty. Czasem nawet nie wiem, z kim dana osoba była związana. W grupie to może być każdy, bo zmarli nie mówią. W ogóle. A jeśli mówią, ja i tak ich nie słyszę. Oni pokazują mi różne rzeczy, lecz nie zawsze wiem, dlaczego. Właściwie to w ogóle nie wiem dlaczego. Ja to po prostu maluję.

— Wiedziałeś w przypadku doktora Andelina!

— Jego zmarła żona unosiła się nad nim przez całą sesję! I pokazała mi, jak uprawiali seks! W tym przypadku połączenie było oczywiste! — Zaczynałem się irytować, a Tag nacierał, jakby był gotów się bić. — Oni pokazują mi fragmenty. Wspomnienia. A ja nie zawsze poprawnie je interpretuję. W zasadzie w ogóle ich nie interpretuję. Nie jestem Sherlockiem Holmesem.

Popchnął mnie, a ja opanowałem potrzebę oddania mu.

— Próbujesz mi powiedzieć, że już wcześniej widywałeś moją siostrę i że nie miałeś pojęcia o jej powiązaniu ze mną?

— Widywałem Molly na długo, zanim cię poznałem!

W końcu to do mnie dotarło.

Widywałem Molly na długo przed poznaniem Davida Taggerta.

To nie miało najmniejszego sensu. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Zmarli pojawiali się zawsze po kontakcie z bliskimi im osobami.

— Ona odeszła. Namalowałem jej twarz pod estakadą i odeszła. — Widziałem ją w noc śmierci Gigi. Ale to się nie liczyło, bo wtedy widziałem twarz każdego zmarłego, który kiedykolwiek pojawił się w moim życiu. Nie spotkałem jedynie Gi.

— I wróciła?

— Tak. Wydaje mi się, że z powodu ciebie.

— I co robi? — Tag zaczął krzyczeć z frustracji. Zaciskał dłonie na ciemnych włosach i ciskał oczami pioruny. Wiedziałem, że ma ochotę wszcząć bójkę. Tak naprawdę nie był na mnie wściekły, tylko zwyczajnie nie wiedział, co zrobić ze swoimi emocjami. Potrafiłem to zrozumieć.

— Pokazuje mi różne rzeczy. Jak wszyscy — ściszyłem głos i patrzałem przed siebie. Dziwnie się czułem, próbując kogoś uspokoić.

— Proszę, Mojżeszu. Proszę. — Tag walczył ze łzami, a ja powstrzymałem chęć wszczęcia bójki, pchnięcia go na ziemię i przywalenia mu z pięści. Wolałem Taga, który nazywał mnie stukniętym skurwielem i chciał mi przyłożyć.

Odwrociłem się od niego i usiadłem, opierając się plecami o ścianę. Trafiłem wzrokiem na Molly, spoglądającą na mnie z rysunku w szkicowniku, który rzuciłem na podłogę. Uśmiechała się do mnie, tworząc iluzję wiecznego szczęścia. Ale ta historia nie miała szczęśliwego zakończenia. Zamknąłem oczy i chwyciłem się za głowę, zasłaniając się przed Tagiem i uśmiechniętą twarzą jego zmarłej siostry. A potem podniosłem wody.

Skupiłem się na Molly Taggert. Jej blond włosy powiewały na wietrze tak jak włosy Georgii. Natychmiast straciłem koncentrację i poczułem to znane mi ukłucie w trzewiach, które pojawiało się zawsze, gdy przypominałem sobie o Georgii. Na myśl o Georgii przypominałem sobie też pomalowaną przeze mnie estakadę i miejsce, w którym zabrałem dziewictwo Georgii i na zawsze straciłem jakąś część siebie.

Poczułem, że muszę malować. Przekląłem głośno i wrzasnąłem na Taga, żeby podał mi szkicownik i ołówek. To nie to samo co ściana, ale nie mogłem sobie pozwolić na wybrzydzenie. Dłonie zrobiły mi się lodowate, kark płonął, a w myślach obserwowałem, jak pas ziemi wysycha, gdy cała woda co do kropli zostaje wessana w tworzące się ściany.

Kazano mi zamalować wizerunek Molly w przejściu. W biurze szeryfa dostałem cztery litry szarej farby, żeby ukryć irytującą prawdę o tym, że dzieci znikają, a świat jest straszny. W moich myślach jednak farba zaczęła się łuszczyć i odpadać, jakby odrywały ją niewidzialne dłonie, ujawniając na powrót wirujące linie, skrzące się oczy i uśmiech, w którym teraz widziałem wyraźne podobieństwo do Taga. Nigdy nie dostrzegamy tego, co oczywiste, dopóki nie uderzy nas prosto w twarz.

A potem mój umysł zasypały obrazy. Te same co zawsze.

— Za każdym razem pokazuje mi ten cholerny sprawdzian z matematyki! — Moje dłonie wirowały po kartce. Narysowałem go razem z imieniem Molly napisanym odręcznie na górze.

Sprawdzian odfrunął w niebyt, jakby Molly wydarła mi go z rąk. Nie pokazałem jeszcze należycie tego czerwonego „A” w kółeczku na górze kartki. Najwyraźniej nie tylko Tag był w tej rodzinie porywczy. „A” w kółeczku zamieniło się w gwiazdę. Prostą złotą gwiazdę, która przekształciła się w nocne niebo z wystrzeliwanymi w powietrze i eksplodującymi gwiazdami, zupełnie jakby Molly oglądała pokaz sztucznych ogni. Były tak piękne i barwne, że przeklinałem w myślach ołówki i błagałem Taga, by przyniósł mi coś innego.

Potem Molly pokazała mi pola, które wyglądały dokładnie tak samo jak pola otaczające estakadę. Stłumiłem przekleństwo i mimo frustracji narysowałem długie pasma złotej pszenicy, które przechodziły we włosy Molly, która biegła w moich myślach. Na końcu pszenica przechodziła w chwasty przylegające do betonowego przejścia.

— Stój, Mojżeszu! — Tag potrząsał mnie za ramię i klepał po twarzy. — Do diabła, stary! Rysujesz na ścianie! — Głos Taga stopniowo cichł. — Chociaż w sumie przecież w ogóle mnie to nie obchodzi.

Ale połączenie zostało zerwane. Byłem oszołomiony. I wkurzony, gdy widziałem dzikie, wypełnione gwiazdami niebo, pełne plam, pocieniowane i niedokończone. Gdybym tylko miał farby.

Miałem przyspieszony oddech. Tag też, jakby razem ze mną przeszedł na drugą stronę i biegł, goniąc za siostrą po polach pszenicy, które prowadziły donikąd i absolutnie z niczym mi się nie kojarzyły.

Tag spojrział na porzrzucone przeze mnie obrazki i zaczął kolejno je podnosić.

— Sprawdzian z matematyki? Z zakreślonym w kółeczku „A” na górze?

— Czerwonym. „A” powinno być czerwone. — Nie byłem w stanie oddać tego ołówkiem.

— A ta estakada jest w Nephi?

Przytaknąłem.

— Nephi jest zaledwie godzinę drogi z Sanpete. Wiedziałaś o tym, prawda?

Znowu przytaknąłem. Nephi było też o piętnaście minut na północ od Levan. Wszystkie dzieciaki z Levan jeździły autobusem do szkoły w Nephi. To było praktycznie to samo miasto. Nie miałem zamiaru tam wracać. Nawet gdyby Tag błagał mnie na kolanach, a jego zielone oczy eksplodowałyby w jego głowie, to i tak nie miałem zamiaru tam pojechać.

— A o co chodzi z tymi polami?

— To pola otaczające estakadę. Jest tam postój dla ciężarówek, stacje benzynowe i tani motel, a nieco dalej przy końcu zjazdu jakiś fast food. I tyle. Pola, autostrada i zasadniczo nic więcej.

— A to co? — Tag wskazał ścianę, na której, ku mojej frustracji, ołówek okazał się zbyt ograniczony, żeby przekazać eksplodujące barwy i wiązki światła.

Wzruszyłem ramionami.

— Fajerwerki?

— W tamten weekend był Dzień Niepodległości — szepnęła Tag.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem, Tag. Nie wiem nic poza tym, co ona mi pokazała.

— Dlaczego po prostu nie powie ci, gdzie jest?

— Bo to tak nie działa.

— Dlaczego? — Tag znowu wpadał we frustrację.

— Równie dobrze mógłbyś mnie zapytać, dlaczego nie mogę żyć w oceanie. Albo dlaczego nie podniosę pięciusetkilogramowej sztangi. Albo... dlaczego nie potrafię latać, do licha! Po prostu nie potrafię. Choćbym nie wiem, jak się skupiał, zgłębiał temat i zwracał uwagę na szczegóły. To jest takie, jakie jest!

Podniosłem szkicownik i zauważyłem, że wyrwałem wszystkie pozostałe kartki, łącznie z rysunkami, które nie miały nic wspólnego z Molly Taggert. Leżały teraz porozrzucane po całym pokoju i żadna nie była pusta. Zacząłem je zbierać, przygnębiony, że znowu będę musiał przemaalowywać ściany. Tag poszedł w moje ślady, nie wypuszczając z rąk podniesionych wcześniej stron.

— Ona musi tam być — powiedział cicho.

Przestałem zbierać i odwróciłem głowę do niego. Błyszczały mu oczy, lecz stał pewnie i prosto.

— Być może. — Wzruszyłem bezradnie ramionami. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. — Ale wyobrażasz sobie, co będzie, gdy ją znajdą? Przecież to ja ich tam kieruję. Wsadzą mnie do więzienia. Rozumiesz to? Będą myśleli, że to ja to zrobiłem. — Nie powiedziałem „zabiłem”. Wydawało mi się to zbyt nieczułe, chociaż oboje wiedzieliśmy, o czym mówimy.

Nagle drzwi mojej izolatki się otworzyły i do środka wpadł Chaz. Jego przyjazna twarz miała zafrasowany wyraz zamiast typowego dla niego białego uśmiechu. Gdy jednak uświadomił sobie, że nie doszło do rozlewu krwi, a żaden z nas nie leży bezwładnie na ziemi, na jego twarzy pojawiła się ulga.

— Panie Taggert, nie powinno pana tutaj być! — powiedział z naganą w głosie.

Zauważył moje ołówkowe malowidło i zaklął. — Tylko nie to, człowieku! Tak dobrze ci szło!

Wzruszyłem ramionami.

— Skończył mi się papier.

Chaz poprowadził Taga do wyjścia. Ten nie oponował, lecz zatrzymał się na chwilę przy drzwiach.

— Dzięki, Mojżesz.

Chaz wydawał się zaskoczony obrotem sprawy, ale i tak pchnął Taga dalej.

— Wezmę na siebie te rysunki na ścianie. Na pewno wszyscy mi uwierzą — rzucił na odchodnym Tag, puszczając mi oczko, i obaj z Chazem wybuchnęliśmy śmiechem.

XIII

MOJŻESZ

TAG NIE BYŁ JEDYNĄ OSOBA, która miała nawyk wkradania się do mojego pokoju na prywatne sesje. Stopniowo coraz więcej ludzi wiedziało o tym, co potrafię zrobić. Co widzę. I co maluję.

Carol, psychiatra po pięćdziesiątce, która sprawiała wrażenie, jakby nic nie było w stanie wytrącić jej z równowagi, i praktycznie nie wychodziła z pracy, straciła brata. Popełnił samobójstwo, gdy miała dwanaście lat. Właśnie to doświadczenie skłoniło ją do pracy z chorymi umysłowo. Jej brat zaczął mi pokazywać rolki i niechlujnie wypchanego królika bez ucha, więc jej o tym opowiedziałem. Początkowo mi nie wierzyła, więc dodałem, że jej brat uwielbiał sałatkę z pomidorów, fioletowy kolor i Johnny'ego Carsona oraz że potrafił zagrać na ukulele tylko jedną piosenkę, którą śpiewał jej co noc do snu. Tą piosenką było *Somewhere Over the Rainbow*. Następnego dnia odstawiła mi neuroleptyki.

Buffie Lucas była trzeźwo myślącą asystentką psychiatry, której miejsce było na Broadwayu. Śpiewała podczas pracy, a piosenki Arethy Franklin wychodziły jej lepiej niż samej Arecie Franklin. Straciła oboje rodziców w odstępie trzech miesięcy. Gdy spytałem ją, czy mama zrobiła dla niej przed śmiercią kołdrę ze wszystkich jej koncertowych koszulek, przerwała w połowie piosenki. Potem mnie pocałowała i kazała obiecać, że będę jej mówił wszystko.

Ludzie przychodzili i przynosili mi podarunki. Papier i woskowe ołówki, akwarele i kredę. A po jakichś dwóch miesiącach pobytu doktor June przyniosła mi list od Georgii. Zrobiłem dla niej coś przyjemnego i chyba w ten sposób chciała mi się odwdziaczyć. Nie miałem zamiaru robić dla niej niczego przyjemnego. Niespecjalnie ją lubiłem. Ale zobaczyła rysunek przedstawiający Gigi. Chciałem go ukryć, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby go odłożyć. To był rysunek kredą. Prosty i piękny, taki jak Gigi. Obejmowała na nim dziecko. Wmawiałem sobie, że to nie ja, ale June wpatrywała się w niego, a potem spojrzała na mnie.

— Piękny. Poruszający. Opowiedz mi o nim.

— Nie. — Potrząsnąłem głową.

— Dobrze, w takim razie powiem ci, co ja widzę — stwierdziła.

Wzruszyłem ramionami.

— Widzę dziecko i kobietę, którzy bardzo się kochają.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

— Czy to ty?

— Czy ta postać wygląda jak ja?

Spojrzała na rysunek, a potem z powrotem na mnie.

— Wygląda jak dziecko. Byłeś kiedyś dzieckiem.

Nie odpowiedziałem, więc kontynuowała:

— Czy to twoja babcia?

— Może tak być — przyznałem.

— Kochasz ją?

— Ja nikogo nie kocham.

— Tęsknisz za nią?

Westchnąłem i odpowiedziałem pytaniem:

— A pani tęskni za swoją siostrą?

— Owszem — przytaknęła. — Myślę, że ty też tęsknisz za babcią.

— No dobrze — przytaknąłem. — Tęsknię za babcią.

— To zdrowe, Mojżeszu.

— Spoko. — Wspaniale, właśnie zostałem uleczony. Alleluja.

— Czy to jedyna osoba, za którą tęsknisz?

Milczałem, bo nie byłem pewien, do czego zmierza.

— Wiesz, ona ciągle wraca.

Milczałem dalej.

— Georgia. Przyjeżdża co tydzień. A ty nie chcesz się z nią spotkać?

— Nie. — Nagle poczułem, że kręci mi się w głowie.

— Możesz mi wyjaśnić dlaczego?

— Georgia myśli, że mnie kocha. — Skrzywiłem się przy tym wyznaniu. Oczy doktor June nieznacznie się powiększyły. Właśnie zaoferowałem jej ociekającą treścią łyżkę psychologicznego gulaszu i zaczęła się ślinić.

— A ty jej nie kochasz? — spytała, próbując opanować zadowolenie.

— Ja nikogo nie kocham — odparłem bez namysłu.

Przecież już to powiedziałem. Wzięłem głęboki oddech, próbując się uspokoić. Upór Georgii jednocześnie mnie cieszył i martwił. Dodatkowo martwiło mnie to, że mnie to cieszy. Martwiło mnie, że puls mi przyspieszył, a dłonie zrobiły się wilgotne. Martwiło mnie, że na sam dźwięk jej imienia natychmiast zobaczyłem

feerię barw przed oczami, która przypomniała mi o kalejdoskopie tworzonym w mojej głowie przez pocałunki Georgii.

— Rozumiem. Dlaczego? — dopytywała doktor June.

— Po prostu. Może dlatego, że jestem zepsuty.

Pęknięty.

Przytaknęła, niemal jakby się ze mną zgadzała.

— Myślisz, że kiedyś kogoś pokochasz?

— Nie planuję tego.

Przytaknęła znowu i drążyła jeszcze przez chwilę, w końcu jednak zabrakło jej czasu i musiała się zadowolić tą jedną łyżką, co mnie cieszyło.

— Wystarczy na dzisiaj — obwieściła, wstając energicznie z teczką w dłoni.

Wysunęła zza teczki kopertę i ostrożnie położyła przede mną na stole.

— Prosiła, żebym ci to przekazała. Georgia. Powiedziałam jej, że nie mogę i że skontaktowałbyś się z nią, gdybyś chciał. Myślę, że to ją zabolowało. Ale taka jest prawda, co? — Poczułem impuls gniewu, że June była niemiła dla Georgii, i znowu zmartwiłem się tym, że mnie to martwi. — Postanowiłam jednak, że ci go dam i sam zdecydujesz, czy chcesz go przeczytać. — Wzruszyła ramionami. — To twoja decyzja.

Wpatrywałem się w ten list jeszcze przez długi czas po zakończeniu sesji przez doktor June. Byłem przekonany, że tego właśnie się spodziewała. Zakładała też na pewno, że się poddam i go przeczytam. Nie znała jednak moich praw.

W końcu wyrzuciłem list do śmietnika i pozbierałem rysunki przeglądane przez doktor June. Ten z Gi był na samej górze, a splecione ze sobą postacie kazały mi się na chwilę zatrzymać. Wyciągnąłem list Georgii z kosza, starannie go rozkleiłem i wyciągnąłem ze środka kartkę z odręcznym pismem. Starłem się nie skupiać na krągłych literach i nurkującym „G” na dole, rozpoczynającym jej imię. Następnie złożyłem rysunek Gi. Zrobiłem to z taką troskliwością, z jaką Gi przytulała na nim dziecko. Dziecko, które nie było mną, już nie. To mogła być Georgia, nad którą Gi miała teraz pieczę. Złożony rysunek włożyłem do koperty. Napisałem na niej adres Georgii i gdy Chaz przyniósł mi kolację, poprosiłem go o wysłanie.

List Georgii wsunąłem pod materac, żebym nie musiał go widzieć, żebym nie musiał go czuć i żebym mógł zapomnieć o jego istnieniu.



GEORGIA

W LEWYM GÓRNYM ROGU nie było jego nazwiska, ale koperta przysłała z Montlake, a adres był napisany jego pismem: Georgia Shepherd, PO Box 5, Levan Utah, 84639. Rozmawiałam z nim kiedyś o skrzynkach pocztowych w Levan i najwyraźniej tego nie zapomniał. Mieszkańcy mieli zasadniczo tylko skrzynki pocztowe gazety codziennej „Daily Herald”, którą większość subskrybowała dla niedzielnych komiksów i kuponów zniżkowych i promocyjnych. Gazeta była dostarczana przez gazeciarzy lub rodziny, od drzwi do drzwi. Normalna poczta była natomiast dostarczana do małego ceglanego budynku poczty na głównej ulicy i umieszczana w zamkniętych ozdobnych skrytkach. Moja rodzina miała skrytkę o dość niskim numerze, gdyż od dość dawna dziedziczyły ją kolejne pokolenia Shepherdów.

— *Czyli twoja rodzina należy w Levan do klasy wyższej? — kpił sobie Mojżesz.*

— *Tak. My, Shepherdowie, władamy tym miastem — odparłam.*

— *To do kogo należy skrytka pocztowa numer jeden?— zaciekawiał się natychmiast.*

— *Do Boga — odparłam bez zająknięcia.*

— *A skrytka numer dwa? — spytał ze śmiechem.*

— *Do Pam Jackman.*

— *Która mieszka na tej ulicy?*

— *Tak. Ona ma pozycję jak ród Kennedych.*

— *Jest kierowcą autobusu, prawda? — dopytywał.*

— *Tak. Kierowcy autobusów mają bardzo wysoki status w naszej społeczności — wyjaśniłam ze śmiertelną powagą.*

— *A skrytki trzy i cztery?*

— *Są teraz wolne. Czekają, aż potomkowie osiągną właściwy wiek i będą je mogli odziedziczyć. Mój syn pewnego dnia odziedziczy skrytkę pocztową numer pięć. To będzie chlubny dzień dla całego rodu Shepherdów.*

— *Twój syn? A co, jeśli urodzisz córkę? — W jego oczach płonął ten ogień, od którego czułam motylki w brzuchu. A rozmowa o dzieciach wzbudzała we mnie myśli o robieniu dzieci. Z Mojżeszem.*

— *To będzie pierwszą ujeżdżaczką byków, która zdobędzie ogólnokrajowy tytuł mistrzowski. Większość czasu będzie spędzała poza Levan, więc jej bracia zadbają o kontynuację linii Shepherdów... i naszą skrytkę pocztową — powiedziałam, starając się nie myśleć o tym, jaką przyjemność sprawiłoby mi robienie małych ujeżdżaczek byków z Mojżeszem.*

Gdy mama przyniosła mi list, spojrzała na mnie badawczo. Widziałam po niej, że wolałaby go wyrzucić i na dobre pozbyć się Mojżesza. Ale tak nie zrobiła. Przyniosła mi ten list, położyła na komodzie i bez słowa wyszła. Najlepszy w otwieraniu długo wyczekiwanych listów lub przesyłek jest ten moment, kiedy jeszcze nie wiesz, co jest w środku. A ja czekałam na wieść od Mojżesza przez całe miesiące, modląc się o cokolwiek. Wiedziałam, że gdy otworzę kopertę, to albo przepełni mnie nowa nadzieja, albo zostanę doszczętnie zdruzgotana. A ja nie miałam już siły ani na jedno, ani na drugie.

Pojechałam na długą przejażdżkę z listem, który ukryłam pod płaszczem, żeby się nie pogniótł. Był luty i w końcu po kilku miesiącach suchego mrozu doczekaliśmy się śnieżycy. Dotarły do mnie plotki o znalezieniu szczątków Molly Taggart niedaleko estakady, na której Mojżesz namalował jej portret. Ludzie znowu zaczęli gadać i gapić się na mnie, udając, że wcale się nie gapią. Wcześniejszy brak śniegu umożliwił wykorzystanie psów do poszukiwań, cieszyłam się jednak, że ta klątwa braku śniegu w końcu przestała działać.

Pusty biały świat był tym, czego potrzebowałam, i gdy razem z Sackettem znalazłam się daleko od wszystkiego i wszystkich, wyciągnęłam list i ostrożnie go otwierałam, jakbym bała się, że niechcący rozedrę coś ważnego. Może moja własna klątwa także przestanie w końcu działać. Wyciągnęłam ze środka złożoną kartkę grubego papieru rysunkowego i delikatnie ją otworzyłam, chowając kopertę z powrotem do płaszcza. Drżącymi palcami wodziłam po rysunku. Nie wiedziałam, jak go rozumieć.

Był piękny, ale bardziej abstrakcyjny, niż bym sobie życzyła. Chciałam konkretów. Słów. Żeby powiedział mi, że wraca. Że nie mógł znieść rozstania. Tymczasem jednak nie dostałam nic konkretnego, tylko rysunek. Typowy Mojżesz.

Rysunek przedstawiał kobietę, która mogła być dowolną kobietą. Było też na nim dziecko, które także mogło być dowolnym dzieckiem. Kobieta składała się z wirujących kresek i sugestii, piersi, bioder, obejmujących ramion i zgiętych nóg. Wszystkie jej części ciała łącznie z ciemnymi włosami otaczały małe dziecko. Wpatrywałam się w ten rysunek przez długi czas, ale nie miałam pojęcia, jak go odczytać.

Czy to było symboliczne? Czy może uszczypliwe? Chodziło o stratę babci? Przekazywał mi, że rozumie, przez co przeszedłam? Nie sądziłam, żeby to było możliwe. Patrzyłam w piękną, choć niejednoznaczoną korespondencję od chłopca, który od samego początku zmuszał mnie do domysłów. W końcu jednak zmarzły mi dłonie i Sackett zaczął się niecierpliwić, więc wróciłam do domu.

Oprawiłam rysunek i powiesiłam go sobie na ścianie, postanawiając, że będę z niego czerpać poczucie spokoju, bo to dowód na to, że Mojżesz w ogóle o mnie pomyślał. Mimo to przez większość czasu się bałam i nie wiedziałam, jak sobie radzić z kolejnymi dniami. Wciąż nie potrafiłam porzucić nadziei związanych z

Mojżeszem Wrightem. Mama spojrzała tylko na rysunek i odwróciła wzrok, a tato potrząsnął głową i westchnął. A ja przygotowałam się na długie czekanie.



MOJŻESZ

W PŁYTKIM GROBIE obłożonym kamieniami i gruzem, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym namalowałem jej uśmiechniętą twarz, odkryto ciało Molly Taggert. Tag stwierdził, że pobliski postój ciężarówek jest nazywany „zakreślonym A”. Nad budynkami widniał neon przedstawiający literę „A” w kółku, tak jak na pokazywanym mi przez Molly sprawdzianie z matematyki. Nigdy nie zwróciłem na niego uwagi, chociaż tyle razy przejeżdżałem przez tę estakadę, kursując między Levan a Nephi. Mijałem ten postój ze sto razy i nie skojarzyłem faktów, bo byłem zbyt zatopiony we własnych myślach. Żaden ze mnie Sherlock Holmes. Za postojem rozciągały się pola prowadzące do niewielkich wzgórz, za którymi wyrastały grzbiety gór. Pasma górskie znajdowało się na wschód od miasteczka i ciągnęło się setki kilometrów na południe. Między wzgórzami znajdowało się pole golfowe i co roku czwartego lipca z pierwszego punktu startowego wystrzeliwano fajerwerki. Czerwone „A” i fajerwerki były dobrze widoczne z mostu, na którym namalowałem twarz Molly, nieświadomie oznaczając miejsce jej spoczynku.

Tag płakał, gdy mi o tym powiedział. Potężny, druzgocący szloch, który szarpał jego ramionami i od którego czułem takie samo napięcie w żołądku, jak wtedy w nocy, gdy Georgia wyznała mi miłość. „Myślę, że mnie kochasz, Mojżeszu” — powiedziała na granicy łez. — „I ja też cię kocham”. Niezbyt dobrze radziłem sobie ze łzami. Ja nie płakałem, więc nie rozumiałem, dlaczego inni ludzie płaczą. Tag płakał po stracie siostry tak, jak ja przypuszczalnie powinienem był opłakiwać Gi. Ale ja nigdy nie płakałem, więc po prostu czekałem, aż skończy się ta burza. W końcu Tag otarł łzy z policzka i dokończył opowieść.

Zaczął się od tego, że powiedział o mnie ojcu, który, powodowany desperacją, przygnębieniem lub zwykłym pragnieniem uspokojenia nalegającego stanowczo syna, zatrudnił faceta z psami, żeby przeczesać opisany przez Taga teren. Psy szybko złapały jej zapach i trafili na jej szczątki. Tak po prostu. Wezwali policję, która jakiś czas później zapukała do zakładu dla obłąkanych w poszukiwaniu mnie. Już wcześniej przesłuchiwali mnie w sprawie Molly Taggert, lecz teraz mieli ciało. Ciało znalezione niebezpiecznie blisko mojego dramatycznego dzieła.

Szeryf Dawson tym razem przyjechał z krągłym, rudym jegomościem o ziemistej

cerze, który nie mógł być dużo starszy ode mnie. Młodszy uśmiechnął się do mnie szyderczo, najwyraźniej identyfikując się z rolą paskudnego kompana w swoim ulubionym serialu kryminalnym. Z tą swoją sypiącą się cerą i płonącymi włosami kojarzył mi się ze złośliwym pączkiem z marmoladą.

Szeryf zadał mi te same pytania co ostatnio i parę nowych. Wiedział, że David Taggert był pacjentem w tej samej instytucji. Wiedział, co Tag powiedział ojcu i co ojciec przekazał zespołowi poszukiwawczemu. Wiedział też, że te wszystkie informacje pochodziły ode mnie. Ale Molly Taggert zaginęła w lipcu 2005 roku, a wtedy ja mieszkałem w Kalifornii z wujkiem, jego nieszczęśliwą żoną i bardzo rozpuszczonymi dziećmi. Na dodatek w lipcu byłem w zakładzie poprawczym za powiązania z gangiem. Nie dało się tego podważyć. Moje alibi było zasadniczo nienaruszalne. Szeryf wiedział o tym już wtedy, w październiku, gdy namalowałem twarz Molly pod estakadą i zostałem zgarnięty na przesłuchanie. Zdawałem sobie jednak sprawę, że ani on, ani inne osoby związane z organami ścigania nie przestaną wierzyć, iż w jakiś sposób musiałem w tym maczać palce. Bo przecież powiedziałem Tagowi tak dużo.

— Nie masz już kontaktu z Georgią Shepherd? — zapytał szeryf, porządkując akta i przygotowując się do wyjścia. Dość dziwne pytanie na zakończenie rozmowy o Molly Taggert.

— Nie — odparłem.

Szeryf nie patrzył mi w oczy, tylko przetrząsał leżące przed nim grube akta. Gdy pochylał tak głowę bez kapelusza, przez jasne włosy prześwitywała różowa skóra głowy.

— Byliście przyjaciółmi, jeśli dobrze pamiętam — stwierdził, nie podnosząc głowy, i odwrócił kolejną kartkę.

— Niezupełnie.

Podniósł wzrok.

— Nie byliście?

— Nie.

Szeryf Dawson rzucił spojrzenie pyzatemu zastępcy, a ten uśmiechnął się krzywo. Poczułem napływ gorąca w piersi. Miałem ochotę przywalić mu w tę tłustą twarz. Nie rozumiałem tej wymiany spojrzeń, ale wyczuwałem w niej coś niedobrego.

— Hm. Ale byliście nimi w noc imprezy, gdy została zaatakowana, prawda? Odwiozłeś ją do domu i dopilnowałeś, żeby nic jej się nie stało.

Czekałem, a ciepło z klatki piersiowej rozprzestrzeniło się na uszy. On to wszystko wiedział.

— Nie udało nam się ustalić, co właściwie się wtedy wydarzyło — zamilkł znowu

i nieoczekiwanie z trzaskiem zamknął akta. — Nie miałeś zatem żadnych wizji na temat tamtych wydarzeń, co? Nie namalowałeś czasem na czyjejsz stodołę jakiegoś zdjęcia przestępcy lub odcisku palca? Wiesz, czegoś, co pomogłoby nam przyskrzynić drania. Nie lubimy, gdy ktoś krzywdzi nasze dziewczęta, więc warto byłoby wymierzyć sprawiedliwość temu, kto skrzywdził Georgię.

Milczałem. To ja skrzywdziłem Georgię. Byłem pewien, że o to mu chodzi. W końcu to ona zadzwoniła po policję tamtego ranka, gdy umarła Gi. To ona stała przed domem i czekała na karetkę. To ona niepotrzebnie mnie szukała, żeby sprawdzić, co zmalowałem. Nie sądzę jednak, żeby szeryf do tego właśnie nawiązywał. On najwyraźniej sądził, że to ja ją związałem, bo przecież jestem psycholem.

Ale to nie ja ją związałem. I nie miałem żadnych „wizji” dotyczących sprawcy. Dlatego siedziałem w milczeniu, gdy on wstał i wraz z zastępcą Złośliwym Pączkiem ruszył w stronę drzwi.

— Mojżesz? — Młodszy już wyszedł, lecz szeryf zatrzymał się z ręką na gałce i założył kapelusz na swoje przerzedzone włosy. — Słyszałem, że za kilka dni cię wypuszczą.

Przytaknąłem nieznacznie, przyznając, że to prawda. On także przytaknął i ściągnął usta, patrząc na mnie badawczo.

— Cóż, dobrze. To świetnie. Każdy zasługuje na świeży start. Ale sądzę, że nie powinieneś wracać do Levan — oznajmił, robiąc krok w stronę korytarza. — Mamy powyżej uszu świeżych startów i drugich szans — rzucił na odchodnym i drzwi się za nim zamknęły.

XIV

MOJŻESZ

WYPUŚCILI NAS Z IZOLATEK i ku mojemu zdziwieniu połączyła mnie z Tagiem swego rodzaju przyjaźń. Może chodziło o nasz wiek. Może o Molly. Albo o to, że obaj siedzieliśmy w psychiatryku i żaden z nas niespecjalnie chciał wyjść, bo jak ujął to Tag, byliśmy „na samym dnie i nie mieliśmy zamiaru wspinać się wyżej”. A może chodziło o to, że trochę kojarzył mi się z Georgią z tym swoim nosowym głosem, poczuciem humoru i kowbojską osobowością. Był całkowicie inny niż ja i świetnie by się z nią dogadał, byłem tego pewien. Ta myśl wzbudziła we mnie dziwną zazdrość i znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego w ogóle ona mnie chciała.

Tag łatwo się śmiał, łatwo się wściekał, łatwo przebaczał i łatwo go było sprowokować. Nie robił nic na pół gwizdka. Miałem czasem wrażenie, że ta placówka jest dla niego idealna, bo utrzymuje go w ryzach. Miał też jednak ckliwe oblicze. Pewnej nocy po zgaszeniu świateł przemknął się do mnie przez korytarz, niezauważony, jak zawsze szukając odpowiedzi, których nikt z pracujących tu osób nie był w stanie mu udzielić, a które ja według niego mogłem dla niego mieć.

Stwierdził, że bardzo trafnie mnie nazwano.

— Czy Mojżesz nie był czasem jakimś prorokiem czy coś?

Przewróciłem oczami. Przynajmniej nie rozmawialiśmy o tym, że znaleziono mnie w koszu.

— MOJ-ŻESZU! — zawołał głębokim, donośnym i „boskim” głosem, który kojarzył mi się ze starym filmem z Charltonem Hestonem *Dziesięcioro przykazań*. Gigi uwielbiała Hestona. Gdy miałem dwanaście lat, spędziłem z nią Wielkanoc i urządziła nam maraton filmów z tym aktorem. Miałem potem ochotę obsmarować czerwoną farbą drzwi do wszystkich domów i spalić wszystkie krzewy w Levan. Chociaż gdy teraz o tym myślę, to obsmarowałem farbą Levan, wielokrotnie. To wszystko przez Charltona Hestona.

Tag śmiał się, gdy mu to powiedziałem. Szybko jednak zamilkł i siedł na moim łóżku, wbijając wzrok w sufit. W końcu spojrzał na mnie badawczo.

— Co się ze mną stanie, gdy umrę?

— Dlaczego myślisz, że umrzesz? — spytałem. Mówiłem jak doktor Andelin.

— Jestem tu, bo kilka razy próbowałem się zabić, Mojżeszu.

— No wiem. — Wskazałem długą serię blizn na jego przedramieniu. — A ja

jestem tu, bo malowałem zmarłych i wzbudzałem przerażenie wszystkich żyjących, z którymi miałem kontakt.

— No wiem. — Uśmiechnął się, lecz jego uśmiech natychmiast zniknął. — Gdy nie piję, życie tak mnie przygniata, że nie potrafię normalnie myśleć. Nie zawsze tak było, ale teraz tak mam. Życie jest naprawdę do dupy, Mojżeszu.

Przytaknąłem, ale zorientowałem się, że nieznacznie się uśmiecham, gdyż przypomniało mi się, czego uczyła mnie Georgia, gdy mówiłem coś podobnego.

— Uśmiech Georgii, włosy Georgii, pocałunki Georgii, poczucie humoru Georgii i jej długie, długie nogi — wyszeptałem. Poczułem się z Tagiem tak swobodnie, że wypowiedziałem tę listę na głos, lecz teraz poczułem zażenowanie.

— Co?

Zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio, lecz odpowiedziałem szczerze.

— Pięć plusów. Wymieniłem pięć plusów. To coś, co pewna osoba zwykła robić, gdy narzekałem, że życie jest do niczego.

— Georgia?

— Tak.

— To twoja dziewczyna? — spytał.

— Chciałaby nią być — przyznałem, ale nie przyznałem się do tego, jak bardzo sam jej pragnąłem.

— A ty tego nie chcesz? Mimo jej włosów, pocałunków i długich, długich nóg? — spytał z uśmiechem. Wbrew sobie go lubiłem, ale nie powiedziałem już nic więcej o Georgii.

— Wciąż chcesz umrzeć? — zmieniłem temat.

— To zależy. Co jest potem?

— Dalszy ciąg — odpowiedziałem wprost. — Tyle mogę ci powiedzieć. To się tak nie urywa.

— A ty możesz zobaczyć, co jest dalej?

— To znaczy? — Nie mogłem przewidywać przyszłości, jeśli o to mu chodziło.

— Czy widzisz, co jest po drugiej stronie?

— Nie. Widzę tylko to, co oni mi pokazują — odparłem.

— Oni? Czyli kto?

— Ci, którzy się przedostaną. — Wzruszyłem ramionami.

— Szepczą coś do ciebie? Potrafią mówić? — Tag też szeptał, jakbyśmy byli w kościele.

— Nie. Nigdy nic nie mówią. Pokazują mi tylko różne rzeczy.

Tag zadygotał i potarł się po karku, jakby próbował zetrzeć gęsią skórę, która pojawiła się na jego plecach.

— To skąd wiesz, czego chcą? — spytał.

— Wszyscy chcą tego samego. — Jak na ironię taka była prawda.

— Czego? Czego chcą?

— Chcą mówić. I chcą być wysłuchani. — Jeszcze nigdy nie wyraziłem tego słowami, ale te odpowiedzi wydawały mi się właściwe.

— Czyli nie mówią, ale chcieliby mówić?

Kiwnąłem głową, potwierdzając poprawność wnioskowania Taga.

— A dlaczego chcą mówić?

— Bo do tego się przyzwyczaili... — odparłem z wahaniem.

— Do tego się przyzwyczaili, gdy byli żywi? — dokończył za mnie.

— Tak.

— To jak się komunikują?

— Myśli nie wymagają ciała ani kości.

— Słyszysz ich myśli? — spytał z niedowierzaniem.

— Nie. Widzę ich wspomnienia w swoich myślach. — To brzmiało chyba jeszcze dziwniej, ale taka była prawda.

— Widzisz ich wspomnienia? Wszystkie? Potrafisz zobaczyć wszystko? Całe ich życie?

— Czasem tak mi się wydaje. To może być powódź barw i myśli, z których jestem w stanie wyłapać tylko przypadkowe rzeczy, bo przelatują przeze mnie zbyt szybko. Co więcej, jestem w stanie dostrzec tylko to, co rozumiem. Jestem pewien, że oni woleliby, żebym widział więcej, ale to nie takie proste. Wszystko jest kwestią subiektywną. Zazwyczaj widzę fragmenty i części, a nie cały obraz. Wyrobiłem się jednak w filtrowaniu, a im lepiej mi idzie, tym bardziej odczuwam to jak przypominanie sobie i tym mniej jak bycie opętanym. — Uśmiechnąłem się wbrew sobie, a Tag potrząsnął głową ze zdumieniem.

— Są tu teraz jacyś zmarli? — Tag błyskawicznie spojrział w lewo, a potem w prawo, jakby uważał, że gdy obróci się odpowiednio szybko, uda mu się przyłapać nieostrożnego ducha.

— Zdecydowanie — skłamałem. Nikogo w pobliżu nie było. Nic nie zakłócało ciszy poza gałęziami za oknem, które stukały i pocierały szybę, oraz skrzypieniem butów z gumowymi podeszwami o linoleum, gdy ktoś pośpiesznie

przeszedł pod moimi drzwiami.

Tag uniósł brwi w oczekiwaniu, że powiem coś więcej.

— Marilyn Monroe uważa, że jesteś przystojny. W tej chwili dmucha ci w ucho.

Tag natychmiast włożył do ucha palec, jakby chciał wydłubać z niego insekta, który wpadł do środka i męczył go nieustannym bzyczeniem.

Zaśmiałem się ku swojemu zaskoczeniu i ku zaskoczeniu Taga, bo to on zazwyczaj pełnił rolę kpiarza, nie ja.

— Nabierasz mnie, prawda? — spytał ze śmiechem. — No jasne, że tak! Cholera. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby Marilyn faktycznie chciała się ze mną zadawać.

— Cóż. To tak nie działa. Widzę tylko zmarłych, których coś łączy z osobami w moim otoczeniu. Albo z osobami, z którymi kiedyś miałem styczność. Nie widzę przypadkowych zmarłych.

— Czyli gdy powiedziałaś Chazowi, że dziadek coś mu zostawił, zobaczyłeś wcześniej w głowie jego testament?

— Jego dziadek pokazał mi swoje odbicie, gdy szedł do banku, tak jak je widział, kiedy się zbliżał. A potem pokazał mi skrytkę depozytową.

Lubię Chaza. Jest opoką w tym miejscu. Zawsze radosny, zawsze podśpiewujący i niezawodny. Codziennie ma do czynienia z bardzo agresywnymi ludźmi, lecz nigdy nie traci dobrej woli i opanowania.

Nie podobało mi się, że jego dziadek uporczywie mi się pokazuje. Lubiłem Chaza i nie potrzebowałem przeciwko niemu amunicji. Nie miałem zamiaru go krzywdzić. Odkąd tu trafiłem, coraz lepiej wychodziło mi otaczanie się ścianami wody. Nie miałem nic do roboty poza ćwiczeniem tej umiejętności i chodzeniem na niekończące się sesje terapeutyczne, które nie były zbyt pomocne, lecz ku mojemu zaskoczeniu nie szkodziły mi. Miałem jednak wrażenie, że pod wpływem nieustannego kontaktu z Chazem wzmocniła się moja łączność z jego dziadkiem. Czułem go po drugiej stronie, jak czeka, by przejść. Przepuściłem go więc. Rozstąpiłem ściany tylko na tyle, żeby nikt więcej się nie przedostał.

Dziadek kochał Chaza, więc opowiedziałem Chazowi, co mi nieustannie pokazywał. Chaz słuchał z szeroko otwartymi oczami. Następnego dnia nie było go w pracy, ale dzień później przyszedł do mnie, żeby mi podziękować. Płakał, gdy to robił. Był olbrzymim, czarnym mężczyzną, wyższym ode mnie. I silniejszym. A łkał jak dziecko i ścisnął mnie tak mocno, że nie mogłem oddychać. Uświadomiłem sobie, że moja umiejętność nie zawsze musi być bronią. To, co potrafię, nie zawsze musi krzywdzić ludzi.

— Mojżeszu? — Tag wyrwał mnie z zamyślenia.

— Tak?

— Nie zrozum mnie źle... ale jeśli... wiesz, jest coś dalej... I nie jest to złe. Ani przerażające. Nie jest to żadna zombiapokalipsa. Ani ogień i siarka... Na ile oczywiście jesteś w stanie to stwierdzić... To po co tu zostawać? — Jego głos był tak cichy i tak przesiąknięty emocjami, że nie wiedziałem, czy jestem w stanie mu pomóc. I niezależnie od tego, czy byłem prorokiem, czy nie, nie znałem odpowiedzi. Zastanawiałem się przez minutę i w końcu wpadłem na odpowiedź, która wydawała mi się zgodna z prawdą.

— Bo wciąż będę mną, a ty nadal będziesz sobą.

— Co masz na myśli?

— Nie jesteśmy w stanie uciec od samych siebie, Tag. Tu, tam, na drugim końcu świata czy w psychiatryku w Salt Lake City ja jestem Mojżeszem, a ty Tagiem. I to nigdy się nie zmieni. Więc albo rozwiążemy swoje problemy tu, albo tam. Ale i tak będziemy musieli je rozwiązać. Śmierć tego nie zmieni.



MOJŻESZ

CIAŁO MOLLY TAGGERT zostało przewiezione na pogrzeb do Dallas. David Taggert senior postanowił sprzedać ranczo, a Tagowi i mnie wyznaczono termin wypisania ze szpitala psychiatrycznego w Montlake. Miałem trochę pieniędzy i ubrań, chociaż podczas pobytu w szpitalu nie potrzebowałem ani jednego, ani drugiego. Moje ubrania zostały popakowane w pudła i wysłane do Montlake, gdy dzielono majątek babci między jej potomków. Tę część majątku, której nie zapisała mnie.

Jakieś dwa tygodnie po umieszczeniu mnie w szpitalu wpuszczono do mnie prawnika, który opowiedział mi o babci. Wyjaśnił, że zmarła z przyczyn naturalnych, na wylew. Zostawiła mi dziesięć akrów na północnym końcu miasta, dom, samochód i wszystko, co miała na koncie, czyli niezbyt wiele. Nie potrzebowałem domu Gigi, gdy jej w nim nie było, i ona chyba nie chciałaby, żebym tam wrócił. Szeryf dał mi jasno do zrozumienia, że nikt tam za mną nie tęskni. Spytałem prawnika, czy mogę sprzedać ten dom.

Prawnik nie sądził, żeby znalazł się chętny. Na ziemię owszem, nawet miał już kupca, ale nikt nie chciał domu. Małe miasteczko i taka tragedia. Spytałem, czy mógłby go dla mnie wystawić, co też zrobił. Po załatwieniu wszystkich spraw, to znaczy wystawieniu domu na sprzedaż, opłaceniu pogrzebu Gi i moich rachunków w szpitalu — to znaczy tej części, której nie pokrywało państwo — oraz sprzedaniu ziemi, jeepa i starego samochodu Gi, prawnik przekazał mi

klucze do jej domu i czek na pięć tysięcy dolarów. To było więcej, niż oczekiwałem, i więcej, niż kiedykolwiek miałem, lecz jednocześnie zbyt mało, żeby zrobić coś konstruktywnego.

Wyobrażałem sobie, że dalsza rodzina lubiła mnie teraz jeszcze mniej niż wcześniej, i wiedziałem, że nie będę mile widziany w ich domach. I dobrze. Szczerze powiedziawszy, nie chciałem mieszkać w żadnym z nich i nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić, więc gdy Tag podjął ten temat w wieczór przed naszym wyjściem, nie miałem zbyt dużo do powiedzenia.

— Co zrobisz po wyjściu? — spytał przy kolacji, wpatrując się w jedzenie z dłońmi na stole. Potrafił zjeść przynajmniej tyle samo co ja. Byłem przekonany, że obsługa kuchni w Montlake ucieszy się, gdy już sobie pójdziemy.

Nie chciałem z nim o tym rozmawiać. Nie chciałem o tym rozmawiać z nikim. Patrzałem więc uporczywie na lewo od głowy Taga, za okno, żeby dać mu do zrozumienia, że jestem gotów zakończyć już tę konwersację. On jednak nie ustąpił.

— Masz osiemnaście lat. Jesteś oficjalnie poza systemem. Gdzie pójdiesz, Mo?

Nie wiem, dlaczego uznał, że może do mnie mówić „Mo”. Nie udzieliłem mu pozwolenia. Ale on taki właśnie był. Znajdywał sposób, żeby wbić się w moją przestrzeń. Trochę jak Georgia.

Zerknąłem na niego przelotnie i wzruszyłem ramionami, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Mój pobyt liczył się w miesiącach. Boże Narodzenie, Nowy Rok, luty. Trzy miesiące w szpitalu psychiatrycznym. I żałowałem, że nie mogę zostać dłużej.

— Chodź ze mną — stwierdził Tag, rzucając chusteczkę i odpychając od siebie tacę.

Zdumiony odchyliłem się na krześle. Przypomniła mi się odgłos jego płaczu, to lamentowanie, które niosło się korytarzem, gdy go przyjmowali na oddział. To było niemal miesiąc po moim przyjęciu. Leżałem w łóżku i słuchałem, jak próbowali go uspokoić. Wtedy nie wiedziałem, że to on, dopiero później skojarzyłem fakty, kiedy opowiedział mi, dlaczego tu wylądował. Przypomniała mi się też sesja z doktorem Andelinem, gdy Tag wyskoczył na mnie z pięściami i wściekłością w oczach, niemal oszalały z bólu. Z zamyślenia wyrwały mnie jego dalsze słowa.

— Moja rodzina ma pieniądze. Zasadniczo nic więcej nie mamy, tylko całe góry forsy. A ty nie masz nic.

Siedziałem sztywno i słuchałem. Nie mylił się, nie miałem nic. Był moim przyjacielem, pierwszym prawdziwym przyjacielem prócz Georgii. Ale nie chciałem od niego niczego. Ani tego, co dobre, ani tego, co złe, a Tag miał w

nadmiarze i jednego, i drugiego.

— Potrzebuję kogoś, kto będzie pilnował, żebym się nie zabił. Musi to być ktoś na tyle rośły, żeby mnie unieruchomić, gdy postanowię się sponiewierać. Zatrudnię cię, żebyś spędzał ze mną każdą minutę, kiedy nie śpię, dopóki nie wymyślę, jak wyrzucić z siebie pragnienie podcięcia sobie nadgarstków.

Zdezorientowany przechyliłem głowę na bok.

— Chcesz, żebym cię unieruchamiał?

Tag parsknął.

— Tak. Uderz mnie w twarz, rzuć na ziemię. Wykop ze mnie cały szajs. Krótko mówiąc: pilnuj, żebym przeżył i nie pił.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy jestem w stanie coś takiego zrobić. Uderzyć go, rzucić nim o ziemię. Unieruchomić go, aż przejdzie mu ochota na picie lub śmierć. Byłem duży. I silny. Ale Tag też nie należał do ułomków. Ku mojemu zaskoczeniu cała idea jakoś przestała mnie kręcić. Moje wątpliwości chyba były widoczne, bo Tag znowu zaczął mówić:

— Potrzebujesz kogoś, kto ci wierzy. A ja ci wierzę. To męczące, gdy ludzie wciąż uważają cię za świra. Ja wiem, że nim nie jesteś. Musisz mieć gdzie pójść, a ja muszę mieć kogoś przy sobie. To nie jest zły układ. Ty chcesz podróżować, a ja nie mam nic lepszego do roboty. Jedyne, w czym jestem dobry, to bójki, a te mogę znaleźć wszędzie. — Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Szczerze powiedziawszy, nie ufam sobie jeszcze na tyle, żeby zostać samemu. A jeśli wrócę do Dallas, zacznę pić. Albo się zabiję. Potrzebuję cię.

Powiedział to zupełnie naturalnie. „Potrzebuję cię”. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że tak twardy facet, który wdawał się w bójki dla samej przyjemności walki, mógł przyznać się do czegoś takiego. Albo w coś takiego wierzyć. Ja nigdy nikogo nie potrzebowałem. Nie tak na serio. I nigdy nie powiedziałem do nikogo takich słów. „Potrzebuję cię” brzmiało niebezpiecznie podobnie do „kocham cię” i miałem wrażenie, że narusza jedno z moich praw. Ale w tej sytuacji, przepełniony niepokojem związanym z nadchodzącym dniem i perspektywą odzyskania wolności, musiałem przyznać, że przypuszczalnie ja też potrzebowałem Taga.

Tworzylibyśmy dziwną parę. Czarny artysta i biały kowboj. Jak początek jednego z tych dowcipów o trzech mężczyznach wchodzących do baru. Tyle że nas było dwóch. Tag miał jednak rację. Obaj utknęliśmy w martwym punkcie. Byliśmy zagubieni. Nic nas nie trzymało ani nie ciągnęło w żadną stronę. Ja pragnąłem odzyskać wolność, a Tag nie chciał być sam. Potrzebowałem jego pieniędzy, a on potrzebował mojego towarzystwa. Smutne jak zazwyczaj.

— Będziemy po prostu uciekać, Mojżeszu. Jak ty to mówiłeś? Tu, tam, na drugi koniec świata? Nie uciekniemy od siebie samych, więc będziemy razem, dopóki

każdy z nas nie odnajdzie siebie, dobrze? Dopóki nie wymyślimy, jak się z tym uporać.



GEORGIA

NIE MIAŁAM POJĘCIA, w jaki sposób przekazać nowinę i przyznać moim rodzicom, że mieli rację, a ja się myliłam. Nie byłam dorosła. Byłam bezbronną małą dziewczynką, czyli kimś, kim nigdy nie chciałam być. Zawsze się z tego śmiałam. Przez całe życie byłam twarda. Upajałam się tym, że jestem równie silna jak chłopcy. Okazało się jednak, że wcale taka nie byłam. Byłam słaba. Tak cholernie słaba.

Byłam słaba, a ta słabość doprowadziła do stworzenia dziecka, które nie miało ojca. Może Mojżesz wcale mnie nie porzucił? Bo przecież jak miałyby to zrobić, skoro nigdy nie był mój? Ale czułam się porzucona. Porzucona i bardzo samotna. Chociaż być może on był jeszcze bardziej samotny. Może to właśnie on został tak naprawdę porzucony. Ale nie mogłam o nim myśleć, a gdy nie wracał, łatwiej było mi się na niego gniewać.

Mojżesz stał się człowiekiem bez twarzy. Tylko w taki sposób byłam w stanie to znieść. Wykasowałam jego obraz ze swojego umysłu. I nie pozwalałam sobie na myślenie o nim. Niestety, człowiek bez twarzy i ja poczęliśmy dziecko bez twarzy, które rosło we mnie i rosło, aż nie dało się go już dłużej ukrywać. Rozpłakałam się, co ostatnio dość często mi się zdarzało, i opowiedziałam mamie, co zaszło między mną a Mojżeszem. Siedziała na moim łóżku, słuchała i patrzyła, jak jej Georgia Shepherd, która zawsze była twarda, zdecydowana i uparta, zmienia się w zawodzącą, szlochającą i dziecinną kobietę. Gdy skończyłam, nie poruszyła się. Była w szoku. Nie objęła mnie. Kiedy odważyłam się podnieść wzrok na jej twarz, patrzyła w ścianę, na której Mojżesz namalował mężczyznę zmieniającego się w białego konia. Zastanawiałam się, czy ja też właśnie zmieniałam się w jej oczach w coś innego.

Mimo jej szoku i chłodnego przyjęcia mojego wyznania poczułam ulgę, że to z siebie wyrzuciłam. Po miesiącach samotności ze swoim sekretem, najgorszych miesiącach mojego życia, pełnych strachu, rozpacz, obaw o Mojżesza, o siebie i o dziecko, któremu bałam się nadać tożsamość, powiedziałam jej to wszystko, egoistycznie nie przejmując się tym, że przewróciłam jej świat do góry nogami. Po prostu nie mogłam już wytrzymać.

Gdy powiedziałam o tym ojcu, jego reakcja roztopiła serce mamy. Wstał,

podszedł do mnie i mocno mnie przytulił, a matka się rozplakała. Właśnie wtedy poczułam, że wszystko będzie dobrze, i jednocześnie porzuciłam nadzieję, że Mojżesz wróci.

CZĘŚĆ 2.

PO

XV

Siedem lat później...

GEORGIA

PRZED ŚCIANĄ naprzeciw wind zebrał się spory tłumek, przez co trudno było się domyślić, kto czeka na windę, a kto tylko patrzy. Wszystko za sprawą nowego muralu. Nie widziałam artysty przy pracy, ale sądząc po rozmiarach tłumy, musiało to być coś wartego zobaczenia, gdyby nie to, że nie miałam ani czasu, ani ochoty, żeby stać pod szpitalem i oglądać schnącą farbę. Usłyszałam sygnał windy i czekający tłum trochę się poruszył, wypływając z siebie oczekujących. Gdy drzwi się otworzyły, czekałam cierpliwie, aż wszyscy wyjdą, a potem wcisnęłam się do środka. Stałam w milczeniu wśród pozostałych pasażerów, jadąc na piętro mojego ojca.

Tydzień wcześniej zdiagnozowano u niego raka, a lekarze wybrali drastyczną ścieżkę. Wczoraj wycięli mu dość pokaźny guz z żołądka i pełni nadziei twierdzili, że ma duże szanse na to, że rak ustąpił. Usunęli większość, nie było przerzutów, więc przepisali mu chemię, żeby pozbyć się reszty. I tak się jednak baliśmy. Mama była w rozsypce, więc ostatecznie spędziłam noc z nimi, chociaż powinnam wrócić do domu, żeby dbać o gospodarstwo i konie. W szpitalu nie byłam zasadniczo do niczego potrzebna. Wyślizgnęłam się nad ranem i poszłam do pokoju hotelowego, którego tak naprawdę z mamą nie potrzebowałyśmy, skoro spędzałyśmy noce, drzemiąc na krzesłach w szpitalnym pokoju taty. Potrzebowałam jednak prysznic, drzemki i chwili oddechu. Zaspokoiliam wszystkie te trzy potrzeby i teraz wracałam, gotowa zmienić mamę, jeśli uda mi się ją przekonać, żeby zrobiła to samo.

Szpitalne i windy przyprawiały mnie o zawrót głowy. Stałam więc z tyłu, podałam numer swojego piętra dziewczynie przy panelu i czekałam, aż za milczącymi pasażerami zamkną się drzwi. W tle grała instrumentalna wersja piosenki Gartha Brooksa Friends in Low Places. Miałam taki okres w życiu, że zaśpiewałabym ją głośno i krzykliwie, żeby reszta pasażerów poznała słowa, bo tak wybitnej piosenki nie powinno się sprowadzać do roli tapety muzycznej. Ale dzisiaj tylko westchnęłam, zastanawiając się, do czego ten świat zmierza.

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Podniosłam wzrok na lampki sygnalizujące piętra. Nagle w szczelinę wsunęła się dłoń i drzwi z powrotem się otworzyły. Buty dodawały mi wzrostu i byłam jeszcze wyższa niż moje naturalne metr siedemdziesiąt pięć. Stałam dokładnie w środku windy, oparta plecami o ścianę z lustrem. Ludzie natychmiast się przesunęli, żeby zrobić miejsce dla nowego pasażera, i nikt nie blokował mi widoku ani nie zasłaniał mojej twarzy, gdy do

środką wszedł Mojżesz Wright. Przez kilka sekund, może dłużej, staliśmy półtora metra od siebie twarzą w twarz. Drzwi zamknęły się za jego plecami, ale nie odwrócił wzroku. Wydawał się oszołomiony, wręcz zwalony z nóg. Zastanawiałam się, czy moja twarz wyraża podobny szok. Modliłam się, żeby odwrócił się do drzwi, jak robili wszyscy normalni ludzie. Ale on nie był normalny, nigdy, więc nawet nie drgnął. Patrzył na mnie, aż w końcu odwróciłam wzrok, wbiłam go w prawy górny róg windy i skupiłam się na oddychaniu, żeby nie zacząć krzyczeć.

Winda podskoczyła nieznacznie przy hamowaniu i drzwi się otworzyły, umożliwiając rotację ludzi. Przesunęłam się w lewo, gdy zrobiło się miejsce, żeby być jak najdalej od Mojżesza. Odgrodziłam się od niego otyłym mężczyzną w bejsbolówce. Mojżesz przeniósł się do przeciwległego rogu. Nie odwróciłam się jednak, żeby sprawdzić, czy ignoruje mnie z równym zaparciem jak ja jego.

Piętro po piętrze ludzie wsiadali, wysiadali i zmieniali pozycje, a ja zastanawiałam się, kogo Mojżesz odwiedza, i modliłam się, żebyśmy nie wysiadali na tym samym piętrze. Kiedy dojechaliśmy na samą górę, on wciąż tkwił w swoim kącie, a w windzie prócz nas było jeszcze tylko dwóch pasażerów. Wyszłam za nimi z tak usztywnionymi plecami, że z trudem się poruszałam. Byłam przekonana, że Mojżesz wysiadzie za mną, lecz tego nie zrobił.

Drzwi się zamknęły. Zerknęłam ukradkiem przez prawe ramię, myśląc, że może przegapiłam jego wyjście. Ale przed windą nie było nikogo prócz mnie. Zaświeciła się strzałka w dół i winda ruszyła z powrotem. Zastanawiałam się, czy pojechał do góry specjalnie po to, żebym poczuła się niezręcznie.

Minęło prawie siedem lat. Całe życie. Albo dwa. Lub trzy. Jego życie, moje życie, nasze życie. Wszystkie trzy zmieniły się nie do poznania. Ale on wcale aż tak się nie zmienił. Wciąż był Mojżeszem. Nieco wyższym być może. I lepiej zbudowanym. Na pewno starszym. Ale dwadzieścia pięć lat to zbyt mało, żeby mówić o byciu starszym. Nadal miał bardzo krótko przystrzyżone włosy, które uwydatniały ładny kształt jego głowy. Jego wygląd praktycznie się nie zmienił. Oczy, szerokie usta, linie twarzy i szczęki — wszystko to było dokładnie takie, jak zapamiętałam. Jak zapamiętałam, chociaż rzadko pozwalałam mu na okupowanie moich wspomnień. Muszę w końcu go wyrzucić. Muszę sprawić, że stanie się człowiekiem bez twarzy, tak jak postać na rysunku, który od niego dostałam. Rysunku, który stał się dla mnie tak cenny, chociaż drwił ze mnie za każdym razem, gdy na niego patrzyłam.

Mojżesz zapadł się pod ziemię. Po prostu zniknął. Zgarnęli go w ten feralny poranek Święta Dziękczynienia i to był ostatni raz, kiedy go widziałam i miałam z nim kontakt. Po prostu przepadł. Z tego powodu, z racji upływu czasu, nie powinnam była rozpoznać go od razu. Ale tak nie było. Wystarczyło jedno spojrzenie i moje serce załomotało jak ogłuszający gong, którego echo wciąż rezonowało w mojej głowie i kończynach, wywołując ich drżenie i potrzebę

znalezienia jakiegoś krzesła. Przede mną jednak rozciągał się pusty korytarz z dwoma rzędami drzwi, więc zsunęłam się plecami po ścianie, aż pośladki dotknęły podłogi. Przyciągnęłam swoje długie nogi do ciężko oddychającej piersi, żeby mieć gdzie oprzeć głowę. Mojżesz Wright. Czułam się, jakbym zobaczyła ducha. A ja nie wierzę w duchy.



MOJŻESZ

MÓJ GOŚĆ MIAŁ PIŻAMĘ z Batmanem i gołe stopy. Był dzieckiem, ale za mało znałem się na dzieciach, żeby określić jego wiek. Mógł mieć od trzech do pięciu lat, chociaż podejrzewam, że bliżej mu było do tej dolnej granicy. Miał burzę ciemnych loków i patrzył na mnie z namaszczeniem swoimi nieco zbyt dużymi jak na tak małą twarzyczkę oczami. Stał bez ruchu w nogach łóżka, a gdy przyglądałem mu się ze zmęczeniem, przechylił głowę i spojrzał na mnie tak, jakbym to ja był powodem jego obecności. Zawsze byłem powodem ich obecności. Palił mnie kark i odruchowo poruszyłem palcami, żałując, że nie mam ołówka, kredy czy czegokolwiek, żeby jak najszybciej to skończyć. Minęło już trochę czasu i zaczynałem wierzyć, że moje ściany są szczelne i nie przepuszczają nikogo bez mojej zgody.

Położyłem się wcześniej i zasnąłem ukojony łagodnym bębnieniem deszczu o blaszany dach i świstem wiatru, od którego nieznacznie drżały ściany tego starego magazynu. Znalazłem to miejsce prawie dwa lata temu i bardzo mi odpowiadało. Mieściło się w centrum Salt Lake City, niedaleko starego dworca głównego, w odnawianej dzielnicy zawieszonyj pomiędzy odrestaurowaniem a zdewastowaniem. Po prawej stronie od mojego budynku znajdowało się schronisko dla bezdomnych, a po lewej ekskluzywne spa. Dwa kwartały na północ zaczynał się rząd rezydencji zbudowanych na początku XX wieku, a dwa kwartały na południe mieściło się centrum handlowe. Okolica stanowiła mieszaninę wszystkiego — zagmatwaną, a tym samym komfortową. Magazyn częściowo przekształcono w biura, lecz ze względu na przylegającą od tyłu część mieszkalną na każdym piętrze znajdowało się jedno mieszkanie.

Ja mieszkałem na samej górze. Wszystkie wolne przestrzenie na ścianach i belkach pokryłem malowidłami. Przekonałem się, że łatwo je sprzedać, gdy są spersonalizowane. Przychodzili do mnie ludzie z całego świata, żeby nawiązać kontakt z ich zmarłymi i namalował, co zobaczyłem. Wracali do domu z oryginalnym Mojżeszem Wrightem pod pachą, a ja zarabiałem na tym całkiem niezłą kasę.

Wyrobiłem sobie reputację i miałem długą listę oczekujących oraz asystenta, który nią zarządzał. Początkowo Tag był moim asystentem. W końcu to był jego pomysł. Jeździliśmy po Europie z plecakami, lecz doszło do katastrofy, bo skradziono nam wszystkie rzeczy, gdy spaliśmy w pociągu. Zanim jednak dojechaliśmy do Florencji, zarobiłem tysiąc euro, a Tag figlował z bogatą Włoszką, która rok wcześniej straciła matkę. Dziewczyna mówiła płynnie po angielsku i dosłownie obsypała mnie pieniędzmi, kiedy wymieniłem listę rzeczy, o których nie mogłbym wiedzieć, gdyby jej matka mi ich nie pokazała. Pokazywane przez matkę kolorowe, pastelowe obrazy były bardzo podobne do krajobrazu za oknem pociągu. Włoszka płakała przez całą naszą „sesję”, a pod koniec pocałowała mnie w policzek, ale oczywiście to Tag ją zerznął, chociaż to ja naszkicowałem ją, jak uciekała przed falami na brzegu morza, tak jak zapamiętała ją jej matka.

Początkowo się bałem i niechętnie otwierałem kreatywne tamy, szczególnie że w końcu poczułem, iż mam nad tym jakąś kontrolę, i zyskałem trochę przestrzeni. Co też powiedziałem Tagowi.

— W końcu potrafię ich zablokować. Nie zawsze, ale po raz pierwszy w życiu nie widzę zmarłych wszędzie, gdzie spojrzę. Potrafię zablokować ich wspomnienia, obrazy i pragnienia. Stałem się w tym znacznie lepszy i po raz pierwszy w życiu czuję, że mam nad tym kontrolę.

— Ale?

— Ale trudniej mi malować. Z zamkniętym kanałem mój umysł też w pewnym sensie się zamyka i nie potrafię malować. Wiesz, gdy wzniosę te ściany, wyłączam wszelkie barwy, wypłukuję je. A potrzebuję ich, żeby malować. Chcę malować. Potrzebuję malować, Tag. Nie wiem, co zrobić. To jest obosieczny miecz.

— To kontroluj to. Wykorzystuj. Gdy jest gorąco, włączam klimatyzację. Gdy jest zimno, wyłączam ją. Jesteś w stanie zrobić coś takiego? Wpuszczaj barwy, kiedy malujesz, i blokuj je, kiedy nie malujesz. — Wzruszył ramionami, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

Zaśmiałem się i pomyślałem, że może powinienem spróbować.

— Cóż, niech będzie. Ale jeśli zacznę malować coś, czego nie powinienem, i aresztują mnie za zabójstwo lub rabunek albo dopadnie mnie jakiś koleś za to, że namalowałem jego żonę uprawiającą seks z kimś innym, to będziesz musiał mnie wykupić z więzienia... lub z psychiatryka.

— Nie żebyśmy już tego nie robili, co? Przemoc i sztuka. To najlepsze połączenie. — Zaśmiał się, ale widziałem, że pobudziłem jego kreatywność. I jakiś czas później nie mogliśmy opędzić się od zleceń.

Namalowałem obraz na murze w Brukseli i na drzwiach kaplicy w małej

francuskiej wiosce, kilka martwych natur w Hiszpanii i — ze względu na dawne czasy — na stodole w Amsterdamie. Nie wszystkie malowidła okazały się sukcesem. Parę razy musieliśmy brać nogi za pas, lecz w większości sytuacji Tag znajdował kogoś, kto mówił po angielsku i mógł być moim tłumaczem, ja malowałem, a ludzie wpadali w zdumienie. I opowiadali o tym swoim znajomym.

Skończyło się to tak, że jeździłem po całej Europie, płacono mi za tworzenie obrazów, które powstawały dzięki otwarciu się na coś, co zawsze uważałem za klątwę. Co istotniejsze, oglądałem dzieła, które zawsze chciałem zobaczyć. Uwielbiałem wypełniać głowę obrazami, które nie miały nic wspólnego ani ze mną, ani ze śmiercią. Aż pewnego dnia uświadomiłem sobie, że życie naśladuje śmierć, szczególnie w sztuce. Sztuka przeszłości była ściśle powiązana ze śmiercią — artyści już nie żyli, lecz ich dzieła przetrwały i były jak testament dla żywych i zmarłych. To było dla mnie niezwykle ważne. Przestałem się czuć tak samotny i dziwny jak kiedyś. Czasem nawet, patrząc na coś naprawdę inspirującego, zastanawiałem się, czy wszyscy wielcy artyści nie mieli przypadkiem kontaktu ze zmarłymi.

Podróżowaliśmy w ten sposób przez cztery lata, a ja oddawałem mu połowę zarobionych pieniędzy, bo bez niego nie dałbym sobie rady. Jego charyzma i umiejętność odnalezienia się w każdej sytuacji wzbudzały zaufanie ludzi. Jestem przekonany, że gdybym robił to na własną rękę, dopadłaby mnie inkwizycja i spaliła na stosie jako czarownika albo zamknęliby mnie w zakładzie dla obłąkanych. Przez trzy miesiące naszego pobytu w Anglii nieraz miałem w głowie wizje rodem ze szpitala w Bedlam^[1].

Tag przyciągał ludzi swoją charyzmą, lecz zakres jego uwagi wymagał doszlifowania. Potrafił się skupić wyłącznie na najbliższym zleceniu, a potem następnym i następnym. Gdy wróciliśmy do Stanów, kontynuowaliśmy europejski tryb pracy, jeżdżąc od jednego dużego miasta do kolejnego i malując obrazy dla kolejnych bogatych mecenasów. Tag przez całe życie był bogatym dzieciakiem — bogatym Teksańczykiem, który różnił się trochę od bogatego Nowojorczyka, ale koniec końców wszystkie bogate dzieci są takie same — więc czuł się swobodnie wszędzie, natomiast ja nie czułem się swobodnie nigdzie. Trzeba mu jednak przyznać, że dzięki niemu czułem się w takim stopniu komfortowo, jak nigdy i nigdzie wcześniej, i z jego pomocą także zostałem bogatym dzieciakiem. Przez cały następny rok podróżowaliśmy po Stanach i ułatwialiśmy przeżywanie żalu po stracie bliskich kolejnym osobom, aż w końcu uznaliśmy, że nadszedł czas, by to ludzie przychodzili do nas.

Tag był zmęczony rolą menedżera Mojżesza Wrighta i miał własne marzenia o krwi i sławie (dosłownie), a ja byłem zmęczony ciągłą bezdomnością. Tułałem się przez całe życie i poczułem, że jestem gotów na coś innego. Wylądowaliśmy w Salt Lake City, czyli tam, skąd wyruszyliśmy, co z jakiegoś względu wydawało mi się właściwe. Stałem się ulubieńcem doktora Andelina, który obserwował

nasze poczynania, gdy razem z Tagiem włóczyliśmy się po świecie i w większości sytuacji udawało nam się trzymać z dala od kłopotów. Zgodziłem się namalować mural w Montlake. Coś dającego nadzieję i kojącego, na co ludzie mogliby wskazywać, mówiąc: „Widzisz? Namalowało to dziecko cracku, więc ty też możesz!”.

Noah Andelin ucieszył się z naszego przyjazdu, a jego szczere zadowolenie z naszego sukcesu i przyjaźni oraz troska o nasz los skłoniły go do umówienia się z nami na kolację i drinka jeszcze w tym samym tygodniu. To on powiedział nam o mieszkaniach w magazynie, sądząc, że może nas to zainteresować.

Bałem się trochę uziemienia Taga, który potrzebował przemieszczania się tak jak ja malowania. Wspólne podróżowanie zaspokajało te nasze potrzeby i pomagało nam nie zwariować. Ale Tag wynajął mieszkanie pode mną i zamiast galerii sztuki urządził w nim siłownię i nawiązał kontakt z okolicznymi szkołami walk, mieszając wschodnie sztuki walk z boksem i wrestlingiem. Trenował to wszystko, dzięki czemu był skupiony i nie pił. Zaczął mówić o walkach, własnej kolekcji ubrań Tag Team i szukaniu sponsorów, żeby otworzyć szkołę dla okolicznych sportowców, którzy chcieliby trenować do startu w Ultimate Fighting Championship. Ja malowałem, a on młócił pięściami, ja podnosiłem wody, a on podnosił sobie poprzeczkę. Zadomowiliśmy się na swoich piętrach i trzymaliśmy swoje demony w ryzach. Obaj byliśmy bardzo bliscy odnalezienia własnej ścieżki i obaj uczyliśmy się radzić sobie z życiem.

I właśnie wtedy, gdy leżałem w łóżku we własnym mieszkaniu pogrążony we własnych sprawach i własnym życiu, zostałem z tego wytrącony pojawieniem się Batmana. Zirykował mnie ten mały najeźdźca. Odwróciłem się i skupiłem na wodzie. Na tym, żeby spłynęła w dół i zmyła tego małego gościa. Musiałem przegapić jakiegoś marudera z dzisiejszej sesji w szpitalu. Wymienianie uścisków dłoni, rozdawanie autografów i malowanie z powiększającym się tłumem za plecami było najmniej lubianym przeze mnie stylem pracy.

Nie przepadałem za malowaniem w szpitalach. Widziałem rzeczy, których nie chciałem widzieć. I zawsze wiedziałem, którzy pacjenci wkrótce umrą. Nie dlatego, że wyglądali na bardziej chorych niż inni, ani nie dlatego, że widziałem ich kartoteki lub podsłuchałem rozmowy pielęgniarek, lecz dlatego, że przy ich łózkach unosili się ich zmarli. Umierająca osoba zawsze miała przy sobie towarzysza. Jak Gi tuż przed swoją śmiercią.

Kilka lat temu namalowałem mural na oddziale dziecięcym pewnego francuskiego szpitala. Leżące w łózkach chore dzieci obserwowały, jak na ścianie powstaje wesołe miasteczko z tańczącymi niedźwiedziami, klaunami i słoniami. Widziałem wtedy zmarłych stojących przy ramionach trójki dzieci. Nie po to, by zabrać je do piekła czy zrobić im coś równie złowieszczonego. Nie byłem przerażony, bo rozumiałem przyczynę ich obecności. Ziemski czas tych dzieciaków dobiegał końca, a ich zmarli czekali, by przywitać ich po drugiej

stronie, w domu. Zanim skończyłem malować, cała trójka zmarła. Nie przerażało mnie to, ale nie lubiłem tego. Szpitale były pełne zmarłych i umierających.

Mural dla doktora Andelina w szpitalu psychiatrycznym w Montlake zainspirował kilka innych. Jakiś miesiąc temu zgłosił się oddział onkologiczny i pod wpływem niewielkiej presji i gorliwych przekonywań zgodziłem się poświęcić czas i talent na namalowanie kolejnego niosącego nadzieję i radosnego muralu. To był pozytywny rozgłos. Rozgłos, którego ani nie chciałem, ani nie potrzebowałem, lecz Tag szukał sponsorów dla swojego klubu. Gdy się zorientowałem, że ma na swojej liście jednego z największych sponsorów szpitala, postawiłem warunek, że namaluję mural w zamian za datek na rzecz Tag Team. Malowanie okazało się jednak wycieńczające.

Byłem zmęczony. Niewiarygodnie zmęczony. Może dlatego stałem się łatwiejszym obiektem ataku dla małych chłopców i ich wspomnień, które powinny pozostać w niepamięci. Spotkanie z Georgią namieszało mi w głowie i wskrzesiło starego, pozbawionego nadziei Mojżesza. Mojżesza, który nie potrafił się kontrolować. I zatracał się w malarstwie. Nie miałem zamiaru wracać do Levan, Georgii i tego, co było kiedyś. Nigdy tego nie chciałem, więc przez lata piętrzyłem kamienie na wspomnieniu o Georgii i próbowałem utopić je na dnie morza. Ale za każdym razem, kiedy rozdzielałem wody i dopuszczałem do siebie myśli innych ludzi, wspomnienia o Georgii wypływały na powierzchnię i zaczynałem na nowo o niej myśleć. Przypominałem sobie, jak bardzo jej pragnąłem i nienawidziłem i jak bardzo chciałem, żeby zostawiła mnie w spokoju, a jednocześnie nie pozwoliła mi odejść. I tęskniłem za nią.

A kiedy za nią tęskniłem, tworzyłem listę rzeczy, których nienawidzę. Pięciu rzeczy, których nienawidzę. Ona miała pięć plusów, a ja pięć minusów. Nienawidziłem jej niewinności i łatwego życia. Nienawidziłem jej małomiasteczkowego języka i małomiasteczkowych przekonań. Nienawidziłem tego, że wydawało jej się, iż mnie kocha. To było najgorsze.

Ale nie wszystko, co z nią związane, budziło moją nienawiść. Wielu rzeczy nie potrafiłem nienawidzić. Jej ognia, jej uporu i tego, jak obejmowała mnie nogami. Jej wpatrzonych we mnie oczu, które domagały się, bym dał jej wszystko, gdy próbowałem ją brać, nie zakochując się w niej. Ona chciała wszystkiego. Każdej, nawet najbardziej prywatnej części.

Wciąż była taka piękna.

Wyciągnąłem poduszkę i jęknąłem w nią, próbując zdusić wspomnienie jej oszołomionego wyrazu twarzy i patrzących na mnie szeroko otwartych brązowych oczu. Była dojrzała, miała nieco pełniejsze biodra i piersi, lecz wyszczuploną twarz, co uwydatniało jej kości policzkowe. Zupełnie jakby młodsze ciało odpłynęło z twarzy, żeby zagnieździć się w lepszych miejscach. Była kobietą, opanowaną i pewną siebie. Nie spłoszyła się ani nie

uciekła, gdy mnie zobaczyła i uświadomiła sobie, kim jestem.

Nasze spotkanie było jednak dla niej szokiem. Tak jak dla mnie. Widziałem, jak ściągnęła usta i zacisnęła dłonie oraz uniosła podbródek. Widziałem ten błysk w jej oku. A potem odwróciła wzrok, odrzucając mnie. Gdy dojechaliśmy na górę i otwarły się drzwi, wyszła, nie obejrzawszy się, a jej długie, opięte dzinsami nogi poruszały się w znajomy i jednocześnie kompletnie nowy sposób. Drzwi się zamknęły, a ja nie wysiadłem, chociaż to było ostatnie piętro. Przejechałem swoje. Nie chciałem wyjść i odejść, więc pozwoliłem, żeby to ona odeszła. Niewielka pociecha. Nie wiem, dlaczego się tu znalazła i co robiła. A ona ani się nie uśmiechnęła, ani mnie nie objęła jak w sytuacji, gdy wpadasz po latach na dawnego przyjaciela.

Cieszyło mnie to. Jej reakcja była bardzo wymowna, bo odzwierciedlała moją. Gdyby się uśmiechnęła i zaczęła towarzyską pogawędkę o niczym, musiałbym się umówić na sesję z doktorem Andelinem. A raczej kilka sesji. Zdruzgotałoby mnie to. Wspomnienie o Georgii prześladowało mnie przez ponad sześć lat, a sądząc po wyrazie twarzy, jaki miała, kiedy wsiadłem do windy, ona także doskonale mnie pamiętała. Była w tym pewna pociecha. Marna, ale pociecha.

Uniosłem poduszkę i spojrzałem przez ramię, czy chłopczyk sobie poszedł, i odetchnąłem z ulgą. Nie było go. Włożyłem poduszkę pod głowę i odwróciłem się na drugi bok.

Zakląłem i wyskoczyłem z łóżka, wściekle rzucając poduszką. Chłopiec wcale nie zniknął, tylko zmienił miejsce. Podszedł tak blisko, że widziałem jego długie rzęsy, kształt jego górnej wargi i zwijający się na końcach rzep jego peleryny.

Uśmiechnął się, odsłaniając rząd małych białych zębów, a na jego prawym policzku pojawił się dołek. Wstyd mi się zrobiło z powodu moich przekleństw, lecz zakląłem znowu, równie głośno.

Poczułem, że z tyłu głowy migocze jakaś odwiedzająca mnie myśl, więc wyrzuciłem dłonie w górę z rezygnacją.

— No dobrze. Pokaż mi swoje obrazy. Namaluję kilka i przyczepię do lodówki. Nie wiem, kim jesteś, więc nie dam rady wysłać ich do twoich bliskich, ale dawaj. Pokaż, co masz.

Migocząca myśl powiększyła się do pełnych rozmiarów, ukazując mi białego konia, którego zad i tylne nogi były upstrzone czarnymi i brązowymi ciapkami, jakby artysta zaczął wypełniać białą przestrzeń, ale coś go rozproszyło i nie dokończył dzieła.

Koń zarżał i ruszył galopem wokół niewielkiej zagrody. Poczułem przyjemność, z jaką chłopiec przyglądał się, jak koń rzuca grzywą i stawia swe piękne nogi.

Calico. Poczułem imię konia, gdy go zawołał. Było zagnieżdżone we wspomnieniu w taki sposób, że mogłem je usłyszeć. Koń dreptał dookoła, po

czym podszedł bliżej. Znalazł się tak blisko, że jego nozdrza urosły przed oczyma mojej wyobraźni do naprawdę sporych rozmiarów. Czułem jego oddech na dłoni i zobaczyłem rękę chłopca, jak gładzi łeb od łatki między oczami do dyszących nozdrzy, które uderzały w jego tors. Uświadomiłem sobie, że nie tylko słyszę, jak chłopiec mówi do niego słowami, których przypuszczalnie kiedyś używał, lecz czuję głaskanie w taki sposób, jakbym to ja głaskał. I jakby łeb konia uderzał w mój tors, a nie jego. Pokazał mi swoje wspomnienie tak wyraźnie i dokładnie, że czułem, jakbym siedział z nim na ogrodzeniu i doświadczał wszystkiego, co on widzi i słyszy.

— Najmądrzejszy i najszybszy koń w całym hrabstwie Cactus. — Znowu poczułem w głowie jego słowa. Niewypowiedziane. Po prostu je słyszałem, wplecione we wspomnienie, jakbym uchwycił nie zdjęcie, lecz króciutki film. Głos był stłumiony, jak w domowym odtwarzaczu z mocno ściszonej dźwiękiem. Dało się go jednak wyczuć jako część wspomnienia. Głosik dziecka będącego narratorem sceny.

Nagle wspomnienie zniknęło i przez chwilę mój umysł był czarny i pusty jak ekran zepsutego telewizora.

Czasem zmarli pokazują mi bardzo dziwne rzeczy. Rzeczy, które nie mają sensu. Drobne monety, kwiatki albo miskę tłuczonych ziemniaków. Rzadko rozumiem, o co im chodzi, poza tym, że próbują coś przekazać. Z czasem doszedłem do wniosku, że zwykłe rzeczy nie były dla nich zwykłe, lecz symbolizowały wspomnienia lub chwile, które miały dla nich znaczenie. Nie zawsze je rozumiałem. Wiedziałem tylko, że te najprostsze rzeczy były dla nich najważniejsze, a przedmioty same w sobie nie przedstawiały żadnej wartości. Zmarli nie przywiązywali wagi do ziemi, pieniędzy czy przekazywanych z pokolenia na pokolenie pamiątek rodzinnych. Oni troszczyli się o ludzi, których zostawili. I to ci właśnie ludzie ich wzywali. Nie dlatego, że zmarli nie potrafili się dostosować, lecz dlatego, że żywi w jakiś sposób sobie nie radzili. Zmarli ani się nie gniewali, ani nie mieli poczucia straty, bo dokładnie wiedzieli, co się stało. To żywi nie mieli o tym pojęcia. W większości przypadków ja też nie miałem pojęcia, o co chodzi, a próby rozszyfrowania, czego chce ode mnie zmarły, były, oględnie mówiąc, męczące. I nie lubiłem zmarłych dzieci.

Chłopak czekał na moją reakcję, wbijając we mnie swoje pełne uczucia i powagi ciemnobrązowe oczy.

— Nie. Nie chcę brać w tym udziału. Nie chcę cię tutaj. Odejdź — odpowiedziałem stanowczo, lecz w moim umyśle natychmiast pojawił się kolejny obraz, który najwyraźniej stanowił reakcję chłopca na moją odmowę.

Tym razem zacisnąłem mocno powieki i cofnąłem się gwałtownie, wyobrażając sobie ściany wody, które opadają na odsłonięte dno — suchy ląd, kanał, który pozwalał ludziom na przejście na drugą stronę. Miałem moc rozdzielania wód i miałem też moc, by zamknąć przejście z powrotem. Tak, jak powiedziała mi Gi:

na wzór biblijnego Mojżesza. Gdy otwarłem oczy, chłopiec zniknął, porwany przez Morze Czerwone. Razem z tym, czego nie chciałem oglądać.

[1] Bedlam — historyczny szpital dla obłąkanych w Anglii, który ze względu na swą złą sławę stał się tematem kilku horrorów — *przyp. tłum.*

XVI

MOJŻESZ

NAJWYRAŹNIEJ JEDNAK ELI POTRAFIŁ PŁYWAĆ. Tak miał na imię. Zobaczyłem je napisane krętym, koślawym pismem na jakiejś jasnej powierzchni. *EL i*.

Eli nie został pochłonięty przez wezwane przeze mnie wody. Wrócił. Znowu. I znowu. Próbowałem nawet wyjechać, jakby kiedykolwiek się to sprawdziło. Tu, tam, na drugim końcu świata — nie ma ucieczki przed sobą... ani przed zmarłymi. Tag przypominał mi o tym, gdy narzekałem, wrzucając torbę do bagażnika. Samochód był nowy, pachniał skórą i wzbudzał we mnie pragnienie, by nigdy się nie zatrzymywać. Jechałem z otwartymi oknami i łomoczącą muzyką, żeby wzmocnić swoje ściany. Ale gdy zmierzałem w stronę Salt Flat, na zachód od doliny, Eli pojawił się na środku drogi. Jego czarna pelerynka powiewała na wietrze, jakby naprawdę tam stał. Osamotniony chłopczyk na środku opustoszałej autostrady. Zawróciłem do domu, zirytowany jego wtargnięciem, i zastanawiałem się, jakim cudem udaje mu się znaleźć wszystkie moje pęknięcia.

Pokazał mi książkę ze zniszczoną okładką i pozaginаныmi rogami. Przewracał jej kartki, a słaby, stłumiony kobiecy głos czytał opowieść. Eli siedział na kolanach kobiety i przyciskał głowę do jej piersi, a ja czułem jej ciało, jakbym to ja siedział w zagłębieniu jej skrzyżowanych nóg i jakby to mnie przytulała. Pokazał mi konia o imieniu Calico i kobiece nogi w dżinsach, które przechodziły obok stołu, co wyglądało, jakby siedział pod nim w swoim forcie na niby. Przypadkowe rzeczy, które dla mnie nie znaczyły nic, a dla niego wszystko.

Obudził mnie o trzeciej nad ranem nastrojowym obrazem przedstawiającym konną przejażdżkę na tle zachodzącego słońca. Siedział przed kobietą, której włosy łaskotały go w policzki, gdy odwracał głowę. Odrzuciłem kołdrę i zacząłem malować. Pracowałem gorączkowo, pragnąc pozbyć się dziecka, które nie dawało mi spokoju. Obraz w mojej głowie był stworzony przeze mnie. To nie Eli mi go podsunął. Wyobraziłem sobie, ze wszystkimi barwami, jak musieli wyglądać — jasna matka i ciemnoskóry syn z głową wtuloną w jej pierś, siedzący przed nią na koniu. Para na koniu odjeżdżała w dal, zmierzając w stronę zachodu słońca rozlewającego się na wzgórzach bogatymi, rozmytymi kolorami. Przypominało mi to Moneta i było jak oglądanie piękna przez pofalowaną szybę, dostrzegalnego, lecz ulotnego. W ten sposób próbowałem utrzymać obserwatorów na dystans, żeby mogli obserwować widok, lecz nie zakłócali go i nie byli jego częścią. W podobny sposób oglądałem zmarłych i pokazywane przez nich obrazy. Tak sobie z tym radziłem. To był mój sposób na to, by

pozostać nietkniętym.

Gdy skończyłem, zrobiłem krok w tył i opuściłem dłonie. Koszulka i dzinsy były ubrudzone farbą. Bolały mnie dłonie, a ramiona miałem napięte do granic możliwości. Odwróciłem się. Eli oglądał obraz, podziwiając ruchy pędzla, z których stopniowo wyłoniło się życie. Zastygłe w obrazie, ale życie. Musi mu to wystarczyć. Zawsze im to wystarczało.

Lecz Eli spojrział na mnie z z troskaniem i zmarszczonymi brwiami. A potem powoli potrząsnął głową.

Pokazał mi obraz z rzucanym na ścianę łagodnym blaskiem lampy w kształcie kowbojskiego buta. Oczy chłopca były utkwione w ścianie. W świetle lampy pojawił się kontur kobiety, który pochylił się i pocałował chłopca na dobranoc.

— *Dobranoc, Stewy Stinker!* — powiedziała, głaszcząc chłopca po szyi.

— *Dobranoc, Buzzard Bates!* — odrzekł uradowany.

— *Dobranoc, Skunk Skeeter!* — odparowała, nie pozostając mu dłużna.

— *Dobranoc, Butch Bones!* — wykrztusił, śmiejąc się chłopiec.

Nie rozumiałem tych przezwisk, chociaż wywołały mój uśmiech. Całe wspomnienie emanowało głęboką uczuciowością. Odepchnąłem je, zamykając się na ten poruszający obrazek.

— Nie, Eli. Nie. Nie mogę ci tego dać. Wiem, że chcesz do mamy, ale nie mogę ci pomóc. Jej też nie mogę pomóc. Ale mogę dać jej to. Pomóż mi ją odnaleźć, to jej to dam — powiedziałem, wskazując schnący obraz, który namalowałem dla tego uparciucha. — Dam jej twój obraz. Pomogłeś mi go namalować. To coś od ciebie i mogę jej to dać. Od ciebie.

Eli rozważał moją propozycję przez kilka długich uderzeń serca. A potem nagle zniknął.



MOJESZ

— PIĘKNY — stwierdził Tag, wskazując podbródkiem płótno na sztalugach. — Inny niż to, co zwykle malujesz.

— No. To dlatego, że to nie on pokazał mi obraz. Ja go wymyśliłem.

— On? Ten dzieciak?

— Tak.

Potarłem dłońmi krótkie włosy na głowie. Czułem niepokój, ale nie wiedziałem dlaczego. Eli nie wrócił. Może rysunek jednak zadziałał.

Tag wpadł do mnie bez zapowiedzi i bez zaproszenia, jak dawniej. Cieszyłem się z tego najścia. Zwykle przychodził, gdy potrzebował partnera do sparingu, czegoś z mojej lodówki lub obrazu do powieszenia w widocznym miejscu, żeby zrobić wrażenie na kobiecie, którą zaprosił na wieczór.

Tym razem trening miał już chyba za sobą, więc nic nie wskazywało, żebym musiał mu dziś pomagać w wyrzucaniu nagromadzonej frustracji. Końce jego mokrych włosów się podkręcały i przylepiały do karku i czoła, a przesiąknięta potem koszulka przywierała do ciała. Tag potrafił się odpicować, gdy robił interesy. Zaczesał wtedy włosy do tyłu i zakładał drogi garnitur. Zwykle jednak sprawiał wrażenie lekko niechlujnego i zapuszczonego ze swoim złamanym zbyt dużo razy nosem i wiecznie za długimi włosami. Nie wiem, jak mógł wytrzymać z włosami na głowie. Ja nie mogłem znieść tego gorąca. Może dlatego, że przy każdym spotkaniu ze śmiercią płonął mi kark i szumiało mi w głowie, a ciało spalało energię jak piec hutniczy.

Tag ściągnął koszulkę i otarł twarz, przygotowując sobie miskę moich płatków i nalewając dużą szklankę mojego soku pomarańczowego. Usiadł przy stole kuchennym, jakbyśmy byli starym małżeństwem, i zaczął jeść, nie mówiąc już nic o obrazie, którego malowanie zajęło mi pół nocy.

Tag był lepszy w przyjaźni ode mnie. Ja rzadko schodziłem do niego. Nigdy nie jadłem jego żywności i nigdy nie rzucałem mu na podłogę przeupoconych ubrań. Ale cieszyłem się, że on to robił. Byłem mu wdzięczny, że przychodził, i nigdy nie narzekałem na znikające jedzenie i obrazy ani na porzucone brudne skarpetki. Gdyby Tag nie czuł się w moim życiu jak u siebie, nie byłibyśmy przyjaciółmi. Ja po prostu nie wiedziałem, jak się to robi, a on najwyraźniej to rozumiał.

Skończyłem jeść płatki i odepchnąłem miskę, a moje spojrzenie powędrowało z powrotem do sztalug.

— Czemu ona jest blondynką? — spytał Tag.

Zmarszczyłem brwi i wzruszyłem ramionami.

— A dlaczego nie?

— No, chłopczyk jest ciemnoskóry. Zastanawiam się więc, czemu ona jest blondynką — stwierdził logicznie i włożył do ust kolejną łyżkę płatków.

— Ja też jestem czarny... a moja matka była blondynką — odparłem obojętnie.

Tag zamarł, a jego łyżka zatrzymała się w powietrzu. Jeden płatek Cheerios wykonał desperacki skok z łyżki i z pluskiem wylądował w misce, żeby odwlec chwilę, w której zostanie zjedzony.

— Nigdy mi nie mówiłeś.

— Nie?

— Nie. Wiem, że matka zostawiła cię w pralni. Wiem, że nie miałeś zbyt fajnego dzieciństwa. Wiem, że zamieszkałeś z babcią niedługo przed jej śmiercią. Wiem, że jej śmierć nieźle namieszała ci w głowie. I w tym momencie pojawiłem się ja. — Puścił mi oczko. — Wiem, że zawsze widziałeś rzeczy, których inni nie widzą. I wiem, że potrafisz malować.

Moje życie w pigułce.

— Ale nie wiedziałem, że twoja matka była blondynką — ciągnął. — Nie żeby to miało znaczenie. Ale jesteś czarny, więc zakładałem...

— No.

— Czyli... ten obraz przedstawia ciebie z mamą? Czy ona nie była dziewczyną z małego miasteczka?

— Nie. Znaczący... tak. Była dziewczyną z małego miasteczka. *Białą* dziewczyną z małego miasteczka. — Podkreśliłem to słowo, żeby nie było już żadnych niejasności. — Ale nie. Na tym obrazie jest Eli z mamą. Wydaje mi się jednak, że nie tego chciał.

— Wzgórza. Zachód słońca. Przypomina mi trochę Sanpete. W Sanpete było ślicznie, gdy nie miałem kaca.

— W Levan też.

Wpatrywałem się w płótno przedstawiające dziecko z matką na koniu o imieniu Calico. Kobieta była szczupła i wysoka, a jej blond włosy odznaczały się jasną plamą na tle żywych różów i czerwieni zachodzącego słońca.

— Wygląda jak Georgia — stwierdziłem.

Kobieta na obrazie wyglądała jak Georgia od tyłu. Serce mi zamarło. Wstałem i podszedłem do obrazu, który stworzyłem w akcie desperacji, wymyślając kompozycję i samodzielnie zaludniając ją postaciami. Ten obraz nie wziął się z głowy Eliego. I nie miał nic wspólnego z Georgią. Mimo to łomotało mi serce i zaczynało brakować tchu.

— Ona wygląda jak Georgia, Tag — powtórzyłem głośniejszym głosem i usłyszałem panikę w swoim głosie.

— Georgia, ta dziewczyna, o której nie potrafisz przestać myśleć?

— Co?

— No weź, człowieku! — jęknął Tag, niemal parskając śmiechem. — Znam cię od dawna i przez cały ten czas nigdy nie zainteresowałeś się kobietą. Żadną. Gdybym nie wiedział, że tak nie jest, pomyślałbym, że zakochałeś się we mnie.

— Widziałem ją w ten piątek. Widziałem ją w szpitalu.

Nie byłem w stanie się z nim sprzeczać. Kręciło mi się w głowie, a dłonie trzęsły mi się tak mocno, że chwyciłem się za kark, splatając je palcami, żeby to ukryć.

Tag wyglądał na równie zaskoczonego jak ja, gdy ją spotkałem.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś?

— Widziałem ją. Ona też mnie widziała. I... i teraz przychodzi do mnie ten dzieciak.

Zerwałem się gwałtownie z łóżka. Tag natychmiast ruszył za mną. Czułem takie przerażenie, jakby ktoś wstrzyknął mi w żyły coś toksycznego.

Wyciągnąłem stary plecak z półki i zacząłem gorączkowo wszystko z niego wyjmować. Paszport, ołówek woskowy, zabłąkany orzeszek, portfel z różnymi zagranicznymi monetami, których nie udało mi się wydać.

— Gdzie on jest? — wściekałem się, otwierając wszystkie kieszonki i przetrząsając cały plecak jak narkoman w poszukiwaniu działki.

— Czego szukasz? — Tag stał za mną i obserwował moje poczynania z fascynacją i zaniepokojeniem.

— List. List! Georgia napisała do mnie list, gdy byłem w Montlake. Nigdy go nie otworzyłem, ale miałem go! Gdzieś tutaj!

— Wsadziłeś go do jednej z tub w Wenecji — odpowiedział zdecydowanie Tag, siadając na moim łóżku. Podparł się łokciami na kolanach i patrzył, jak tracę nad sobą kontrolę.

— A skąd ty to, do cholery, wiesz?

— Bo zawsze wszędzie łąziłeś z tą kopertą. Będziesz miał szczęście, jeśli przetrwała w jednym kawałku.

Nim skończył mówić, ja już szukałem głębiej w szafce. Wyciągnąłem tuby ze zwiniętymi obrazami, które przywoziłem z podróży, lecz nigdy nie znalazłem czasu, żeby je oprawić lub powiesić. Podczas podróży wysyłał mi ojcu Taga rzeczy z całego świata, a on umieszczał je w nieużywanym pokoju. Gdy zapuściliśmy korzenie, przywiózł nam to wszystko. Łupy z czterech lat wojaży i zakupów zapełniły całą jego przyczepę na konie. Przenieśliśmy wszystko do garażu, bo niespecjalnie chciało nam się to przeglądać. Na szczęście tuba, o której mówił Tag, powinna gdzieś tu być, bo faktycznie nie rozstawałem się z tym listem. Trzymałem go przy sobie i woziłem po świecie jak zamykany medalion, którego nigdy nie otwarłem. Może właśnie dlatego, że nigdy nie został otwarty, odłożenie go wydawało się czymś niewłaściwym.

— Był w małej... — zaczął Tag.

— Czytałeś go? — krzyknąłem, gorączkowo przekopując rzeczy.

— Nie. Nie czytałem. Ale chciałem. Myślałem o tym.

Znalazłem tubę, w której musiał być ten list, i ściągnąłem wieczko zębami. Uklęknąłem na podłodze i wysypałem zawartość jak dziecko w Boże Narodzenie. Gdy wyjeżdżaliśmy z Montlake, włożyłem list z powrotem do koperty dla lepszej ochrony i ta właśnie koperta wysunęła się z tuby i wylądowała na moich kolanach. Wpatrywałem się w nią jak to dziecko w Boże Narodzenie, które właśnie otworzyło prezent i nie umie się zdecydować, czy mu się podoba, czy nie.

— Wygląda tak samo jak zawsze. Jak za każdym razem, gdy siedzisz na ziemi i się na niego gapisz — stwierdził z przekąsem Tag.

Przytaknąłem mu.

— Chcesz, żebym ci go przeczytał? — spytał nieco uprzejmiej.

— Jestem dupkiem, Tag. Wiesz o tym, prawda? Byłem dupkiem wtedy, z Georgią, lecz od tamtego czasu niezbyt się pod tym względem zmieniłem.

— Boisz się, że przestanę cię kochać, gdy go przeczytam? — spytał lekko żartobliwym tonem, co nieznacznie mnie rozluźniło.

— Dobrze, tak. Przeczytaj go. Ja nie jestem w stanie.

Wręczyłem mu list i zwalczyłem chęć zatkania uszu palcami.

Tag rozerwał kopertę, wyjął kartkę wypełnioną słowami Georgii i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. W końcu zaczął czytać.

Drogi Mojżeszu,

nie wiem, co napisać. Nie wiem, co czuć. Jedyne, co wiem, to to, że Ty jesteś tam, a ja tu, i że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Wciąż próbuję Cię odwiedzić, lecz wyjeżdżam, nie widząc się z Tobą. Martwię się o Ciebie. I martwię się o siebie.

Czy ja Cię jeszcze kiedyś zobaczę?

Boję się, że odpowiedź brzmi „nie”. Jeśli tak będzie, powinieneś poznać moje uczucia. Może kiedyś będziesz w stanie poczuć to samo. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym poznać Twoje uczucia, Mojżeszu.

No więc tak. Po pierwsze, kocham Cię. Naprawdę. Przerażasz mnie, fascynujesz i sprawiasz, że pragnę Cię jednocześnie skrzywdzić i uleczyć. Dziwne, że chcę Cię skrzywdzić, prawda? Chciałabym odplącić Ci pięknym za nadobne. Ale mimo to myśl o krzywdzeniu Cię sprawia mi ból. Nie ma to większego sensu, prawda?

Po drugie, tęsknię za Tobą. Chciałabym Cię zobaczyć. Mogłabym patrzeć na Ciebie przez cały dzień. Nie dlatego, że jesteś ładny — chociaż jesteś — i nie dlatego, że potrafisz tworzyć piękne rzeczy — chociaż potrafisz — lecz dlatego, że masz w sobie coś, co mnie przyciąga i każe mi myśleć, że gdybyś mnie do

siebie dopuścił, gdybyś mnie pokochał, moglibyśmy mieć piękne życie. A ja bardzo chciałabym, żebyś miał piękne życie. Chciałabym tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Nie wiem, czy to przeczytasz. A nawet jeśli przeczytasz, to nie wiem, czy odpowiesz. Chciałabym jednak, żebyś poznał moje uczucia, nawet jeśli odbędzie się to za pośrednictwem kiepskiego listu, który pachnie jak Myrtle, bo przez miesiąc leżał w schowku na desce rozdzielczej.

Nawet gdybyś miał mnie wysłuchać i wyjść, to mam nadzieję, że pozwolisz mi przekazać to osobiście, gdy Cię wypiszą.

Proszę.

Georgia

PS. Moje pięć plusów? Nie zmieniły się. Mimo tych wszystkich wydarzeń wciąż jestem za to wdzięczna. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka długich sekund. Nie potrafiłem wykrztusić ani słowa. Szczerze powiedziawszy, nie dowiedziałem się z listu niczego nowego. Ale Georgia była teraz z nami. Jej obecność była równie wyraźna i ciepła, jak jej brązowe oczy i gorące różowe pocałunki. Jej słowa praktycznie wyciekały z kartki, porywając mnie ze sobą. Czułem się, jakbym został wessany w tunel czasoprzestrzenny i widział, jak Georgia stoi przede mną i czeka na odpowiedź. Co dziwne, mimo upływu tylu lat wciąż nie potrafiłem jej udzielić.

— Stary — gwizdnął Tag. — Faktycznie jesteś dupkiem.

— Jadę do Levan — oznajmiłem, zaskakując samego siebie.

Tag aż wstał ze zdziwienia.

— Dlaczego? Co się dzieje, stary? Czy ja czegoś nie zauważam?

— Nic. Znaczący. Pomyślałem, że może... — urwałem, bo nie wiedziałem, co sobie myślałem. — Zapomnij o tym. — Wzruszyłem ramionami. Wziąłem z ręki Taga list i zacząłem go składać. Składałem go tak długo, aż stał się grubym sześcianem. Wtedy chwyciłem go w dłoń, jakbym chciał nim rzucić i pozbyć się tego wszystkiego, czym się martwię. Mógłbym wyliczyć te rzeczy na palcach, wykorzystując sposób mamy Georgii stosowany na przybranych dzieciach, i odrzucić precz te wszystkie problemy.

— Być może nie myślę zbyt trzeźwo. Nie spałem zbyt dobrze przez ostatnie kilka dni. A zobaczenie Georgii... — zamilkłem.

— Czyli jedziesz do Levan. A ja jadę z tobą — stwierdził, jakby to nie podlegało dyskusji.

— Tag...

— Mo.

— Nie chcę, żebyś ze mną jechał.

— To jest to miasteczko, które sterroryzowałeś, prawda?

— Nikogo nie sterroryzowałem.

— Nie sędzę, żeby ich wyobrażenie o odnawianiu elewacji pokrywało się z tym, co tam namalowałeś.

Zaśmiałem się wbrew sobie.

— Muszę pojechać z tobą — dodał. — Dopilnuję, żeby nie roznieśli cię na widłach.

— A co, jeśli ona nie będzie chciała ze mną rozmawiać?

— Może powinieneś pomieszkać tam przez jakiś czas. Chodź za nią tak długo, aż porozmawia. Ona też była dość uparta, jeśli chodzi o ciebie. Ile razy ją odtrąciłeś? Ile razy wróciła?

— Mam dom babci. Więc w gruncie rzeczy mam po co tam pojechać. Rzetelnie płaciłem podatki od nieruchomości przez te wszystkie lata.

— Potrzebujesz wsparcia moralnego. Zabawię się w Rocky'ego Balboę i przez kilka dni będę trenował z oponami traktorów i kurczakami. Jeśli Levan jest podobne do Sanpete, to na pewno mają tam mnóstwo i jednego, i drugiego.

XVII

MOJŻESZ

ZJECHALIŚMY Z DROGI MIĘDZYSTANOWEJ tuż za Nephi i wjechaliśmy na starą autostradę prowadzącą do Levan. Nazywano ją Ridge. Dwa pasy i nic prócz bezkresnych pól po obu stronach. Przejechaliśmy obok „zakreślonego A”. Wielki czerwony znak był na tyle wysoki, że było go widać z estakady i jeszcze przez kilometr. Informował zmęczonych kierowców, że odpoczynek jest w zasięgu wzroku.

— Zawróć, Mojżeszu.

Rzuciłem mu pytające spojrzenie.

— Chcę to zobaczyć. To było tam, prawda?

— Molly?

— Tak. Molly. Chcę zobaczyć tę estakadę.

Nie dyskutowałem z nim, chociaż moim zdaniem nie było tam nic do oglądania. Mój obraz już dawno temu został zamalowany. Nikt już o nim nie pamięta. Już go nie ma. Podobnie jak Molly. Już jej nie ma. Ale Tag o niej nie zapomniał.

Zawróciłem i znalazłem ubitą drogę, która prowadziła przez pole, potem wyłaniała się spod estakady i wiodła dalej w stronę wzgórz. Nadal wszędzie leżało mnóstwo rozbitych butelek i opakowań po fast foodach. Był tam też połamany odtwarzacz CD, który musiał spędzić tu sporo czasu, biorąc pod uwagę model i firmę. Z miejsca po głośniku wystawały przewody. Nie chciałem przeciąć opon, więc zaparkowałem nieco dalej na poboczu, tak jak w tę noc dawno temu. Była ta sama pora roku i w ogóle. Taki sam październik — nietypowo ciepły i jak zwykle piękny. Niższe wzgórza pokrywał kolorowy dywan liści, a niebo było tak niebieskie, że miałem ochotę sięgnąć do niego pędzlem, żeby nim malować. Tamtej nocy jednak było ciemno. Tamtej nocy Georgia mnie śledziła. Tamtej nocy straciłem głowę i być może coś jeszcze.

Tag przeszedł przez to śmietnisko i ruszył w głąb pola. Tam, gdzie zapewne psy szły z nosami przy ziemi. Zatrzymał się na chwilę, żeby się rozejrzeć. Patrzył na wzgórza, szacował odległość od autostrady oraz odległość między mostem a budynkami skupionymi przy wjeździe na estakadę i zjeździe z niej, próbując zrozumieć coś, czego nie dało się zrozumieć.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę cementowych ścian, które trzymały autostradę na swoich ramionach. Były pochylone, jedna w prawo, druga w lewo. Oparłem się o tę wystawioną na słońce. Zamknąłem oczy i rozkoszowałem się

cieplem promieni na skórze.

— Zaczekaj! Proszę, bardzo cię proszę, nie odchodź ode mnie! — krzyknęła z frustracją.

Słysząc było, że jest przestraszona i bliska łez. Bała się mnie, lecz mimo to wróciła. Wciąż do mnie wracała. Potknąłem się pod wpływem tej myśli i przestałem biec. Odwróciłem się, żeby pozwolić się złapać. Ja też ją złapałem, obejmując tak mocno, że przestrzeń między nami zamieniła się w przestrzeń dookoła nas i przestrzeń nad nami, bo między nami nic już nie zostało. Czułem łomotanie pod miękkością jej piersi, a moje serce szybko podchwyciło to tempo. Otworzyłem jej usta, bo musiałem zobaczyć ich barwę i poczuć ich muśnięcia, gdy wspinały się w górę po szyi. By poczuć, jak zaczynają płonąć pod moimi powiekami niczym ogniska sygnałowe. Całowałem ją tak długo, aż znikły wszystkie sekrety. I jej, i moje. I Molly. Zostały tylko ciepło, światło i kolor. Nie byłem w stanie się zatrzymać. Miała jedwabistą skórę i wzdychała satynowym głosem, a ja nie mogłem oderwać wzroku od rozkoszy na jej twarzy, zahipnotyzowany błaganiem popędzających mnie dłoni.

Włosy Georgii, usta Georgii, skóra Georgii, oczy Georgii i jej długie, długie nogi.

Miłość Georgii, zaufanie Georgii, wiara Georgii, jęki Georgii i jej długie, długie czekanie.

W pewnym momencie jej namiętne jęki się zmieniły. Zaczęły pobrzmiwać smutkiem. I łzami. Które ją złamały. Pochyliła się, a włosy rozsypały się wokół głowy i spływały w dół jak łzy z jej oczu i zawodzenie z jej ust, a jej długie nogi już mnie nie obejmowały, lecz błagalnie klęczały na ziemi. A ona płakała, płakała i płakała...

Otworzyłem oczy i wyprostowałem się w zadumie nad tym, czy to było moje własne wspomnienie, czy coś zupełnie innego. Mdlilo mnie i czułem się dezorientowany, jakbym zbyt długo drzemał i dostał udaru słonecznego. Potarłem kark wilgotnymi dłońmi. Nie mogło przecież upłynąć aż tyle czasu. Tag wciąż błądził po polach w poszukiwaniu jakiegoś odkupienia lub wyjaśnienia. Skrzywiłem się pod wpływem blasku zachodzącego słońca i odwróciłem w stronę betonowej ściany, żeby dać mu czas na samodzielne odkrycie, że ani pierwsze, ani drugie nie istnieje.

Eli siedział przy przeciwległej ścianie. Krępe nogi w piżamie z Batmanem przyciągał do piersi, jakby też był nastawiony na długie czekanie. Ciemne włosy były ukryte pod kapturem, a małe szpiczaste kawałki materiału mające przypominać uszy nietoperza nadawały mu demoniczny wygląd, który kompletnie nie licował z jego anielską twarzą.

Przekląłem głośniejszym głosem niż zamierzałem, a mój głos odbił się echem od betonowych ścian i skłonił Taga do odwrócenia się w moją stronę. Podniósł ręce pytająco.

— Musimy jechać, Tag. Dłużej tu nie wytrzymam — zawołałem, odchodząc od chłopca, który pieczołowicie pokazywał mi ten sam obraz galopującego konia z upstrzonym zadem.

Nagle w powietrzu zakreśliła się gruba lina i utworzyła idealną pętlę, która spadła na szyję konia, zaciśnięta niewidoczną ręką. Koń potrząsnął jasną grzywą, zarżał cicho i niezadowolony zaczął truchtać dookoła w mojej głowie. Nie miałem pojęcia, jak go uwolnić.

— Cały czas pokazuje mi białego konia — mruknąłem, kiedy wsiadaliśmy do samochodu.

Ruszyliśmy autostradą prowadzącą od jednego złamania serca do drugiego. Nie chciałem tu być. Tag najprawdopodobniej też nie.

— Wciąż pokazuje mi białego konia z upstrzonym zadem. Tego samego, raz za razem. Jak ten, którego namalowałem.

— Paint.

— Co?

— Ta rasa nazywa się paint. Rasa koni. Srokatych. Nazywa się paint.

— Paint — powtórzyłem w zadumie, bo nagle dotarło do mnie, że być może koń był tylko symbolem. Może dzieciakowi chodziło o to, że bym malował^[2]. Może po prostu źle to zrozumiałem.



MOJŻESZ

TAG WSZEDŁ DO ŚRODKA ZA MNĄ i znaleźliśmy się w całkowicie opustoszałym domu. Nie było żadnych mebli, naczyń ani dywanów. Nic nie zostało po babci. Nie czułem, jakby tu mieszkała. Nawet zapach był zupełnie inny. Wnętrze było zakurzone i zawilgotniałe, wymagało solidnego przewietrzenia. Po prostu pusty dom. Zawahałem się przy wejściu. Spojrzałem na schody, potem w lewo i w prawo, jakbym sprawdzał wodę przed skokiem. W końcu ruszyłem przez jadalnię do kuchni, gdzie nie było nic prócz zasłon w czerwone paski w oknie nad zlewem. W salonie też zostały zasłony. Ich też nikt nie chciał. Myślę, że chodziło raczej o to, że są sztywne od farby, a nie o ich przestarzały wzór.

Nikt nie pomalował ścian.

Zatrzymałem się jak wryty i poczułem Taga na plecach. Słyszałem, jak

wstrzymuje oddech, a potem powoli wypuszcza go wraz ze strumieniem słów, które nawet ja wstydzilibym się powiedzieć.

Znalazłem babcię około szóstej czterdzieści pięć. Pamiętam godzinę tylko dlatego, że babcia miała przy wejściu zegar, który wypluwał z siebie ptaka kukającego o pełnych godzinach i śpiewającego o wpół. Natomiast za piętnaście ptak wychylał główkę i głośno ćwierkał, uświadamiając wszystkim upływ czasu. Sygnalizował, że zbliża się pełna godzina. Gdy tamtego ranka wszedłem do środka lekko otumaniony, tęskniąc za łóżkiem, w którym mógłbym przespać emanujące ze mnie pożądanie i miłość, ptak zaćwierkał głośno, jakby chciał spytać: „Gdzie byłeś?”.

Podskoczyłem, a potem zaśmiałem się z siebie, wszedłem do jadalni i zawołałem babcię.

— Gi!

— Gi! — powtórzyłem. Mój głos niósł się echem po pustym domu.

Nie chciałem mówić tego na głos, ale Tag przepchnął się obok mnie i podszedł do ścian pokrytych barwnymi wirami, pnączami i pasmami. To było jak oglądanie wnętrza cyrku z obracającej się karuzeli, w której wszyscy są klaunami. Krzykliwe i monumentalne barwy przechodzące płynnie jedna w drugą, twarze przekształcające się w inne twarze, jak fotografie samochodu w ruchu, nic nie namalowane do końca, wszystko ze zniekształconą perspektywą. Znalazłem Gigi o szóstej czterdzieści pięć rano. Georgia znalazła mnie o jedenastej trzydzieści. Malowałem prawie pięć godzin, wypełniając ściany wszystkim i niczym.

Ptaszek z zegara zaczął słodko śpiewać, gdy machałem obolałymi dłońmi w górę i w dół, dokańczając twarz, która w żadnym stopniu nie przypominała tej przeze mnie poszukiwanej. Wtedy do środka weszła Georgia. Biedna Georgia.

— To Molly — wykrztusił Tag, kładąc dłoń na obrazie, na którym siostra oglądała się przez ramię, kusząc mnie, bym poszedł za nią. Złota farba jej włosów rozlewała się jak rzeka i przechodziła płynnie we włosy kilku innych dziewcząt, które biegły razem z nią.

Mogłem co najwyżej przytaknąć. Wszystko było rozmyte. Większości tych obrazów nie pamiętałem. Niczego nie zapamiętałem szczegółowo. Wydawało mi się, że to był sen, z którego zostały mi tylko fragmenty.

— Kim są ci ludzie? — szepnął Tag, wodząc wzrokiem po kolejnych niedokończonych szkicach.

— Część z nich znam. — Wzruszyłem ramionami. — Pamiętam ich. Ale większość jest mi obca.

— Lubisz blondynki.

— Nie, nie lubię. — Powoli potrząsnąłem protestująco głową.

Tag uniósł brwi i wskazał wzrokiem dziewczyny otaczające Molly i moją matkę nieco dalej, z koszem dzieci w rękach.

Potrząsnąłem głową. Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Namalowałem to, co zobaczyłem, i tyle.

— Mo?

— Tak?

— To jest nieźle pokręcone. Wiesz o tym, prawda?

Przytaknąłem.

— Nie wiedziałem o tym. Tak do końca. Nie wtedy. Wtedy tego nie dostrzegałem. Po prostu z tym żyłem. Ale masz rację.

Obaj wpatrywaliśmy się w ściany jeszcze przez chwilę, aż w końcu miałem dosyć.

— Co sądzisz o czerwonej kanapie w tym miejscu? — spytałem. — Bo mnie się wydaje, że...

Tag wybuchnął śmiechem. Głośny rechot oszołomionej radości zburzył przerażającą atmosferę panującą w domu. Tag potrząsnął głową, jakby sugerował, że mnie już nic nie pomoże.

— Jesteś stuknięty, stary. Serio.

Też się zaśmiałem i popchnąłem go, bo potrzebowałem kontaktu. Odwdzińczył się tym samym. Poleciałem do tyłu, ale złapałem go i zaczęliśmy się szamotać — każdy z zamiarem zapewnienia sobie odpowiedniej pozycji, by nakopać drugiemu do tyłka. Wpadliśmy na ścianę i zerwaliśmy pomalowane zasłony, pozwalając, by światło zachodzącego słońca przebiło się przez okno prosto do skrzącego się barwami pokoju. Ale nie tylko zasłony były do wyrzucenia. Ściany też trzeba było zmienić. Nie zasnę w tym domu, dopóki ściany nie będą białe.



GEORGIA

PRZED DOMEM KATHLEEN WRIGHT stała półciężarówka. Widywałam ją tam z przerwami od dwóch dni. Miała otwarte przednie drzwi, a na tylnej klapie leżało kilka puszek farby oraz drabiny, folie malarskie i sporo innych rzeczy. Samochód był czarny, błyszczący i nowy. Patrząc przez okno jak wścibska, małomiasteczkowa dziewczyna, którą byłam, widziałam kremową skórę foteli i

cowbojski kapelusz na desce rozdzielczej. Samochód absolutnie nie pasował mi do Mojżesza. Wiedziałam też, że w życiu nie założę takiego kapelusza.

O ile jednak się orientowałam, Mojżesz wciąż był właścicielem tego domu. Poczułam nerwowy skurcz żołądka, ale postanowiłam go zignorować. Mojżesz przypuszczalnie przyjechał posprzątać, a potem sobie pojedzie. Chce sprzedać ten dom. I tyle. Niedługo zniknie, a ja będę mogła wrócić do swoich zajęć. Ale mój żołądek mi nie wierzył i przez dwa dni chodziłam podminowana, wykonując wszystkie swoje obowiązki, lecz nie znajdując w niczym satysfakcji. Tato wrócił do domu i poza ogólnym osłabieniem miał się dobrze. Mama się przejmowała, tatę to irytowało, więc starałam się przebywać z dala od domu.

Ale przebywanie z dala od domu oznaczało zaglądnienie do tylnych okien domu Kathleen co dziesięć minut. Tego ranka, gdy wzięłam Lucky'ego na przejażdżkę na zachodnie pastwisko przylegające do tylnego podwórka Kathleen Wright, zauważyłam, że w oknach z tyłu domu nie ma firanek. Przez te wszystkie lata były szczelnie zasłonięte, a teraz okna były szeroko otwarte, jakby ktoś chciał porządnie wywietrzyć. Słyszałam grającą w środku muzykę, a pod koniec dnia wydawało mi się, że dostrzegłam w środku pracującego Mojżesza i kogoś jeszcze. Byłam poruszona i rozproszona, a koń to podchwycił, co nigdy nie jest dobre, szczególnie gdy pracujesz nad koniem o imieniu Cuss^[3].

Miałam go okiełznać dla Dale'a Garretta. Cuss był potężnym koniem rasy quarter z jeszcze większym temperamentem. Jego imię podsumowywało opinię właściciela na jego temat. Dale zadzwonił do mojego ojca, a ojciec od razu przekazał konia mnie. Zabawne. Dorośli chłopcy w hrabstwie nie chcieli prosić dziewczyny o okiełznanie swoich koni, bo to uwłaczało ich męskości w sposób, który nie był dla nich przyjemny. Wszyscy wiedzieli, że kiedy dzwonisz do doktora Shepherd — mojego ojca — żeby okiełznał konia, to tak naprawdę zlecasz to Georgii Shepherd, ale tak łatwiej było im to przełknąć. A ja miałam to gdzieś. Kiedyś w końcu się przyzwyczają. Ich też okiełznam. Tak jak starego Cussa. Czerpałam niezwykłą przyjemność z kiełznanania upartych jednostek.

Byłam w okrągłej zagrodzie i pozwalałam mu biegać bez uzdy, żebyśmy się do siebie przyzwyczaili. Stałam w środku z liną w dłoni i kręciłam nią jak batem, ale nie dotykałam konia. Zmuszałam go jedynie do zmiany kierunku i respektowania mojej przestrzeni. Od czasu do czasu zastępowałam mu drogę i zmuszałam do zawrócenia. Musiał uciekać, jeśli nie chciał zostać złapany. Stosowanie presji. Nic nowego. Pozwalałam mu się w taki sposób wybiegać kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia, a dzisiaj byłam gotowa zdobyć drugą bazę. Cuss pozwolił mi się zbliżyć, więc utworzyłam luźną pętlę i mówiłam do niego, podchodząc do jego boku. Jak dotąd wszystko zgodnie z planem.

Cuss dyszał ciężko i bacznie mnie obserwował, ale się nie przesunął. Delikatnie oparłam koniec liny o jego kark, a potem ją zabrałam. Powtórzyłam ten gest nieco mocniej, a on lekko zadrżał. Przeniosłam linę na drugi bok, muskając go

nią po szyi, żeby przyzwyczaił się do dotyku i do liny na karku i żeby go znieczulić. Potem powolutku i ostrożnie rozluźniłam pętlę i założyłam mu na szyję, pozwalając jej zawisnąć luźno przy przednich nogach. Czekałam z liną w ręku, czy powie mi „nie”.

— Jeszcze trochę i będzie błagał Georgię, żeby go związała — powiedział ktoś za mną.

Cuss zarżał i zaczął się szarpać, ciągnąc mnie za sobą. Zanim puściłam linę i pozwoliłam mu się wyrwać, otarła mi trochę dłonie.

— Widzę, że pewne rzeczy się nie zmieniły.

Otrzepałam piekące dłonie i odwróciłam się w jego stronę, chociaż nawet bez patrzenia wiedziałam, z kim rozmawiam. Niemal poczułam ulgę, że w końcu będę to miała za sobą.

Mojżesz stał na zewnątrz z rękami zwieszonymi z górnej belki i stopą opartą na dolnej. Obok niego stał mężczyzna z wykałaczką w zębach. W identycznej pozycji, ale na tym kończyły się podobieństwa.

— Zwierzęta wciąż niezbyt za tobą przepadają, co? — spytałam. Cieszyłam się ze swego opanowania.

— Nie tylko zwierzęta. Mojżesz działa tak na większość ludzi. — Nieznajomy uśmiechnął się i wyciągnął dłoń przez ogrodzenie. — Podejrzewam nawet, że jestem jego jedynym przyjacielem.

Podeszłam do niego i uścisnęłam wyciągniętą rękę.

— Cześć, Georgio. Jestem Tag. — W jego głosie słychać było Teksas. Sprawiał wrażenie, jakby bez trudu poradził sobie z Cussem, gdyby chciał. Kojarzył mi się ze starym dobrym kowbojem, chociaż miał też w sobie coś ze skazańca po odsiadce, co skłaniało do tego, by mieć się na baczności. Był przystojny w nieokrzesany sposób. Mimo że jego nos wymagał wyprostowania, a włosy prosiły się o fryzjera, miał zniewalający uśmiech i stanowczy uścisk dłoni. Zastanawiałam się, jakim cudem skończył u boku Mojżesza.

Spojrzałam w oczy Mojżeszowi. Złotozielone tęczęwki, które były cudowne, chociaż kompletnie nie pasowały do jego ciemnej twarzy. I podobnie jak tydzień temu w tej zatłoczonej windzie grunt pod moimi nogami nieznacznie się zachwiał i przesunął. Tylko na tyle, żebym zaczęła się zastanawiać, czy to ziemia się przesunęła, czy może mam wypaczoną perspektywę. Chyba patrzyłam na niego zbyt długo, ale on także nie odrywał ode mnie wzroku i przechylał głowę, jakby też musiał dostosować swoją perspektywę.

Człowiek obok Mojżesza chrząknął niezręcznie, a potem parsknął krótkim śmiechem i powiedział pod nosem coś, czego nie usłyszałam.

— Co tam w domu Kathleen? Sprzedajesz go? — spytałam, odwracając wzrok,

żeby przerwać tę konfrontację spojrzeń.

Cuss wciąż miał na karku moją linę, więc zahaczyłam drugi koniec o słupek ogrodzenia obok Taga. Cuss stał w odległym krańcu zagrody, jakby został odesłany do swojego narożnika.

— Być może. Na razie tylko sprzątamy — odparł Mojżesz cicho.

— Dlaczego? — zakwestionowałam jego odpowiedź. — Dlaczego teraz?

Spojrzałam na niego ponownie bez uśmiechu, bo nie miałam ochoty na towarzyską pogawędkę z wielką pomyłką. A on nią był. Wielką pomyłką. Chciałam wiedzieć, po co tu przyjechał. I kiedy wyjedzie. Ruszyłam w stronę Cussa, który zaczął rzeć i ruszać się nerwowo, jakby chciał uciec, lecz najwyraźniej nie miał zamiaru zbliżyć się do nieznajomych przy ogrodzeniu.

— Nadszedł czas — odparł zwyczajnie, jakby czas miał większą siłę przekonywania niż ja.

— Jestem zainteresowana kupnem, jeśli zdecydujesz się go sprzedać. — To miało sens. Myślałam o tym od dawna, ale nie miałam ochoty szukać Mojżesza, żeby złożyć mu ofertę. Ale teraz wrócił. Ten dom graniczył z posiadłością moich rodziców, więc jego kupno było jak najbardziej logiczne, gdyby postanowił go sprzedać.

Nie odpowiedział, więc wzruszyłam ramionami, jakby nie miało to większego znaczenia, co zrobi z domem. Ruszyłam w stronę Cussa, zostawiając dwóch niepożądanych gości. Niech sobie robią, co chcą.

— Georgio!

Wzdrygnęłam się, gdy wypowiedział moje imię, a Tag wydał z siebie długie, przeciągłe „o kurwa”, które nie miało większego sensu.

— Georgio, czy ten koń należy do ciebie? — spytał Mojżesz ostro.

— Który? Cuss? Nie. Ja mam go tylko okiełznać.

Nie spojrzałam na niego, gdy pytał, i wciąż szłam w stronę Cussa.

— Nie. Nie ten. — Głos Mojżesza brzmiał dziwnie.

Podniosłam wzrok i spojrzałam za zagrodę i za małą arenę jeździecką w stronę pastwiska, na którym pasły się nasze konie.

Były dość daleko. Około pół tuzina koni, w tym Sackett i Lucky, które wykorzystywaliśmy wyłącznie do hipoterapii. Lucky okazał się najśłodszy i najłagodniejszy wierzchowcem na świecie. Dał się całkowicie udomowić.

— Paint. Czy ten srokaty koń rasy paint jest twój? — spytał Tag, a jego głos był równie dziwnie napięty.

— Calico? Tak. Należy do nas — potwierdziłam, odszukując wzrokiem pięknego

jasnego konia z białą grzywą, i poczułam znajome ściskanie w sercu, jak zawsze, gdy na niego patrzyłam.

Nagle Mojżesz bez pożegnania i nie oglądając się za siebie ruszył pospiesznie w stronę domu Kathleen.

Przez chwilę oboje odprowadzaliśmy go wzrokiem, po czym skierowałam zdumione spojrzenie na Taga.

— Zapytałabym, na czym polega jego problem, ale dawno temu przestało mnie to interesować.

Odwróciłam się do Cussa i zaciągnęłam linę na jego szyi nieco mocniej, niż zrobiłabym w innych okolicznościach. Stał dęba i zaczął rzucać grzywą, a ja natychmiast pożałowałam swojego pochopnego zachowania. Udało mi się ściągnąć mu linę z karku, ale musiałam odskakiwać, żeby uniknąć zębów i kopyt.

— Przez wzgląd na niego mam nadzieję, że to nieprawda — odparł szczerze Tag, co wprowadziło mnie w jeszcze większe zdumienie. Lecz on odepchnął się od ogrodzenia, jakby zamierzał ruszyć za Mojżeszem. — Miło cię było poznać, Georgio. Jesteś zupełnie inna, niż myślałem. Cieszy mnie to.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko patrzyłam za nim. Gdy oddalił się o jakieś sześć metrów, zawołał przez ramię:

— Trudno go będzie okiełznać. Nie wiem, czy Cuss w ogóle chce, by na nim jeździć.

— Tak, tak, tak. Wszystkie tak myślą, dopóki ich nie dosiędę — rzuciłam w odpowiedzi.

Usłyszałam jego śmiech i zabrałam się za Cussa od nowa.

[2] *Paint* to po angielsku „malować” — *przyp. tłum.*

[3] *Cuss* to po angielsku „uparciuch” — *przyp. tłum.*

XVIII

MOJŻESZ

MOŻNA BY SĄDZIĆ, że skoro spędzam życie w towarzystwie zmarłych, to powinienem nie znosić cmentarzy. Wcale jednak tak nie jest. Lubię je. Są ciche. Spokojne. A zmarli są poupychani rzędami pod ziemią. Schludnie. W uporządkowany sposób. Przynajmniej ich ciała. Zmarli nie wałęsają się po cmentarzu. To nie tu żyli. Przyciąga ich jednak żal bliskich. Cierpienie bliskich. Wielokrotnie widziałem zmarłego, który szedł za żoną, córką, synem lub ojcem. Ale dzisiaj na cmentarzu w Levan nie było żadnych żywych trupów.

Dzisiaj widziałem tylko jedną osobę. Przez chwilę poczułem ścisnięcie w sercu, gdy trafiłem wzrokiem na jej włosy i szczupłą figurę, kiedy kucała przy pobliskim grobie. Uświadomiłem sobie jednak, że to nie Georgia. To nie mogła być Georgia. Gdy zobaczyłem konia i usłyszałem, że nazywa się Calico, ruszyłem prosto tutaj. Poza tym kobieta była nieco mniejsza od Georgii i chyba nieco starsza, a jej blond włosy wysypywały się z rozwichrzonego koka na głowie. Zostawiła mały bukiet przy nagrobku z nazwiskiem Janelle Pruitt Jensen napisanym dużymi literami i odeszła w stronę wysokiego mężczyzny, który czekał na skraju cmentarza. Kiedy do niego dotarła, nachylił się i pocałował ją, jakby chciał ją pocieszyć, a ja natychmiast odwróciłem wzrok. Nie chciałem się na nich gapić, ale zwracali na siebie uwagę — ciemność i jasność, siła i miękkość. Zdecydowanie mógłbym ich namalować.

Skóra mężczyzny była równie ciemna jak moja, ale nie wyglądał mi na czarnego. Bardziej na Indianina. Wysoki, smukły, o posturze, która miała w sobie coś wojskowego. Kobieta była szczupła i dziewczęca. Miała jasnoróżową spódniczkę, białą bluzkę i sandały. Gdy odwrócili się w stronę wyjścia i zobaczyłem ją z profilu, uświadomiłem sobie, że ją znam.

Kiedy jako mały chłopiec przyjeżdżałem do Levan, Gigi kazała mi chodzić do kościoła. W jedną z niedziel, gdy miałem chyba dziewięć lat, na organach grała dziewczyna. Miała wtedy około trzynastu, czternastu lat, ale grała niesamowicie. Nazywała się Josie.

Usłyszałem jej imię w myślach wypowiedane głosem babci i uśmiechnąłem się.

Muzyka Josie była porywająca i piękna. Co najlepsze, słuchając jej, czułem się bezpieczny i spokojny. Gi od razu to zauważyła i zaczęliśmy chodzić do kościoła, gdy Josie ćwiczyła, żeby sięść z tyłu i słuchać. Czasem grała na pianinie, a czasem na organach, lecz ja siedziałem nieruchomo niezależnie od instrumentu. Pamiętam, jak Gi westchnęła i stwierdziła:

— Ta Josie Jensen jest muzycznym cudem.

Potem powiedziała mi, że ja też jestem cudem. Szepnęła mi do ucha z muzyką Josie w tle, że tworzę muzykę, kiedy maluję, tak jak Josie tworzy ją graniem. Oboje mieliśmy dar, oboje byliśmy wyjątkowi i oboje powinniśmy być poważani. Zapomniałem o tym, lecz teraz mi się to przypomniało. Kobieta nazywała się Josie Jensen, a w odwiedzanym przez nią grobie musiała leżeć jej matka.

Patrzyłem za nimi zatopiony we wspomnieniach jej muzyki. W ostatniej chwili Josie zatrzymała się i odwróciła. Powiedziała coś do swojego towarzysza, który zerknął w moją stronę i przytaknął.

Potem ruszyła z powrotem w moją stronę, przyspieszając między nagrobkami. Zatrzymała się około metra przede mną. Uśmiechnęła się uroczo i wyciągnęła dłoń na powitanie. Uścisnąłem ją i trzymałem przez chwilę, zanim puściłem.

— Jesteś Mojżesz, prawda?

— Tak. Josie Jensen?

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że też ją rozpoznałem.

— Aktualnie Josie Yates. Mój mąż, Samuel, nie lubi cmentarzy. Nawahowie tak mają. Przyjeżdża tu ze mną, ale czeka pod drzewami.

Nawaho. Miałem rację.

— Chciałam ci powiedzieć, że bardzo lubiłam twoją babcię... a właściwie prababcię, prawda? — Przytaknąłem, a ona kontynuowała. — Kathleen miała w sobie coś takiego, że czułam, iż wszystko będzie dobrze. Po tym, jak umarła mi mama, gdy byłam małą dziewczynką, twoja babcia była jedną z kobiet z kościoła, które troszczyły się o moją rodzinę. Opiekowała się mną i pozwalała mi przebywać w swojej kuchni, kiedy chciałam się dowiedzieć, jak zrobić różne rzeczy. Była cudowną osobą.

W głosie Josie słychać było szczerą. Przytaknąłem jej.

— Taka była. Też się przy niej tak czułem. — Przełknąłem ślinę i zażenowany odwróciłem wzrok, bo dotarło do mnie, że przeżywam chwilę bliskości z obcą osobą. — Dziękuję — powiedziałem, spoglądając jej na moment w oczy. — To dla mnie wiele znaczy.

Przytaknęła, uśmiechnęła się smutno i odwróciła się.

— Mojżeszu?

— Tak?

— Znasz Edgara Allana Poe?

Uniosłem brwi zaintrygowany. Znałem, ale to pytanie było dziwne. Przytaknąłem.

— Napisał coś, czego nigdy nie zapomnę — ciągnęła. — A ja kocham słowa. Możesz spytać mojego męża. Bombardowałam go słowami i muzyką w takim stopniu, że w końcu zaczął błagać o litość i mnie poślubił. — Puściła mi oczko. — Edgar Allan Poe napisał wiele pięknych rzeczy, wiele niepokojących rzeczy. To pierwsze często łączy się z tym drugim, jak sam wiesz.

Czekałem, zastanawiając się, co ta kobieta chce mi przekazać.

— Poe powiedział: „Nie istnieje żadne przejmujące piękno, które nie miałyby w sobie pierwiastka dziwności”. — Josie odwróciła się i spojrzała na męża, który nawet się nie poruszył. Potem dodała szeptem: — Myślę, że twoja sztuka jest dziwna i piękna, Mojżeszu. Jak dysonansowa melodia, która się dobrze rozwiązuje. Chciałam, żebyś to wiedział.

Odjęło mi mowę, bo zastanawiałem się, kiedy i gdzie widziała moją sztukę. Byłem zdumiony, że w ogóle mnie znała i mimo to nie bała się podejść. Ale piętnaście metrów od nas stał jej mąż. Wątpię, że ktokolwiek chciałby skrzywdzić Josie Jensen na jego oczach.

W końcu zniknęli i zostałem sam. Cmentarz w Levan sprawiał wrażenie starannie utrzymanego cmentarza pionierów. Niezbyt duży, chociaż całkiem spory. W dodatku nieustannie powiększający swe rozmiary ze względu na rosnącą liczbę mieszkańców, a tym samym i zmarłych. Był skierowany na zachód i mieścił się nad doliną, na wzniesieniu pod górą Tuckaway, obok pastwisk i ziem uprawnych. Z miejsca, w którym stałem, widziałem starą autostradę, długi srebrny pasek przecinający pola, jak okiem sięgnął. To był spokojny i kojący widok, cieszyłem się, że ciało Gi spoczęło właśnie tutaj.

Ruszyłem wzdłuż rzędów nagrobków, mijając matkę Josie. W końcu dotarłem do długiego rzędu Wrightów. Leżały tu przynajmniej cztery pokolenia. Zatrzymałem się na chwilę przy nagrobku Gigi, kładąc z czcią dłoń na jej imieniu. Potem ruszyłem dalej, bo nie po to tu przybyłem. Nowe nagrobki, stare nagrobki, błyszczące nagrobki i matowe nagrobki. Na wielu grobach leżały kwiaty, wiatraczki, wieńce i znicze. Zastanawiałem się, dlaczego ludzie to robią. Ich zmarli nie potrzebowali żadnego badziewia, które przykrywałoby ich imiona. Ale podobnie jak ze wszystkim, także i w tym bardziej chodziło o żywych. To żywi mieli potrzebę udowadniania sobie i innym, że nie zapomnieli. A w takim małym miasteczku zawsze był też pierwiastek współzawodnictwa cmentarzowego, wynikającego z myślenia typu: „Ja kocham najbardziej i najmocniej cierpię, dlatego za każdym razem zostawiam mnóstwo rzeczy, żeby inni wiedzieli i mnie żalowali”. Wiem, że byłem cynikiem. I dupkiem. Ale nie lubiłem tego. I nie sądziłem, żeby zmarli tego potrzebowali.

Znalazłem długi rząd Shepherdów i niemal parsknąłem śmiechem, gdy zobaczyłem imię jednego z nich: Warlock^[4] Shepherd. Co za imię. Warlock Wright — może tak powinni byli mnie nazwać. Bywałem już posądzany o czary.

Studiowałem nagrobki i uświadomiłem sobie, że spoczywało tu pięć pokoleń protoplastów Shepherdów ze swoimi żonami u boku. Znalazłem pierwszą Georgię Shepherd i przypomniałem sobie dzień, kiedy śmiałem się z jej imienia. Georgie Porgie.

W końcu dotarłem do następnego pokolenia, chociaż jednego brakowało po drodze. Na samym końcu rzędu stał prosty i dobrze utrzymany nagrobek o wysokości około pół metra i takiej samej szerokości. Po obu stronach było puste miejsce, jakby zostawiono je dla tych, co umrą później.

Eli Martin Shepherd. Urodzony 27 lipca 2007 roku, zmarł 25 października 2011 roku. I tyle.

Na nagrobku wyrzeźbiono konia, który wyglądał, jakby jego zad i tylne nogi były ubarwione. Paint. W jasnożółtym wazonie obok nagrobka stał gruby bukiet dzikich kwiatów. Przyszły mi na myśl słowa piosenki śpiewanej przez kobietę we wspomnieniu Eliego: „*You are my sunshine...*”^[5]. Bezwiednie wypowiedziałem je na głos. Chociaż nigdzie na nagrobku nie było imienia „Georgia”, czułem szokującą i oszałamiającą pewność, że to ona jest jego matką. Nie było innej możliwości.

Dla pewności policzyłem wstecz. Dziewięć miesięcy przed lipcem 2007 roku był październik 2006 roku.

Georgia była matką Eliego. A ja byłem jego ojcem. Nie było innej możliwości.



GEORGIA

URODZIŁAM ELIEGO 27 lipca 2007 roku, miesiąc przed osiemnastką. Do trzeciego miesiąca nikt nie wiedział, że jestem w ciąży. Ukrywałam to jeszcze dłużej, ale obcisłe wranglery, które nosiłam na co dzień, nie chciały się zapiąć, mój płaski dotąd brzuch przestał być płaski, a szczupłe biodra poszerzyły się na tyle, że nie byłam w stanie wbić się w ciasny, bezlitosny dzins. Beznadziejność mojej sytuacji wynikała nie tylko z samej ciąży. Ojcem dziecka był Mojżesz, a jego imię stało się przekleństwem na ustach wszystkich otaczających mnie ludzi.

Rodzice rozmawiali ze mną o adopcji, ale dla mnie nie wchodziło to w rachubę. Nie mogłabym zrobić tego Mojżeszowi, bo w ten sposób to, co było między nami, stałoby się nieistotne. A dla mnie nigdy takie nie było i nigdy takie nie będzie. Być może Mojżesz nigdy nie dowie się o tym dziecku i do końca życia pozostanie sam, ale jego dziecko nie będzie samotne. Nawet jeśli czasem

nie widziałam Mojżesza i zrobiłam z niego człowieka bez twarzy, nawet jeśli nie wiedziałam, gdzie jest i co teraz robi, nie mogłabym oddać jego dziecka. Nie byłabym w stanie tego zrobić.

Jednak gdy urodził się Eli, przestało w tym wszystkim chodzić o mnie, Mojżesza czy o bycie silną lub słabą. Nagle wszystko zaczęło się kręcić wokół Eliego, chłopca zrodzonego z chaosu, chłopca, który był tak podobny do ojca, że gdy patrzyłam na jego drobniutką twarzyczkę, czułam fanatyczną miłość, która rozbijała w pył wszelkie wyrzuty związane z jego poczęciem. Ten żal nie mógł nam zaszkodzić, bo był jak papier w konfrontacji z płomieniem mojego oddania, który buchał w moim sercu i wytrawił w nim najdroższą mi buzię mojego dziecka. Buzię, która przestała być anonimowa i przestała budzić mój lęk.

— Jak mu dasz na imię, Georgio? — szepnęła mama.

Łzy płynęły jej po twarzy, gdy obserwowała, jak jej dziecko staje się matką. Postarzała się od czasu, kiedy to wszystko z siebie wyrzuciłam, ale wyglądała pogodnie za sprawą słodczy nowego życia, w którym pokój szpitalny stał się naszą świątynią. Zastanawiałam się, czy na mojej twarzy także maluje się taka pogoda ducha. Wiedziałam, że nic się nam nie stanie i że wszystko będzie dobrze.

— Eli.

Mama uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Georgio Mario — powiedziała ze śmiechem. — Jak Eli Jackson, ten ujeżdżacz byków?

— Tak, jak Eli Jackson. Chcę, żeby chwycił życie za rogi i czerpał z niego pełnymi garściami. A gdy zostanie najlepszym ujeżdżaczem byków w historii, lepszym niż człowiek, po którym ma imię, wszyscy będą skandować „Eli Shepherd”.

Zaplanowałam wcześniej tę odpowiedź. Brzmiała całkiem nieźle, bo mówiłam szczerze. Ale wcale nie nazwałam chłopca Eli na cześć ujeżdżacza byków. To był tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Nazwałam go Eli po Mojżeszu. Nikt nie chciał myśleć o Mojżeszu. Nikt nie chciał o nim rozmawiać. Nawet ja. Ale moje dziecko było też jego dzieckiem. Nie mogłam udawać, że tak nie jest. Nie mogłam go kompletnie wymazać.

Długi czas zastanawiałam się nad imieniem. W dwudziestym pierwszym tygodniu poszłam na USG i dowiedziałam się, że noszę w sobie chłopca. Dorastałam, czytając Louisa L'Amoura, i byłam przekonana, że urodziłam się w niewłaściwej epoce. Gdyby moje dziecko było dziewczynką, dałabym mu na imię Anna. Jak Anna Oakley. Jak: „Anno, wyciągaj swoją cholerną broń”. Ale nosiłam chłopca. I nie mogłam dać mu na imię Mojżesz.

Przeszukałam Biblię i znalazłam fragment Księgi Wyjścia, w którym Mojżesz

mówił o swoich synach i ich imionach. Najstarszy nazywał się Gerszom. Skrzywiłam się. Może i w czasach Mojżesza było to popularne imię, tak jak dzisiaj Tyler, Ryan lub Michael, ale nie mogłam tego zrobić swojemu dziecku. Imię drugiego syna było jeszcze gorsze: Eliezer. Mojżesz powiedział, że nazwał go Eliezerem, gdyż: „Bóg mojego ojca był dla mnie pomocą i wyratował mnie od miecza faraona”.

Według kupionej i czytanej przeze mnie księgi imion Eliezer oznaczało „Bóg pomocy” lub „Bóg jest mi pomocą”. Spodobało mi się to. Najwyraźniej Mojżesz został wyratowany od miecza Jennifer Wright. Może przeżył właśnie po to, by dać życie mojemu synowi? Byłam młoda, więc skąd miałam wiedzieć? Imię jednak mi pasowało, ponieważ wszystko wskazywało na to, że będę potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy — boskiej i ludzkiej — jaką uda mi się zdobyć. Więc nazwałam syna Eli.

Eli Martin Shepherd. Eli, gdyż był synem Mojżesza, Martin po moim ojcu, a Shepherd, bo był mój.

Ostatnią klasę ukończyłam z zaawansowaną ciążą. Nigdy nie odpowiadałam na pytania i nie mówiłam o Mojżeszu. Pozwalałam ludziom gadać i wystawiałam środkowy palec, gdy domagali się informacji. W końcu im się znudzi. Ale oni wiedzieli. Wystarczyło spojrzeć na Eliego, żeby to wiedzieć.

Eli miał brązowe oczy, tak jak ja. Mama twierdziła, że ma mój uśmiech, lecz całą resztę odziedziczył po Mojżeszu. Na głowie miał burzę czarnych loków i zastanawiałam się, czy włosy Mojżesza tak by właśnie wyglądały, gdyby pozwolił im urosnąć. Zawsze ścinał je na kilka milimetrów. Ciekawiło mnie, co by pomyślał, gdyby zobaczył Eliego, i czy rozpoznałby w swoim synu siebie. A potem odpychałam te myśli, udawałam, że mnie to nie obchodzi, i wyrzucałam z pamięci twarz Mojżesza, żeby nie móc robić porównań.

Eli był jednak podobny do mnie pod innymi względami. Miał mnóstwo energii i po dziesięciu miesiącach zaczął chodzić. Goniłam za nim przez następne trzy i pół roku. Śmiał się i uciekał, bo nie potrafił ustać bez ruchu poza sytuacją, gdy zauważał konia. Wtedy zastygał w milczeniu — tak jak mu powiedziałam — i przyglądał się tak, jakby znalazł się w najwspanialszym miejscu na świecie i jakby nie istniało na świecie nic lepszego i piękniejszego. To miał po mamie. Poza dziecinnymi bazgrołami i sporadycznym rozsmarowywaniem jedzenia nie wykazywał żadnych skłonności do malowania.

Nie mogłam jednak zostać w domu, żeby się nim opiekować. Nie przez cały czas. Trzy dni w tygodniu zajmowała się nim moja mama, a ja jechałam na zajęcia na Uniwersytet Utah Valley, znajdujący się godzinę drogi na północ. Taki był mój plan, jeszcze zanim Eli zmienił moje priorytety. Marzenia o ruszeniu trasą imprez rodeo i zdobyciu tytułu mistrza świata w barrel racingu zostały odłożone na bok. Postanowiłam pójść w ślady rodziców. Konie i terapia. To było logiczne. Dobrze sobie radziłam ze zwierzętami, szczególnie z końmi.

Robiłabym to, co kocham, i być może przy okazji nauczyłabym się czegoś, co pomogłoby mi uporać się z relacją z Mojżeszem. Zadomowiłam się w Levan i nie planowałam się wyprowadzać. To było dobre miejsce do wychowywania Eliego, wśród ludzi, którzy go kochali. Urodzili się tu moi rodzice i ich rodzice, a jedna babcia została sprowadzona do naszej doliny z Fountain Green po drugiej stronie wzgórza. Na cmentarzu spoczywali dziadkowie z pięciu pokoleń Shepherdów, wraz ze swoimi żonami. Pięciu wspaniałych. Byłam przekonana, że któregoś dnia także tam spocznę.

Ale Eli mnie w tym uprzedził.

[4] *Warlock* to po angielsku „czarodziej” — *przyp. tłum.*

[5] *You are my sunshine...* (ang.) — „Jesteś moim słoneczkiem” — *przyp. tłum.*

XIX

MOJŻESZ

NIE ZATRZYMAŁEM SIĘ, ŻEBY POMYŚLEĆ. Nie wróciłem do domu Gi, żeby powiedzieć Tagowi o tym, co znalazłem na cmentarzu. Pulsowała we mnie dzika wściekłość, która miała zamaskować cichą straszliwość prawdy. Pojechałem prosto do Georgii i chodziłem dookoła domu, między zagrodami i budynkami gospodarczymi. Nie było jej już w okrągłej zagrodzie. Koń, którego nazwała Cuss, stał na pastwisku blisko ogrodzenia i zastrzygł uszami, kiedy się zbliżyłem. Zarżał głośno i stanął dęba, jakbym był drapieźnikiem. Znalazłem Georgię, gdy nalewała wody do koryta. Zareagowała podobnie jak Cuss — podniosła głowę i spojrzała na mnie z trwogą malującą się na zastygłej twarzy.

— Czego chcesz, Mojżeszu?

Rzuciła belę siana w pobliże ogrodzenia i sięgnęła po widły, żeby rozrzucić siano koniom, które obserwowały mnie ostrożnie i nie chciały podejść, mimo że właśnie serwowano im kolację. Jej głos był surowy i donośny, lecz wychwyciłem ukrytą w nim panikę. Przeraziłem ją. Byłem dużym, przerażającym facetem. Ale nie tego się bała. Bała się, bo wmówiła sobie, że nigdy mnie nie poznała. Byłem nieznajomym. Dzieciakiem, który malował obrazki, gdy jego babcia leżała martwa na podłodze w kuchni. Psycholem. Niektórzy uważali, że to ja zabiłem swoją babcię. Byli też tacy, którzy sądzili, że zabiłem wiele osób. Nie miałem pojęcia, co Georgia sobie myśli. Zresztą w tej chwili niewiele mnie to obchodziło.

— Czego chcesz? — powtórzyła, gdy zabrałem jej widły i dokończyłem za nią. Potrzebowałem jakiegoś rozproszenia. Opuściła bezradnie dłonie i zrobiła krok w tył, wyraźnie niepewna tej sytuacji.

— Urodziłaś syna.

W dalszym ciągu nabijałem siano na widły i przerzucałem jej przez ogrodzenie, nie patrząc na nią. Nigdy nie patrzyłem na członków rodzin. Mówiłem po prostu do momentu, aż przerywali mi z krzykiem lub błagali z łkaniem, żebym kontynuował. Zazwyczaj to wystarczało. Po przekazaniu wiadomości zmarły zostawiał mnie w spokoju i byłem wolny, dopóki nie przychodził następny.

— Masz syna, który wciąż pokazuje mi obrazy. Twój syn... Eli? Nie wiem dokładnie, czego sobie życzy, ale nie chce ode mnie odejść. Właśnie dlatego tu jestem. Może to mu wystarczy.

Nie przerwała mi. Nie zaczęła krzyczeć. Nie uciekła. Po prostu stała, obejmując się ramionami i wpatrując się w moją twarz. Spojrzałem jej na chwilę w oczy,

lecz szybko uciekłem wzrokiem, wbijając go w punkt tuż nad jej głową. Belesiana się skończyły, więc oparłem się o widły. I czekałem.

— Mój syn nie żyje.

Jej głos brzmiał dziwnie, jakby usta zamieniły się w kamień i z trudem wykrztuszały z siebie słowa. Ponownie zerknąłem na jej twarz. Faktycznie zmieniła się w kamień. Była tak nieruchoma, że kojarzyła mi się z rzeźbami z moich ksiąg. W stłumionym złotym świetle zachodzącego słońca jej skóra była gładka i blada niczym marmur. Nawet jej włosy wydawały się bezbarwne. Grube i białe opadały na ramię długim warkoczem, który przypominał mi ciężką linę pokazywaną mi przez Elięgo. Linę, która kręciła się w powietrzu i wijąc się, opadła pętlą na głowę konia z plamkami na zadzie i tylnych nogach.

— Wiem — powiedziałem łagodnie, lecz nagle gwałtownie zwiększyło się ciśnienie w mojej głowie. Woda szalała, pulsowała i była bliska erupcji.

— To niby jak może ci cokolwiek pokazywać? — zaatakowała mnie ostro.

Przełknąłem ślinę, próbując opanować falę, i spojrzałem jej w oczy.

— Wiesz jak, Georgio.

Potrząsnęła energicznie głową, broniąc się twardo przed przyznaniem, że o tym wie. Zrobiła krok w tył i zerknęła w lewo, jakby przygotowywała się do ucieczki.

— Powinieneś już pójść.

Odrzuciłem gniew. Odepchnąłem go zdecydowanie, żeby nie odepchnąć jej. A chciałem ją popchnąć, żeby zetrzeć to wyparcie z jej ślicznej twarzy. Popchnąć ją na ziemię, aż jej usta byłyby pełne błota. Wtedy mogłaby kazać mi iść. Wtedy bym na to zasługiwał. Zamiast tego jednak zrobiłem to, o co mnie prosiła. Odwróciłem się, ignorując małego chłopca, który truchtał za mną i desperacko wysyłał obrazy swojej matki do mojego mózgu, żeby bez słów przekonać mnie do zawrócenia.

— Jak on wygląda? — zawołała za mną, a rozpacz w jej głosie stała w tak drastycznej sprzeczności z wcześniejszym odrzuceniem, że się zatrzymałem. — To znaczy, jeśli potrafisz go zobaczyć. Jak wygląda?

Eli pojawił się nagle przede mną, skacząc z uśmiechem i wskazując stojącą za mną Georgię. Odwróciłem się, wciąż trawiony wściekłością, ale chciałem spróbować jeszcze raz. Eli stanął między mną a zagrodą dla koni. Spojrzałem na niego, a potem skierowałem wzrok na Georgię.

— Jest mały. Ma ciemne, kręcone włosy. I brązowe oczy. Ma oczy po tobie.

Skrzywiła się i przycisnęła dłonie do piersi, jakby próbowała przekonać serce do dalszego bicia.

— Ma za długie włosy. Kręcą mu się przy oczach. Powinien je ściąć.

Chłopczyk odgarnął zwisający lok z oczu, jakby rozumiał, o czym mówię jego matce.

— Nie znosił strzyżenia — odparła cicho, a jej usta natychmiast zeszywniały, jakby żałowała, że wzięła udział w tej konwersacji.

— Bał się maszynki do strzyżenia — dodałem, gdy podsunięte przez Elię wspomnienie bzyczenia wokół uszu mnie także przyspieszyło puls. Maszynka budziła grozę, bo w jego oczach była dwukrotnie większa. Przypominała ziejące szczęki *Tyrannosaurus rexa*, co było dowodem, że wspomnienia nie zawsze są dokładne. Potem obraz się zmienił i pojawił się tort urodzinowy. Czekoladowy, z plastikowym stojącym dęba koniem w środku. I czterema płonącymi świeczkami.

— Ma cztery lata — stwierdziłem, uznając, że to właśnie próbuje mi przekazać Eli. Ale wiedziałem swoje, bo widziałem daty na nagrobku.

— Teraz miałyby sześć. — Potrząsnęła buntowniczo głową.

Czekałem. Chłopiec spojrzał na mnie wyczekująco, po czym przeniósł wzrok z powrotem na matkę.

— Nadal ma cztery — odparłem. — Dzieci czekają.

Dolna warga zaczęła jej drżeć, gdy to przetrawiała. Zaczynała mi wierzyć. Albo zaczynała mnie nienawidzić. Chociaż możliwe, że już mnie nienawidziła.

— Na co? — spytała tak cicho, że ledwo ją usłyszałem.

— Czekają na kogoś, kto je wychowa.

Na jej twarzy pojawił się wyraz tak intensywnego cierpienia, że przez chwilę miałem wyrzuty sumienia, iż tak ją osaczyłem. Nie była na mnie przygotowana. Ale ja też nie byłem przygotowany, więc w sumie byliśmy w tej samej sytuacji.

— Czekał na ciebie strasznie długo — powiedziała cicho, zbliżając się do mnie. Stała w agresywnej pozycji z zaciśniętymi pięściami. Nie była już rozpaczającą matką, lecz skrzywdzoną kobietą. A ja byłem mężczyzną, który zrobił jej dziecko i zniknął z miasta.

— Tak chcesz to rozegrać? — wychrypiałem. Gniew wrócił z podwójną siłą. Byłem tak wściekły, że miałem ochotę wyrwać słupki ogrodzenia i rzucać drutem kolczastym.

— Co rozegrać, Mojżeszu? — warknęła.

Wtedy pęknałem.

— To, że mieliśmy syna. Że ja miałem syna! Stworzyliśmy razem dziecko. I ono nie żyje. A ja go nie poznałem. Ja go nawet nie poznałem, Georgio! Nic o nim nie wiedziałem. A ty chcesz mi to teraz wyrzucać? Jak umarł, Georgio? Co? Powiedz mi! — Wiedziałem. Byłem niemal pewien, że wiedziałem. Eli wciąż pokazywał mi półciążarówkę. Starą półciążarówkę Georgii, Myrtle. Coś się stało Eliemu w tym

samochodzie.

Przed oczami miałem barwne błyskawice wściekłości. Czułem, że wody zaczynają się rozstępować, rozdzielać, a kolory z drugiej strony przeciskają się przez powstające przejście. Przycisnąłem dłonie do oczu. Chyba wyglądałem na tak szalonego, jak się czułem, bo gdy oderwałem dłonie, zobaczyłem, że Georgia przeskakuje ogrodzenie i rzuca się do ucieczki, błyskawicznie przebijając nogami, jakby myślała, że ją zabiję. To mnie nie powstrzymało, lecz jeszcze bardziej podsycało wściekłość. Musi mi odpowiedzieć. Nie ma innej możliwości. I zrobi to teraz. Ruszyłem za nią, przeskoczyłem przez ogrodzenie i połykałem przestrzeń wymachami nóg i ramion, skupiając gniew na jej szczupłych plecach i jasnych włosach wymykających się z warkocza, gdy uciekała przede mną, jakbym był potworem.

Dopałem ją, objąłem i wziąłem na siebie ciężar jej ciała. Przewróciliśmy się. Odbiła się głową od mojego ramienia, a ja uderzyłem głową o ziemię, lecz to ani trochę jej nie spowolniło. Walczyła ze mną, kopiąc i drapiąc jak dzikie zwierzę, więc przetoczyłem się na nią, uwięziłem jej dłonie między naszymi ciałami, a nogi przycisnąłem swoimi nogami do ziemi.

— Georgio! — wrzasnąłem, przyciskając czoło do jej czoła. Kontrolowałem każdą część jej ciała. Czułem, jak ciężko dyszy, płacze i opiera mi się z całych sił. — Przestań! Masz ze mną porozmawiać. Masz ze mną porozmawiać. Teraz. W tej chwili. Co się z nim stało?

Czułem lód na dłoniach i płomień na karku, co przypomniało mi o obecności Eliego. Wiedziałem, że nas obserwuje. Że patrzy, jak przygważdżam jego matkę. Było mi wstyd. Nie chciałem go widzieć i nie mogłem jej wypuścić. Musiała mi powiedzieć. Przemieściłem się tak, żeby jej nie przygniatać, ale nie podniosłem głowy, którą nadal przyciskałem do jej czoła, kontrolując jej głowę. W swojej głowie usłyszałem słowa Georgii: „Gdy koń daje ci głowę, jest twój”. Ona nie dawała mi głowy, ale ja i tak ją brałem.

— Mów.



GEORGIA

— *MAMO! JADĘ!* — krzyknęłam, przechodząc przez kuchnię, i zabrałam leżące na lodówce kluczyki.

— *Chcę jechać z tobą.* — Eli zerwał się z podłogi, na której pieczołowicie

konstruował zagrodę z drewnianych klocków, i rozsypując klocki na wszystkie strony, podbiegł do drzwi.

Wykąpałam go już i ubrałam w jego ulubioną piżamkę z Batmanem. Założyłam mu nawet czarną pelerynę, żeby mógł uratować Gotham w przerwie w reperowaniu zagrody. Złapałam go i okręciłam w powietrzu, a on objął mnie nogami w pasie i chwycił rękami za szyję.

— Nie, kotku. Nie tym razem. Zostaniesz z babcią i dziadkiem, dobrze?

Twarz Eliego sposepniała, a jego oczy się zaszklily.

— Chcę pojechać! — zaprotestował na krawędzi łez.

— Wiem, ale ja wrócę bardzo późno i ciebie by to kompletnie znudziło, synku.

— Nie znudzi mi się! Lubię nie spać do późna! — Zacisnął nogi mocniej, a jego ręce zamykały się wokół mojej szyi jak imadło.

— Eli, przestań. — Zaśmiałam się. — Dziadek powiedział, że obejrzycie razem Johna Wayne'a i kowbojów. I założę się, że babcia zrobi popcorn. Okej?

Eli energicznie potrząsnął głową i domyśliłam się, że nie będzie skłonny do współpracy. Ostatnio zbyt często go zostawiam.

— Mamo! Pomocy! — krzyknęłam tak, żeby mama usłyszała, niezależnie od tego, gdzie była.

— Jedź, George! Zajmiemy się nim. — Usłyszałam ojca z głębi domu i ruszyłam tam z Elim na ramionach.

Ojciec leżał na łóżku w pokoju rodziców z pilotem w dłoni i ściągniętymi butami. Wciąż jednak miał na głowie kowbojski kapelusz. Przywitał nas uśmiechem i poklepał łóżko, zachęcając Elię, żeby się przyłączył.

— Chodź, dzikusie. Siadaj z dziadkiem. Poszukamy czegoś fajnego o kowbojach.

Eli puścił moją szyję i niechętnie zsunął się po moim ciele, opadając na łóżko jak samotna mała kłoda. Zwiesił głowę, żeby pokazać mi swoje niezadowolenie, ale przynajmniej to zaakceptował. Pocałowałam go szybko w głowę i wzięłam z powrotem na ręce, żeby mógł się przytulić. Jego ramiona objęły mnie jak małe macki.

— Oglądamy kowbojów, mamo. Mamusie nie mają wstępu. — Wydął usta, wykluczając mnie tak jak ja jego. Potem skrzyżował ramiona i pociągnął nosem, a ja spojrzałam na ojca i westchnęłam.

— Dzięki, tato — powiedziałam cicho, a on puścił mi oczko.

— Słyszałaś: mamusie nie mają wstępu. Zmykaj, dziewczyno — powiedział z uśmiechem.

Przebiegłam przez dom i wypadłam przez tylne drzwi, omijając na podwórzu kurczęta i dwie perliczki, Dameę i Ednę, po czym odrzuciłam włosy i wsiałam do Myrtle. To wszystko trwało może kilka sekund. Gdy już zatrzasnęłam drzwi, przekręciłam kluczyk i stary grat się obudził, a z głośników popłynęła piosenka Gordona Lightfoota If You Could Read My Mind. Uwielbiałam ją, więc zastygłam na chwilę, żeby posłuchać. Ta stacja zawsze puszczała klasyki country. Czasem wydawało mi się, że sama jestem klasykiem country. Miałam dwadzieścia dwa lata, lecz ostatnio czułam się, jakbym miała czterdzieści pięć. Westchnęłam głośno i oparłam głowę na kierownicy, pozwalając, by chociaż przez chwilę piosenka obejmowała mnie swoimi dźwiękami. Nie lubiłam zostawiać Eliego. To była dla mnie zawsze gehenna. Ale teraz musiałam złapać oddech. Bo w moim życiu nie było już ciszy. Nigdy. Nie miałam kiedy złapać oddechu.

Dzisiaj po prostu chciałam być młoda i piękna, zatańczyć z paroma przystojnymi kowbojami i udawać, że muszę się martwić wyłącznie o siebie. Mogłabym nawet udawać, że szukam faceta, tak jak inne dziewczyny. Tak naprawdę nie szukałam. Eli był jedynym facetem w moim życiu. Ale byłoby miło dać się dzisiaj komuś potrzymać. Może nawet zespół zagra tę piosenkę. Poproszę o nią.

Gordon skończył marzyć o kimś, kto czyta w myślach, a następna piosenka była o mamach, które nie pozwalają swoim dzieciom zostać kowbojami. Uśmiechnęłam się, bo mój syn już był kowbojem. Za późno.

Westchnęłam znowu i podniosłam głowę z kierownicy. Zerknęłam w lusterko wsteczne, a potem opuściłam osłonę przeciwsłoneczną, żeby sprawdzić swoje odbicie. Nałożyłam trochę błyszczczyka i cmoknęłam ustami. Potem wrzuciłam wsteczny i zaczęłam cofać. Czas ruszać. Dziewczyny pewnie już będą, a ja jak zwykle się spóźnię.

Poczułam, jakbym trafiła w krawężnik. Uderzenie i podskok. Niezbyt duży. I niezbyt duże uderzenie. Ale coś. Zakląłam i ponownie spojrzałam w lusterko wsteczne, zastanawiając się, co przejechałam.

Wysiadłam z samochodu i mój wzrok od razu pobiegł do opony. Było na niej coś czarnego. Worek na śmieci? Uderzyłam w śmietnik? Zatrzasnęłam drzwi i zrobiłam krok do przodu. Jeden. I nagle poznałam ten przedmiot. Peleryna Eliego. Na oponie była peleryna Eliego z kostiumu Batmana.

Peleryna Eliego. Peleryna, którą Eli miał na sobie. Ale Eli był w domu. Eli siedział z moim ojcem i oglądali kowbojów. Opadłam na kolana i w nagłej desperacji zaczęłam niezgrabnie posuwać się do przodu. Wiedziałam, że muszę spojrzeć. Nie mogłam na to patrzeć. Ale musiałam...



MOJŻESZ

GDY SKOŃCZYŁA, stoczyłem się z niej i usiadłem. Nie poruszyła się. Nadal miała skrzyżowane ręce na piersi, gdzie więziłem je, gdy opowiadała mi to szorstkim szeptem prosto do ucha. Jej warkocz zupełnie się rozplątał i włosy były w dzikim nieładzie. Wyglądała jak jeden z moich ulubionych obrazów Arthura Hughesa. Jak *Lady of Shalott* z jej złożonymi dłońmi, włosami rozrzuconymi dookoła i pustym spojrzeniem.

Ale spojrzenie Georgii nie było teraz puste. Miała zamknięte oczy, a po jej policzkach spływały łzy. Jej pierś unosiła się i opadała, jakby właśnie przebiegła maraton. Położyłem dłoń na swoim łomoczącym sercu i odwróciłem się od Georgii. Nie byłem w stanie się podnieść. Nie byłem w stanie zrobić niczego poza położeniem głowy na kolanach.

Wtedy Eli pokazał mi resztę.

Głowa Georgii opierała się na kierownicy starej półciężarówki, a z okien dobiegała jakaś muzyka. Patrzałem na nią z dziwnego punktu widzenia, jakbym siedział na ziemi za rdzewiejącym zderzakiem. Miała długie i gładkie włosy, które błyszczały, jakby właśnie je wysuszyła przed wyjazdem w jakieś wyjątkowe miejsce. Otworzyła oczy i opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby sprawdzić kolor ust. Potarła górną wargę o dolną i zamknęła osłonę. Widok zmienił się, jakby oczy, przez które patrzyłem, zmieniły pozycję. Widziałem tył półciężarówki z otwartą tylną klapą. Mimo to była wysoko. Obraz podskoczył, jakbym próbował się wspiąć. Silnik zawył i widok znowu się zmienił, nagle i dziwnie. Koła, podwozie.

A potem twarz Georgii zaglądającej pod samochód. Przerazenie ją zmieniło. Wyglądała okropnie — otwarte usta i błędny wzrok, jak z innego świata. I krzyczała bez przerwy: Eli, Eli, Eli...

Poczułem, jak jej krzyk wibruje we mnie, i straciłem połączenie, a obrazy w moim umyśle powlekły się czernią. Ale Eli nie odszedł. Czekał z przechyloną główką. Po chwili uśmiechnął się nieznacznie i smutno, jakby wiedział, że to, co mi pokazał, będzie dla mnie bolesne.

Schowałem twarz w dłoniach i rozplakałem się.



GEORGIA

TO BYŁ JEDEN Z NAJOKROPNIEJSZYCH dźwięków, jakie w życiu słyszałam. Płacz Mojżesza. Jego plecy trzęsły się w parodii straszliwego śmiechu, głowę chował w dłoniach, jakby nie mógł uwierzyć w to, co mu powiedziałam. Co dziwne, gdy zszedł ze mnie, jego twarz była bez wyrazu, zamrożona jak granitowa ściana. Nieznacznie przechylił głowę, jakby czegoś słuchał albo jakby o czymś rozmyślał. A potem wydał z siebie ten straszliwy, rozdzierający krzyk, zasłonił oczy dłońmi i stracił nad sobą panowanie. Nie wiedziałam tak do końca, dlaczego płacze. Nic dla niego nie znaczyłam. Najwyraźniej.

Zawsze był odległy i zdystansowany. Nic nie wskazywało na to, że rozstanie w jakikolwiek sposób go obeszło. Nie znał Eliego. Nigdy go nie widział. Próbowałam mu powiedzieć. Odwiedzałam ten cholerny oddział tydzień po tygodniu, aż powiedziano mi bez owijania w bawełnę, że nikt mnie tam nie chce. Napisałam mu list, którego nikt nie chciał dostarczyć. A potem zniknął na prawie siedem lat.

Nie poznał Eliego. W tym miał rację. Z tego względu powinien łagodniej to przyjąć. A sądząc po tym, jak zupełnie rozbity szlochał w dłonie, wcale nie było to dla niego łatwe.

Nie odważyłam się go pocieszyć. Nie życzyłby sobie mojego dotyku. Byłam taka sama jak jego matka. Nie zatroszczyłam się o swoje dziecko, tak jak ona nie zatroszczyła się o Mojżesza. Nienawidziłam siebie niemal tak mocno, jak Mojżesz mnie nienawidził. Czułam, jak ta nienawiść wypływa z niego falami. Ale to nie powstrzymało mnie przed płakaniem razem z nim.

Zawsze dziwiło mnie to, że moje łzy wciąż płyną. Dzień po dniu. Nieskończone zasoby. Mój żal był jak głębokie podziemne źródło, które nieustannie się kotłowało i rozlewało. Płakałam z Mojżeszem, patrząc na prawdziwie błękitne październikowe niebo nad moją głową. Jego bezkres niknął za górami otaczającymi to miasteczko jak milczący wartownicy, pod których okiem nikt nie był bezpieczny. Piękne góry. Bezużyteczne góry. Październik zawsze był moim ulubionym miesiącem, ale zabrał mi dziecko. Nienawidziłam go za to. Październik dał mi słoneczniki. Gest pojednania, jak podejrzewam. Położyłam je na grobie Eliego i jeszcze bardziej nienawidziłam tego miesiąca.

Teraz pełno było słoneczników rosnących rzędem nieopodal miejsca, w którym leżałam na trawie obok mojego dawnego kochanka. Bez ruchu, z oczami wbitymi w pusty błękit kolejnego pustego dnia. Mojżesz nadal siedział pochylony

obok mnie, rozpaczając za synem, którego nigdy nie poznał. Jego żal był jawny i desperacki i nic, co mógłby zrobić, nie zaskoczyłoby mnie bardziej. Rozpacz przelewała się przez jego dłonie, spadała na ziemię i zmiękczała moje serce. W końcu położył się na plecach obok mnie. Jego usta drżały i miał poszarpany oddech, ale powoli się wyciszał, a jego łzy przestały już płynąć.

— Dlaczego tu jesteś, Mojżeszu? — szepnęłam. — Dlaczego wróciłeś?

Przechylił nieznacznie głowę i odnalazł moje oczy. Po gniewie nie było śladu. Po odrzecie chyba też, chociaż nie wiem, czy ona nie została zmyta tylko tymczasowo. Patrzyłam na niego z determinacją i chyba musiał zobaczyć w mojej twarzy to samo. Żadnego gniewu. Rozpacz, akceptację, smutek. Ale nie gniew.

— On mnie tu sprowadził, Georgio.

GEORGIA

PRZEZ CAŁĄ NOC PATRZAŁAM w sufit w moim starym pokoju, przypominając sobie tę noc, gdy Mojżesz leżał na plecach i malował, a ja zasnęłam, mając przed oczyma tańczące barwy i białego konia wbiegającego w moje sny.

Boisz się prawdy, Georgio. A ludzie, którzy boją się prawdy, nigdy jej nie odkrywają.

Tak powiedział mi Mojżesz, kiedy leżał obok mnie i patrzył w błękitne niebo, które tak naprawdę nie było błękitne. Barwy nie są prawdziwe. Nauczyciel fizyki mówił, że kolor to sposób interpretowania przez oko energii zawartej w wiązce światła.

Czy więc błękitne niebo kłamie, próbując mnie przekonać, że jest czymś, czym nie jest? I czy Mojżesz kłamał, gdy powiedział mi, że Eli go tu sprowadził? Czy próbował mnie przekonać, że jest kimś, kim nie jest? Miał rację, mówiąc, że się boję. Nie sądzę jednak, że bym bała się prawdy. Bałam się uwierzyć w coś, co by mnie zniszczyło, gdyby okazało się kłamstwem.

Przed świtem znowu miałam ten sen, tylko że tym razem zamiast białego konia zobaczyłam srokatą klacz Eliego, Calico. A kiedy patrzyłam w jej oczy, widziałam w nich swojego syna, jakby wzorem ślepego z opowieści także zamienił się w konia biegnącego w chmury — w błękitne niebo, które tak naprawdę wcale nie było błękitne — żeby już nigdy nie wrócić.

Tego ranka przy śniadaniu powiedziałam rodzicom, że Mojżesz wrócił. Twarz taty pobladła, a mama zaczęła się zachowywać tak, jakbym wyznała, że wskrzeszony z martwych Ted Bundy jest moim nowym chłopakiem. Mimo moich protestów natychmiast zadzwoniła do szeryfa Dawsona, który obiecał, że wpadnie do starego domu Kathleen Wright i złoży przyjacielską wizytę nowemu właścicielowi. Nie wierzyłam w to, że szeryf przywita go w naszej społeczności z otwartymi ramionami, nawet jeśli obecność Mojżesza była tylko tymczasowa, a co do tego nie miałam wątpliwości.

— Oj, George — wyszeptał ojciec, gdy poddenerwowana matka rozmawiała z szeryfem. — Musisz mu powiedzieć. Musisz mu powiedzieć o Elim.

Natychmiast zalało mnie poczucie winy pomieszane ze wstydem. Przełknęłam ślinę, rozkruszając palcami zimny tost na takie drobinki, że mogłabym wydzielić skromne porcje całemu legionowi myszy.

— Powiedziałam mu. Wczoraj. Już wie. — Przypomniała mi się burzliwa konfrontacja z poprzedniego dnia i uznałam, że na tym skończę swoją relację.

Tato patrzył na mnie z szokiem i niedowierzaniem na twarzy. Wytarł usta. Ja rozdrabniałam następny kawałek tosta i słuchaliśmy, jak mama zamartwia się powrotem Mojżesza Wrighta i napięciem, jakie z tego powodu powstanie wśród ludzi.

— I jak? — spytał w końcu ojciec. — Jak on to przyjął? Myślałem, że zniknął na dobre, a tu nagle wraca i już o wszystkim wie? — mówił coraz bardziej podniesionym głosem. Mama rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Martin, uspokój się — powiedziała kojąco, odsuwając słuchawkę od ust, żeby oszczędzić szeryfowi Dawsonowi rodzinnego dramatu.

— Mauna. Wycięto mi niedawno małego raka. Ale nie wycięto mi jaj, więc przestań mnie traktować jak roztrzęsionego inwalidę! — zripostował, a matka ściągnęła usta.

Wrócił spojrzeniem do mnie i westchnął.

— Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie. Po prostu wiedziałem. Żałuję, że nie pozwoliłaś mi być z tobą, gdy mu o tym opowiadałaś. To na pewno nie była łatwa rozmowa. — Zaklął, a potem zaśmiał się bez cienia radości. — Jesteś najtwardszą dziewczyną, jaką znam, George. Najtwardszą ze wszystkich. Ale to na pewno nie było łatwe.

Pod wpływem jego współczucia zebrało mi się na łzy. Odsunęłam talerz, a mała wieża okruchów zachwiała się i runęła. Nie chciałam zaczynać dnia od płaczu. Jeśli tak wcześnie się rozplaczę, to przed południem będę już do niczego, a nie mogłam sobie dzisiaj pozwolić na emocjonalnego kaca.

— Nie. Nie była łatwa. Ani dla mnie, ani dla niego.

Tato uniósł brew drwiąco i odchylił się na krześle, żeby spojrzeć mi prosto w oczy.

— Nie martwiłem się o Mojżesza. Tylko o ciebie się martwię w całej tej dyskusji.

Przytaknęłam i ruszyłam w stronę drzwi. Tato miał prawo się gniewać. Wszyscy mieliśmy. Otworzyłam moskitierę i zatrzymałam się na ganku, wciągając w płuca chłodne powietrze, które natychmiast oczyściło mi głowę.

— Jak on to przyjął, George? — Tato przyszedł za mną i oparł się o framugę drzwi. — Gdy mu powiedziałaś. Jak to przyjął?

Widziałam, że ojciec wciąż jest wściekły i że nie ma zamiaru przestać podsycać tego płomienia. Gniew był męczący i nawet jeśli zarówno ja, jak i ojciec mieliśmy do niego prawo, nagle przestałam być pewna, czy chcę nadal je egzekwować.

Skupiłam się na napełnianiu płuc chłodnym powietrzem. Raz, drugi i trzeci. Dopiero potem odpowiedziałam.

— Rozplakał się. — Zeszłam z ganku i ruszyłam w stronę stodoły. — Rozplakał

się.



MOJŻESZ

— Czyli tak po prostu wyjeżdżasz? — spytał Tag, rozkładając ręce.

— Malowanie skończone. Dywany zamówione. Mam nawet kupca. Nic mnie tu nie trzyma.

Włożyłem do samochodu resztki farby i ruszyłem z powrotem do domu, tworząc w myślach listę rzeczy, które muszę zrobić, żeby móc się stąd wynieść.

— Dowiedziałeś się, że miałeś syna. Z dziewczyną, której ponoć nie kochasz, ale o której nie potrafisz przestać myśleć. Dowiedziałeś się też, że twój syn, wasz syn, zginął w tragicznym wypadku.

Zignorowałem Taga i zwinąłem ostatnie kawałki materiałów maskujących. Dywan będzie za godzinę. Gdy będzie już w środku, zatrudniona przeze mnie dziewczyna będzie mogła zacząć sprzątać. W sumie mógłbym do niej zadzwonić i spytać, czy mogłaby zrobić kuchnię i łazienki dzisiaj, żeby przyspieszyć ten proces.

— Dowiedziałeś się o tym wczoraj. Dzisiaj masz to już za sobą. Jutro wyjeżdżasz.

— Wyjechałbym dzisiaj, gdybym mógł — odparłem zdecydowanie. Nie widziałem Eliego od dwudziestu czterech godzin, czyli od momentu, gdy pokazał mi swoją śmierć.

— Czy Georgia wie, że wyjeżdżasz?

— Powiedziała, żebym zostawił ją w spokoju. Poza tym ona mi nie wierzy.

To go zatrzymało i zamknęło mu usta. Wczoraj w nocy wyciskał ze mnie wszystkie możliwe szczegóły, ale o tym mu nie wspomniałem. Nie powiedziałem mu o tym, jak wycieńczeni emocjonalnie leżeliśmy na plecach w trawie i patrzyliśmy w niebo, bo nie mogliśmy patrzeć na siebie. Nie powiedziałem mu też, co usłyszałem od Georgii, kiedy powiedziałem jej, że to Eli mnie tu sprowadził.

— Po śmierci Eliego udawało mi się jakoś trzymać tylko i wyłącznie dzięki prawdzie — stwierdziła.

Milczałem, nie rozumiejąc. Czekałem, aż wyjaśni mi, o co jej chodzi.

— Ludzie mówili rzeczy w rodzaju: „On jest teraz w lepszym miejscu i jeszcze się z nim zobaczysz. Jest w niebie”. I tak dalej. Ale to mnie krzywdziło. Wzbudzało we mnie poczucie, że nie byłam dla niego wystarczająco dobra. Bo bez mnie jest mu lepiej. Żerowało na czymś, co zawsze podejrzewałam: że nie byłam dobra dla Eliego. Byłam młoda i głupia i za mało się o niego troszczyłam. Za mało na niego uważałam.

Jej ból był tak ciężki, że wypełnił otaczającą nas przestrzeń, a gdy wziąłem oddech, napełnił mi płuca i uwiązał w gardle. Moje płuca błagały o tlen, ale Georgia mówiła dalej:

— Po wypadku wiedziałam na pewno tylko tyle, że Eli nie żyje. Ja go zabiłam. I będę musiała z tym żyć.

Spojrzała na mnie z zawzięciem. Dawny ogień płonął w jej oczach, jakby oczekiwała, że będę z nią polemizował. Ale ja rzadko wdawałem się w polemiki. Nauczyłem się, że niezależnie od tego, co powiem, ludzie nie zmienią swojego sposobu myślenia i przekonań, więc po prostu utrzymywałem kontakt wzrokowy z Georgią i czekałem.

— On nie żyje, Mojżeszu. Taka jest prawda. Ja żyję. To też jest prawdą. Nie chciałam go zabić. Kolejna prawda. Oddałabym mu swoje życie, gdyby tak się dało. Oddałabym wszystko. Poświęciłabym wszystko. I wszystkich. To także prawda. — Urwała nagle i wzięła głęboki wdech, ale powietrze z trudem przeciskało się przez zaciśnięte gardło. Zerwała kontakt wzrokowy i odwróciła głowę, jakby moja domniemana akceptacja jej prawd trochę nią wstrząsnęła.

— Dlatego, Mojżeszu, nie okłamuj mnie. Tylko o to proszę. Nie kłam. Ja też nie będę cię okłamywać. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Tylko nie kłam.

Myślała, że kłamię. Myślała, że próbuję ją nabrać. Nie wierzyła, że widziałem Eliego. Chciała, żebym mówił prawdę, ale co miałem zrobić, gdy moja prawda została nazwana kłamstwem?

— Boisz się prawdy, Georgio. A ludzie, którzy boją się prawdy, nigdy jej nie odkrywają — powiedziałem.

Ale ona nawet na mnie nie spojrzała. Wpatrywała się znowu w niebo, sygnalizując, że ta rozmowa się już skończyła. Poczekalem jeszcze kilka długich minut i w końcu wstałem, zostawiając ją tam. Lady of Shalott, panią jeziora, leżącą w morzu traw. Odchodziłem na drżących nogach i czułem się kompletnie wyczerpany.

— Zrobiłem to, po co przyjechałem — oznajmiłem Tagowi. Nie miałem pojęcia, czy to było prawdą, ale brzmiało dobrze. Jeśli Eli oczekiwał, że zrobię to, co zrobiłem, i zobaczę to, co zobaczyłem, to mam to już za sobą. Koniec. Chciałem stąd wyjechać, im szybciej, tym lepiej.

— Nie skończyliśmy jeszcze malowania — spróbował Tag po raz kolejny.

Ale ja nadal zbierałem rzeczy.

— Na górze jest jeszcze jeden mural. Czyżbyś o nim zapomniał? — spytał.

— Nie namalowałem niczego na górze. Byłem w innym stanie świadomości, ale jestem prawie pewien, że nie zawędrowałem na górę. — Zszedłem po tych schodach i udałem się prosto do stodoły, gdzie znalazłem Georgię. Nigdy więcej nimi nie wchodziłem.

— Chodź, pokażę ci.

Tag ruszył ochoczo do góry, a ja podążyłem za nim z mniejszym entuzjazmem. Miałem po dziurki w nosie oglądania swoich prac. W chwili, gdy wszedłem do domu Gi, mój żołądek zacisnął się jak węzeł marynarski. I dotąd się nie rozluźnił. Lecz gdy Tag pchnął drzwi do mojego starego pokoju i wskazał ścianę, zorientowałem się, że to nie o swojej pracy zapomniałem.

Na ścianie był mural z patykowatymi ludzikami.

— Może się mylę, ale moim zdaniem to jest Mojżesz Wright. Podobny styl... chociaż jednocześnie trochę inny — mówił Tag, mrużąc oczy i głaszcząc się po podbródku, jakby naprawdę studiował dzieło sztuki.

— To Georgia.

— Nie chrzań! — odparł z udawanym zaskoczeniem.

Zaśmiałem się, chociaż wspomnienie tamtej chwili ścisnęło mi gardło.

W ostatnią sobotę przed rozpoczęciem szkoły Georgia nie pojawiła się przy ogrodzeniu z moim lunchem, jak robiła co drugi dzień. Zanim się stamtąd zabrałem, przekonałem się, że jest mi lepiej bez niej. Krzyżyk na drogę. I tak nigdy jej nie pragnąłem. Wszedłem po schodach prosto do łazienki, wziąłem prysznic z zaciśniętymi zębami i dymiącą z uszu wściekłością, lecz gdy wszedłem do pokoju owinięty ręcznikiem, zamarłem ze zdumienia.

Georgia namalowała mural na mojej ścianie.

Wyglądał jak komiks namalowany przez dziecko. Patykowate postacie i dymki.

Kobieca postać miała długie blond włosy i kowbojskie buty, a męska postać miała jasnozielone oczy, pędzel malarski i zero włosów. Te dziwaczne ludzki trzymały się w pierwszej ramce za ręce, w drugiej się całowały, a w ostatniej dziewczyna — Georgia — kopala chłopaka — mnie — w głowę.

— *Co to ma, do cholery...* — wydusiłem.

— *Nieźle wdzianko* — zaszczebiotła Georgia z mojego łóżka, na którym siedziała po turecku.

Potrząsnąłem głową w niedowierzaniu i wskazałem drzwi.

— *Wynocha.*

— Zamknę oczy — odparła ze śmiechem.

Mruknąłem i zagniewany podszedłem do komody. Jedną ręką pozbierałem ciuchy i wycofałem się do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, jakbym był naprawdę zirytowany. Ale wcale nie byłem. Cieszyłem się, że ją widzę.

Wróciłem w pełni ubrany, stanąłem ze splecionymi ramionami w drzwiach i spojrzałem na jej okropne dzieło.

— Jesteś na mnie zły? — Miała zmarszczone brwi i patrzyła na mnie z niepokojem, a jej uśmiech zniknął. — Myślałam, że będziesz się śmiał. — Wzruszyła ramionami. — Powiedziałam Kathleen, że chcę ci zrobić niespodziankę. Odparła: „No jasne, śmiało!”. Więc ją zrobiłam. Użyłam twoich farb, ale wszystkie odłożyłam na miejsce.

— Dlaczego kopiesz mnie w głowę?

— To nasza historia. Spotkaliśmy się. Ocaliłeś mnie. Całuję cię. Ty też mnie całujesz, lecz zachowujesz się, jakbyś mnie nie lubił, chociaż wiem, że mnie lubisz. Więc wkopuję ci do głowy trochę zdrowego rozsądku. I muszę przyznać, że to bardzo przyjemne. — Uśmiechnęła się bezczelnie, a ja odwróciłem wzrok z powrotem na jej dzieło. To był całkiem porządny kopniak.

— Ten mural jest paskudny.

Bo był. Ale był też zabawny. I w stylu Georgii.

— Cóż, nie każdy może być Leonardem DiCaprio. Ty pomalowałeś moje ściany, ja pomalowałam twoje. I nie musisz mi płacić. Ja tylko próbuję nawiązać więź poprzez sztukę.

— Chodziło ci o Leonarda da Vinci?

— Jego też. — Uśmiechnęła się po raz kolejny i położyła na łóżku, poklepując dłońią miejsce obok siebie.

— Mogłaś przynajmniej namalować mi jakieś bicepsy. Zupełnie nie wyglądam tu jak ja. I dlaczego mówię: „Nie rób mi krzywdy, Georgio!”?

Opadłem na łóżko. Celowo wylądowałem tak, żeby częściowo położyć się na niej, a ona zaczęła się kręcić i wyrywać, próbując się uwolnić od mojego celowego przygniatacia.

— Masz rację. Może te słowa powinny wychodzić z moich ust — zachichotała. W jej ciemnych oczach kryło się jednak coś, co kazało mi pochylić głowę i ukryć twarz w zagłębieniu jej szyi, żebym nie musiał myśleć o nieuchronności jej bólu.

Głaskała mnie po włosach, a ja oddychałem w jej skórę.

— Nawiązujemy więź przez sztukę? — szepnęła mi do ucha.

— *Nie. Nawiążmy lepiej więź poprzez coś, w czym jesteś dobra* — szepnąłem w odpowiedzi i poczułem, jak jej pierś wibruje ze śmiechu.

— Chciała nawiązać ze mną więź przez sztukę — wyjaśniłem, lekko się uśmiechając.

Tag zachichotał i podszedł do ściany. Przejechał palcem po konturze serca narysowanego przez Georgię nad całującymi się postaciami.

— Lubię ją, Mo.

— Zawsze potrafiła mnie rozśmieszyć. I miała rację — wyznałem.

— W czym?

— Zachowywałem się, jakbym jej nie lubił, chociaż ją lubiłem.

— Co ty nie powiesz — stwierdził łagodnie. Ale złapał moje spojrzenie, gdy się odwracał, żeby wyjść z mojego pokoju.

— Mo? — zawołał, schodząc po schodach.

— Tak?

Zorientowałem się, że nie jestem jeszcze gotowy, by rozstać się z tym murałem. Stałem, chłonąc go, jakbym odkrył w swoim starym pokoju jakiegoś upiornego Picassa.

— Masz towarzystwo, stary. Ale nie śpiesz się, to nie kobieta.

Gdy zszedłem na zewnątrz, Tag opierał się o białego SUV-a z logiem Juab County Sheriff's Department na boku i rozmawiał z szeryfem Dawsonem, jakby byli kowbojami, którzy relaksują się luźną rozmową po całym dniu w siodle. Szeryf Dawson nie zmienił się zbytnio, miał co najwyżej kilka nowych zmarszczek wokół oczu. Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem. To także się nie zmieniło.

— Czy ty czasem nie robiłeś z moim ojcem parę lat temu jakiegoś interesu dotyczącego koni? — Tag kontynuował swobodną do bólu pogawędkę, udając, że nie zauważa zmiany temperatury i tego, że szeryf przestał go słuchać.

Szeryf rzucił mu przelotne spojrzenie.

— Hm, tak. Faktycznie. Ale to było więcej niż parę lat temu. Podkuwałem dla niego konie i sprzedawałem mu parę appaloosów, które mu się spodobaly.

— Tak było. Rozmawiałem wtedy z tobą trochę o rodeo. Poza robieniem kłopotów próbowałem wtedy swoich sił w steer wrestlingu^[6]. Ty się parałeś zespołowym wiązaniem wołu, prawda?

— Trochę. Byłem tym, który wiąże nogi^[7]. Ale lepiej mi szło w wiązaniu cielaka — odpowiedział miłym głosem, ale nie dał się rozproszyć umiejętnościami konwersacyjnymi Taga i gdy do niego podszedłem, zupełnie go zignorował. —

Sprzedajesz ten dom? — spytał bez ogródek. Nie wyciągnął dłoni, a ja nie zaoferowałem swojej.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem obowiązku niczego mu tłumaczyć.

— Tag mówi, że malowaliście. To dobrze. Ludzie mogliby dojść do niewłaściwych wniosków, gdyby zobaczyli, co namalowałeś na ścianach.

Tag poprawił się nieznacznie, a na jego twarzy pojawił się wyraz, który widziałem już wcześniej kilka razy.

— Jest pan tu w jakimś konkretnym celu, szeryfie? — spytałem spokojnie.

Zastanawiałem się, czy wiedział, że Georgia jest w ciąży, gdy przyszedł przesłuchać mnie w sprawie Molly Taggert. Był luty i stan Georgii powinien już być zauważalny. Wyjaśniałoby to zjadliwe komentarze szeryfa i uwagi na stronie, które wymieniał ze swoim tłustym zastępcą. Szeryf Dawson był przyjacielem rodziny Georgii. Nie wątpiłem, że wiedział o Elim. Zresztą całe miasteczko też na pewno wiedziało. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy mój syn spotykał się z pogardą lub strachem ze względu na mnie i na to, co zrobiłem. Ciekawe, czy Georgia tak do niego podchodziła. Na myśl o tym moje dłonie zrobiły się zimne i poczułem nieprzyjemne skręcanie w brzuchu.

— Przyjechałem, żeby dowiedzieć się, jakie masz plany — odparł wprost.

Twarz Taga wykrzywiła się po raz drugi.

— Doprawdy? — wsunąłem dłonie do kieszeni i starałem się nie myśleć o tym, jak Georgia mogła być traktowana, gdy wyszło na jaw, że nosi w sobie moje dziecko. Starałem się nie myśleć o reakcjach, z jakimi się spotykała, kiedy wychodziła z Elim między ludzi. O spojrzeniach, szeptach i baczny obserwowaniu, czy Eli okaże się taki sam jak ja.

— Georgia bardzo dużo przeszła. Jej rodzina też. Nie potrzebują, żebyś dokładał im cierpień, po raz kolejny prowokując plotki i kłopoty.

Nie sposób było z tym dyskutować, ale wkurzało mnie to, że nagle stał się rzecznikiem rodziny.

— Georgia jest piękną dziewczyną, prawda? — wystrzelił Tag. — Spotyka się z kimś? Do licha, szeryfie. Nie widzę obrączki na twoim palcu. Przeszło ci przez głowę, żeby zaoferować jej ramię, na którym mogłaby się wyplakać w tych trudnych chwilach? Jesteś starszy o dwadzieścia lat, ale niektóre panny lubią starszych facetów, co nie?

Jeszcze nigdy nie miałem takiej ochoty przywalić mojemu przyjacielowi w twarz. A w trakcie naszych podróży zdarzyło się parę takich sytuacji, że w ruch poszły pięści. Chciałem zetrzeć mu z gęby ten jego uśmieszek i nie byłem w tym osamotniony. Uszy szeryfa Dawsona poczerwieniały, a jego zatroskany wyraz twarzy osoby dbającej o dobro publiczne zmienił się w zupełnie inny.

— Jak dla mnie to trochę dziwaczne, szeryfie — kontynuował Tag. — Ale widziałem dziwniejsze rzeczy. Tak to już jest w małych miasteczkach. Do licha, wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Wszyscy się znają. Ja nie jestem stąd, a i tak wiem o wiele za dużo.

Szeryf zmierzył Taga niebieskimi oczami. Na twarzy nadal miał przyklejony życzliwy uśmiech, ale widziałem, że niespecjalnie podobały mu się wrzucone przez Taga trzy grosze. Tymczasem ten opierał się luzacko o SUV-a, kompletnie nie przejmując się wrogiem, którego właśnie sobie uczynił z szeryfa.

Wszyscy odwróciliśmy głowy, gdy z za zakrętu wyłonił się samochód dostawczy, który wpadał z dziury w dziurę. Dywany przyjechały. Samochód zahamował gwałtownie, a szeryf Dawson wskoczył do swojego SUV-a i zamknął drzwi.

— Tak sobie myślę, że gdybyś chociaż w połowie tak interesował się dziurawymi drogami, jak interesujesz się Mojżeszem, całe miasto byłoby znacznie szczęśliwsze — Tag kontynuował swoją przemowę, odsuwając się od SUV-a, a szeryf zapalił silnik, wrzucił wsteczny i zaczął cofać.

— W jednej kwestii masz rację, Taggert — zawołał szeryf przez okno. — Wszyscy wszystkich znają. I wszyscy wiedzą o Georgii i Elim. A Georgia zasługuje na znacznie lepszy los. — Spojrzał mi w oczy przez przednią szybę i potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć, że miałem czelność wrócić, po czym odjechał.

[6] Steer wrestling — konkurencja na rodeo polegająca na dogonieniu na koniu młodego byczka i powaleniu go na ziemię w jak najkrótszym czasie — *przyp. tłum.*

[7] Chodzi o tzw. team roping, konkurencję, w której jeden kowboj musi schwytać młodego wołu na lasso za rogi, a drugi za pomocą lassa zacisnąć mu pętlę na tylnych nogach — *przyp. tłum.*

MOJŻESZ

PANI SPRZĄTAJĄCA, która okazała się panną, mogła przyjechać dopiero następnego dnia, chociaż próbowałem ją przekupić wyższą stawką. Była siedemnastolatką, a jej chłopak miał mecz piłki nożnej, którego nie mogła przegapić. Zerwałem kontakt do niej z ogłoszenia wiszącego na tablicy w miasteczkowym centrum handlowym znajdującym się przy małej stacji benzynowej na rozwidleniu starej autostrady. Jedna droga prowadziła na południe do Gunnison, a druga na zachód do starej kopalni węgla i kilku innych miejsc na mapie, które trudno byłoby wciąż nazywać miasteczkami.

Rzuciliśmy śpiwory na nowy dywan, przygotowani na spędzenie pierwszej nocy w tym domu. I zarazem ostatniej, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z moim planem. Trzy poprzednie noce spaliśmy na trawie obok domu, lecz okazało się, że jednak jest za zimno. Tag rzucił prowokacyjnie, że moglibyśmy się przespać w stodole Georgii, żeby było nam cieplej, ale natychmiast zamilkł, gdy zobaczył moje spojrzenie. Opowiadałem mu o ranku, gdy zmarła babcia. Wiedział, że spędziłem wtedy z Georgią ostatnią noc w tej stodole. Wiedział, że wróciłem do domu i znalazłem babcie martwą na podłodze w kuchni. W stodole spędziłem ostatnie chwile „przed”. To były moje ostatnie chwile z Georgią, więc spanie w stodole nie podlegało żartom.

Gdy zjedliśmy po kilka puszek zupy i niemal cały bochenek chleba, ktoś zadzwonił do drzwi. Dzwonek odbił się echem wśród pustych ścian i obaj prawie podskoczyliśmy. Przyszło mi do głowy, że to szeryf Dawson przybył razem z uzbrojonymi w widły wieśniakami, ale okazało się, że na ganku stoi Georgia. Przyciskała do piersi grubą księgę, a na jej twarzy malowało się wahanie.

— Pomyślałam... pomyślałam... — Potknęła się o słowa i zamilkła. Wzięła głęboki wdech i spojrzała mi w oczy, po czym wyraźnie wypowiedziała wszystkie słowa, nie pozwalając sobie więcej na zająknięcie: — Mam zdjęcia Eliego. Pomyślałam, że może chciałbyś je zobaczyć.

Wyciągnęła w moją stronę wielką księgę, a ja uświadomiłem sobie, że to album ze zdjęciami. Miał przynajmniej dwanaście centymetrów grubości, a strony wręcz wylewały się z oprawy. Patrzyłem na niego bez słowa, a ona powoli opuściła ręce. Miała napiętą szczękę i zacięte spojrzenie, gdy w końcu podniosłem wzrok. Uznała, że ją odrzucam. Znowu.

— Chciałbym. Chciałbym je zobaczyć. Mogłabyś obejrzeć je razem ze mną? — spytałem łagodnie. — Chciałbym, żebyś mi o nim opowiedziała. Chcę historii. I szczegółów.

Przytaknęła i z wahaniem weszła do środka, gdy otworzyłem drzwi i zaprosiłem ją gestem. Widok pustych ścian i nowych dywanów wyraźnie ją rozluźnił.

— Chciałam jej zegar — powiedziała.

— Co?

Wpatrywałem się w jej długie włosy, które opadały z ramion na plecy i kończyły się zaledwie kilkanaście centymetrów nad pasem.

— Ten zegar z kukułką, który tu zawsze był. Uwielbiałam go — wyjaśniła.

— Ja też.

Zastanowiłem się przez chwilę, gdzie on teraz jest. Miałem nadzieję, że nie w jakimś pudle.

— Zostało tu coś jeszcze? — zapytała.

Potrząsałem głową.

— Tylko farba — odparłem i pożałowałem tych słów, gdy tylko opuściły moje usta. Nie wiedziałem, co Georgia miała w sobie, ale zawsze tak na mnie działała. Kruszyła mój mur, a przez szczeliny zaczynała wypływać prawda, ze wszystkimi jej brudami i barwami.

Georgia spojrzała na mnie w ten sam szczerzy sposób co kiedyś, jakby próbowała usunąć moje warstwy. Otrząsnęła się jednak i odpuściła sobie. Przeszliśmy przez kuchnię, gdzie przeprosiłem ją za brak mebli. Usiedliśmy w jadalni pod ścianą, z albumem na kolanach. Tag przyszedł po coś do kuchni. Uśmiechnął się na powitanie i spytał o Cussa.

— Zostałaś dziś zrzucona, Georgio?

— Nie. Raczej nie daję się już zrzucać. Nauczyłam się przeczekiwać.

— Pewnie za niedługo da ci głowę — szepnąłem.

Georgia spojrzała na mnie ostro, a ja po raz kolejny przekląłem siebie w myślach.

— Chciałbym cię kiedyś poobserwować. Zwiedziliśmy z Mojżeszem kawał świata, lecz już dawno nie spędziłem czasu z końmi. Może pozwoliłabyś mi na przejażdżkę przed naszym wyjazdem. — Uśmiechnął się i puścił jej oczko, po czym przeprosił nas i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Nie umknęło mi wzdrygnięcie Georgii, gdy wspomniał, że wyjeżdżamy.

— Jadę do Nephi, żeby się zrelaksować i być może zagrać w bilard. W Main wciąż jest ten honky-tonk^[8], prawda?

— Tak. Tyle że tutaj nie mówi się „honky-tonk”, Teksańczyku. To byłoby trochę na wyrost. My mówimy po prostu „bar”. Ale z tyłu faktycznie jest stół bilardowy i przy odrobinie szczęścia może znajdziesz kogoś, kto będzie umiał jeszcze ustać

na nogach i z tobą zagra — oznajmiła sucho Georgia.

— Słyszałeś to, Mojżeszu? Ona nadała mi ksywkę. Tag: jeden, Mojżesz: zero — zarechotał i wyszedł z domu, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

Georgia parsknęła śmiechem, lecz ja miałem ochotę pobiec za nim i nakopać mu do tyłka. Nie zawsze wiedział, kiedy się zamknąć.

Z drugiej strony, gdy już zniknął, zacząłem żałować, że go nie ma.

Ten dom był zdecydowanie zbyt cichy bez niego, a ja utknąłem z Georgią w pustym pokoju i nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć, chociaż miałem jej tyle do powiedzenia. Siedzenie obok niej i dotykanie się ramionami i nogami wydawało mi się dziwnie właściwe, a jednocześnie koszmarnie niestosowne. Georgia wzięła głęboki wdech i drżącą dłonią otworzyła album, wypełniając ciszę zdjęciami.

Najpierw oglądaliśmy zdjęcia zmęczonej Georgii z rozwichrzonym warkoczem, która z oszczędnym uśmiechem patrzyła w obiektyw pustym wzrokiem, trzymając na rękach czarnookiego pucułowatego niemowlaka z miniaturową niebieską czapeczką na głowie. Były też zbliżenia pomarszczonych stópek i piąstek z nagością w tle i masy czarnych włosów. Wszystko dokładnie udokumentowane, jakby każdy szczegół był wart odnotowania i celebrowania.

Wraz z kolejnymi stronami mijał czas. Wrzeszczące niemowlę z pomarszczoną buzią zmieniło się w uśmiechniętego dzieciaka z dwoma zębami i dołeczkiem w podbródku. Dwa zęby zmieniły się w cztery, potem w sześć i oto Eli świętował pierwsze urodziny z większym od siebie tortem. Na kolejnym zdjęciu miał piąstki pełne kremu, a na głowie kokardę z tortu. Na następnym zdjęciu kokardy już nie było, lecz na jej miejscu pojawiły się dwie kule z kremu.

— Był strasznym brudasem. Nie dało się go utrzymać w czystości. W końcu się poddałam i pozwoliłam mu cieszyć się wszystkim — szepnęła Georgia, patrząc na uśmiechające się dziecko. — Na te urodziny daliśmy mu jego pierwsze buty. Nigdy ich nie ściągał. Krzyczał, gdy próbowaliśmy mu je zdjąć. — Odwróciła kartkę i wskazała jedno ze zdjęć. Eli spał w łóżeczku z wypiętym tyłkiem w pieluszce i z rączkami schowanymi pod klatką piersiową. W butach. Zaśmiałem się, ale coś zakłuło mnie w sercu i szybko odwróciłem wzrok. Czuję, że Georgia na mnie spojrzała, lecz w końcu odwróciła stronę i kontynuowała.

Boże Narodzenia, poszukiwania wielkanocnych prezentów i Dzień Niepodległości. Zdjęcia z Halloween, na których Eli trzyma torebkę cukierków, ubrany wyłącznie w pelerynę i majtki, przypomniały mi o jego piżamce z Batmanem. Tej, którą miał na sobie za każdym razem, gdy go widziałem.

— Lubił Batmana?

Georgia spojrzała na mnie przenikliwie.

— Czy miał piżamkę z Batmanem?

— Tak. Miał — przytaknęła. Jej twarz była równie biała jak świeżo pomalowane ściany wokół nas. Ale bez słowa odwróciła stronę.

Wyjazdy pod namiot, parady i pozowane zdjęcia z przylizanymi włosami i czystą koszulą, co rzadko było widoczne na spontanicznych zdjęciach. Czuł się swobodnie przed obiektywem, a jego uśmiech wypełniał wszystkie kadry.

— Wygląda na szczęśliwego, Georgio.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie, lecz Georgia przytaknęła i odpowiedziała:

— Był szczęśliwym dzieckiem. Nie wiem, na ile ja miałam z tym cokolwiek wspólnego. Był strasznym psotnikiem, ale wiecznie uśmiechniętym i pełnym najlepszych cech, nawet jeśli nie zawsze to dostrzegałam. Czasem chciałam, żeby chociaż na chwilę przestał się ruszać... wiesz? — Jej głos podniósł się płaczliwie. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej uśmiech zachwiał się i spłynął z twarzy. Potrząsnęła głową, jakby chciała podkreślić swoje wyznanie. — Powiedziałam ci, że nie będę cię okłamywać, Mojżeszu. A prawda jest taka, że nie byłam najlepszą matką na świecie. Tyle razy pragnęłam mieć chociaż sekundę na złapanie tchu. Byłam wycieńczona. Staralam się jednocześnie pracować, uczyć się i opiekować Elim. I marzyłam o ciszy. Tak wiele razy pragnęłam po prostu się wyspać. I zostać sama. A jest takie powiedzenie: uważaj, czego sobie życzysz, prawda?

— Georgio... przestań. — Nie rozumiałem, dlaczego tak naciska na to, żebym poznał „prawdę”. Jakby czuła, że nie zasługuje na żadne uznanie. — Mnie się wydaje, że dobrze sobie radziłaś — powiedziałem łagodnie.

Przełknęła ślinę i gwałtownie zamknęła album. Odepchnęła go ze swoich kolan i niezgrabnie się podniosła.

— Georgio — zaprotestowałem, wstając za nią.

— Nie mogę już na to patrzeć. Myślałam, że będę w stanie, ale będziesz musiał dokończyć sam — powiedziała, nie patrząc na mnie.

Wiedziałem, że trzyma się ostatkiem sił. Jej pełne usta były napięte, a pięści zaciskała równie mocno jak szczęki. Przytaknąłem więc i nie ruszyłem za nią, gdy pobiegła do drzwi. Opadłem z powrotem na podłogę z albumem w dłoniach. Ściskałem go kurczowo, ale nie byłem w stanie go otworzyć. Ja też nie mogłem już na to patrzeć.



MOJŻESZ

OBRAZ GEORGII migotał i rósł. Śmiejące się usta i brązowe oczy, blond włosy, które unosiły się, jakby jechała na niewidocznym dla mnie koniu. Ale ona nie jechała na koniu. Skakała na łóżku przykrytym dżinsową kołdrą wykończoną liną i usianą lassami. Patrzałem oczami Eliego, jak podskakuje w górę jeszcze raz, po czym ląduje obok niego. Pod wpływem chichotu Eliego poczułem ból w piersi, jakbym to ja się śmiał i nie umiał złapać tchu. Georgia uśmiechała się, unosząc się nade mną, jakby miała mnie pocałować na dobranoc. Jakbym patrzył na nią, leżąc na poduszce, która ograniczała mi pole widzenia na peryferiach. Potem nachyliła się i pocałowała moją twarz. Pocałowała twarz Eliego.

— Dobranoc, Stewy Stinker! — powiedziała, głaszcząc chłopca po szyi.

— Dobranoc, Buzzard Bates! — odrzekł uradowany.

— Dobranoc, Skunk Skeeter! — odparowała, nie pozostając mu dłużna.

— Dobranoc, Butch Bones! — wykrztusił, śmiejąc się chłopiec.

Obudziłem się, drżąc z zimna. Miałem sztywny kark i wilgotny od śliny policzek, który był przyciśnięty do zostawionego przez Georgię albumu. Zasnąłem, ściskając go kurczowo, a teraz leżałem na podłodze, mając go pod głową. Ciekawe, czy obudził mnie sen o Georgii całującej Eliego na dobranoc czy to, że było mi niewygodnie. Wstałem, lecz gdy się naciągnąłem, poczułem to znajome wrażenie niechcianego towarzystwa. Rozprostowałem palce, które zaczynały robić się zimne, i stłumiłem przytłaczające pragnienie pokrycia świeżo pomalowanych ścian czymś innym. Czymś żywym. Albo raczej czymś, co kiedyś było żywe.

Ostrożnie sprawdziłem wody, opierając się wezwaniu do tworzenia, i zerknąłem przez błyszczące fale, próbując dojrzeć tego, kto czekał po drugiej stronie. Tęskniłem za Elim i bałem się, że już nie wróci.

Początkowo myślałem, że to Molly. Miała podobne włosy, ale gdy pozwoliłem, by wody się przerzedziły, zorientowałem się, że to nie ona. Pozwoliłem jej przejść. Opierałem się plecami o ścianę i obserwowałem ją z zaciekawieniem. Nie pokazywała mi niczego. Żadnych obrazów ukochanych osób lub fragmentów dawnego życia. Podeszła do najdłuższej ściany w salonie, którą razem z Tagiem zamalowaliśmy na biało. Pomalowaliśmy wszystkie ściany, przykrywając wszystko. Dziewczyna przyłożyła dłoń do ściany niemal tak, jak do pomnika. Przypominało mi to sposób, w jaki ludzie dotykali imion żołnierzy na Vietnam Veterans Memorial w Waszyngtonie. Ściana tego pomnika wibrowała od żalu i wspomnień i przyciągała zmarłych, gdy przychodzili ich bliscy.

Dziewczyna, opierając palce na świeżej farbie, delikatnie je skuliła i spojrzała na mnie. I tyle. Potem zniknęła.

Nagle w ciemnościach zaczął wściekle dzwonić mój telefon. Znalazłem go i sprawdziłem godzinę, zanim go odebrałem. Od razu się domyśliłem, że to nie mogła być dobra wiadomość.

— Mojżesz? — Głos odbijał się echem, jakby dochodził z pustego korytarza.

— Tag. Jest trzecia w nocy. Gdzie jesteś?

— W areszcie.

— Oj, Tag — jęknąłem i przejechałem dłonią po twarzy. Nie powinienem pozwalać mu jechać. Ale już tak długo dobrze sobie radził, że nie pamiętam, kiedy ostatnio piwo sprowadziło go na manowce.

— W Nephi. Namieszałem, Mo. Grałem w bilard, sączyłem piwo, gadałem o niczym z lokalnymi chłopakami. Georgia miała rację, większość była dość mocno nawalona, ale dzięki temu łatwiej wygrywałem. Wszystko szło świetnie, ale nagle chłopcy zaczęli rozmawiać o zaginionych dziewczynach. Przykuło to moją uwagę, więc spytałem: „Jakich zaginionych dziewczynach?”. Jeden z nich przyniósł mi ogłoszenie, które było przyklejone do ściany. Przedstawiało małą blondynkę, na oko siedemnastolatkę. Widziano ją po raz ostatni w Fountain Green, tuż za wzgórzem, w Dniu Niepodległości. Skojarzyła mi się z Molly, Mo. Chłopcy mówili, że chodziły plotki, iż była trochę dzika. To samo mówiono o Molly, jakby sama była winna swojej śmierci — mówił Tag coraz bardziej emocjonalnie.

Czułem na horyzoncie powracający stary ból.

— Wtedy ożywił się jakiś stary koleś siedzący przy stoliku i wspomniał, że wróciłeś w tę okolicę — kontynuował. — Wszyscy zaczęli spekulować, że być może to ty porywałeś te dziewczyny przez te wszystkie lata. Mówili, że było ich dość sporo. Wszyscy pamiętali mural pod estakadą. Jeden z nich wiedział nawet, że to ty powiedziałeś policji, gdzie znaleźć Molly. Nie powinienem się w ogóle odzywać, Mo. Ale to nie w moim stylu. Sam wiesz.

Tak. Wiedziałem. Jęknąłem, bo przeczuwałem, jak to się skończy. Moja twarz płonęła i miałem przyspieszony oddech. Wiedziałem, że ludzie mnie nienawidzą, ale nie do końca rozumiałem dlaczego.

— No i jeden ze starszych koleś przywalił mi kijem bilardowym w głowę.

Znowu jęknąłem. Tag uwielbiał bójki. Potrafiłem sobie dokładnie wyobrazić, jak to wyglądało.

— I teraz jestem tu, w więzieniu hrabstwa. Szeryf Dawson bardzo się ucieszył, że mnie widzi, i osobiście mnie przesłuchiwał. Ostatnie dwie godziny odpowiadałem na pytania, gdzie *ja* byłem w Dniu Niepodległości, jakby to miało coś wspólnego z zaginięciami dziewcząt. Wypytywali mnie też o ciebie. Czy wiem, gdzie *ty* byłeś czwartego lipca? Cholera — wyrzucił z siebie z

niesmakiem. — Biłem się wtedy, pamiętasz? Więc na szczęście byłem w stanie przedstawić im dość niepodważalną wersję zdarzeń dla nas obu. Muszę zapłacić grzywnę, a właściciel baru Hunky Monkey będzie pewnie chciał, żebym pokrył koszty zniszczeń. Co też zrobię. Ale twój samochód jest tu, zaparkowany w Main. Musisz rano przyjechać, żeby mnie odebrać.

— Hunky Monkey? — Zaczynała mnie boleć od tego głowa.

— Jakoś tak. Możliwe, że Honky Mama, chociaż to brzmi trochę obraźliwie^[9] — stwierdził Tag i zamyślił się przez chwilę. Potem mówił dalej: — To wszystko ściemy, więc mnie wypuszczą. Ale dopiero jutro rano. Powiedzieli, że za dużo wypilem i że będę musiał spać w celi. Powiedzieli mi też, żebym nie opuszczał okolicy przez następne czterdzieści osiem godzin.

Wiedziałem, że Tag nie był nawet w najmniejszym stopniu pijany. Widziałem go pijanego. Zdarzyło mi się wyciągać go z baru, gdy się zataczał i przeklinał po zaledwie kilku piwach, lecz teraz to nawet nie było to.

— Czego ode mnie oczekujesz? — spytałem. — Jeśli mój samochód jest w Main w Nephi, to jak mam po ciebie przyjechać?

— Nie wiem, stary. Spytaj Georgię, czy ci pomoże. Mam nadzieję, że samochód wciąż tam będzie. Szeryf Dawson groził konfiskatą i mówił coś o przeszukiwaniu.

— Przecież w lipcu nie miałem jeszcze tego auta. Kupiłem je w sierpniu, pamiętasz? Co oni, do cholery, chcieliby w nim znaleźć?

— Faktycznie. Zapomniałem o tym! — Tag przeklął, a potem ktoś z tyłu powiedział, że jego czas się skończył.

Powiedziałem mu parę pokrzepiających słów, które skwapliwie powtórzył, obiecałem, że coś wymyślę i zjawię się rano, żeby go odebrać.

Ranek jednak zastał mnie z niczym. Mogłem pójść do Georgii, ale postanowiłem, że prędzej ukradnę rower i przyjadę tu z Tagiem na kierownicy, niż poproszę ją o pomoc w wyciągnięciu przyjaciela z aresztu.

Gdy białym furgonem przyjechała dziewczyna do sprzątnia, kompletnie nie wiedziałem, co począć. Uśmiechała się nerwowo, a ja zaproponowałem jej pięćset dolarów, jeśli pozwoli mi pojechać jej autem do Nephi. Zrobiła wielkie oczy i ochoczo się zgodziła, potakując farbowanymi włosami tak energicznie, że opaska z wielką różową kokardą zsunęła się jej na oczy. Obiecałem, że wrócę, zanim skończy sprzątać, i wyszedłem z domu.

[8] Honky-tonk — popularny na południu USA rodzaj taniego baru, w którym można posłuchać muzyki country — *przyp. tłum.*

[9] *Honky Mama* to po angielsku dosłownie „biała mama”; honky to obraźliwe

słowo oznaczające białego człowieka — *przyp. tłum.*

XXII

GEORGIA

WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE WIDZIAŁAM MOJŻESZA jadącego białym vanem Lisy Kendrick. Przejechał obok naszego domu z odwróconą głową, jakby nie chciał, żebym go zobaczyła. Właśnie wróciłam z poczty i wysiadałam z mojej niewielkiej półciężarówki marki Ford, gdy przemknął van. Po śmierci Eliego nie wsiadłam już więcej do Myrtle. Tato sprzedał ją znajomemu z Fountain Green, żebym nie musiała jej więcej widzieć. Być może było to melodramatyczne. Ojciec wyjaśnił mi jednak łagodnie, że niektóre bitwy trzeba stoczyć, żeby wydobrzeć, lecz to nie jest jedna z nich. Sprzedaj ten samochód, George. Więc tak zrobiłam.

Patrzałam za vanem, jak zwolnił przed skrzyżowaniem i skręcił w stronę autostrady. Jechał na północ, w kierunku Nephi. To mogło oznaczać cokolwiek, ale skoro Tag wyjechał dzień wcześniej samochodem Mojżesza, mogłam się domyślić, dokąd zmierza Mojżesz. Ale vanem Lisy?

Zatrzasnęłam drzwi auta i ruszyłam w stronę domu Mojżesza, nie przejmując się tym, że wyjdę na wścibską sąsiadkę. Chciałam odzyskać album, a teraz mogę to zrobić bez konieczności ponownej konfrontacji z Mojżeszem. Spytał mnie o piżamę Eliego... piżamę z Batmanem. Przez chwilę myślałam, że próbuje mi dopiec. Ale nie mógł przecież wiedzieć, że Eli w niej zginął. Nie mógł. Niemniej jednak wstrząsnęło to mną i nie wytrzymałam już potem zbyt długo. Ciekawe, czy Mojżesz oglądał zdjęcia po moim wyjściu.

Drzwi wejściowe były otwarte, więc weszłam do środka i zawołałam:

— Dzień dobry! — Wydawało mi się, że słyszę puszczoną wodę. — Jest tam kto?

Woda przestała lecieć i odpowiedział mi kobiecy głos:

— Chwileczkę!

— Lisa? Czy to ty?

Lisa Kendrick wyszła z za schodów, wycierając dłonie w ręcznik. Włosy miała w dzikim nieładzie.

— O mój Boże! Przestraszyłaś mnie, Georgio! — Zaczęła wachlować twarz wilgotnym ręcznikiem. — Ten dom przyprawia mnie o ciarki.

— Pożyczyłaś Mojżeszowi samochód? — spytałam, ignorując uwagę na temat domu. To miasteczko mogłoby już dać sobie z tym spokój.

— Tak. Pożyczyłam... A powinnam była mu odmówić? — Natychmiast zaczęła przygryzać wargę. — Jego znajomy wziął jego auto, jak się domyślam. Mojżesz

chciał się tylko dostać do Nephi i zaproponował mi pięćset baksów. Kurczę, mama mnie zabije, jeśli z vanem coś się stanie. Ale on obiecał, że szybko go odda! Nie powinnam była się zgadzać. On też w sumie przyprawia mnie o ciarki. Jest przystojny. Ale straszny. Trochę jak Johnny Depp w *Piratach*, prawda? Przystojny jak cholera, ale kompletny dziwak — mówiła szybko, ale ja byłam znudzona jej paplaniną.

— Nie martw się, nic się nie stanie. Nie przeszkadzaj sobie. Przyszłam tylko zabrać coś, co zostawiłam tu wczoraj wieczorem.

Lisa zrobiła wielkie oczy i widziałam, że bardzo chciałyby wiedzieć, co takiego mogłam zostawić w strasznym domu dziwaczego przystojniaka, ale powstrzymała się i niechętnie zawróciła do łazienki.

— Nie mam nic przeciwko, żebyś się tu kręciła. Wolałabym nie zostawać tu sama — wyznała. — Mama radziła mi, żebym nie brała tej pracy. Ale poddała się, gdy powiedziałam jej, ile dostanę. Kazała mi jednak dzwonić co pół godziny. A co, jeśli wpadnie tu na chwilę i zobaczy, że nie ma vana? — Lisa znowu zaczynała panikować. — Będę miała przerąbane.

— Jestem pewna, że nic się nie stanie — powtórzyłam na odchodnym i pomachałam jej, schylając się pod łukiem.

To zdumiewające, że ludzie wciąż gadają o Mojżeszu Wrichcie. Najwyraźniej jednak mama Lisy zapomniała wspomnieć o tym, że swego czasu byłam z nim związana. Nieźle się nasłuchiłam po narodzinach Eliego. Ludzie szybko roznieśli swoje domniemania na temat ojca mojego dziecka. Ja jednak nigdy nic nie mówiłam, spuszczałam głowę i po prostu żyłam. Może dlatego plotki w końcu ucichły, a ludzie przestali się gapić na Eliego, gdy wychodziliśmy na miasto. Łudziłam się, że już nigdy nie będę musiała mówić o Mojżeszu. Ale Eli skończył trzy lata, poszedł do przedszkola i nagle się okazało, że on też miał swoje pytania. I był przy tym równie uparty jak ja.

— *Czy dziadek jest moim tatą? — spytał Eli, nabierając łyżką makaron z serem i próbując trafić z nim do ust, zanim małe kawałki makaronu z niej spadną. Nie pozwalał sobie pomóc, a sądząc po tym, jak mu szło, czekała go śmierć głodowa.*

— *Nie. Dziadek jest moim tatą. A twoim dziadkiem.*

— *To kto jest moim tatą?*

No i proszę, pytanie, które dotąd nie padło. Przez trzy lata. A teraz zawisło w powietrzu, czekając na moją odpowiedź. Tym razem nie dało się go zbyć pochyleniem głowy lub gryzieniem się w język.

Spokojnie zamknęłam lodówkę i nalałam Eliemu szklankę mleka, próbując grać na zwłokę.

— *Mamo! Kto jest moim tatą?*

Eli zrezygnował z łyżki i zaczął nabierać makaron garściami. Wszystko wypływało bokami z jego małych piąstek i nic nie trafiło do jego ust.

— *Twoim tatą jest Mojżesz — odpowiedziałam w końcu.*

— *MOJ-ŻESZ! — Zaśmiał się, akcentując jednakowo obie sylaby. — Śmieszne imię. Gdzie jest MOJ-ŻESZ?*

— *Nie wiem, gdzie jest.*

Eli przestał się śmiać.

— *Jak to? Zgubił się?*

— *Tak. Zgubił się. — A mnie nadal z tego powodu boli serce.*

Eli milczał przez kilkanaście sekund, nabierając kolejne garści makaronu. Myślałam, że stracił zainteresowanie tematem. Obserwowałam, jak w końcu udaje mu się włożyć do ust kilka pomarańczowych kawałków makaronu. Uśmiechał się z zadowoleniem, gdy je przeżuwał, a potem głośno przełknął. Dopiero wtedy mi odpowiedział.

— *Może ja go poszukam. Może uda mi się go znaleźć. Jestem dobrym znalazcą.*

„To on mnie tu sprowadził” — twierdził Mojżesz. Może Eliemu w końcu udało się go znaleźć. Potknęłam się, gdy to pomyślałam. Przeszłam przez kuchnię i wzięłam album z blatu. Zatrzymałam się na chwilę, zastanawiając się, czy powinnam mu coś zostawić. Wiedziałam, że w albumie są duplikaty lub zdjęcia o tak podobnych ujęciach, że jedno z nich mogłabym oddać. Ale nie miałam ochoty na rozgrzebywanie swojego albumu. I nie chciałam zostawiać cennych zdjęć luzem na blacie, żeby Lisa lub Tag mogli je oglądać. Nie mogłabym tego zrobić. Wtedy wpadło mi do głowy rozwiązanie: zrobię Mojżeszowi album. Zamówię odbitki zdjęć, które się nie powtarzają, a potem opiszę je wraz z datami, żeby miał szczegóły, o które się dopominał.

Podjąwszy decyzję, zabrałam album i ruszyłam w stronę wyjścia. Po drodze musnęłam wzrokiem ścianę w salonie i się zatrzymałam. Na środku ściany, w około trzech czwartych wysokości, farba się łuszczyła. Nie był to jednak drobny pęcherzyk, bo miał wielkość mojej dłoni. Jego białe krawędzie ujawniały kryjące się pod spodem ciemne pociągnięcia pędzlem.

Podeszłam do ściany i podniosłam dłoń, żeby wygładzić to miejsce. Zastanawiałam się, jak to się stało. Przypomniało mi się, jak mama przemalowała kuchnię, gdy miałam dziesięć lat. Poprzednia warstwa farby została położona w latach siedemdziesiątych i kiedy mama pomalowała całość na jasnoniebiesko, zaczęły się robić podobne pęcherze. Podobno miało to związek z farbami rozpuszczalnikowymi i wodorozcieńczalnymi, ale jako dziecko niespecjalnie byłam tym zainteresowana. Bawiło mnie za to odrywanie ze ściany

długich pasków farby, gdy mama ubolewała nad zmarnowanym czasem. Ostatecznie trzeba było potraktować ścianę jakimś roztworem do usuwania powłok malarskich i chyba też ją przeszlifować.

Chwyciłam za jeden z brzegów. Nie potrafiłam się oprzeć i odsłoniłam kolejny fragment.

Pod spodem była twarz.

Oderwany przeze mnie fragment ukrywał oko, kawałek szczupłego nosa i połowę uśmiechniętych ust. Oderwałam nieco więcej, odsłaniając całą twarz. Pamiętałam ten obraz. Widziałam go tylko raz, w ten straszny poranek. Później już nigdy nie byłam w tym domu. Aż do wczoraj. A wczoraj ściana była idealna. Nieskalana.

To nie była Molly. Nie wiem nawet, dlaczego przyniosło mi to ulgę.

Ludzie gadali, szczególnie gdy nieopodal estakady znaleziono ciało Molly Taggert. Mówili, że Mojżesz musiał być w to zamieszany. Spekulowali, że to na pewno sprawka gangu i że sprowadził do miasteczka swoich groźnych znajomych. Ja po prostu patrzyłam w ziemię. Nie odzywałam się. I próbowałam nie wierzyć w to, co mówili. Próbowałam skupić się na kielkującym we mnie życiu i kolejnych dniach. A gdzieś z tyłu głowy zostawiłam otwarte drzwi i czekałam na jego powrót.

Wczoraj wieczorem ściana była idealna. Nieskalana. Ale teraz z morza bieli wyłaniała się twarz. Odwróciłam się od ściany, zabrałam album i wyszłam z domu.



MOJŻESZ

ZATRUDNIONA DO SPRZĄTANIA DZIEWCZYNA siedziała na schodach ganku, gdy w końcu wróciłem z Tagiem, który przyjechał za mną moją półciężarówką. Na szczęście nie została odholowana, a Taga wypuszczono z aresztu po złożeniu kilku podpisów i zapłaceniu kaucji. Dziewczyna wstała, kiedy wysiadłem z jej vana, i pośpiesznie do mnie podeszła.

— Czy mogę już jechać, panie Wright? Skończyłam.

Przytaknąłem, wyciągnąłem z portfela siedem studolarowych banknotów i włożyłem do jej drżącej dłoni. Dygnęła, chwyciła mocno tę sporą gotówkę i z wiadrem sprzętów w drugiej dłoni pobiegła do vana, jakby się paliło. Wskoczyła do środka i zapaliła silnik. Patrzyliśmy na nią z Tagiem, nieco zdziwieni jej

płochliwym zachowaniem. Opuściła szybę na kilka centymetrów i powiedziała pospiesznie i nieco chaotycznie:

— Miała na imię Sylvie. Sylvie Kendrick. Moja kuzynka. Bawiła mnie, gdy byłam mała. Mieszkała w Gunnison. Zaginęła osiem lat temu. To było dawno temu. Miałam wtedy zaledwie dziewięć lat... Ale to raczej na pewno ona.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Chciałem ją zapytać, lecz ona wrzuciła wsteczny i gwałtownie wycofała z podjazdu, jakby w końcu nie wytrzymała z nerwów.



MOJŻESZ

— BĘDZIEMY MUSIELI TO PRZESZLIFOWAĆ CZY COŚ.

Patrzyliśmy z Tagiem na twarz, która wyłoniła się z białej ściany. Twarz, której wczoraj tu nie było. Z pospiesznych słów Lisy Kendrick wnioskowałem, że mieliśmy przed sobą Sylvie Kendrick.

— Z tym domem jest coś nie tak, Mojżeszu.

— Nie z domem, Tag, tylko ze mną.

Tag spojrział na mnie i potrząsnął głową.

— Widzisz rzeczy, których inni nie widzą, i to sprawia, że jesteś problemem, Mo. Bo przez to jest mniej sekretów. A to może być niebezpieczne.

Podszedłem do ściany i przycisnąłem dłoń do twarzy, tak jak ta dziewczyna wczoraj. Dotknęła ściany, żądając bym ją zauważył.

— Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść, Mojżeszu. Przeszlifujmy to, połóżmy następną warstwę farby i spadajmy. Mam złe przeczucie — naciskał Tag.

Potrząsnąłem głową.

— Nie mogę jeszcze stąd wyjechać, Tag. — Odwróciłem się od ściany i spojrzełem na niego.

— Wczoraj chciałeś wyjechać. Byłeś spakowany i gotowy do drogi — przekonywał Tag.

— Ta dziewczyna ją znała. Lisa, którą zatrudniłem do sprzątnięcia. Zobaczyła tę twarz i ją rozpoznała. I to ją przeraziło. Powiedziała, że to jej kuzynka, która zaginęła osiem lat temu. Co to ma wspólnego ze mną? O co tu w ogóle chodzi? Jestem pewien, że zobaczyłem ją wczoraj ze względu na jej połączenie z Lisą.

Tak to działa.

— Ale namalowałeś ją znacznie wcześniej — stwierdził Tag.

— Molly też namalowałem, zanim cię poznałem — odparłem i wróciłem spojrzeniem na ścianę.

Tag czekał, aż powiem coś więcej, lecz ja milczałem. Westchnął.

— Molly, ta dziewczyna — wskazał na ścianę — i ta z ulotki. Trzy zmarłe dziewczyny w ciągu dekady nie są aż tak niezwykłym zjawiskiem. Nawet w Utah. Obaj wiemy, że to nie miało nic wspólnego z tobą. Jesteś po prostu pechowym skurwielem, który widzi zmarłych. Ale tutejsi ludzie już zdecydowali, że miałaś z tym coś wspólnego. Słyszałem, co mówili ci faceci wczoraj, i obaj widzieliśmy, jak ta Lisa zmykała, jakbyś był co najmniej Kubą Rozpruwaczem. Nie potrzebujesz takiego bagna w życiu, Mo. Nie zasłużyłeś na to i nie potrzebujesz tego — powtórzył.

— Ale potrzebuję Georgii.

No proszę. Powiedziałem to. Wiedziałem o tym od chwili, gdy pojawiła się na ganku z tym albumem przyciśniętym do piersi. Otworzyła odrobinę drzwi i wsunęła przez szparę gałązkę oliwną.

Tag wyglądałby na mniej zaskoczonego, gdybym pacnął go w twarz tą gałązką. Ja też czułem, że brakuje mi tchu, bo oddychałem ciężko.

— Wygląda na to, że patykowata postać w końcu wkopała ci do głowy trochę rozsądku. — Gwizdnął Tag. — Tyle że o siedem lat za późno.

— Nie mogę znowu uciec, Tag. Muszę to wszystko sprawdzić. Cokolwiek to znaczy. Może uporam się ze swoimi problemami. Pogodzę się z Georgią. Poznam swojego syna w jedyne sposoby, jaki mi pozostał.

Za każdym razem, gdy myślałem o Elim, czułem się jak człowiek, którego złapała ulewa. Ale woda zawsze była moim sprzymierzeńcem, więc może nadszedł czas, by nie przejmować się opadami.

— Nie mogę zostać, Mo. Chciałbym, ale mam przecucie, że jeśli za długo tu z tobą zostanę, wpakuję się w jakieś kłopoty. W tym miejscu jest coś, co źle na mnie działa.

— Rozumiem. I nie oczekuję tego od ciebie. Ja tu zostanę przez jakiś czas. Temu domowi przydałoby się coś więcej niż odrobina farby i parę nowych dywanów. Przez długi czas stał pusty. Łazienka jest wiekowa, przydałoby się remont dachu, a podwórko wygląda strasznie. Wyremontuję to wszystko, a potem dam ten dom Georgii. Wydatki macierzyńskie, cztery lata wychowywania dziecka, koszty pogrzebu, ból i cierpienie. Do licha, ten dom to przypuszczalnie i tak za mało.

— Salt Lake jest dwie godziny stąd, albo jeszcze mniej, biorąc pod uwagę to, jak jeżdżę. Zadzwonisz, jeśli będziesz mnie potrzebował, prawda?

Przytaknąłem.

— Znam cię, Mo. Nie zadzwonisz. — Tag przeczesał dłonią włosy i westchnął.

— Zadzwonię — obiecałem, ale w głębi serca wiedziałem, że Tag ma prawdopodobnie rację. Trudno mi było kogoś potrzebować.

— Chcesz mojej rady? — spytał Tag.

— Nie — odparłem, a on przewrócił oczami.

— Świetnie. Oto ona. Nie rób tego powoli, Mo. Ani łagodnie. Zrób to szybko i zdecydowanie. Georgia jest kobietą, która przywykła do trzymania wodzy w swoim ręku. Ale ty ją złamałeś, Mo. A potem ją zostawiłeś. Wiem, że miałeś swoje powody. Wiesz, że to rozumiem. Ale ona nie pozwoli się znowu złamać. Więc musisz ją wziąć. Nie czekaj, aż cię poprosi. Bo to nigdy nie nastąpi.

— Nie mówimy o koniu, Tag.

— Jasne, że nie. To jej język, Mo. Więc lepiej naucz się nim posługiwać.

XXIII

MOJŻESZ

GEORGIA WRÓCIŁA JESZCZE TEJ NOCY, pukając do drzwi z kolejną niespodzianką. Tym razem nie był to album ze zdjęciami. Staralem się nie wyglądać na rozczarowanego. Chciałem jeszcze pooglądać zdjęcia, ale gdy wróciłem po południu do domu, albumu nie było na blacie w kuchni. Nie miałem wątpliwości, że Georgia przyszła i go zabrała.

Wyciągnęła przed siebie tacę z ciastkami czekoladowymi i powiedziała szybko:

— Zabrałam album.

Przytaknąłem z ciastkami w dłoniach.

— Widziałem.

— Chciałam, żebyś wiedział, że robię dla ciebie nowy. Mam bardzo dużo zdjęć.

— To by mnie ucieszyło. Nawet bardziej niż domowe wypieki.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale mój uśmiech był chyba jakiś wymuszony. Powiedziałem jej, żeby chwilę zaczekała, a potem odstawiłem ciastka do kuchni i wróciłem do niej na schody. Żałowałem, że nie wiem, co powiedzieć, żeby została.

— Nie zrobiłam ich. Znaczą ciastek. Jestem okropną kucharką. Kiedy jedyny raz w życiu podjęłam się zrobienia ciastek czekoladowych, Eli ugryzł kawałek i wypluł. A był w stanie zjeść wszystko. Nie wierzyłam, że mogą być aż tak złe, dopóki sama nie spróbowałam. Były naprawdę paskudne. Nazwaliśmy je paskudkami zamiast ciastkami i daliśmy do zjedzenia kozom. To cud, że Eli przeżył. — Urwała nagle, a przez jej twarz przemknął impuls rozpacz.

Pragnąłem ją objąć i powiedzieć, że jest dobrze. Że wszystko będzie dobrze. Ale nie było. Bo Eli nie przeżył.

Georgia zeszła ze schodów i próbowała się pozbierać, uśmiechając się szeroko.

— Nie martw się. Te ciastka kupiłam u Sweaty Betty^[10]. Ona piecze najlepsze ciasta w całym stanie.

Nie przypominałem sobie żadnej osoby o imieniu Sweaty Betty i miałem wątpliwości, czy ktoś o takim imieniu może upiec lepsze ciastka niż paskudki Georgii. Byłem bliski podjęcia decyzji, że pozwolę Tagowi zjeść wszystkie.

— Musisz kiedyś spróbować jeszcze raz — zasugerowałem, gdy odwróciła się, żeby odejść.

Mówiłem o jej paskudkach, chociaż chodziło mi o coś innego. Możliwe, że się domyśliła, bo pomachała tylko ręką, nie zatrzymując się.

— Dobranoc, Stewy Stinker — zawołałem za nią.

— Co powiedziałeś — spytała ostro, zatrzymując się w miejscu. Nie odwróciła się jednak.

— Powiedziałem: „Dobranoc, Stewy Stinker”. Teraz ty powiedz: „Dobranoc, Buzzard Bates”.

Usłyszałem jej westchnienie, a potem odwróciła się do mnie z przyciśniętymi do ust palcami, żeby ukryć ich drżenie.

— Wciąż pokazuje mi, jak całujesz go na dobranoc. Zawsze to samo — dodałem.

— Pokazuje ci... to? — zapytała łamiącym się szeptem.

Przytaknąłem.

— To z jego książki. On... uwielbiał ją. Strasznie. Czytałam mu ją chyba z tysiąc razy. Ja też ją uwielbiałam, gdy byłam mała. *Calico the Wonder Horse*.

— Nazwał swoją klacz...

— Calico. Wzorując się na klaczy z książki — dokończyła Georgia.

Wyglądała, jakby miała zemdleć. Podszedłem do niej, wziąłem ją za rękę i delikatnie zaprowadziłem na schody. Nie oponowała ani nie odsunęła się, gdy usiadłem obok niej.

— To kim jest Stewy Stinker? — dopytałem łagodnie.

— Stewy Stinker, Buzzard Bates, Skunk Skeeter, Butch Bones, Snakeyes Pyezon... to „bad meni” z książki Eliego.

Georgia wymówiła „Pyezon” tak jak Popeye powiedziałby słowo „poison”^[11]. Uśmiechnąłem się, gdy to usłyszałem. Ona też się uśmiechnęła, lecz wspomnienie było zbyt posępne, żeby utrzymała ten uśmiech, który spłynął od razu niczym fala odpływu.

— Skoro to byli „bad meni”, czyli źli faceci, to kim byli dobrzy faceci? — spytałem, po raz kolejny próbując skłonić ją do zwierzeń.

— To nie byli źli faceci, tylko członkowie gangu Bad Men. Stewy Stinker i Bad Men^[12].

— Oczywiście nie ma w tym żadnej manipulacji.

Georgia zachichotała, a wyraz zszokowania, który utrzymywał się na jej twarzy od momentu, gdy nazwałem ją Stewy Stinkerem, nieco złagodniał.

— Nie. To proste i bez ogródek. Dokładnie wiesz, czego się spodziewać.

Zastanawiałem się, czy w jej stwierdzeniu jest jakieś ukryte znaczenie, i czekałem, aż mnie wtajemniczy.

— Zmieniłeś się, Mojżeszu — szepnęła.

— Ty też.

Wzdrygnęła się, ale potem przytaknęła.

— Ja też. Czasem tęsknię za dawną Georgią. Ale żeby ją odzyskać, musiałabym wymazać Eliego, a ja nie zamieniłabym go za dawną Georgię.

Mogłem tylko przytaknąć, bo wolałem nie myśleć o dawnej Georgii, dawnym Mojżeszu i ich ognistym przyciąganiu i odpychaniu. Wspomnienia były trwale wypalone w mojej pamięci, a powrót do Levan wzbudzał we mnie chęć wrócenia do nich. Pragnąłem całować Georgię tak, aż jej usta staną się obolałe, pragnąłem kochać się z nią w stodole i pływać z nią w zbiorniku wieżowym, a przede wszystkim pragnąłem uwolnić ją od fali żalu, która nieustannie ją zalewała.

— Georgio?

— Tak? — spytała, nie patrząc na mnie.

— Chcesz, żebym wyjechał? Powiedziałaś, że mnie nie okłamiesz. Chcesz, żebym wyjechał?

— Tak — odparła bez wahania.

Poczułem, jak to słowo wibruje w mojej piersi, i zaskoczył mnie kryjący się pod nim ból. „Tak, tak, tak” — szczydziło słowo. Przypomniało mi się, jak zbyłem ją w ten sam sposób w ostatnią noc w stodole. „Kochasz mnie, Mojżeszu?” — spytała. „Nie” — odpowiedziałem jej. Nie, nie, nie.

— Tak. Chcę, żebyś wyjechał. I nie. Nie chcę, żebyś wyjechał — wyrzuciła z siebie wraz z pospiesznym, sfrustrowanym wydechem. Nagle wstała, rozłożyła ręce, po czym splotła je obronnie na piersiach. — Jeśli mam powiedzieć prawdę, to i jedno, i drugie jest prawdą — dodała miękko.

Ja też wstałem, pohamowałem impuls, by zerwać się, uciec od niej i malować, tak jak zawsze robiłem. Tag powiedział, że będę musiał ją wziąć. Że nie mam tego robić powoli. I zamierzałem dostosować się do jego rady.

— Nie wiem, co jest teraz prawdą, Mojżeszu. Po prostu nie wiem — stwierdziła Georgia, a ja wiedziałem, że nie mogę tym razem uciec. Nie chcę.

— Znasz prawdę. Tylko jej nie akceptujesz.

Nigdy nie sądziłem, że zobaczę, jak Georgia Shepherd się czegoś boi. Ja też się bałem. Ale ja bałem się tego, że ona naprawdę chce, żebym wyjechał. A ja nie wiedziałem, czy potrafiłbym odejść. Nie po raz kolejny.

— A ty, Mojżeszu? Chcesz wyjechać? — zadała mi to samo pytanie.

Nie odpowiedziałem. Wpatrując się w jej drżące wargi i zatroskane oczy, sięgnąłem dłonią po jej spory warkocz, który opadał na prawe ramię. Był ciepły i gruby. Ścisnąłem go mocno palcami, bo potrzebowałem jakiegoś punktu zaczepienia. Cieszyłem się, że go nie ścięła. Zmieniła się, ale jej włosy pozostały takie same.

Lewą dłonią ścisnąłem warkocz, a prawą położyłem na jej biodrach i przyciągnąłem ją do siebie. I poczułem to. To samo iskrzenie, które było między nami od samego początku. To samo przyciąganie, które zasiało takie spustoszenie w naszych życiach... W jej nawet większe niż w moim. Czułem to i wiedziałem, że ona też to czuje.

Miała poszerzone nozdrza, chociaż wstrzymała oddech. Jej plecy wyginały się w łuk pod moimi palcami, a ja rozpostarłem je jak najszerzej, próbując dotknąć jak najwięcej bez poruszania dłoni. Patrzyła mi prosto w oczy zawzięcie, bez mrugnięcia. Ale nie opierała się.

Nachyliłem się więc i zamknąłem jej usta swoimi, nie pozwalając jej się odezwać i nie dając sobie czasu na myślenie. Zanim zdążyłaby uciec i zanim ja mógłbym to zobaczyć. Nie chciałem widzieć. Chciałem czuć. I słyszeć. I smakować. Lecz jej usta wypełniły mój umysł kolorem. Tak jak zawsze. Różem. Jej pocałunki były różowe. Subtelny róż zachodzącego słońca ze złocistymi pasemkami tańczył mi przed oczami. Przycisnąłem wargi do jej warg jeszcze intensywniej. Puściłem jej włosy i biodra, żeby ująć jej twarz w dłonie, żeby kolory nie odeszły i nie wyblakły. Wtedy poczułem, że usta się rozchylają, i kolory wzbogaciły się o czerwone i złote nitki, pulsujące przed moimi oczami, jakby delikatne pociągnięcia jej języka zostawiały za sobą wzniecony pożar.

Nagle wszystkie barwy prysnęły niczym przekłuty balon, gdy Georgia wyrwała mi się gwałtownie, niemal agresywnie. Bez słowa odwróciła się i uciekła wraz ze wszystkimi barwami, zostawiając mnie dyszącego ciężko w czerni nocy.

— Uważaj, Mojżeszu — powiedziałem na głos do nikogo poza swoim żalonym ja. — Za chwilę zostaniesz zrzucony.



MOJŻESZ

MIELIŚMY TYLKO JEDEN SAMOCHÓD, więc rano musiałem zawieźć Taga do Salt Lake. Nie było mnie w sumie dwa dni. W pierwszy dzień czyściłem

kalendarz na najbliższy miesiąc, a z tymi, którzy mimo wszystko chcieli się spotkać, umawiałem się w Levan. Gdyby nie to, że ludzie i tak już plotkowali, to sesje malarskie w salonie babci na pewno by ich do tego skłoniły.

Drugi dzień spędziłem na zakupach w sklepie meblowym, żeby wyposażyć dom w niezbędne minimum. Nie mogłem bez końca spać na podłodze i siedzieć przy ścianie, więc kupiłem łóżko, kanapę, stół z czterema krzesłami, pralkę i suszarkę oraz komodę. Zapłaciłem tyle, że zaoferowano mi darmową dostawę do Levan, na co ochnoczo przystałem. Poza kupieniem mebli zabrałem trochę ciuchów, akcesoriów malarskich i pustych płócien oraz obraz namalowany dla Eliego, zanim dowiedziałem się, kim jest. Zamierzałem dać go Georgii. Ona pokazała mi swoje obrazy na zdjęciach, więc ja też pokażę jej swoje, jeśli mi pozwoli.

Wyprawa do Salt Lake była owocna także pod innym względem. Eli wrócił. Pojawił się na chwilę we wstecznym lusterku, gdy odjeżdżałem spod domu Gigi. Natychmiast wcisnąłem hamulce i skręciłem kierownicę, zawracając samochód w miejscu i prowokując Taga do zadawania pytań, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Ale Eli już się nie pojawił. W końcu się poddałem i wyjechaliśmy z miasta. Miałem nadzieję, że to nie był ostatni raz, gdy go widzę. Wydawało mi się, że następnego ranka dostrzegłem go przelotnie kątem oka, jak obserwuje pakowanie obrazów do samochodu. A wieczorem pojawił się w nogach łóżka, tak jak za pierwszym razem. Jakby opuszczenie Levan wymagało jego interwencji.

Pokazał mi, jak Calico biegnie przez pola, jak Georgia czyta mu bajkę i okrywa go kołdrą — tak, jak wcześniej. Zobaczyłem jednak też nowe rzeczy. Pokazał mi rosół z tak grubym makaronem, że zupa niemal się w nim gubiła. Później zobaczyłem, jak podwija w kurzu palce u nóg, jakby lubił to uczucie. Wiedziałem, że to jego palce, bo były krótkie, dziecięce. Poza tym napisał swoje imię, starannie wodząc palcem wskazującym po czarnej ziemi. Widziałem też, jak małe rączki budują kolorową wieżę, mozolnie doczepiając na wierzchu kolejne klocki lego.

To było najdziwniejsze, te migawki i urywki z życia małego chłopca. Oglądałem je jednak z zamkniętymi oczami, pozwalając mu wlewać obrazy do mojej głowy. Przerzucałem kolejne obrazki, próbując lepiej go zrozumieć. Nie chciałem przegapić niczego ważnego, chociaż nie było rzeczy, która taką by mi się nie wydawała. Wspomnienia emanowały żywiołowością w najdrobniejszych szczegółach. W końcu zasnąłem i śniło mi się, że pomagam mu wznieść ścianę z miliona kolorowych plastikowych klocków. Ścianę, która nie pozwoliłaby mu odejść na dobre tak, jak odeszła Gi.



GEORGIA

GDY PO STRACIE ELIEGO poszłam do koni, każdy koń, z którym zaczynałam pracować, koniec końców kładł się na środku zagrody. Sackett, Lucky czy którykolwiek z pozostałych. Co do jednego. Każdy, z którym nawiązywałam interakcję, kładł się na ziemię, jakby był zbyt wycieńczony, żeby robić cokolwiek poza spaniem. Wiedziałam, że one odzwierciedlają moje uczucia. Pierwsze kilka razy sama też się po prostu położyłam. Nie potrafiłam zmienić swoich uczuć. Nie wystarczyło ich sobie uświadomić. Żal był zbyt intensywny. Lecz gdy zmuszałam się, by wstać, koń także w końcu wstawał.

Przez pierwszy rok zdarzały się dni, gdy nie potrafiłam zmusić Calico do poruszenia się. Stała w miejscu, kompletnie bez ruchu, tyłem do wiatru. Myślałam, że jest w depresji, bo tęskni za Elim. Z czasem jednak uświadomiłam sobie, że naśladowała mnie. Co prawda, przestałam leżeć bez ruchu, ale nadal stałam w miejscu. Zaczęłam więc przyjmować więcej zleceń, lepiej o siebie dbać i próbowałam podejmować kroki naprzód, choćby małe. Chociażby dlatego, żeby Calico znowu zaczęła biegać.

W ostatnich kilku miesiącach konie zaczęły się tłoczyć wkoło mnie, skubać mnie i ocierać się o mnie. Chyba odzwierciedlały moją potrzebę dotykania i bycia dotykana. Każda matka to potwierdzi, że dziecko od momentu poczęcia narusza jej przestrzeń. W kolejnych latach ta osobista przestrzeń po prostu przestaje istnieć. To była jedna z rzeczy, za którą najbardziej tęskniłam. Której pragnęłam. A potem Eli zginął i miałam tyle przestrzeni, ile chciałam. Nie odrobinę, lecz cały wszechświat. Całe galaktyki przestrzeni. Unosiłam się w niej w agonii, tęskniąc za dniami, gdy jej nie miałam.

Teraz konie gromadziły się wokół mnie i zabierały mi przestrzeń. Cieszyłam się z dotyku ich wielkich ciał i ocierających się nosów oraz z tego, jak mnie osaczały i podążały zbyt blisko mnie. Czułam się lepiej, nawet jeśli je odpychałam, żeby móc się w ogóle ruszyć. One wiedziały lepiej. Najwyraźniej moje ciało mówiło coś innego niż usta.

Pozwoliłam się pocałować Mojżeszowi. Domyślałam się, że w tamtej chwili moje ciało i usta mówiły to samo. Fakt, odepchnęłam go. Ale nie od razu. Najpierw pozwoliłam się pocałować. Otworzyłam przed nim swoje usta i oddałam mu pocałunek. I teraz konie gromadziły się wokół mnie, jakbym wysyłała jakieś nieświadome sygnały. Tłoczyły się i były niespokojne, odzwierciedlając vibracje, jakie odczuwałam pod skórą, i moją nerwową energię. Sackett unikał mojego wzroku i zwiesił głowę, jakby coś przeszkrobał. Patrząc na niego, uświadomiłam

sobie, że wstyd mi za moje zachowanie.

Pozwoliłam się pocałować Mojżeszowi. Nie miał prawa mnie całować. Spytał mnie, czy chcę, żeby wyjechał. Nie powinnam się wahać. Miałam się domagać jego wyjazdu, ale zamiast tego dopuściłam go do siebie. A on pocałował mnie, jakbym nadal była tą bezwstydną dziewczyną, która w odniesieniu do niego nie ma żadnych reguł. Teraz go nie było, a dom Kathleen stał zamknięty na cztery spusty. Zniknął dwa dni temu. Bez wyjaśnienia. Bez pożegnania. Na podstawie poprzednich doświadczeń następnych odwiedzin mogłam się spodziewać za kolejnych siedem lat. Uświadomiłam sobie, że moje usta drżą i że mam łzy w oczach, a Sackett nieoczekiwanie położył mi łeb na ramieniu.

— Do diabła, Sackett. Niech to szlag! Czas wprowadzić nowe, ostrzejsze prawa w Georgii. Od tej chwili nikt o imieniu Mojżesz nie ma prawa wstępu. Żadnych odwiedzin, żadnego przekraczania granic. Nic. Nikt o imieniu Mojżesz nie ma prawa być w Georgii.

Wczoraj w nocy siedziałam z laptopem i próbowałam znaleźć jakieś informacje na temat Mojżesza Wrighta. Nie miał konta na Facebooku i Twitterze. Ale ja też nie miałam. Mieliśmy stronę internetową hipoterapii oraz fanpage na Facebooku i konto na Twitterze, więc buszowałam po stronach społecznościowych pod tą przykrywką. Zdziwiło mnie jednak to, co znalazłam, gdy wpisałam w Google „Mojżesz Wright”. BBC zrobiło o nim program, a na YouTube było pełno filmików z jego sesji malarskich z klientami, chociaż kamera zazwyczaj pokazywała płótno, jakby Mojżesz nie chciał pokazywać swojej twarzy na ekranie. Trafiłam też na artykuł w „Timesie” o jego umiejętności „malowania w imieniu zmarłych”, a w magazynie „People” napisano o jego „nieziemskim geniuszu”.

Dotarło do mnie, że wyrobił sobie nazwisko i stał się swego rodzaju gwiazdą, chociaż sprawiał wrażenie, jakby dokładał wszelkich starań, żeby pozostać w ukryciu. Tag wspomniał kiedyś o ich podróżach po całym świecie i sądząc po ilości materiałów z najdalszych zakątków globu, było to prawdą. Znalazłam setki zdjęć jego obrazów, lecz niewiele zdjęć jego samego. Trafiłam jedynie na fotorelację z jakiejś gali w szpitalu. Stał między Tagiem i innym mężczyzną, podpisanym jako doktor Noah Andelin. Zaczęłam się znowu zastanawiać, jak doszło do tego, że Tag i Mojżesz się zaprzyjaźnili. Ich więź była głęboka i wyraźnie widoczna. Uświadomiłam sobie coś jeszcze. Czułam nie tylko wstyd, lecz także zazdrość.

— Wciąż mówisz do swoich koni.

Wzdrygnęłam się, a Sackett się odsunął, niezadowolony z prądu, który mnie przeszedł, i z tego, że odruchowo pociągnęłam go za grzywę.

W drzwiach stodoły dostrzegłam podświetlony od tyłu zarys sylwetki Mojżesza trzymającego jakiś duży obraz.

Uświadomiłam sobie, że cały czas gadałam do Sacketta, i zaczęłam gorączkowo przywoływać w pamięci to, co powiedziałam. Najprawdopodobniej wygłosiłam żenujące narzekanie na to, że Mojżesz nie ma prawa wstępu do Georgii. O Panie, modliłam się gorliwie, potrafisz sprawić, że ślepy odzyska wzrok, a głuchy zacznie słyszeć, więc nie powinno być dla ciebie problemem sprawienie, żeby ten facet zapomniał to, co właśnie zobaczył i usłyszał.

— Co Sackett myśli o tym nowym, ostrzejszym prawie w Georgii?

Spojrzałam w górę na belki dachowe.

— Hej, dzięki, że mnie wysłuchałeś, Panie.

Poluzowałam popręg utrzymujący siodło na grzbiecie Sacketta i zdjęłam je. Odłożyłam na stojak i ściągnęłam czaprak, przez cały czas nie patrząc na Mojżesza. Byłam trochę zaskoczona, że pamiętał imię konia.

Mojżesz podszedł kilka kroków. Dostrzegłam drobny uśmieszek na jego ustach. Zdecydowanie klepnęłam Sacketta w zad, sygnalizując mu, że skończyłam, a on oddalił się truchtem wyraźnie zadowolony.

— Wróciłeś — stwierdziłam. Nie miałam zamiaru zawstydząć się jeszcze bardziej, okazując gniew.

— Odwiozłem Taga. Planował trenować do następnej walki w starym stylu, jak Rocky, ale zorientował się, że w filmach wygląda to jednak nieco lepiej. A poza tym ja nie za bardzo sprawdzam się w roli Apollo Creeda.

— Tag uczy się sztuk walki?

— Tak. Mieszane sztuki walki. Jest w tym całkiem niezły.

— Uhm. — Nie miałam pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Nie wiedziałam nic na temat tego sportu. — Czy Apollo Creed nie zginął czasem w jednym z tych filmów?

— Tak. Czarny koleś zawsze ginie z rąk białego.

Przewróciłam oczami, a on błysnął uśmiechem, na który instynktownie odpowiedziałam uśmiechem, zanim przypomniałam sobie, że jestem zażenowana i rozdrażniona tym, że mnie pocałował i wyjechał z miasta. Poczułam się trochę za bardzo jak w przeszłości. Uśmiech spłynął z moich ust i odwróciłam się, zajmując się przetrzepywaniem czapraków.

— To dlaczego wróciłeś? — zapytałam, nie odwracając się do niego.

Milczał przez dłuższą chwilę, a ja przygryzałam wargi, żeby powstrzymać się przed wypełnieniem niezręcznej ciszy swoim paplaniem.

— Dom wymaga poważniejszego remontu — odparł w końcu. — A ja rozważam zmianę imienia.

Podерwałam głowę i moje zdezorientowane spojrzenie trafiło na jego uśmiezek.

— Co?

— Słyszałem, że w Georgii obowiązuje nowe prawo: nikt o imieniu Mojżesz nie ma nawet prawa odwiedzin. Myślę więc, że zmiana imienia jest konieczna.

Potrząsnęłam głową i zaśmiałam się, jednocześnie zażenowana i zadowolona z tego, co zasugerował.

— Spadaj, Apollo — odpowiedziałam i on też się zaśmiał.

— Dobry wybór. Niech będzie Apollo. Nie ma w Georgii żadnych praw dotyczących facetów o imieniu Apollo, prawda?

— Nie — przyznałam cicho, wciąż się uśmiechając.

Lubiłam tego Mojżesza. To był Mojżesz, którego wcześniej też lubiłam, który drażnił mnie, kusił, odpychał i szturchał, doprowadzając mnie do szału i jednocześnie wzbudzając we mnie miłość.

— Przyniosłem ci coś — oznajmił, odwracając płótno i wyciągając je przed siebie, żebym mogła zobaczyć.

Nie potrafiłam nic wykrztusić.

— Eli mi pomógł — dodał cicho.

Nie mogłam oderwać wzroku, mimo że jego słowa mnie odstręczały. Nie chciałam tego Mojżesza. Chciałam tamtego, który się uśmiechał i mnie drażnił. Nie chciałam Mojżesza, który mówi o zmarłych, jakby byli jego bliskimi znajomymi.

— Zacząłem go widywać po naszym spotkaniu w szpitalnej windzie. Nie wiedziałem, kim jest. Nie skojarzyłem tego do momentu, gdy spojrzałem na ten obraz z oddali i zobaczyłem ciebie jadącą na koniu i tulącą Elię do siebie. Mimo to... nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, że muszę tu wrócić i cię odnaleźć.

Urwał. Oboje wiedzieliśmy, co było dalej.

— Chcę, żebyś go wzięła — naciskał łagodnym głosem.

Nie wykonałam żadnego ruchu, więc oparł go delikatnie o przegrodę i zostawił mnie sam na sam z prezentem od mojego syna.

[10] *Sweaty Betty* to po angielsku „spocona Betty” — *przyp. tłum.*

[11] *Poison* to po angielsku „trucizna” — *przyp. tłum.*

[12] *Stewy Stinker* i *Bad Men* to po angielsku dosłownie „Stewy Drań i Żli Faceci” — *przyp. tłum.*

XXIV

GEORGIA

CODZIENNIE ZNAJDYWAŁAM KOLEJNY OBRAZ. Raz był na przednim siedzeniu mojego niezamkniętego samochodu. Innym razem oparty o półkę na ścianie stodoły. Wszystkie przedstawiały Elięgo. Eli siedzący na ogrodzeniu z tak słodkim i poważnym wyrazem twarzy, że niemal przypominałam sobie taką chwilę, jakby Mojżesz wziął zdjęcie i zrobił z niej dzieło sztuki. Tyle że on nie miał zdjęć, bo je odebrałam. Poza tym żadne z nich nawet w najmniejszym stopniu nie zbliżało się do tego, co stworzył Mojżesz. Drobiazgowo oddane loki Elięgo, gdy pochylał głowę nad zniszczoną żółtą książeczką czytana mu przed snem; głębia jego brązowych oczu, kiedy wpatrywał się w swojego konia; jego drobne stópki w ziemi i malutki palec, którym kreślił na niej swoje imię. Wirujące pociągnięcia pędzlem i żywe barwy były znakiem rozpoznawczym Mojżesza, przez co nawet ziemia wyglądała dekadentcko. Nie umiałam się zdecydować, czy uwielbiam te obrazy czy ich nienawidzę.

Jeden z nich przedstawiał mnie. Uśmiechałam się, patrząc w dół w skierowaną na mnie twarz Elięgo, i byłam piękna. Nie do poznania. To była pieta z Georgią Shepherd, w której ja grałam kochającą matkę wpatrzoną w swojego syna. Obraz znalazła moja matka, gdy wychodziła zgrabić liście. Mojżesz zostawił go na progu. Szłam dwa kroki za nią, ale ona zauważyła go pierwsza. Trzymała go przez pięć minut, wpatrując się w niego z bólem i zdumieniem, a po jej twarzy płynęły łzy. Próbowалам ją pocieszyć, ale nieznacznie potrząsnęła głową i wróciła do środka, niezdolna do wykrztuszenia jakichkolwiek słów.

Powrót Mojżesza był dla moich rodziców niewiarygodnie trudny, a ja nie wiedziałam, jak im to ułatwić. Nie miałam pojęcia, czy potrafiłabym to zrobić. I czy w ogóle powinnam. Nie wiem, czy jego twórczość coś poprawiała. Ale obrazy Mojżesza takie właśnie były: wspaniałe i straszne. Wspaniałe, gdyż wskrzeszały wspomnienia, a straszne — z tego samego powodu. Czas przytłumia wspomnienia, łagodzi ostre krawędzie śmierci, lecz obrazy Mojżesza emanowały życiem i przypominały nam o naszej stracie.

Pamiętam, jak Mojżesz mówił o twórczości i cierpieniu. Teraz rozumiałam, o co mu chodziło. Jego obrazy napełniały mnie słodkim cierpieniem, tak soczystym i czerwonym, że groziło zepsuciem, jeśli tylko odwrócę wzrok. Dlatego bez przerwy wpatrywałam się w te obrazy.

Poza obrazami zostawianymi w takich miejscach, że bym nie mogła ich nie znaleźć, Mojżesz nie zbliżał się i obserwował mnie z dystansu. Widywałam go na końcu pastwiska, jak stał przy ogrodzeniu dzielącym tylne podwórko domu

Kathleen od naszej posiadłości. Zawsze unosił dłoń, pokazując, że mnie zauważa. Nie odpowiadałam mu tym samym. Nie byliśmy przyjaznymi sąsiadami. Jednocześnie jednak byłam wdzięczna za ten gest. Zastanawiałam się nad jego bezczelnym pocałunkiem z dłonią zaciśniętą na moim warkoczu oraz nad droczeniem w stodole i utwierdzałam się w przekonaniu, że nasz dalszy kontakt jest niemożliwy, lecz on dbał o to, żebym każdego dnia go zobaczyła.

Przez większość czasu, gdy prowadziłam sesje terapeutyczne, mama lub tato towarzyszyli mi jako druga para oczu, obserwująca konia, kiedy ja zwracałam uwagę na ludzi, lub odwrotnie. Tato miał jednak zapisaną następną serię chemii, a mama wybierała się z nim. Mieli zostać w Salt Lake przez kilka dni z moją starszą siostrą i jej dziećmi. Mama nie chciała mnie zostawiać, gdy Mojżesz znowu był naszym sąsiadem. Gryzłam się w język i przypominałam sobie, że sama posłałam łóżko, w którym teraz muszę spać. Dosłownie. Zbyt długo z nimi mieszkałam. Rodzice pomagali mi po urodzeniu się Eliego i po jego śmierci. To była moja wina, że chociaż miałam dwadzieścia cztery lata, wciąż traktowali mnie jak siedemnastolatkę.

Ku mojemu zaskoczeniu to tato przekonał mamę, że skoro raz przetrwałam kontakt z Mojżeszem, to przetrwam po raz kolejny. Niespecjalnie podobała mi się jego argumentacja, ale się nie odzywałam. Tato strasznie się w sobie zamknął po tej naszej porannej rozmowie po pierwszej konfrontacji z Mojżeszem po latach. Śmierć Eliego unosiła się w powietrzu, bo zbliżała się rocznica. Wszyscy się kuliliśmy i wstrzymywaliśmy oddech, marząc o tym, by już przeszła. Tymczasem Mojżesz pojawił się w mieście akurat w tym miesiącu, co było jak omen. W dodatku nieszczerólnie dobry. Mama była roztrzęsiona, tato zatopiony w myślach, a ja kompletnie rozbita.

Te kilka dni dla siebie, kiedy nikt nie będzie nade mną stał w zagrodach, przypuszczalnie były mi potrzebne. Konie były dostrojone do mnie i nie podobał im się mój nastrój. Dobrą godzinę zajęło mi ich szcztokowanie i czyszczenie im podków oraz poprawienie własnego nastawienia i uporanie się ze swoim napięciem przed sesją z małą grupą, z którą spotykałam się co tydzień.

Moja irytacja wróciła jednak z pełną mocą, gdy zobaczyłam Mojżesza, który przywędrował w pobliże pod koniec sesji. Nie chciałam ściągać uwagi ludzi ani na niego, ani na siebie. Kiedy się zorientowałam, że nie ma zamiaru się wtrącać, dokończyłam sesję i pożegnałam grupę, która wsiadła do vana centrum terapeutycznego i odjechała. Wróciłam do zagrody, licząc na to, że Mojżesz już sobie poszedł, ale on nadal tam był, jakby na mnie czekał. Gdy mnie zobaczył, zszedł z ogrodzenia i podszedł do mnie. Miał zmarszczone brwi. Próbowałam ignorować to, że rwał mi się oddech i ręce drżały, kiedy na niego patrzałam. Wciąż działał na mnie na bardzo pierwotnym poziomie. Nie chciałam tego. Bałam się tego. I gardziłam sobą przez to.

— Wciąż pokazuje mi przypadkowe rzeczy — powiedział, potrząsając głową bez

żadnego przywitania czy krótkiej rozmowy o niczym.

To było w stylu starego Mojżesza, a ja nie miałam ochoty zadawać mu pytań. Nie chciałam wiedzieć, o czym mówi.

— Eli wciąż pokazuje mi przypadkowe rzeczy — powtórzył, a ja poczułam, że mięknę, chociaż w sercu zaczęło mnie ścisnąć. Nie mogłam się oprzeć pokusie Eliego i słuchania o nim, nawet jeśli były to bajki przekazywane przez faceta, którego naprawdę wolałabym nienawidzić.

— Na przykład? — szepnęłam, nie mogąc się powstrzymać.

— Palce w piachu, rosół z makaronem, lego, szyszki sosnowe i Calico. Zawsze Calico. — Wzruszył ramionami i wsunął ręce do kieszeni. — Co on twoim zdaniem próbuje mi przekazać?

Uśmiechnęłam się bezwiednie. To było takie dziwne uczucie. Najdziwniejsze, najwspanialsze i najbardziej przerażające uczucie. Uśmiechałam się, lecz oczy miałam pełne łez. Odwróciłam się, bo potrzebowałam chwili, żeby zdecydować, czy chcę przyjąć tę nową prawdę.

— Georgio?

Mojżesz musiał poczekać, aż wezmę kilka długich, uspokajających oddechów i odzyskam głos.

— To jego ulubione rzeczy. Pokazuje ci swoje plusy — powiedziałam łamiącym się głosem i trafiłam wzrokiem w jego oczy.

Przez sekundę jego twarz wyrażała absolutną pustkę, lecz chwilę później rozchylił nieznacznie usta, jakby w jego głowie odezwał się gong. Wyglądał na oszołomionego. I kompletnie zdumionego.

— Jego ulubione rzeczy. Pokazuje mi swoje plusy — powtórzył, jakby mówił do siebie. — Myślałem, że próbuje mi coś przekazać. Albo czegoś mnie nauczyć. — Po tych słowach zaczął się śmiać.

— Co? Co cię tak śmieszy? — Trudno było się oprzeć jego zaskakującej radości i sama też się uśmiechałam, ocierając oczy z łez.

— Oni wszyscy to właśnie próbowali mi pokazać. Nie rozumiałem tego wcześniej. Przypadkowe rzeczy. Codzienne. Doprowadzało mnie to do szału. — Potykał się o słowa, próbując mówić pomimo śmiechu. Ale to wcale nie było aż takie śmieszne. Możliwe, że to w ogóle nie było śmieszne.

Potrząsnęłam głową, wciąż uśmiechnięta pod wpływem jego rżężącego śmiechu.

— Nie rozumiem.

— Wyobrażasz sobie, ile razy malowałem najbardziej prozaiczne przedmioty? Zwykłe rzeczy, które nie miały żadnego sensu, lecz zmarli sprawiali wrażenie, jakby były dla nich ważne. Guziki i wiśnie, czerwone róże i bawełniane koszule

na sznurze do bielizny. Raz namalowałem nawet zniszczony but do biegania. — Chwycił się za głowę i powoli przestawał się śmiać, gdy uświadamiał sobie konsekwencje swojego odkrycia. — Zawsze zakładałem, że to musi mieć jakieś głębokie znaczenie, które mi się wymyka. Rodziny uwielbiały tego typu rzeczy. Ludzie przychodzili do mnie, a ja malowałem to, co pokazywali mi ich zmarli bliscy. Wychodzili zadowoleni, a ja zarabiałem pieniądze. Ale nie rozumiałem tego. Zawsze miałem wrażenie, że czegoś nie dostrzegam.

Nie uśmiechałam się już. Bolało mnie serce, lecz nie umiałam określić, czy z radości czy ze smutku.

— I *faktycznie* czegoś nie dostrzegałem, prawda? — Mojżesz potrząsnął głową. Zatoczył koło i wyglądał, jakby nie potrafił uwierzyć, że właśnie rozwiązał zagadkę, która wcale nie była aż taka trudna. — Oni pokazywali mi, czego im brakuje. Pokazywali mi swoje plusy. Tak jak Eli... Prawda, Georgio?



MOJŻESZ

BÓL BYŁ JAK PRZETACZAJĄCA SIĘ, wszechogarniająca wewnętrzna fala. Na początku nie był dotkliwy. Ot, klucie w plecach i słabość w nogach. Zignorowałem to, udając, że mam jeszcze czas. Było jeszcze wczesnie. Gdy jednak po kilku godzinach zapadł zmrok, żar z ulic znalazł sposób, by wsączyć się do mojego brzucha, a ja zdzierałem z siebie ubrania, próbując uciec przed koszmarnym bólem. Płonąłem żywcem. Uciekałem od tej fali, gdy zatrzymywała się, by nabrać energii przed nowym uderzeniem, i faktycznie na parę minut się wygaszała. Zawsze jednak mnie odnajdywała i wciągała mnie w otchłań miazdzącego cierpienia.

Gorszy od bólu był jednak dręczący strach, który czaił się na obrzeżach pogrążonego w chaosie umysłu. Modliłem się z całych sił tak, jak mnie nauczono. Modliłem się o przebaczenie i odkupienie, o siłę i szansę na nowy start. Ale przede wszystkim o schronienie. Miałem jednak przeczucie, że moje modlitwy roztapiają się w gotującym się powietrzu nad moją głową.

Bolało. Tak bardzo bolało. Musiałem jakoś uśmierzyć ten ból.

Zacząłem więc błagać o łaskę. O coś, co pomogłoby mi się oddalić i ukryć. Chociaż na chwilę. Potrzebowałem ostatniej chwili ciszy, żeby zebrać siły przed tym, co mnie czekało.

Nie było jednak żadnego schronienia i gdy mgła opadła, a gorączka zelżała,

spojrzałem w dół, w jego twarz, i dotarło do mnie, że moje szkarłatne grzechy nigdy się nie wybielą.

Przebudziłem się gwałtownie. Oddychałem ciężko, a ból ze snu wciąż ścisnął mnie w żołądku i kazał mi podkulić nogi i przycisnąć ręce do piersi.

— Co to, do diabła, było? — jęknąłem, siadając na łóżku, i otarłem pot z czoła.

Przypomniał mi się sen o Elim i Stewym Stinkerze. Sen, który nie był snem. I jak się z niego przebudziłem i zobaczyłem dziewczynę, która według Lisy Kendrick była jej kuzynką. Dziewczynę, która przeszła przez mój dom i dotknęła ściany. Dopiero potem dostrzegłem połączenie.

Teraz jednak go nie dostrzegałem. Wstałem z łóżka i chwiejnym krokiem ruszyłem do łazienki, żeby obmyć twarz i przepłukać gardło zimną wodą. Musiałem jakoś ochłodzić skórę, która była rozgrzana jak przy wszystkich epizodach tego typu.

To nie był mój ból — ten we śnie. To nie mógł być mój ból. To był ból kobiety. Dziewczyny... która miała dziecko. Jej myśli, jej cierpienie, a potem dziecko, które trzymała w dłoniach, patrząc na jego wrzeszczącą buzię. To wszystko sugerowało narodziny. Jego wrzeszczącą buzię? Chyba tak. Ona myślała o tym dziecku jako chłopcu.

Może to był Eli. Pokazał mi swoje narodziny w sposób, w jaki pokazywał mi swój rytuał przed snem. Nie pasowało mi to jednak. Oczy, w które patrzałem we śnie, nie należały do Eliego. Myśli, które miałem w głowie, też nie były myślami Eliego. Ale w przypadku Eliego wszystko było inne od moich wcześniejszych doświadczeń. Połączenie było inne. Bardziej intensywne i szczegółowe. Silniejsze. Więc może to on.

Coś mi jednak nie pasowało. Eli pokazywał mi obrazy z perspektywy odpowiedniej dla jego poziomu rozwoju. Nie miałyby takiej perspektywy jako noworodek, który dopiero co pojawił się na świecie. To była perspektywa Georgii. Patrzyłem przez jej oczy, czułem jej emocje i ból. Jej desperację. Była przepelniona strachem i rozpaczą. Nienawidziłem tego. Nie mogłem znieść, że czuła się taka samotna. Eli powinien być powodem do radości, ale we śnie nie było nawet śladu radości. Tylko strach. I ból.

Może to był po prostu sen.

To też było możliwe. Może tak bardzo chciałem zmienić historię, że moja podświadomość odtworzyła chwilę, która podsycała moje poczucie winy i żalu. Może dlatego znalazłem się w pokoju, w którym Eli przyszedł na świat. Osuszyłem kark i nie zaświecając światła, zszedłem na dół, bo musiałem napić się wody lub czegoś mocniejszego.

Zostawiłem zapalone światło w salonie. Przeszlifowałem całą ścianę, na której dziewczyna pokazała swoją twarz. Wczoraj pomalowałem ją na nowo,

zakrywając Molly, Sylvie i inne, bezimienne i w pewnym sensie pozbawione twarzy dziewczęta grubą warstwą żółtej farby. Chciałem, żeby pokój był żółty. Żadnej bieli. Byłem zmęczony bielą. Wyciągnąłem piwo z lodówki i przyłożyłem puszkę do twarzy, taksując wzrokiem radosną, maślaną ścianę, pozbawioną jakichkolwiek martwych twarzy. Na razie. Rano pomaluję też resztę ścian.

Spojrzałem na następną ścianę do pomalowania, gdy o niej pomyślałem. Był na niej pęcherz farby.

— Do licha.

Obawiałem się tego, że inne ściany też trzeba będzie szlifować. Ale minął już prawie tydzień od złuszczenia się tej pierwszej ściany. Na innych nie było nawet śladu jakichkolwiek pęcherzy czy złuszczeń. Podszedłem do nowych baniek, żeby wygładzić je dłonią, lecz farba tak po prostu zeszła, jak mokra chusteczka higieniczna.

Smutnym wzrokiem i z nieco tęsknym uśmiechem patrzyła na mnie ze ściany twarz mojej matki. Wiedziałem, kto zesłał mi ten sen. To nie były przeżycia Georgii i nie jej wspomnienia. To były przeżycia mojej matki.



MOJŻESZ

TO BYŁO STRASZNIE DZIWNE. Od przybycia do Levan malowałem jak w amoku, chociaż kontrolowałem się i unikałem opuszczonych budynków, stodół i urwisk, ograniczając się do płócien. Codziennie powstawał nowy obraz z Elim. Nie potrafiłem przestać. Niektóre zostawiałem Georgii, bo chciałem się nimi podzielić, tak jak ona podzieliła się ze mną fotografiami. Bałem się trochę, że wpadnie do mnie, rzuci mi te płótna w twarz i oskarży mnie o naigrywanie się z jej bólu. Ale tak nie zrobiła, chociaż niemal tego pragnąłem, bo wtedy miałbym pretekst, żeby z nią walczyć. I żeby ją zobaczyć.

Pocałowałem ją, lecz w kolejnych dniach zacząłem wątpić w słuszność tego ruchu. Ten pocałunek był jak żywa, pulsująca fuksja w mojej głowie. Może dlatego czułem neodpartą potrzebę malowania. Eli pojawiał się i znikał, pokazując mi te same ulotne obrazy fragmentów jego życia z Georgią. Po raz pierwszy w życiu jednak nie malowałem dla zmarłych. Ani dla Eliego. Malowałem dla siebie. Chciałem go uwiecznić. I chciałem dać Georgii coś trwałego.

Ale sen o matce mną wstrząsnął, podobnie jak ściany, których nie dało się

pomalować. Odłożyłem na jakiś czas twórczość i przez kilka dni tylko remontowałem dom. Nie chciałem, żeby matka przeniknęła do moich obrazów. Przeszlifowałem jeszcze raz cały salon i potraktowałem ściany wszystkimi środkami do odnawiania ścian, jakie znalazłem w sklepie budowlanym 4D w Nephi. Nowa warstwa żółtej farby zdawała się trzymać, więc przeszedłem do następnych projektów, żeby mieć coś do roboty. To, co się dało, robiłem sam, a do reszty prac wynajmowałem ludzi, obserwując Georgię z daleka i zastanawiając się, czy uda mi się kiedykolwiek zasypać dzielącą nas przepaść.

To, że tymczasowo rzuciłem malowanie, nie oznaczało, że Eli przestał pokazywać mi obrazy. Pojawiły się jednak nowe. Kwiaty. Chmury. Babeczki. Serca. Rysunki przyczepione do lodówki masywnymi literami z magnesami. Wciąż były to jego ukochane rzeczy, na ile byłem w stanie to stwierdzić. Obrazy były ulotne i konkretne. Grube czerwone serca, babeczki z białym puszystym lukrem i kwiaty, które chyba istniały wyłącznie w chłopięcej wyobraźni. Zwariowane i wielokolorowe, jak z ogrodu Dr. Seussa^[13]. Nie sądzę, żeby to były plusy Eliego. Tym razem chyba naprawdę chciał mi coś przekazać. Koniec końców zacząłem do niego mówić. Do chłopca, który tańczył na obrzeżach mojej wizji i nie pozostawał nigdy zbyt długo, a jego wizyty zdawały się nie mieć większego sensu. Ale i tak do niego mówiłem z nadzieją, że wynikało to z moich ograniczeń, a nie jego.

W sobotę demontowałem wannę, sedes i umywalkę w starej łazience Gigi i opowiedziałem Eliemu o moim pierwszym spotkaniu z Georgią. Byłem mały. Nie tak mały jak Eli. Ale młody. Miałem może dziewięć lub dziesięć lat, gdy ją zapamiętałem. Patrzała na mnie, tak jak wszystkie inne dzieci w kościele. Ale jej spojrzenie było inne. Sprawiała wrażenie, jakby pragnęła ze mną pogadać. Jakby chciała sprawić, żebym do niej zagadał. I uśmiechała się. Ja zachowywałem kamienną twarz, ale dobrze pamiętam jej uśmiech.

Eli odpowiedział obrazem Georgii, która roześmiana kręciła się dookoła, trzymając go za ręce, aż oboje padli na trawę i cieszyli się z tego, że świat wirował im przed oczami. Zrozumiałem to tak, że on też nie zapomniał jej uśmiechu.

Opowiedziałem mu więc o pierwszym razie, gdy Georgia ze mną rozmawiała. O tym, jak Sackett stanął dęba w stodole i przyłożył jej z kopyta. I że to była moja wina. Powiedziałem Eliemu, że wiedziałem wtedy, iż Georgia nie jest przy mnie bezpieczna.

Odpowiedź Eliego mnie zaskoczyła. Pokazał mi Georgię krzyczącą jego imię z twarzą wykrzywioną przerażeniem, gdy patrzała pod półciężarówkę. To było jego ostatnie wspomnienie twarzy matki przed opuszczeniem tego świata.

— Eli! Nie rób tak! — Wpychałem pięści do oczu i krzychałem, uderzając głową w świeżo zamontowaną umywalkę. Tłumiłem to fizycznie i psychicznie, nie

rozumiejąc, dlaczego Eli chciał, żebym to znowu zobaczył.

Natychmiast przestał, ale wciąż byłem wstrząśnięty. Przez chwilę chodziłem w miejscu, klnąc i rozcierając głowę, żeby złagodzić łomotanie i wypchnąć ten okropny obraz. Nagle przypomniały mi się moje własne słowa.

Powiedziałem mu, że Georgia nie była ze mną bezpieczna.

A Eli też nie był bezpieczny. Nawet z osobą, która bez zastanowienia oddałaby za niego życie. I Georgia by to zrobiła. Bez zastanowienia. Wiedziałem o tym. Eli chyba też to wiedział. Potarłem się po karku, patrząc na chłopca w czarno-niebieskiej piżamie, który stał tak blisko, że mógłbym go dotknąć, gdyby to było możliwe. On też na mnie patrzył, ale zachowywał swoje obrazy dla siebie, a ja uświadomiłem sobie, że być może nikt z nas nie jest bezpieczny. Nie tak prawdziwie. Nawet przy ukochanych osobach. Nawet przy osobach, które nas kochają.

— Hm, czyli babeczki... serca... kwiaty. O co chodzi, Eli?

Zobaczyłem, jak Eli trzyma w brudnych dłoniach kilka brzydkich, niemal pozbawionych płatków mleczy. Wręcza je mamie, a ona ekscytuje się nimi, jakby dostała całe naręcza róż. Potem zobaczyłem małą srebrną foremkę do pieczenia wypełnioną błotem, którą wręcza z zadowolonym chichotem. I znowu Georgia wzdycha i rozplywa się nad tym prezentem. Udaje nawet, że odgryza gigantyczny błotny kęs.

Foremka przekształca się w kolejną myśl, w której Eli rysuje serca. Koślawe i krzywe, które wyglądają bardziej jak odwrócone trójkąty z cyckami niż jak serca. Rysuje je we wszystkich kolorach na białej kartce, potem dopisuje krzywymi literami swoje imię i wręcza dzieło Georgii jako dowód swojego oddania.

Nagle obrazy się urwały, a ja znowu patrzyłem na Eliego, trzymając w dłoni klucz i pocierając tył głowy, na którym formował się potężny guz.

— A, rozumiem — skrzywiłem się, chichocząc. — Kwiaty, ciasta, serca. Udzielasz mi porady. Bardzo miłe. — Zaśmiałem się znowu. — Dałem jej kilka obrazków, ale domyślałem się, że twoim zdaniem powinienem zrobić coś więcej.

Zobaczyłem siebie obejmującego Georgię i całującego ją. Wstrzymałem oddech i obserwowałem nas, jakby ktoś nas nagrał kamerą. Wpijałem się w jej usta, a ona ścisnęła moje ramiona. Widziałem, jak moje dłonie błędzą po jej plecach i ujmują jej twarz. Nie odepchnęła mnie i przez kilka długich sekund poddawała się temu. Co więcej, aktywnie w tym uczestniczyła, przymykając oczy i przechylając głowę.

— Eli... — westchnąłem, zastanawiając się, jakim cudem mam jeszcze kiedykolwiek pocałować Georgię, skoro Eli wchłania to wszystko w najdrobniejszych szczegółach, a ja nawet nie wiem, że on przy tym był. Gdy

całowałem Georgię, bałem się, że nigdy nie wróci. Tymczasem on bez dwóch zdań nas obserwował.

Potem zobaczyłem, jak Georgia ucieka, a ja stoję oszołomiony i patrzę za nią.

— Dobra, chłopcze. Wystarczy.

Zamknąłem wody po tym małym pokazie Eliego, nieszczerólnie zadowolony z jego romantycznego wkładu. Gdy mentalne ściany się uniosły, zniknął, a ja zostałem sam w tym starym domu, mrużąc do siebie i zastanawiając się, jak wcielić w życie pomysły Eliego... tak, żeby nie podglądał.

[\[13\]](#) Dr. Seuss — pseudonim Theodora Seussa Geisela, autora poczytnych książek dla dzieci, m.in. *Kot Prot* — *przyp. tłum.*

XXV

MOJŻESZ

W LEVAN NIESPECJALNIE BYŁO CO ROBIĆ poza jazdą konną. Albo jazdą na quadzie. Albo oglądaniem pięknych widoków. Albo spotykaniem przyjaciół. Ponieważ nie robiłem żadnej z tych rzeczy, przez większość czasu obserwowałem Georgię. Czasem patrzyłem z okna na górze z nadzieją, że mnie nie dostrzeże. Czasem ze starego tarasu Gi, gdy go szlifowałem, żeby mieć wytłumaczenie tego, że podglądam jej codzienną pracę z końmi i ludźmi, zazwyczaj w dużej okrągłej zagrodzie. Sprawiała wrażenie, jakby przejęła obowiązki rodziców i robiła to, czym oni się wcześniej zajmowali. Pasowało to do niej.

Miała opaloną skórę i włosy jeszcze jaśniejsze od słońca. Jej ciało było długie i szczupłe. Silne ramiona, nogi i dłonie o szczupłych palcach i pewnym chwycie za lejce. Wszystko w niej było długie: włosy, nogi, nawet cierpliwość wydawała się nie mieć końca. Nie zdarzało jej się stracić opanowania lub skupienia w trakcie pracy z końmi. Popychała je, poszturchiwała, nakłaniała i osłabiała ich opór. Mój też, od nowa. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Nie była dziewczyną, która powinna mi się podobać. Nie była w moim typie. Wmawiałem to sobie, gdy przyjechałem do Levan niemal siedem lat temu i zobaczyłem ją w pełni rozwiniętą, śmiejącą się, ujeżdżającą konie i kuszącą mnie tak długo, aż się do niej zbliżyłem. Skupiła się tamtego lata na mnie, jakbym był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęła. I ta jej intensywność ostatecznie mnie rozbroiła.

Nasz syn miał w sobie tę samą cichą intensywność. Często siadał w pobliżu na ogrodzeniu, jakby duch zapamiętał pozycję ciała, chociaż nie było to konieczne, bo nie miał fizycznej postaci. Obserwował matkę i trenowane przez nią konie, a ja zastanawiałem się, czy często w ten sposób ją odwiedzał. Może relacja między zwierzęciem i kobietą oraz kobietą i dzieckiem splatały się ze sobą w tej cichej zagrodzie i tworzyły oazę spokoju i ukojenia poskramiającą wszystkie istoty, które się w niej znalazły.

Dziwnie było patrzeć na kobietę i jej dziecko ze świadomością, że ona nie ma pojęcia, iż ono jest obok, obserwuje ją i unosi się nad nią jak osobisty duch opiekuńczy. Odkładałem narzędzia i podchodziłem bliżej, żeby obserwować jej pracę, bo pragnąłem być bliżej niej, bliżej nich, nawet jeśli ona wolała, żebym trzymał się z daleka.

Wdrapałem się na ogrodzenie niedaleko Eliego, ale on zdawał się mnie nie zauważać, jakby utknął między dwoma światami. Georgia jednak mnie zauważyła i trochę się spięła, jakby rozważała ucieczkę, a potem wyprostowała

plecy, z czego wywnioskowałem, że mówi sobie, iż to jej cholerna posiadłość i Mojżesz może sobie iść do diabła. Widziałem to po jej uniesionym podbródku i szarpnięciu liną, którą trzymała w dłoniach. Uśmiechnąłem się. Na szczęście nie kazała mi iść do diabła. Nie kazała mi nawet iść.

Więc siedziałem wpatrzony w kobietę i czarowanego przez nią konia. Po chwili jednak wspomnienia Eliego stały się tak głośne, że nie miałem innej możliwości, jak ich wysłuchać.

— *Jak mówią konie, mamó?*

— *One nie mówią, kotku.*

— *To skąd wiesz, czego on chce?*

— *On chce tego samego co ty. Chce się bawić. Chce miłości. Chce jeść, spać i biegać.*

— *I nie chce robić swoich obowiązków?*

— *Tak. Nie chce robić swoich obowiązków.*

Zobaczyłem jej twarz, jakbym patrzył na nią w dół z grzbietu konia, a ona uśmiechnęła się do mnie radośnie i słodko, trzymając mnie za nogę. Nie mnie. Eliego. Eli pokazywał mi wspomnienie. Najwyraźniej jechał na koniu prowadzonym przez Georgię. Światło było identyczne — zachodzące słońce zabarwiało zachodnie wzgórze i zagrodę miękką złotą poświatą i układało na ziemi plamy długich cieni.

Otrząsnąłem się, próbując oddzielić scenę z głowy od rzeczywistości przed oczami, ale Eli jeszcze nie skończył.

— *Czy Calico mnie kocha?*

— *Oczywiście!* — *odparła Georgia ze śmiechem, lecz Eli był absolutnie poważny.*

— *Ja też ją kocham. Ale jak mam jej to powiedzieć, jeśli ona nie mówi?*

— *Pokaż jej.*

— *Jak? Zrobić rękami wielkie serce?* — *Eli ułożył swe drobne dłonie w kształt, który trochę przypominał rozgniecione serce. Zachwiał się w siodle i Georgia łagodnie go upomniała.*

— *Trzymaj się, synku. Nie sądzę, żeby Calico zrozumiała, gdybyś pokazał jej serce. Pokaż jej miłość swoim traktowaniem. Opiekuj się nią. Spędzaj z nią czas.*

— *Powinienem ją dużo głaskać?*

— *Jak najbardziej.*

— *Powinienem przynosić jej jabłka? Marchewki też lubi.*

— *Nie za dużo. Nie chcesz przecież, żeby zachorowała z miłości.*

— Mojżesz!

Georgia stała pode mną, ściskając mnie za nogi, jakby utrzymywała mnie na ogrodzeniu, bo chwiałem się tak jak Eli, gdy podniósł ręce, by zrobić serce. Chwyciłem się najbliższego słupka i zsunąłem się do zagrody, muskając przy tym Georgię ciałem. Oboje podskoczyliśmy, ale żadne z nas się nie cofnęło. Koń, z którym pracowała — Cuss — przetruchtał na drugi koniec zagrody i zostaliśmy sami. Sami z zachodem słońca, końmi i wspomnieniami Eliego.

— Nie rób tak, do cholery! Myślałam, że spadniesz!

Jej twarz była tak blisko, że dostrzegałem złote plamki w jej brązowych oczach i nieznaczną zmarszczkę między brwiami, świadczącą o jej zatroskaniu. Gapiłem się zbyt długo i wyraz zatroskania zmienił się w dezorientację.

— Mojżesz? — odezwała się niepewnie.

Oderwałem wzrok od jej twarzy i zobaczyłem Eliego. Wciąż siedział na ogrodzeniu, a jego loki falowały na lekkim wietrze, jakby wiatr go rozpoznawał i witał z powrotem w domu.

— On tu jest, Georgio. A gdy on jest w pobliżu, w pewnym sensie się w nim zatracam.

Georgia odskoczyła, jakbym wyczarował węża i jej go podał. Lecz jej oczy skanowały okolicę, jakby nie potrafiła się powstrzymać.

— Dzięki, że nie pozwoliłaś mi upaść — dodałem cicho.

Byłem zdezorientowany i wciąż kręciło mi się w głowie od przebywania jednocześnie w dwóch miejscach. Wspomnienia Eliego kompletnie mnie wciągnęły i powrót do terażniejszości był dla mnie szokiem. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Takich okien do jego życia, tak absorbujących, lecz jednocześnie pozostawiających niedosyt. Pragnąłem być w jego głowie przez cały dzień. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy konie i dziewczyny mówią tym samym językiem miłości, i uświadomiłem sobie, że Eli próbował pomóc mi z Georgią, pokazując sposób na jej oczarowanie.

— On wciąż tu jest? — Pytanie Georgii wyrwało mnie z zamyślenia.

Nie musiała mówić, kim jest „on”, lecz zaskoczyło mnie jej pytanie. Nie wiem, kiedy zaczęła mi wierzyć, ale nie zamierzałem z tym dyskutować. Spojrzałem w miejsce, gdzie siedział Eli, i odkryłem, że zniknął. Przypuszczalnie jak każdy czterolatek krótko interesował się jednym zjawiskiem i dlatego pojawiał się nagle i zniknął bez ostrzeżenia. Potrząsnąłem głową.

— Nie.

Georgia wyglądała niemal na zawiedzioną. Patrzyła poza mnie i poza zagrodę, w

stronę wzgórz na zachód od Levan. A potem kompletnie mnie zaskoczyła.

— Chciałabym mieć twój dar. Chociaż na jeden dzień — szepnęła. — Ty go widzisz, a ja już nigdy go nie zobaczę.

— Dar? — wykrztusiłem. — Nigdy nie uważałem tego za dar — zaprotestowałem. — Nawet przez moment.

Georgia przytaknęła. Wiedziałem, że też nie uważała tego za dar. Do teraz. W ogóle nie wiedziała, co o tym myśleć. Strzegłem swoich sekretów i pozwalałem jej wierzyć, że jestem stuknięty. Wręcz obłąkany. To, że zaczynała mi wierzyć, przynajmniej w pewnym stopniu, budziło we mnie jednocześnie zawroty głowy i nudności. Ale teraz musiałem być wobec niej szczery. Na tyle, na ile mogłem.

— Po raz pierwszy w życiu jestem wdzięczny za to, że potrafię sprawiać, że wody się rozstępują. Tak Gi to nazywała. Jestem wdzięczny, bo tylko tyle będę miał. Tylko tak mogę poznać Elię. Ty miałaś cztery lata, Georgio, a ja mam tylko to. — Nie powiedziałem tego z wyrzutem. Nie miałem w sobie gniewu. Ale ona nie była jedyną osobą, która cierpiała, a czasem świadomość, że nie cierpisz samotnie, przynosi ulgę. Smutne, ale prawdziwe.

Georgia przygryzła wargę i wzdrygnęła się. Wiedziałem, że niełatwo było jej tego słuchać.

— Pamiętasz tę dziewczynę, którą namalowałem pod estakadą?

— Tak — przytaknęła. — Molly Taggert. Była o kilka lat starsza ode mnie. Znaleźli ją, wiesz? Jakiś czas po twoim wyjeździe. Ktoś ją zabił.

Ja też przytaknąłem.

— Wiem. Była siostrą Taga.

Georgia zrobiła wielkie oczy i nagle zeszywniała, jakby musiała to wszystko sobie poukładać. Ale ja nie chciałem rozmawiać o Molly. Nie teraz. I potrzebowałem uwagi Georgii. Podniosłem dłoń i skierowałem jej podbródek w swoją stronę, żeby mieć pewność, że słucha.

— I wiesz co? Już jej nie widuję. Pojawiła się... i odeszła. Tak to zawsze wygląda. Nikt nie zostaje zbyt długo. I pewnego dnia Eli też odejdzie.

Georgia znowu się wzdrygnęła, a jej oczy wypełniły się łzami, które heroicznie próbowała powstrzymać. Staliśmy tak bez słowa i mocowaliśmy się z emocjami, które kotłowały się w nas od momentu, gdy nasze spojrzenia spotkały się w tej zatłoczonej windzie niemal miesiąc temu. Georgia uległa pierwsza, a jej głos drżał, kiedy odwdzięczała się szczerością za szczerość.

— Codziennie płaczę. Wyobrażasz sobie? Każdego dnia. Wcześniej w ogóle nie płakałam, a teraz nie ma dnia, żebym nie zalała się łzami. Czasem zamykam się w komórce, żeby nie było widać, że znowu się posypałam. Kiedyś nadejdzie taki dzień, że nie będę płakać, i jakaś część mnie uważa to za najgorszy dzień ze

wszystkich. Bo to będzie oznaczało, że on naprawdę zaczyna odchodzić.

— Ja też nigdy nie płakałem.

Czekała.

— Tak naprawdę to był mój pierwszy raz.

— Pierwszy raz?

— Wtedy, na polu. To był pierwszy raz, gdy płakałem... Absolutnie pierwszy, odkąd pamiętam.

Zamykałem wówczas wody, żeby to zatrzymać, żeby ukryć obraz przerażonej twarzy Georgii wykrzykującej imię Eliego, lecz po raz pierwszy wody wypłynęły z moich oczu.

Georgia westchnęła, a ja odwróciłem wzrok od jej niedowierzającego wyrazu twarzy i poczułem, jak wody kotłują się we mnie i znowu zaczynają wzbierać. Co się ze mną stało?

— Myślisz, że łzy utrzymują go w pobliżu? — szepnąłem.

— Łzy oznaczają, że o nim myślę — odparła szeptem, wciąż tak blisko mnie, że mógłbym się nachylić i ją pocałować, nie ruszając się z miejsca.

— Ale na pewno nie wszystkie twoje wspomnienia są smutne. On nie ma żadnych smutnych wspomnień. I myśli wyłącznie o tobie.

— O mnie?

— No dobrze, o tobie i Calico. I o Stewym Stinkerze.

Zaśmiała się, przełykając wzbierające wzruszenie. Nagle zrobiła krok w tył. Czułem, że chce się zdystansować.

— Więc zrób to, co zawsze. Gdy zaczniesz płakać, zrób to, co zawsze. — W moim głosie czaiła się nutka rozpacz.

— Co? — spytała Georgia.

— Podaj pięć plusów, Georgio.

Skrzywiła się.

— Niech cię licho, Mojżeszu.

— Myślałem o tym od chwili, gdy mi uświadomiłaś, że Eli pokazuje mi swoje ulubione rzeczy. Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ile razy w ciągu ostatnich siedmiu lat łapałem się na robieniu listy dobrych rzeczy. Wszystko przez ciebie.

— Byłam naprawdę upierdliwa, co? — Znowu się śmiała, lecz w tej krótkiej erupcji nie było prawdziwej radości. — Doprowadzałam cię do wściekłości. Kręciłam się wokół ciebie, jakbym wszystko rozgryzła. Tak naprawdę byłam

zielona, a ty dobrze o tym wiedziałaś. Ale i tak mnie lubiłaś.

— Kto powiedział, że cię lubiłem?

Zachichotała, przypominając sobie rozmowę przy ogrodzeniu sprzed wielu, wielu dni.

— Twoje oczy zdradzały, że mnie lubisz — odpowiedziała otwarcie, tak jak kiedyś. A potem nerwowo wepchnęła luźny kosmyk włosów za ucho, jakby nie potrafiła uwierzyć, że ze mną flirtuje.

— No dawaj. Pięć plusów.

— Dobrze. Hm. Do licha, dawno tego nie robiłam.

Milczała przez chwilę. Widziałem, że naprawdę musi szukać. Potarła dłońmi o spodnie, jakby próbowała zetrzeć dyskomfort wypisany na całej jej twarzy i ciele.

— Mydło.

— Dobrze. — Próbowałem się nie uśmiechnąć. To było takie nietypowe. — Mydło. Co jeszcze?

— Mountain Dew... z lodem i słomką.

— Żałosne — zakpiłem łagodnie, próbując zmusić ją do uśmiechu. I rzeczywiście, uśmiechnęła się. To było tylko nieznaczne uniesienie kącików ust, ale przynajmniej przestała pocierać spodnie.

— Skarpety. Buty kowbojskie bez skarpet byłyby do niczego — obwieściła nieco pewniej.

— Nie znam się na tym, ale w porządku. Rozumiem — zgodziłem się, przytakując.

— To pięć — stwierdziła.

— Lód i słomka się nie liczą. One są częścią Mountain Dew. No dawaj. Jeszcze dwa.

Nie dyskutowała z dyskwalifikacją dwóch z jej pięciu plusów i zamilkła na dłuższą chwilę. Zastanawiałem się, czy czasem nie znudziła się jej ta zabawa. Nagle jednak wzięła głęboki wdech, spojrzała na dłonie i szepnęła:

— Przebaczenie.

Poczułem w gardle bolesne palenie, które było jednocześnie zupełnie obce i dziwnie znajome.

— Twoje? Czy moje? — spytałem, bo musiałem wiedzieć. Wstrzymałem oddech, żeby okiełznać emocje, i patrzyłem, jak wpycha dłonie do kieszeni i zdaje się zbierać na odwagę.

— Oba — odparła. Wzięła głęboki wdech i spojrzała mi w oczy. — Przebaczysz mi, Mojżeszu?

Może szukała przebaczenia tego, co zrobiła Eliemu, bo jeszcze sama sobie nie wybaczyła. Ale ja nie obwiniałem jej za Elięgo, ja ją kochałem za to, że dała mi życie, i chciałem jej powiedzieć, że nie mam jej czego wybaczać. To jednak także nie byłoby prawdą, bo miałem inne rzeczy do wybaczenia. Począwszy od moich narodzin, nikt nigdy mnie nie chciał. Ale Georgia mnie chciała. I właśnie to, że mnie chciała, chociaż nikt inny mnie nie chciał, wzbudziło moją podejrzliwość. I nieufność. Którą zawsze wykorzystywałem przeciwko niej.

— Przebaczam ci, Georgio. A ty mi przebaczysz?

Georgia przytaknęła, zanim skończyłem pytanie.

— Już ci przebaczyłam. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale przez ostatnie kilka tygodni miałam sporo czasu na przemyślenia. Sądzę, że przebaczyłam ci w chwili, gdy zobaczyłam Elięgo. W dniu jego narodzin. Był dziełem sztuki. Małym arcydziełem. Stworzonym przez ciebie. Przez nas. Jak mogłabym cię nie kochać chociażby odrobinę, gdy go zobaczyłam?

Nie ufałem swojej zdolności mówienia, więc przytaknąłem tylko, przyjmując jej przebaczenie. Uśmiechnęła się. Byłem zbyt emocjonalnie otwarty, żeby odpowiedzieć tym samym. Bałem się, że rozchylenie ust, nawet nieznaczne, otworzy wszystkie moje dawne pęknięcia. Musnąłem więc jej policzek, delikatnie, z wdzięcznością, a potem opuściłem dłoń.

— To daje pięć plusów, Mojżeszu — dodała. — Twoje przebaczenie. I moje.



MOJŻESZ

NIE DOPUŚCIŁEM DO TEGO, ŻEBY TO PRZEBACZENIE się zmarnowało. Kupiłem kwiaty. Zamówiłem jedzenie i kupiłem babeczki. I malowałem obrazy. Nie serca, obrazy. Serca chyba byłyby za mało subtelne. Nieobecność rodziców ułatwiała sprawę i przez trzy dni z rzędu pojawiałem się przed jej drzwiami. Za każdym razem mnie wpuszczała. Nie zostawałem tak długo, jak chciałem. Nie całowałem się z nią. Ale mnie wpuszczała. Tylko o to mogłem ją prosić.

Zgodziła się na mural wewnątrz dobudowanej do stodoły krytej ujeżdżalni. W zimie odbywały się w niej wszystkie sesje terapeutyczne i zajęcia, dlatego chciałem skończyć, zanim pogoda się zmieni. Mural był podobny do tego w jej sypialni. Georgia mówiła, że w jej pracy chodzi o transformację, a opowieść o

ślepcu uwalniającym się za pomocą konia doskonale to symbolizuje.

Raz, gdy pochylony mieszałem farbę, Georgia zakradła się od tyłu i wymierzyła mi klapsa. Zatoczyłem się i chlapnąłem sobie farbą na but.

— Czy ty właśnie klepnęłaś mnie w tyłek? — Rozcierałem pośladek, dogłębnie urażony i dość mocno zaskoczony.

— Przeszkadzał mi w przejściu. Poza tym dość trudno na niego nie patrzeć.

— Tak? Dlaczego? — mój pełen niedowierzania głos brzmiał piskliwie w bardzo niemęski sposób.

Eli obserwował nas z boku, kuląc głowę w ramionach i zasłaniając usta, jakby się śmiał. Żałowałem, że go nie słyszę. Chciałem oddać Georgii i też ją klepnąć, ale pomyślałem, że może cała ta zabawa jest zbyt niestosowna dla mojego syna. Na tę myśl serce w mojej piersi zatrzymało się na chwilę.

— To bardzo piękny tyłek. Dlatego — powiedziała, chociaż sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie ją to cieszyło. Ale to wyznanie było w jej stylu, w stylu nieco dzikiej, boleśnie szczerzej i pełnej życia Georgii.

— Doprawdy?

— Nie udawaj zaskoczonego. Uwielbiam na ciebie patrzeć. Nigdy nie mogłam ci się oprzeć. Byłeś dla mnie jak crack.

— Twoje własne dziecko cracku? — spytałem, szczerząc się z radości, że nie mogła mi się oprzeć i że to przyznała.

Nagle zobaczyłem, jak Georgia łaskocze Elię, który wyje ze śmiechu i próbuje się jej wyrwać. Udaje mu się uwolnić i Georgia zaczyna uciekać, lecz on natychmiast przechodzi do ataku, skupiając się na jej okrągłych pośladkach. Georgia piszczy równie głośno, gdy czuje na sobie jego malutkie, szczypiące dłonie.

— *Przestań, ty mały smrodzie! Mam gilgotki na pośladkach!*

Eli obejmuje ją w pasie i zatapia zęby w jej lewym pośladku, który znajduje się idealnie na wysokości jego twarzy. Georgia krzyczy i ze śmiechem pada na łóżko, wciągając go ze sobą za ramiona, po czym mocno przytula. Jego twarz jest rumiana od śmiechu, a loki unoszą się od naelektryzowania. Oboje chichoczą i łaskoczą się, starając się zdobyć przewagę nad drugą stroną. Georgia przez chwilę próbuje zachować powagę i mówi surowym głosem:

— *Nie możesz gryźć mnie w pośladek, Eli, to niestosowne.*

Niemal natychmiast jednak oboje zaczynają się z powrotem śmiać.

— *Mojżesz? Znowu to robisz* — powiedziała Georgia łagodnie.

Spojrzałem na nią z uśmiechem pozostawionym na mojej twarzy przez

wspomnienie Eliego.

— Oddalasz się. Znowu śnisz na jawie.

— Myślałem o twoim tyłku — odparłem zgodnie z prawdą. Podszedłem do niej, ignorując małego aniołka, który truchtał obok mnie.

Zaśmiała się na głos, a ja złapałem ją jedną ręką w pasie, a drugą zacząłem łaskotać na całego.

Pomysły Eliego były najlepsze.

Przewróciliśmy się na słomę spiętrzoną przy ścianie dzielącej stodołę od ujeżdżalni. Georgia z piskiem podjęła walkę, próbując też mnie połaskotać. Ale ja prawie w ogóle nie miałem łaskotek, więc bez trudu doprowadziłem do tego, że brakowało jej tchu i błagała mnie bym przestał, wykrzykując moje imię. To były najpiękniejsze dźwięki świata, a ich słuchanie wzbudzało we mnie coś zupełnie innego niż śmiech.

— Proszę, przestań! — wykrzyknęła, chwytając mnie kurczowo za dłonie.

Oboje mieliśmy słomę we włosach, byliśmy zarumienieni i rozwichrzeni i generalnie wyglądaliśmy, jakbyśmy właśnie skończyli robić coś zupełnie innego niż łaskotanie. Wtedy w stodole pojawił się jej ojciec.

O cholera.

Wyraz jego twarzy kazał mi opuścić dłonie i odsunąć się od Georgii. Całe jego ciało emanowało niezaprzeczną furią. Miałem kłopoty. Nawet Eli uciekł ze strachu, jak zwykle — w jednej chwili był, chwilę później zniknął, a łącząca nas ciepła więź niespodziewanie wystygła. Georgia stała plecami do ojca i gdy ją puściłem, zachwiała się i chwyciła się mnie. Delikatnie ją odsunąłem i poczekałem, aż jej ojciec podejdzie bez słowa ostrzeżenia.

Nawet nie podniosłem rąk. Mogłem to zrobić. Bez trudu uchylilibym się przed niezdarnym ciosem wymierzonym w moją szczękę, ale przyjąłem go. Bo na niego zasłużyłem.

— Tato! — Georgia stanęła między nami. — Tato! Przestań!

Zignorował ją i patrzył mi w oczy z ciężkim oddechem i zaciśniętymi ustami, wskazując mnie drżącą dłonią.

— Nie znowu, Mojżeszu. Dopuszciliśmy cię do nas. A ty splądrowałeś dom. I co gorsza, były ofiary. To się już nie powtórzy.

Potem spojrzał na Georgię, a jego rozczarowany wzrok był znacznie gorszy niż skierowany na mnie gniew.

— Jesteś kobietą, Georgio. Nie dzieckiem. Nie możesz się już tak zachowywać.

Na moich oczach uszło z niej powietrze.

— Może mnie pan bić, ile pan chce, panie Shepherd. Spodziewałem się tego. Ale proszę nie mówić tak do Georgii. Albo skopię panu tyłek.

— Mojżesz! — Oczy Georgii rozbłysły i z powrotem się wyprostowała. Dobrze. Może być na mnie wściekła. Wściekłość jest lepsza niż pognębienie.

— Myślisz, że możesz tu przyjść i znowu wywinąć się od morderstwa? Myślisz, że po prostu się z tego wywiniesz? — spytał ochrypłym z gniewu głosem Martin Shepherd.

— Nikt z nas nie jest taki jak kiedyś, panie Shepherd. Ja też byłem jedną z ofiar. I nie wywijam się od niczego. Ani Georgia, ani ja nie wywinęliśmy się od niczego. Zapłaciliśmy za to. Tak jak pan. I wciąż za to płacimy.

Odwrócił się z odrazą, ale dostrzegłem, że drżą mu usta, i zrobiło mi się go szkoda. Gdybym był nim, też bym siebie nie lubił. Ale będzie lepiej, gdy to wszystko wyrzucimy.

— Panie Shepherd — zwróciłem się do niego cicho.

Nie zatrzymał się. Pomyślałem o tym, co dała mi Georgia. O pięciu plusach. O przebaczeniu. I podałem je dalej.

— Przepraszam, panie Shepherd. Szczerze. I mam nadzieję, że pewnego dnia mi pan wybaczy.

Ojciec Georgii potknął się z wrażenia i zatrzymał się. To słowo miało w sobie coś potężnego.

— Mam nadzieję, że mi pan przebaczy. Bo to się dzieje. Między mną a Georgią. To się dzieje.

XXVI

GEORGIA

CAŁE POPOŁUDNIE prowadziłam w małej ujeżdżalni zajęcia hipoterapeutyczne z grupą dzieci z problemami behawioralnymi, którą przywieziono z Provo, położonego około godziny na północ od Levan. Grupa była mniejsza niż zazwyczaj i składała się wyłącznie z dzieci, które już u mnie były. Gdy skończyłam, słońce chyliło się ku zachodowi, a Mojżesz kończył mural. Wczoraj rano poszłam za ojcem po tej niezręcznej scysji. Chciałam się upewnić, czy wszystko z nim w porządku, i musiałam odzyskać oddech.

„To się dzieje. Między mną a Georgią. To się dzieje” — powiedział, a moje serce zrobiło widowiskowe salto i z hukiem wylądowało w moim skręconym żołądku.

To się dzieje. Uwierzyłam mu. Lecz nieoczekiwanie trochę mnie to przestraszyło, więc wyszłam ze stodoły za moim biednym tatą, żeby pomóc mu uporać się z tym, że jego córka bawi się w łaskotki i że Mojżesz znowu pojawił się w jej życiu. Ale to było wczoraj, a teraz byliśmy tu sami, w ciszy, pod dachem ujeżdżalni. Mojżesz malował długą ścianę dzielącą ujeżdżalnię od stajni, a ja skończyłam zajęcia i nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Jesteś w tym dobra, wiesz? Słyszałem co nieco i jestem pod wrażeniem — stwierdził swobodnie.

Patrzyłam na niego z dezorientacją, bo nie wiedziałam do końca, o czym mówi. Mój umysł zawiesił się na łaskotaniu i pełnej emocji rozmowie z ojcem.

— Terapia. Dzieci. To wszystko. Jesteś niezła — wyjaśnił z łagodnym uśmiechem.

Poczułam się mile połączona i odwróciłam twarz, żeby to ukryć. Byłam zbyt łatwa. Zbyt nachalna. Nie lubiłam tego w sobie. Ale Mojżesz sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego i zadawał mi pytania o różne rzeczy, więc chwilę później opowiadałam mu swobodnie o sesji, rozsiodlując i szczotkując konie.

— Konie odzwierciedlają energię osób uczestniczących w sesji. Zwróciłeś uwagę na to, jaki Joseph był przygnębiony? I cichy? Widziałeś, jak Sackett wetknął łeb, niemal kładąc go na jego ramieniu? Lori z kolei była bardzo agresywna. Pchnęła Lucky'ego, a on natychmiast odpowiedział tym samym. Niezbyt mocno. Ale potem stał w jej przestrzeni. Zauważyłeś to? Wiem, że to wszystko jest subiektywne, ale konfrontacja z ponadpięciusetkilogramowym zwierzęciem, przemieszczanie go, prowadzenie i ujeżdżanie ma wiele zalet. W niewiarygodnym stopniu umacnia ludzi, którzy zrzekli się kontroli nad swoim życiem na rzecz narkotyków, alkoholu, seksu, choroby czy depresji. A dzieci... Daje im siłę w kontaktach z tymi, którzy mają nad nimi władzę i którzy

kontrolują ich życie. Często pracujemy z autystycznymi dziećmi, które odblokowują się przy koniach. Konie zdają się uwalniać wszystko, co ktoś dusi w sobie. Nawet ruch, delikatne kołysanie, buduje więź z człowiekiem na elementarnym poziomie. Ten sam ruch odczuwamy w trakcie chodu. Mamy wrażenie, jakbyśmy stali się jednością z czymś tak potężnym i dużym, że przez chwilę czerpiemy siłę z tego poczucia wyższości.

— Myślałem, że miałaś zostać weterynarzem. Nie taki był plan? — spytał Mojżesz, cicho oczyszczając pędzle, gdy ja kończyłam obrabiać konie.

— Dorastałam, obserwując, jak rodzice pracują ze zwierzętami i ludźmi. A po śmierci Kathleen i twoim odejściu nie chciałam już być gwiazdą rodeo. Bycie weterynarzem też przestało mnie kręcić. Chciałam się dowiedzieć, jak cię odblokować, bo widziałam na własne oczy bardzo wiele osób, z którymi udało się to zrobić.

— Odblokować mnie? — Mojżesz wyglądał na zszokowanego.

— Uhm. — Spojrzałam mu szczerze w oczy, ale nie wytrzymałam. Szczerść była trudna. I niewiarygodnie intymna. — I tak zrobiłam. Zrobiłam licencjat z psychologii. A potem magistra. — Wzruszyłam ramionami. — Może któregoś dnia będziesz musiał do mnie mówić „doktor Georgio”. Ale szczerze powiedziawszy, nie interesuje mnie wypisywanie recept. Wolę szkolić konie i pomagać ludziom. Nie wiem, jak przetrwałabym ostatnie dwa lata bez pracy.

Milczał przez chwilę, a ja nie miałam odwagi na niego spojrzeć.

— Czy konie naprawdę są takie bystre? — spytał.

Cieszyłam się, że zmienił temat, bo niespecjalnie chciałam mówić o sobie.

— „Bystre” to chyba niezbyt trafne słowo, chociaż nie można odmówić im inteligencji. Ale one są niewiarygodnie uważne. Naśladują i reagują. A my tylko musimy je obserwować, żeby dowiedzieć się czegoś o sobie. Z tego względu konie to potężne narzędzia. Potrafią przebiec prawie kilometr, gdy zaślepi je strach. Bez żadnego innego powodu. One nie myślą, kiedy biegną. Po prostu reagują. Psy i koty to drapieżniki, tak samo jak my, ludzie. A konie są ofiarami, nie drapieżnikami. Z tego względu bazują na instynktach, na emocjach, na strachu. Są bardzo wyczułone na dominujące emocje, niezależnie od ich pochodzenia. I na tej podstawie reagują.

Mojżesz przytaknął, jakby przekonało go to, co powiedziałam. Podeszedł do mnie, lecz konie w ogóle nie zareagowały. Był spokojny. One też były spokojne.

— Podejdz bliżej — zachęciłam go, bo nagle zapragnęłam mu to pokazać.

— Georgio, pamiętasz, co było ostatnim razem — zaprotestował łagodnym głosem.

— Chwyć mnie za rękę.

Wyciągnął dłoń i splótł palce z moimi, dłoń przy dłoni, a ja zrobiłam krok w stronę koni.

— Boisz się, Mojżeszu? — Przypomniał mi się ten pierwszy raz, gdy sprowokowałam go, żeby pogłaskał Sacketta. Ale teraz go nie prowokowałam. W żadnym calu. Chciałam tylko wiedzieć, jak się czuje.

— Nie. Ale nie chcę, żeby one się bały. — Spojrzał na mnie. — Nie chcę, żebyś ty się bała.

— Nie boję się — odpowiedziałam natychmiast. Usłyszałam za sobą rzenie Lucky'ego i prychnięcie Sacketta, jakby wątpiły w prawdziwość mojej odpowiedzi.

— Boisz się — stwierdził.

— Boję się — przyznałam z westchnieniem. — To dla mnie ważne, więc trochę się denerwuję.

Gdy tylko się do tego przyznałam, strach mnie opuścił. Sięgnęłam po jego drugą dłoń i stanęliśmy twarzami do siebie, trzymając się za ręce.

— Staniemy sobie o tutaj i będziesz po prostu trzymał mnie za ręce — powiedziałam.

Mojżesz opuścił podbródek na klatkę piersiową i wziął głęboki wdech.

— Co? — spytałam łagodnie.

— Czuję się jak dziecko. Nie chcę czuć się przy tobie jak dziecko.

— Wcale cię tak nie postrzegam.

Trudno o prawdziwsze wyznanie. Jego dłonie pochłaniały moje, a nasz kontakt był oszałamiający, niemal do tego stopnia, że chciałam zamknąć oczy, żeby pomieszczenie przestało wirować.

— No dobrze. To nie chcę, żebyś postrzegała mnie jako kogoś, kogo trzeba naprawić.

Potrząsnęłam głową, ale poczułam wzbierający żal, który kłuł mnie w pierś i palił w oczy. Cieszyłam się z półmroku panującego w ujeżdżalni. Słońce niemal już zaszło, a łagodne światło nakrapiało ściany złocistymi kwadratami, lecz w środku, gdzie staliśmy, było ciemno. Czulałam za sobą konie, które czekały, cierpliwie jak zawsze. Ich ciche sapnięcia i prychnięcia były dla mnie ukojeniem.

— Nigdy nie chciałam cię naprawić. W żadnym momencie. Nie w sposób, jaki masz na myśli.

— To w jaki?

— Wtedy chciałam po prostu, żebyś potrafił mnie pokochać.

— Mimo tych pęknięć i wszystkiego?

— Nie mów tak — zaprotestowałam. Poczułam ukłucie, takie jak zawsze, gdy myślałam o początku jego życia.

— Taka jest prawda, Georgio. Musisz przestać ignorować to, jaki jestem, tak jak ja przestałam — mówił tak niskim i cichym głosem, że obserwowałam jego usta, żeby nie uronić ani słowa.

Znowu poczułam za sobą konie. Zaczęły się przemieszczać i nagle coś szturchnęło mnie w plecy. A potem znowu, nieco mocniej.

— Calico chce, żebyś podeszła bliżej — wyszeptał Mojżesz, więc tak zrobiłam.

Calico szturchnęła mnie jeszcze raz, aż stanęłam zaledwie kilka centymetrów od Mojżesza. Wtedy Calico wystawiła łeb przez moje ramię i sapnęła, zdmuchując kosmyk włosów z mojej twarzy. Mojżesz patrzył z szeroko otwartymi oczami, ale oddychał spokojnie i nadal trzymał mnie za rękę. Calico obeszła nas i stanęła bokiem do pleców Mojżesza, zwieszając głowę i przymykając oczy. Mojżesz ją czuł, bo drżały mu dłonie, ale jej nie widział. Przełknął ślinę i przeniósł wzrok na Sacketta, który kręcił się nieopodal. Nagle poczułam za swoimi plecami Sacketta, który przyciskał się do mnie bokiem, oferując mi wsparcie. Konie stały łeb w łeb i zad przy zadzie, jakby chciały wspólnie chronić się przed insektami. Tyle że my byliśmy w środku, osłonięci ich masywnymi ciałami i spowici w ciemnościach szybko zapadającego zmroku.

— Mogę cię o coś zapytać? — szepnęłam. Serce łomotało mi tak mocno, że zastanawiałam się, czy Mojżesz czuje wibracje przenoszące się przez dłonie.

— Jasne — odparł równie cicho.

— Czy ty kiedykolwiek mnie kochałeś? — Może to nie było fair, skoro byliśmy otoczeni dwoma półtonowymi wykrywaczami prawdy, ale nie mogłam już cofnąć tych słów. — Ja cię kochałam. Wiem głęboko w środku, że w to nie wierzysz. Nie wierzysz, że mogłabym cię pokochać. Ale ja cię kochałam.

— Georgio.

Moje imię było jak jęk na jego ustach. Poczułam spływające po twarzy łzy, które spieszyły w dół po policzkach, żeby uwolnić się od ciśnienia w mojej głowie. Wtedy Mojżesz objął mnie i przyciągnął mocno do siebie, jakby czerpał siłę od stojącego za nim konia rasy paint.

— Dlaczego nie trzymałaś się ode mnie z daleka? — wykrztusił. — Tyle razy kazałem ci się odczepić. Ale ty nie słuchałaś. Nie pozwoliłaś mi żyć po swojemu. A ja cię skrzywdziłem. To ja doprowadziłem do tej sytuacji. Zdajesz sobie sprawę, że zawsze traciłem każdą osobę, którą obdarzyłem miłością? Co do jednej. I gdy zacząłem już mieć nadzieję i myśleć, że być może z tobą będzie inaczej, umarła Gi, co dowodziło płonności moich złudzeń. Dlatego nie mogłem cię do siebie dopuścić. Ja wylądowałem w szpitalu psychiatrycznym, Georgio! W

psychiatryku. Na trzy miesiące. Nie chciałem cię tym obciążać. Wcale nie próbowałem cię skrzywdzić, tylko uratować. Nie wróciłem, bo próbowałem cię uratować... przed sobą! Nie rozumiesz tego?

Potrząsnęłam gwałtownie głową i schowałam twarz w jego piersi, pozwalając, by miękka bawełna jego koszulki osuszała moje łzy. Nie rozumiałam tego wtedy. Myślałam, że mnie odtrącił, odepchnął, tak jak zawsze robił. Nie rozumiałam tego wtedy, lecz teraz to do mnie dotarło. Świadomość spłynęła po wszystkich moich potłuczonych fragmentach duszy i spoiła je na nowo. Jego słowa były dla mnie ukojeniem. Objęłam go także i przycisnęłam się do niego, porzucając opór. Jego ciało było twarde, solidne, stabilne i przyjemne, a ja powierzyłam mu się tak, jak jeszcze nigdy, bo wierzyłam, że nie pozwoli mi upaść. Konie się poruszyły i poczułam wzdrygnięcie Sacketta, jakby przyjmował do wiadomości moją ulgę. Calico delikatnie zarżała i musnęła Mojżesza nosem w ramię, a ja uświadomiłam sobie, że nie jestem jedyną osobą, która drży.

— Będziesz malować. Będziesz odchodzić i nie oglądać się za siebie. Nie będziesz kochać — powiedział Mojżesz w moje włosy. — Takie miałem prawa. I gdy tylko się uwolniłem ze szkoły i systemu, zniknąłem. Chciałem tylko malować i uciekać. Malować i uciekać. Bo tylko wtedy życie było możliwe do zniesienia. Ale pojawiłaś się ty. Ty i Gi. I zacząłem się zastanawiać nad złamaniem niektórych praw.

Serce łomotało mi w piersi, gdy Mojżesz wyrzucał to z siebie z trudem. Zaciskałam mocno usta, żeby narastający w moim gardle szloch nie wyrwał się w złym momencie i nie stłumił słów, które desperacko pragnęłam usłyszeć.

— Koniec końców, Georgio, zламаłem tylko jedno: kochałem — wyznał prosto, wyraźnie i jednoznacznie.

Kochał.

Po tych słowach Calico odsunęła się i przetruchtała na bok, do ostatnich promieni słońca wlewających się przez odległe wrota prowadzące do zagrody. Sackett poszedł za nią, niespiesznie pociągając nosem przy ziemi. Zostawiły nas samych, ciasno objętych, jakby ich rola już się skończyła.

— Kim jesteś, Mojżeszu? Zmieniłeś się. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę w stanie znowu cię pokochać. — Po mojej twarzy płynęły łzy, ale ich nie ocierałam. — Nie wiedziałeś, jak kochać. A ja nie wiem, co mam z tym zrobić, Mojżeszu.

— Wiedziałem, jak kochać. Kochałem cię wtedy. Po prostu nie wiedziałem, jak ci to pokazać.

— To co się zmieniło? — spytałam.

— Eli. Eli się pojawił. I pokazuje mi, jak kochać — odparł cicho.

Nie podniósł głowy z moich włosów, za co byłam wdzięczna. Potrzebowałam

chwili, żeby znaleźć odpowiedź. Wiedziałam, że gdybym spojrzała na niego z litością, strachem czy niedowierzaniem, skruszyłoby się wszystko, co udało nam się zbudować. Zrozumiałam, że jeśli chcę go kochać, tak naprawdę kochać, a nie tylko go pragnąć lub potrzebować, to muszę zaakceptować to, kim jest.

Dlatego przycisnęłam usta do jego szyi i szepnęłam:

— Dziękuję ci, Eli.

Mojżesz gwałtownie wciągnął powietrze i przytulił mnie mocniej.

— Kochałem cię wtedy, Georgio. I nadal cię kocham.

Czułam dudnienie tych słów w jego gardle, a gdy skończył, pocałowałam go, żeby poczuć ich smak. Nic jeszcze tak rozkosznie mi nie smakowało. Mojżesz podniósł mnie, a ja owinęłam się wokół niego nogami i rękami, dawna Georgia i nowa Georgia. Chwycił mnie jedną dłonią za biodra, a drugą objął w pasie i zaczął całować tak, jakby mógł to robić całą wieczność i jakby nie było żadnego miejsca na świecie, w którym wolałby teraz być. Gdy w końcu oderwał się od moich ust i zsunął się wargami na moją szyję, usłyszałam jego szept:

— Oczy Georgii, włosy Georgii, usta Georgii, miłość Georgii. I jej długie, długie nogi.

XXVII

GEORGIA

BIEGAŁAM WIECZORAMI, ŻEBY WYRZUCIĆ z siebie nadmiar energii. Nie chciałam się zatrzymywać na pogawędki, nie chciałam, żeby ludzie gapili się na moje podskakujące piersi lub rzucali złośliwe komentarze na temat farmerskiej opalenizny. Od codziennego przebywania na słońcu miałam brązową twarz i ramiona, lecz pracowałam w dżinsach, więc nogi nawet nie zbliżały się do tego odcienia. Być może wszystkie małe miasteczka są takie same, ale w Levan ludzie zauważali najdrobniejsze rzeczy, a potem komentowali je, plotkowali na ich temat z innymi. Dlatego unikałam miasta i gdy nie mogłam zasnąć, biegałam po polach, niedaleko zbiornika wieżowego i starego młyna. A tamtej nocy nie umiałam zasnąć.

Po powrocie rodziców i pod wpływem szybko zmieniającej się relacji z Mojżeszem czułam się niespokojna i nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. Chciałam być z Mojżeszem. Po prostu. I byłam niemal pewna, że on też tego chce. Podobnie jednak jak latem siedem lat temu pędziliśmy razem z prędkością światła, w ciągu paru dni przechodząc od przebaczenia do wieczności. Nie mogłam tak robić. Tato miał rację. Byłam kobietą. I matką. Nie mogłam się już tak zachowywać. Dlatego pożegnałam się z Mojżeszem i wróciłam wcześniej do domu jak grzeczna dziewczynka. Ale wcale nie czułam się z tym dobrze. To był zdecydowanie najwyższy czas, żeby wyprowadzić się z domu rodziców.

Biegłam forsownie i szybko, a małe latarki, które trzymałam w dłoniach, rzucały na przemian pasma światła, gdy poruszałam rękami w stabilnym rytmie. Rodzice nie lubili, gdy biegałam sama, ale byłam już za stara, żeby pytać o pozwolenie na trening, a jedynym zagrożeniem na polach były skunksy, wyjące w oddali kojoty i sporadycznie grzechotniki. Raz musiałam jednego przeskoczyć. Był martwy. Domyśliłam się tego jednak dopiero następnej nocy, kiedy zobaczyłam go drugi raz w tym samym miejscu. Skunksy nie były zabójcze, a kojoty się mnie bały, więc poza węzami nie było zasadniczo powodów do obaw.

Księżyc był tak duży, że nie potrzebowałam latarek. Gdy zbliżałam się do starego młyna i rozpoczynałam trzecią milę z pięciomilowej pętli, łagodny biały blask podświetlał to stare miejsce, a ja spojrzałam na nie w zupełnie nowy sposób. Młyn w ogóle się nie zmienił. Ciekawe po co Jeremia Anderson wynajął Mojżesza do uporządkowania go i rozebrania starych przepierzeń i ścianek działowych, skoro nic z tym potem nie zrobił. Okna wciąż były zabite deskami, lecz zielska było mniej. Nie wyglądało, jakby rosło przez siedem lat, więc to miejsce nie było zapomniane i ktoś go doglądał.

Za każdym razem, kiedy przebiegałam obok, przypominała mi się desperacja, jaką czułam siedem lat temu w noc przed Świętem Dziękczynienia, gdy czekałam na zewnątrz na Mojżesza, lecz w końcu stchórzyłam i zostawiłam mu kartkę. Zawsze jednak biegłam dalej, ignorując poczucie straty i dawną tęsknotę. Ale teraz, kiedy Mojżesz wrócił i na horyzoncie pojawiła się nowa nadzieja, nie minęłam młyna jak zwykle, lecz zatrzymałam się na chwilę, żeby złapać oddech. Od momentu, gdy kilka tygodni temu zobaczyłam twarz wyzierającą spod łuszczącej się farby w domu Kathleen, wciąż myślałam o ścianach starego młyna i obrazach Mojżesza. Coś nie dawało mi spokoju. Nie wiedziałam, czy nadal tam są te przejawy geniuszu ukryte w ciemnym, zakurzonym budynku zabitym deskami, żeby nikt ich nie zobaczył. Kiedyś ktoś będzie chciał je zobaczyć. Dla mnie to kiedyś wypadało właśnie dziś. Ruszyłam przez stary parking w stronę tylnych drzwi, z których Mojżesz zawsze korzystał. Na pewno będą zamknięte na cztery spusty.

Faktycznie były zamknięte. Tak jak wtedy, w tamtą noc. Sięgnęłam nad futrynę i znalazłam klucz w tym samym miejscu, w którym Mojżesz zostawiał go codziennie po zakończeniu pracy. Wymacałam go z niedowierzaniem, a potem wsunęłam w zasuwę nad klamką i przekręciłam. Nie wierzyłam, że drzwi naprawdę się otworzą, lecz one uchyliły się z jękiem starych zawiasów. Bez wahania weszłam do środka. Nie wiem, dlaczego nie mogłam dać sobie z tym spokoju, ale nie mogłam. I tak oto stanęłam z latarkami we wnętrzu, w którym było coś, co chciałam zobaczyć.

Za tylnymi drzwiami mieściło się kilka małych biur, a potem większy pokój, który przypuszczalnie służył jako coś w rodzaju jadalni. Było tu znacznie ciemniej bez rozświetlającego wszystko blasku księżycy, więc wyciągałam latarki przed siebie niczym bliźniacze świetlne szable, gotowa przywitać nimi wszystko, na co mogłam tu natrafić. Im głębiej wchodziłam, tym więcej było zmienione. Wnętrze było przebudowane. Mojżesz rozebrał wszystkie mniejsze przepierzenia w magazynie. Zatrzymałam się i omiotłam światłem wszystkie ściany, próbując rozeznaczyć się w przestrzeni. Murale znajdowały się na tylnej ścianie, w najdalszym zakątku od głównych drzwi, jakby Mojżesz starał się być dyskretny.

Ta myśl wzbudziła mój lekki chichot. Mojżesz na pewno nie był dyskretny. Jego sześciomiesięczny okres pracy w Levan można porównać do nieustannego pokazu fajerwerków — feeria barw, wybuchy, od czasu do czasu mały pożar i mnóstwo dymu.

Przechesywałam wszystko starannie długimi pociągnięciami światła, tam i z powrotem, żeby niczego nie przegapić. Prawa latarka musnęła coś skulonego przy przeciwległej ścianie. Podskoczyłam i wypuściłam ją, a gdy próbowałam po nią sięgnąć, przez przypadek kopnęłam ją w stronę spowitej w mrok postaci. Latarka przetoczyła się po łuku — cięższy koniec zakreślił większy okrąg wokół lżejszej rączki. Kiedy się zatrzymała, strumień światła wydobywał z ciemności

tylko betonową podłogę i nogi.

Wrzasnęłam i wymierzyłam drugą latarkę w tamtą stronę, przeczesując ścianę, żeby zobaczyć, z czym mam do czynienia. Albo z kim. Światło musnęło twarz i wrzasnęłam jeszcze raz, bezwiednie poruszając latarką w górę. Trafiłam na kolejną pochyloną głowę i skierowany w górę podbródek. Strach przerodził się w oszałamiającą ulgę, gdy okazało się, że twarze się nie poruszają. Uświadomiłam sobie, że znalazłam mural Mojżesza pełen tańczących form i posplatanych ciał. Miał około trzech metrów na sześć. Zatrzymałam się i podniosłam latarkę. Dobrze, że moja niezdarność nie pozbawiła mnie obu źródeł światła.

Osobliwy był ten obraz. I znacznie bardziej spójny niż rozmazane, emanujące grozą wizje ze ścian Kathleen Wright. Groza emanowała z ruchów pędzla, a nie z namalowanych postaci, jeśli takie stwierdzenie w ogóle ma sens. Musiał być przerażony, co uwidoczniło się w każdym pociągnięciu. Ten mural był inny. Zachwycający, pełen niezwykłości i piękna, złożony z drobnych fragmentów i kawałków splatających się ze sobą w bezsensownym przedstawieniu. To *było* bezsensowne. Przywodziło na myśl naszą rozmowę o ulubionych rzeczach i najlepszych wspomnieniach. Zastanawiałam się, czy czasem nie patrzę na pięć plusów pomnożonych przez tuzin osób, które także zostały przedstawione na ścianie. Kierowałam światło na każdy fragment, próbując powiązać go z kolejnym, i zastanawiałam się, czy moje wrażenie świeżości wynika z tego, że jest ciemno i nie da się oświetlić wszystkiego naraz. Niektóre fragmenty rozpoznawałam. Ale część musiała być domalowana później. Widziałam ten mural w październiku, a Mojżesz wyjechał pod koniec listopada. I w tym czasie jego dzieło się rozrosło.

Nagle trafiłam na jej twarz. Twarz, która uczepiła się moich myśli i nie dawała mi spokoju przez ostatnie dwa tygodnie.

Skierowałam obie latarki nad nią, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Patrzała na mnie z wyrzutem, a światło rozpływało się wokół jej głowy niczym aureola świętego. Poczułam się trochę nieswojo i dość mocno zszokowana, gdy uświadomiłam sobie, że naprawdę ją znam. To była ta sama twarz, którą zobaczyłam na świeżo pomalowanej ścianie, kiedy przyszłam do Mojżesza po album. Może tutaj była pokazana z innego kąta lub miała nieco inny wyraz, ale o ile na ścianie Kathleen Wright wydawała mi się znajoma, to tutaj ją rozpoznawałam. Znałam ją. Kiedyś.

Skrzypienie starych zawiasów rozniosło się echem po opustoszałej przestrzeni i przez kilka sekund nie umiałam zlokalizować źródła dźwięku. Uświadomiłam sobie jednak, że ktoś otworzył tylne drzwi, przez które przeszłam zaledwie kilka minut temu. Zostawiłam klucz w zamku.



MOJŻESZ

KOŚCIÓŁ W LEVAN został zbudowany w 1904 roku. Był to stary, zimny budynek z jasnej cegły, z wysoką iglicą i szerokimi dębowymi wrotami. Odnowiono go nieco w ostatnich latach. Przydałoby mu się trochę witraży, ale i tak go lubiłem. Przypominał mi o wakacjach z Gi i kojarzył się z dźwiękami organów, które rozlewały się po całym zgromadzeniu, gdy wybiegałem przez podwójne drzwi w stronę domu w pragnieniu ruchu i desperackiej potrzebie pozbycia się krawata i błyszczących niedzielnych butów.

Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Byłem niespokojny. Cały dzień nie widziałem się z Georgią i nie kontaktowaliśmy się ze sobą, nie licząc krótkiej wiadomości z moimi pięcioma plusami, na którą odpisała uśmiechem.

Miałem klienta, który przyjechał specjalnie do Levan na sesję, i przez cały dzień malowałem kobietę, która zasnęła przy biurku z okularami do czytania w dłoni obok sterty porozkładanych książek. Opierała swoją śliczną twarz na policzku, miała nieznacznie rozchylone usta, a włosy opadały jej na policzek. Mężczyzna, który mnie zatrudnił, powiedział, że często tak zasypiała wśród swoich książek, odchodząc w krainę snu, zanim dotarła do łóżka. Jego żona zmarła nagle w zeszłą wiosnę i był samotny. Bogaty i samotny. Najlepszy typ klienta, chociaż po naszej rozmowie zrobiło mi się go szczerze szkoda i nie byłem tak szorstki i brutalnie szczery jak zwykle, gdy przekazywałem to, co zobaczyłem.

— Nie dostrzegałem znaków. Miałem przed oczami wszystkie sygnały alarmowe... ale nie chciałem ich widzieć — wyznał.

Kobieta zmarła na zawał serca, a on był przekonany, że mógł temu zapobiec, gdyby nie był tak opieszły.

Wyszedł bez swojego obrazu, bo takie były zasady. Musiałem jeszcze dopieścić parę szczegółów. Wyślę mu go za kilka dni, jak wyschnie. Ale wyszedł zadowolony. Wręcz usatysfakcjonowany. Ja jednak nie byłem ani zadowolony, ani usatysfakcjonowany, więc wyruszyłem na spacer, na który nie miałem ochoty, licząc na pozbycie się nadmiaru buzującej pod skórą energii. Chciałem przejść obok domu Georgii i zobaczyć, czy gdzieś się nie kręci. Wysłałem jej SMS, ale nie odpisała. I tak zawędrowałem w okolice kościoła. Suche liście krążyły wokół moich stóp jak batalion myszy, a potem uciekały na ulicę porwane wiatrem.

Mój klient mówił coś o nadchodzącej śnieżycy. Noc nie wydawała się jednak zbyt zimna, a poza tym mieliśmy październik. Ale w Utah tak już było: jednego dnia śnieżycy, drugiego upał. Okoliczne domy były już udekorowane na Halloween.

Duchy wirowały na wietrze, tłuste dynie stały na gankach, nietoperze i pająki wspinały się po oknach i zwisały z drzew. Gdy niespodziewanie rozbrzmiały organy, było to tak odpowiednie do tej atmosfery, że aż podskoczyłem, a potem zakląłem pod nosem, uświadomiwszy sobie, co słyszę.

W kościele paliły się światła, a niedaleko drzwi do kaplicy stał ciemny pick-up. Zatrzymałem się, żeby posłuchać, i po kilku taktach wiedziałem, kto gra. Wszedłem po szerokich stopniach i pociągnąłem wielkie dębowe drzwi z nadzieją, że będą otwarte i że będę mógł się wśliznąć do ławki i posłuchać przez chwilę gry Josie. Drzwi otwarły się szeroko z dobrze naoliwionym westchnieniem, a ja wkroczyłem do tylnego przedsionka. Od razu zauważyłem blondynkę przy organach i słuchającego jej gry mężczyznę w ostatnim rzędzie najbliższej ławki. Grała coś tak pięknego, że włosy zjeżyły mi się na rękach i poczułem ciarki na kręgosłupie.

Rozpoznałem w nim mężczyznę z cmentarza, męża Josie. Usiadłem na końcu jego ławki. On siedział dokładnie pośrodku, ze stopą na kolanie, podparty rękami po bokach, utkwivszy wzrok w żonie. Gdy usiadłem, odwrócił się do mnie i skinął głową w ledwie zauważalny sposób, a ja stwierdziłem, że go lubię. Też nie chciałem gadać, tylko słuchać.

Muzyka była tak piękna i czarowna, że żałowałem, iż nie ma tu Elięgo. Chciałem móc na niego patrzeć, gdy tego słucha, lecz on przez cały dzień trzymał się z dala. Tęskniłem za nim, a muzyka jeszcze bardziej pogłębiała to uczucie. Kiedy Josie skończyła utwór, podniosła wzrok i na chwilę osłoniła dłonią oczy przed światłem. Oświetlone było tylko podium i reszta kaplicy tonęła w mroku, lecz ona zawołała swoim słonecznym głosem:

— Mojżesz? Czy to ty? Witaj! Samuelu, to jest Mojżesz Wright, artysta, o którym ci opowiadałam. Mojżeszu, mój mąż, Samuel Yates. Nie bój się, Mojżeszu, Samuel nie gryzie.

Samuel nachylił się do mnie z wyciągniętą prawą ręką, a ja wstałem i podszedłem, żeby ją uścisnąć. Potem usiadłem z powrotem w pewnej odległości, a Josie zaczęła grać następny utwór, zostawiając nam towarzyską pogawędkę, do której najwyraźniej żaden z nas nie miał predyspozycji. Samuel jednak mnie intrygował. Może przez to, że sprawiał wrażenie człowieka absolutnie pewnego siebie i zakochanego w swojej żonie, a przy tym kompletnie nie pasował do tego miasteczka, z którym obaj byliśmy jakoś związani. Ucieszyłem się, gdy się odezwał.

— Przyszedłeś malować? — spytał po prostu.

W jego głosie pobrzmiwało coś egzotycznego. Intonacja lub rytm, który wzbudzał we mnie skojarzenie z mową Nawahów. Chociaż może chodziło po prostu o jego postawę. Zdecydowanie miał jakąś wyraźną wibrację. Wyobrażałem sobie, że jest cholernie onieśmielający, ale w sumie ludzie to samo

mówili o mnie.

— Nie, tylko posłuchać.

— To dobrze. Podobają mi się te ściany takie, jakie są. — To było delikatnie humorystyczne, więc się uśmiechnąłem.

— Czy ona często to robi? — Wskazałem głową w stronę organów.

— Nie. Nie mieszkamy tu. Mój dziadek zmarł kilka tygodni temu. Przyjechaliśmy tu na jego pogrzeb i żeby pomóc babci Nettie z paroma sprawami. Jutro wracamy do San Diego. Josie robi to dla mnie. Zakochałem się w niej w tym budynku. Siedząc dokładnie tu, w tej ławce.

Zaskoczyła mnie jego szczerość.

— Ja też się tu w niej zakochałem — odpowiedziałem cicho, a jego oczy natychmiast odnalazły moje. Potrząsnąłem głową. — Byłem wtedy dziesięcioletkiem. Bez obaw. Dzięki jej muzyce kościół stał się nieco łatwiejszy do zniesienia. A ja miałem na oku inną blondynkę. Już wtedy.

— Georgia Shepherd jest doskonałą ujeżdżaczką koni — stwierdził. Czyli Josie opowiadała mu także o Georgii.

— W istocie.

— Mój dziadek był zatwardziałym konserwatystą. Rodeo, praca na ranczo, miejsce kobiety jest w kuchni i tak dalej. Ale nawet on musiał przyznać, że Georgia jest inna. Georgia jeździ konno jak moja indiańska babka. Bez strachu. Pięknie. Jak muzyka. — Skinął w stronę Josie, mając na myśli muzykę, którą wydobywała za pomocą klawiszy. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i słuchaliśmy.

— Przykro mi z powodu twojego synka — powiedział prostym, przyciszonym głosem. Więcej nie byłbym w stanie znieść i zacząłbym płakać. Zamiast tego jednak spojrzałem mu w oczy i przytaknąłem.

— Dziękuję.

Proste kondolencje Samuela były jednocześnie przytłaczające i miłe. Eli był moim synem. Straciłem go. Strata była świeża. Niedawna. Dla mnie on nie zmarł dwa lata temu. Dla mnie zmarł trzy tygodnie temu. Dla mnie zmarł na tym polu za domem Georgii, gdy opowiedziała mi o tamtym straszliwym dniu i gdy zobaczyłem, jak do tego doszło. A ten człowiek w jakiś sposób to potwierdził, chociaż sam nie wiedziałem, że tego potrzebuję.

— Wróciłeś, żeby wszystko naprostować. — To było stwierdzenie, a nie pytanie.

— Tak.

— Wróciłeś odzyskać to, co twoje.

— Tak — zgodziłem się po raz kolejny przyciszonym głosem.

— Ja musiałem zrobić to samo. Niemal straciłem swoją szansę z Josie. Niemal ją straciłem. Myślałem, że mam czas. Nie popełnij tego błędu, Mojżeszu.

Przytaknąłem, nie znając ich historii, chociaż chciałem ją poznać. Słuchałem muzyki jeszcze przez chwilę. W końcu wstałem, bo nie umiałem już usiedzieć, mimo piękna muzyki i doborowego towarzystwa. Musiałem się zobaczyć z Georgią. Wyciągnąłem dłoń do Samuela, a on także wstał i solennie ją uścisnął. Był równie wysoki jak ja, więc patrzeliśmy sobie w oczy, kiedy wypowiadałem swoje kondolencje.

— Przykro mi z powodu twojego dziadka. Na pewno będziesz za nim tęsknił. Ale on ma się teraz dobrze. Wiesz o tym, prawda?

Samuel przechylił głowę i spojrzał na mnie uważnie. Żałowałem, że powiedziałem te ostatnie zdania. Ale czułem obecność jego dziadka jak ciepły koc i chciałem podziękować Samuelowi w jedyny znany mi sposób.

— Tak. Wierzę w to. Cieszymy się, że już nie cierpi. Wiedzieliśmy, że to się zbliża, i mogliśmy się przygotować.

Serce zaczęło mi łomotać i nagle spocily mi się dłonie. Poczułem, jak niepokój z całego dnia zalewa moje ręce i nogi, a w głowie dźwięczały mi słowa Samuela i mojego klienta: *Niemal ją straciłem. Myślałem, że mam czas. Wiedzieliśmy, że to się zbliża. Miałem przed oczami wszystkie sygnały alarmowe... ale nie chciałem ich widzieć.*

Wyparowałem z kościoła i zbiegłem po schodach, nie przejmując się tym, że teraz Samuel i Josie Yates na pewno uznają, że plotki o tym, iż jestem stuknięty, są zgodne z prawdą. Pędziłem przez łąkę do domu, próbując nie zastanawiać się nad tym, co tak naprawdę oznaczały te wszystkie znaki.

Myślałem, że Eli pojawił się z mojego powodu. Myślałem, że chciał, żebym wrócił do Georgii. Ale wróciłem, a on nie zniknął. Wciąż unosił się w pobliżu. Wciąż unosił się w pobliżu Georgii. Jak mój pradziadek w pobliżu Gi na kilka dni przed jej śmiercią. Jak zmarli w pobliżu dzieci na dziecięcym oddziale onkologicznym. Właśnie tak.

A co, jeśli Eli przyszedł po Georgię?

Do tego jeszcze ta dziewczyna. Blondynka. Wszystkie blondynki. Wszystkie martwe blondynki. Georgia była blondynką. Nawet moja matka, moja matka próbowała mnie ostrzec. Wszystkie sygnały... miałem je przed oczami, ale nie chciałem ich widzieć. Powinienem był się domyślić! To było moje życie i zawsze tak to wyglądało.

Biegłem przerażony, łajając się w myślach, aż dotarłem do domu Georgii. Przebiegłem obok jej małego samochodu, a potem w górę chodnikiem do drzwi.

Załomotałem w nie jak szalony człowiek, którym byłem. Gdy po paru sekundach nikt nie otworzył, pobiegłem na inną stronę, na którą wychodziły okna sypialni Georgii. Z tego, co wiedziałem, przemeblowali wnętrze i przypuszczalnie zobaczę coś, czego nie chcę zobaczyć, ale byłem zdesperowany. Przycisnąłem twarz do szyby i zastukałem z nadzieją, że ktoś mnie usłyszy. Przez szczeliny w żaluzjach dało się zajrzeć do środka. Namalowany dawno temu mural rzucił mi się w oczy kaskadą jaskrawych kolorów. Nie wiem, jakim cudem Georgia mogła w ogóle się wyspać w tym pokoju.

— Georgio! — krzyknąłem zdesperowany.

Na stoliku przy łóżku stała zapalona lampka nocna, ale nikogo nie było w środku. Pobiegłem z powrotem do drzwi wejściowych, zdecydowany na wejście do środka niezależnie od tego, czy będą otwarte, czy nie.

Georgia szła chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Miała na sobie buty do biegania i dres, a jej długie włosy były spięte w rozwichrzony kucyk.

— Mojżesz?

Ulga w jej głosie przyniosła ulgę moim kończynom. W trzech susach znalazłem się przy niej, objąłem ją i zanurzyłem twarz w jej potarganych włosach, nie zastanawiając się nad tym, czy czasem nie przesadzam z tą reakcją. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłem, że byłem w błędzie.

— Tak się bałem... — zacząłem w tym samym momencie, w którym ona powiedziała:

— Tak się bałam...

Odchyliłem się trochę i spojrzałem na nią.

— Tak się bałam — zaczęła znowu, a ja sięgnąłem do jej twarzy, żeby odgarnąć z niej kosmyki włosów. Miała coś na policzku, jej oczy były szeroko otwarte i szczękała zębami. Uświadomiłem sobie, że drży i że obejmuje mnie tak kurczowo, jakby miała zaraz upaść.

— Georgio? — W drzwiach pojawiła się Mauna Shepherd z wałkiem do ciasta w dłoniach. Ciekawe, czy coś piekła czy wzięła go, żeby przyłożyć facetowi łomoczącemu do jej drzwi. — Wszystko w porządku, Georgio? — spytała, spoglądając to na mnie, to na nią.

— Tak, mam. Wszystko w porządku. Ale pójdę teraz na chwilę z Mojżeszem. Nie czekaj na mnie. — Głos Georgii był stabilny, lecz jej ciało wciąż drżało, a ja na nowo poczułem strach. Coś się stało. Nie byłem tak do końca w błędzie.

Mauna Shepherd zawahała się na moment, po czym przytaknęła Georgii.

— Dobrze. Wiesz, co robisz, dziewczyno — powiedziała i zwróciła się do mnie: — Mojżeszu?

— Tak?

— Doświadczyłam już wystarczająco dużo bólu. Daj mi radość lub odejść. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dobrze. I czas też by się przydał. Daj nam wszystkim trochę czasu. Szczególnie Martinowi.

Przytaknąłem, ale nic nie powiedziałem. Bo czas nie był czymś, na co mogłem się zgodzić. Czas nigdy nie był moim sprzymierzeńcem. I nie ufałem mu.

XXVIII

GEORGIA

OBEJMOWAŁAM MOJŻESZA, gdy szliśmy, a on nie naciskał, żebym mu cokolwiek opowiedziała, lecz otoczył mnie mocno lewym ramieniem i co kilka kroków przyciskał usta do moich włosów. Coś się stało. Nie tylko mnie, Mojżeszowi też, przez co nie potrafiłam opanować dreszczy przebiegających mi wzdłuż kręgosłupa. Dotarliśmy do ganku, ale nagle poczułam, że nie jestem w stanie wejść do środka. Wiem, że Mojżesz malował i na pewno poprawił już ten odpadający fragment. Pracował nad tym domem od swojego powrotu, czyli ładnie kilka tygodni. Ja jednak bałam się tej twarzy na ścianie.

— Jest zimno, kochanie — powiedział cicho, gdy się zatrzymałam, a jego czułość niemal mnie przekonała.

— Usiądźmy tu tylko na chwilę, dobrze? — szepnęłam i usiadłam na werandzie.

Wiatr był zmienny, raz dał mocno, a chwilę później kulił się i stwierdzał, że jednak musi odpocząć. Przypominało mi to kładzenie małego Eliego do łóżka. Nigdy się nie poddawał i do ostatniej sekundy usilnie starał się ruszać. Gdy tylko zdrzemnął się na tyle, żeby odzyskać trochę energii, natychmiast wstawał i próbował dalej się bawić. Jutro miną dwa lata od dnia, w którym go straciłam. To wspomnienie powinno być bolesne, odkryłam jednak, że znajduję ukojenie w różnych pamiątkach.

— Nie płakałam dzisiaj. — Uświadomiłam sobie nagle.

Mojżesz poddał się i usiadł obok mnie, a ja wtuliłam się w jego mocne, ciepłe ciało i oparłam głowę na jego ramieniu. Zsunął dłoń po moich włosach i ujął nią mój policzek. Odwróciłam głowę i pocałowałam wewnątrz jego dłoni, a on zadrżał. Potem objął mnie obiema rękami, żebym mogła schować twarz na jego piersi, i oparł głowę na moich włosach.

— Jeśli będziesz taki słodki, to zepsuję to nowe osiągnięcie — szepnęłam — i się rozplacę.

— Płacz wywołany przez słodkość się nie liczy — odszepnął, a ja poczułam wilgoć pod oczami, tak jak przewidywałam. — Gi mawiała, że łzy szczęścia nawilżają naszą wdzięczność. Miała nawet wyszywanekę z takim napisem. Uważałam to za bzdurę. — Słyszałam w jego głosie, że się uśmiecha.

— A... czyli Gi wierzyła w pięć plusów. — Przycisnęłam usta do jego gardła, pragnąc zbliżyć się do niego najbardziej jak to możliwe.

— Gi wierzyła we wszystko, co dobre. — Potarł delikatnie policzkiem moje

włosy.

— Szczególnie w ciebie.

— Nawet we mnie. — Poprawił i chwycił mnie dłonią za podbródek. — Co się stało, Georgio? Czego się bałaś?

— Zrobiłam coś głupiego. Przeraziłam się. Biegłam do domu jak przestraszona dziewczynka.

— Opowiedz mi.

— Nie. To nic takiego. Ale ty też byłeś przestraszony. Dlaczego?

Mojesz potrząsnął głową, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

— Mam wrażenie, że coś mi umyka. Lub coś tracę. Albo po prostu boję się, że w ogóle nigdy tego nie miałem. Straciłem Elię, zanim się dowiedziałem, że go mam. Jakaś część mnie wierzy, że ta historia będzie się powtarzać. To się układa w schemat, Georgio, i... — przerwał, jakby nie potrafił tego wyjaśnić. W jego głosie pobrzmiwała desperacja.

— To się dzieje, Mojzeszu — szepnęłam, przypominając mu jego słowa. — Między tobą a mną. To się dzieje.

Uśmiechnął się i oparł czoło na moim czole.

— Jest zimno. Chodź do środka. Pobądź ze mną przez chwilę — odparł szeptem, a w jego głosie słychać było potrzebę, od której przechodziły mnie dreszcze. Nie były to dreszcze z zimna.

Pragnęłam tego. Potrzebowałam tego. Ale nie potrafiłam wyrzucić z głowy jej twarzy.

— Ta dziewczyna... którą namalowałeś tutaj na ścianie — powiedziałam równie przyciszonym głosem. Odwróciłam głowę w stronę drzwi wejściowych, myśląc o ścianach w środku. — Rozpoznałam ją.

— Molly? — spytał.

Widziałam, że jest zaskoczony, wręcz zdumiony.

— Nie. Nie Molly. Dziewczyna obok Molly.

Mojesz milczał przez chwilę, po czym wstał, podnosząc mnie ze sobą. Trzymając mocno moją dłoń, wszedł do środka. Nie oponowałam, chociaż drżały mi nogi, a serce chciało wyskoczyć z piersi. Ciągnął mnie przez dom, aż stanęliśmy na środku salonu przed ścianami, które były w różnych fazach szlifowania i przemalowywania. Wciąż dało się dostrzec tę twarz. Mojesz spojrzał na nią posępnie, po czym odwrócił się do mnie. Jego zielone oczy tonęły w mroku obaw. Chłonełam go, bo nie miałam ochoty patrzeć na dziewczynę, która przyglądała nam się ze ściany.

— Lisa Kendrick, dziewczyna sprzątająca mój dom, stwierdziła, że to Sylvie. Jej kuzynka — powiedział. — Zniknęła latem, zanim jeszcze zamieszkałem z Gigi. Nie była stąd. Według Lisy mieszkała w Gunnison.

Przytaknęłam, a moje serce zamarło.

— Nie znałam jej imienia, ale... pamiętam ją. Uczestniczyła w terapii prowadzonej przez rodziców i nagle przestała przychodzić. Słyszałam, jak rodzice o niej rozmawiali, ale nie wiedziałam, że to dlatego, iż coś się jej stało. W Richfield jest prowadzony dziewięćdziesięciodniowy program dla dzieciaków mających problem z używkami. Ona była jednym z takich dzieciaków. Wydała mi się znajoma, gdy przyszłam odebrać album i zobaczyłam jej twarz na ścianie. Nie dawało mi to spokoju.

Mojesz spał się, jakby wiedział, że jeszcze nie skończyłam.

— Pamiętałam o twoich muralach w starym młynie. Cały czas obok niego przebiegałam. Tam też ją namalowałeś, Mojżeszu. Mural wciąż tam jest — dokończyłam pospiesznie i obserwowałam, jak jego oczy się powiększają. Patrzył za mnie, jakby próbował poukładać szczegóły z przeszłości poukrywane w zakamarkach umysłu.

— Nie znałem właściciela młyna. Gi załatwiła mi tę pracę i wszystko uzgodniła. Ja się tylko tam zjawiałem, za co miałem dostać zapłatę. I w sumie jej nie dostałem, jak tak o tym myślę. — Wzruszył ramionami. — Miałem zamalować ten mural. Powiedziałem sobie, że to zrobię. Ale... powiedzmy, że czas mi się skończył. — Ta myśl wzbudziła w nim niepokój. Spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. — Trudno uwierzyć, że ten obraz wciąż tam jest. I trudno uwierzyć, że weszłaś do środka sama, po ciemku.

— Nie przemyślałam tego. No i nie dawało mi to spokoju, wiesz? Dziewczyna wydawała mi się znajoma, ale nie miałam pewności, czy naprawdę ją znałam, bo była uroczą blondynką jak wszystkie pozostałe.

— Wszystkie były blondynkami? — spytał Mojżesz, ale brzmiało to, jakby szukał potwierdzenia, a nie informacji.

— O ile mi wiadomo, tak.

— Ile ich było? — wykrztusił oszołomiony. — Ja namalowałem tylko trzy.

Namalował ich więcej... ale pozostałe nie miały twarzy.

— Zeszłego lipca mama i tato rozmawiali z szeryfem Dawsonem, gdy zaginęła dziewczyna z Payson. I było ich dość sporo. Osiem lub dziewięć. Ale tylko w ciągu ostatnich dziesięciu czy dwunastu lat. Nie wiem, co było wcześniej, a szeryf Dawson sugerował, że poza Utah mogło być ich więcej.

— Według nich te sprawy są powiązane? — Mojżesz sprawiał wrażenie zrezygnowanego, jakby wiedział, co powiem.

— Blondynki. Mniej więcej w tym samym wieku. Wszystkie pochodziły z małych miasteczek w Utah. I wszystkie zaginęły w tym samym dwutygodniowym okresie w lipcu.

— Jesteś blondynką — stwierdził Mojżesz ponuro. I cicho.

Czekałam, aż coś dopowie. Jego usta zdradzały napięcie i nie odrywał ode mnie wzroku.

— Ktoś próbował cię porwać, Georgio. Tamtego lata. W lipcu. Ktoś próbował cię porwać. I ten człowiek chyba przebiegł tuż obok mnie. Wpadł na mnie, Georgio. To przez twojego dziadka wróciłem, żeby cię poszukać. Zobaczyłem go na poboczu i pokazał mi, jak upadasz. Więc wróciłem. Pokazał mi się znowu w wesołym miasteczku, tak samo jak w stodole i w rogu twojego pokoju, gdy malowałem.

— Był w rogu mojego pokoju? — spytałam piskliwie.

— Pokazywał mi, co mam malować. Obrazy w twojej sypialni to jego wizja tej opowieści. Zauważyłaś w ogóle, że mężczyzna, który zmienia się w konia, przypomina twojego dziadka? On identyfikował się z tą historią tak, jak identyfikujemy się z postaciami, które kochamy. To był jego sposób na to, by nad tobą czuwać. Podobał mi się ten pomysł. Wcześniej też nad tobą czuwał.

Patrzałam na niego dziwnie poruszona i dość mocno skołowana. Zastanawiałam się, którą emocję wybrać, gdy nagle przypomniało mi się, że Tag jest bratem Molly Taggert. To połączenie było tak dziwne i niezwykle, że trudno uwierzyć, iż wyleciało mi z głowy.

— Molly Taggert? — spytałam.

— Molly, Sylvie i ty! Pasujesz do profilu, Georgio. — Wstał gwałtownie i zaczął chodzić po pokoju. — Przestraszyłem się dzisiaj. To wszystko zaczęło się łączyć! Widuję ją, to znaczy Sylvie. Widziałem ją już dwa razy. Nie pozwala mi zasłonić swojej twarzy! Trzy razy przeszlifowałem tę ścianę i wszystko jest dobrze przez dwa, trzy dni, po czym farba złuszcza się dokładnie na jej twarzy! To chyba z powodu Lisy. Ale rzecz w tym... że Lisy tu nie było, gdy ja tu mieszkałem. Nie znałem jej, więc nie miałem powodu, żeby namalować Sylvie. Nie miałem też powodu, żeby namalować Molly. Taga poznałem dopiero po opuszczeniu Levan! I nie mam pojęcia, kim są pozostałe dziewczyny. Lub kim były! — Mojżesz mówił z uniesieniem, chodząc po pokoju, a mnie kręciło się w głowie.

— To co to według ciebie oznacza? — spytałam.

Stał i pogładził się po króciutkich włosach na głowie. Przypuszczałam, że chce się uspokoić, i żałowałam, że nie mogę go przytulić i zrobić tego samego, ale on nie ustałby w miejscu.

— Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że miałem kontakt z osobą, która je

zabija. Zabójca był łącznikiem. Nie członkowie ich rodzin. Członkowie rodzin odprawiają je z powrotem... że tak powiem — stwierdził w zadumie i spojrzał na mnie desperacko. — I ta osoba chciała ciebie.

— Może...

Mojesz potrząsnął zdecydowanie głową.

— Nie. Inaczej to nie ma żadnego sensu.

— Albo może to Terrence Anderson — dokończyłam beznamiętnie.

Czas na pozostałą część historii.

Mojesz zatrzymał się na chwilę i spojrzał na mnie uważnie.

— Byłam dzisiaj w młynie, po ciemku, i oglądałam twój mural. Przestraszyłam się, gdy dotarło do mnie, że znam tę dziewczynę. Nagle usłyszałam otwieranie drzwi. Drzwi, przez które chwilę wcześniej weszłam. Kucnęłam, zgasiłam latarki i na czworakach przeszłam wzdłuż ściany w stronę wejścia z nadzieją, że zdołam jakoś wyjść niezauważona.

Spojrzałam na swoje dłonie i zauważyłam, że są niesamowicie brudne. Kolana też. W łagodnym świetle lampy moje nogi wyglądały jak nogi Eliego każdego wieczoru, kiedy wkładałam go do wanny.

— Kto to był? — Mojesz stanął w miejscu.

— Terrence — odparłam i przeszedł mnie dreszcz. Byłam skołowana, bo nie miałam czasu tego przemyśleć. — Młyn należy do jego rodziny. Już od jakichś stu lat. Ojciec Terrence'a odziedziczył go po swoim ojcu, który zmarł kilka lat temu. Z tego, co wiem, wykorzystują ten młyn tylko jako magazyn. Mają jednak w środku generator i gdy Terrence włączył światło, taki wolnostojący wysoki reflektor, jakiego używa się na budowach, byłam zupełnie widoczna. Ale on patrzył w inną stronę i układał coś w przeciwnym kącie, więc przeszłam na czworakach do wyjścia. Zostawił uchylone drzwi i zapalony silnik w samochodzie. Ma takiego dużego diesla, który jest strasznie głośny. Dzięki temu dieslowi i uchylonym drzwiom udało mi się wyjść tak, że mnie nie słyszał. Bo otwieranie drzwi na pewno by mnie wydało. Skrzypiały jak bramy piekła.

Mojesz zaklął pod nosem i kucnął przed moimi brudnymi kolanami, jakby sprawdzał, czy nie mam obrażeń. Musiałam wyglądać dość strasznie, gdy byliśmy w środku, poza łagodzącym wszystko światłem księżyca.

— Myślisz, że Terrence zrobiłby ci krzywdę, gdyby cię zobaczył?

— Nie. Nie sądzę. Nie chciałam po prostu, żeby przyłapał mnie na naruszaniu własności prywatnej. I ciągle przyprawia mnie o ciarki. Jak zawsze.

Nagle Mojesz wstał i wziął mnie na ręce. Pisnęłam i objęłam go za szyję, a on przeszedł przez kuchnię i ruszył po schodach do góry. Niósł mnie tak samo jak

John Wayne niósł Maureen O'Hare w *Spokojnym człowieku*, moim ulubionym filmie wszech czasów, a ja protestowałam równie głośno jak ona.

— Mojżesz! — wrzasnęłam. — Co ty robisz?

— Zamierzam cię wykąpać — odparł zwyczajnie i posadził mnie na muszli klozetowej, jakbym nie była mierzającą metr siedemdziesiąt pięć i ważącą sześćdziesiąt kilogramów kobietą, w pełni zdolną do samodzielnego wzięcia kąpieli. We własnym domu. Nachylił się nad wanną i odkręcił wodę. To była zupełnie nowa wanna. Wolnostojąca, z wygiętymi krawędziami i wielkimi mosiężnymi nogami. Cała łazienka była nowa i zdecydowanie kobieca. Nie wyglądała jak coś, co mogłoby się podobać Mojżeszowi.

— Ładna wanna — wykrztusiłam, obserwując parę i tworzącą się pianę, gdy Mojżesz wlał coś do wody.

— Tak myślałem, że ci się spodoba — odparł równie zwyczajnie. — Jest twoja tak w ogóle.

— Co?

— Cały dom. Jest twój. Jeśli go chcesz. Jeśli nie, sprzedam go i wykorzystasz pieniądze na zbudowanie czegoś, co będzie ci się bardziej podobało.

Gapiałam się na niego oszołomiona. Przez chwilę też na mnie patrzył, w końcu jednak wstał z wanny, otrzepał dłonie z wody i wytarł je o spodnie. Potem zaczął delikatnie zdejmować mi z włosów gumkę, chociaż sporo kosmyków i tak się już uwolniło. Moje włosy były ciężkie, a gumka mocno je trzymała, więc gdy ją rozplątał i roztrzepał je dłonią, westchnęłam z wdzięcznością i zamknęłam oczy.

— Chcę się tobą opiekować, Georgio. Nie mogę się opiekować Elim. Ale tobą mogę.

— Nie potrzebuję tego, Mojżeszu. Nie potrzebuję, żeby ktoś robił mi kąpiel i wnosił mnie po schodach, chociaż wcale nie narzekam.

Absolutnie nie narzekałam. Jego dłonie w moich włosach i coraz większa ilość pary wokół nas wzbudzały we mnie chęć wciągnięcia go do tej nowej wanny, w ubraniach lub bez nich, żeby jak najszybciej w niej zasnąć. Byłoby ciepło, bezpiecznie i przyjemnie jak nigdy dotąd.

— Nie chcę twojego domu, Mojżeszu — powiedziałam łagodnie.

Jego dłonie zamarły w moich włosach.

— Tak też myślałem.

Potrząsnęłam głową, a jego dłonie napięły się na mojej czaszce. Milczał przez kilka sekund, ale nie odsunął się, lecz zaczął znów przeczesać dłońmi moje włosy, wygładzając je na plecach.

— Ten dom jest zupełnie normalny, Georgio — powiedział w końcu. — O to

chodzi? Nie jest nawiedzony. Miejsca nie mogą być nawiedzone. Ludzie tak. Na przykład ja — dodał zrezygnowanym głosem, a ja spojrzałam mu w oczy pojednawczo.

— Nie. Nie o to chodzi, Mojżeszu. Ja nie chcę twojego domu. Ja po prostu chcę ciebie.

XXIX

MOJŻESZ

ZOSTAWIŁEM JĄ W ŁAZIENCIE. Spod zamkniętych drzwi buchało pachnące ciepło. Usłyszałem cichy świst i chlupnięcie wody, gdy się poruszała. Stałem z pędzlem w dłoni w swoim dawnym pokoju na górze i patrzyłem przez okno w mrok. W domu Georgii wciąż paliło się światło. Miałem nadzieję, że jej rodzice nie siedzą tam w stanie umiarkowanej paniki dlatego, że Georgia jest ze mną. Na zakręcie między naszymi domami stała półciężarówka z zapalonym silnikiem. Potężny diesel, który skojarzył mi się z opisanym przez Georgię samochodem Terrence'a Andersona. Na samą myśl poczułem taki sam skurcz żołądka jak wtedy, gdy opowiedziała mi, że szła na czworakach po brudnej podłodze, żeby jej nie zobaczyć.

Półciężarówka ruszyła powoli drogą i skręciła w najbliższą przecznicę, gdzie zgubiłem ją z oczu. Mimo zakłócenia w postaci Terrence'a Andersona mój umysł wciąż wracał do Georgii za ścianę. Wyobrażałem sobie rozsypane włosy i długie nogi wystające z białej ceramicznej wanny, ciemne rzęsy i gładkie policzki, lekko rozchylone pełne usta. Oparłem się pragnieniu namalowania tych wszystkich szczegółów podsuniętych mi przez umysł. Jeśli Vermeer potrafił znaleźć piękno w pęknięciach i plamach, to mogłem sobie tylko wyobrażać, co byłbym w stanie stworzyć z porów jej skóry.

Gdybym tylko wiedział, jak namalować Georgię w swoim życiu albo siebie w jej życiu tak, by jej nie przytłoczyć, być może zniknęłaby trwoga, którą odczuwałem. Nigdy nie będę łatwym obiektem miłości. Miałem w sobie barwy, które przytłaczały wszystkie inne i nie chciały się łączyć.

Chciałem jednak spróbować. Chciałem tego tak bardzo, że dłonie zaczęły mi się trząść i upuściłem pędzel. Podniosłem go i podszedłem do stojących w rogu sztalug. Płótno mnie wzywało. Zacząłem mieszać różne farby. Jak ja to powiedziałem Georgii dawno temu? Na temat kolorów, których użyłbym, żeby ją namalować? Brzoskwiniowy, złoty, różowy, biały... Na małych tubkach z zestawu znajdowały się fantazyjne nazwy, ale ja wolałem nie komplikować sobie w głowie.

Długim pociągnięciem pędzla stworzyłem na płótnie linię jej szyi. Małe wypustki wzdłuż kręgosłupa, jasne kosmyki na złocistej skórze. Dodałem też inne barwy — różowe, błękitne i koralowe plamki, jakby miała we włosach płatki kwiatów.

Poczułem, że podeszła do mnie od tyłu, i przerwałem. Wciągnąłem w siebie jej zapach, a potem odwróciłem głowę i spojrzałem na nią. Założyła z powrotem spodenki do biegania, lecz zamiast zakurzonej bluzy miała na sobie biały top. I

była boso.

— Chciałem cię namalować — powiedziałem, jakbym chciał się wytłumaczyć.

— Dlaczego?

— Bo... bo... — Próbowałem znaleźć inny powód poza tym, że musiałyby wtedy stać bez ruchu, a ja mógłbym się na nią patrzeć przez długie odcinki czasu. — Eli chciał, żebym cię namalował. — To nie było tak do końca kłamstwo.

— Naprawdę? — spytała słabym głosem i spojrzała na mnie niemal lękliwie. Dziwnie było ją widzieć w takim stanie. Skrępowaną w sposób, w jaki nigdy nie była.

— Wydaje mi się, że chciałaś, żebym cię namalował. Kiedyś.

— Chciałam wielu rzeczy, Mojżeszu.

— Wiem. — A ja byłem gotów jej je dać. Wszystko, co w mojej mocy. — Czy Eli lubił malować? — Nigdy jej nie pytałem o to, czy Eli był w czymś podobny do mnie. Miałem nadzieję, że nie.

Potrząsnęła głową, a potem się zaśmiała. A ja, tak po prostu, zobaczyłem wspomnienie zapomnianej chwili. Mały przebłysk, jakbym na chwilę zajrzał do jej głowy. Ale to wspomnienie nie pochodziło od niej. Eli siedział po turecku na parapecie i uśmiechał się, jakby się za mną stęsknił. Za nami. Spojrzenie Georgii złagodniało, gdy zaczęła opowiadać mi scenę, którą widziałem w żywych barwach przed oczami.

— Było późno. Tego dnia wstałam wcześnie i nie miałam ani chwili na odpoczynek. Mama i tato wyszli, a Eli płakał, bo już dawno powinien spać. Nie jadł jeszcze kolacji i nie był wykąpany, a ja miałam ochotę rozplakać się razem z nim. Podgrzałam spaghetti z obiadu i otworzyłam puszkę brzoskwiń, próbując przekonać do tego Eliego, który życzył sobie rosółu z makaronem. Chciał domowej zupy z grubym makaronem. Powiedziałam mu, że nic już nie zostało i że w weekend zrobię nową. Albo babcia robi. Jej rosół był lepszy niż mój. I próbowałam zareklamować mu spaghetti. Nie chciał, ale ja nie miałam już cierpliwości. Posadziłam go przy stole i próbowałam go przekonać, że spaghetti jest dokładnie tym, czego pragnie. Dałam mu szklanekę mleka i na jego ulubiony talerz z traktorem nałożyłam makaron i sos z jednej strony, a plasterki brzoskwiń z drugiej.

Przerwała. Lekko drżała jej warga, ale nie płakała. Eli podjął opowieść w miejscu, w którym skończyła. Pokazał mi, jak wziął talerz i wysypał sobie wszystko na głowę.

Sos z brzoskwiniami spływał po włosach, pucułowatych policzkach i szyi. Georgia patrzyła na niego zszokowana. Była tak wściekła, że wyglądała niemal komicznie. Potem kucnęła przed kałużą na podłodze i zaczęła wymieniać swoje

pięć plusów w sposób, w jaki niektórzy liczą do dziesięciu, żeby się opanować. Eli wiedział, że ma kłopoty. Jego niepokój zabarwił wspomnienie wodnistym rozmyciem, jakby serce wyskakiwało mu z piersi, gdy widział, jak mama próbuje się nie rozsypać.

Obraz się poruszył, bo Eli zsunął się z krzeselka i podbiegł do Georgii. Kucnął przed nią i bez wahania rozprowadził sos na jej włosach i delikatnie natarł nim jej policzek.

Opadła na pośladki, próbując coś wykrztusić, a on podążył za nią i natarł drugi policzek.

— Nie ruszaj się, mamusiu. Maluję cię — powiedział. — Jak tato.

Georgia zamarta, a Eli kontynuował rozprowadzanie kolacji na całej jej twarzy i ramionach, jakby dobrze wiedział, co robi. Obserwowała go w milczeniu, a jej oczy powoli wypełniły się łzami, które spływały po twarzy upstrzonej sosem i brzoskwiniami.

— Chciał mnie namalować — powiedziała Georgia, a ja oderwałem się od wspomnienia Eliego, żeby wrócić do niej. — Chciał mnie namalować. Tak jak ty. Znał twoje imię. Wiedział, że namalowałeś historię na mojej ścianie i obrazek, który oprawiłam i powiesiłam w jego pokoju... obrazek, który mi wysłałeś... po odejściu. Ale to był pierwszy raz, gdy zrobił coś takiego. I gdy mówił coś takiego.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Świadomość, że Georgia nie ukrywała przed Elim tego, kim jestem, odebrała mi mowę.

— To było niedługo przed jego śmiercią. Tuż przed. Dzień lub dwa. Dziwne. Zupełnie o tym zapomniałam. Nigdy nie wykazywał żadnych skłonności do malowania i zrobił to zupełnie nieoczekiwanie. Ale ja nie wiem, czy chcę, żebyś mnie namalował, Mojżeszu — wyszeptła, wodząc wzrokiem po smukłej linii kręgosłupa i pochylonej głowie na płótnie.

— Nie chcesz?

Nie wiem, czy będę w stanie uhonorować tę prośbę. Mając ją tak blisko, pragnąłem kreślić kontury jej sylwetki i zatracić się w jej barwach.

— Nie. — Nie odrywała wzroku od płótna. — Nie chcę być sama. Wolałabym, żebyś namalował nas. Mnie i ciebie. — Odwróciła się do mnie. — Razem.

Przyciągnąłem ją przed siebie, tak że stanęła twarzą do płótna, a plecami przylegała do mojej piersi. Wtuliła głowę między moje ramię a podbródek, a ja oparłem policzek na jej czole, objąłem ją lewą ręką, a prawą zacząłem malować. Po kilku chwilach na płótnie pojawił się mój profil. Twarz i szyja, pochylona nad nią. To był szczątkowy szkic, składający się z konturów i niedopowiedzeń, ale przedstawiał nas razem, a ja szybkimi pociągnięciami pędzla wypełniałem go

szczegółami.

Zapomniałem o Elim na moim nowym łóżku, kupionym zamiast wąskiej dwójki, na której spałem, gdy przyjeżdżałem do Gi, i skupiłem się na odczuwaniu bliskości Georgii i obrazie przed moimi oczami. A kiedy Georgia odwróciła się i spojrzała na mnie błyszczącymi oczami, zapomniałem także o obrazie.

Nie pamiętam odkładania pędzla. Nie pamiętam, czy zakręciłem tubki. Nie pamiętam tego, jak przeszliśmy na drugi koniec pokoju, ani tego, jak północ zamieniła się w ranek. Pamiętam tylko to uczucie, gdy Georgia zbliżyła twarz i przytknęła wargi do moich warg.

To nie był gwałtowny i szybki pocałunek. Nie było w nim błędzenia dłońmi i uwodzenia dotykiem. Był za to nasączony obietnicą. Szczery, z głębi serca. A ja nie wykonałem żadnego ruchu, żeby za tym podążyć.

Mogłem tak zrobić.

Czułem wibrujące między nami wspomnienie tego uczucia, gdy daliśmy się pochłonąć fali gorąca. Ale ja nie chciałem kolejnych wspomnień. Ja chciałem przyszłości, dlatego pozwoliłem, żeby spowił nas subtelny odcień nadziei. Rozkoszowałem się doznaniem płynącymi z ruchów ust, dotyku warg, splatających się języków i dotyku dłoni Georgii na moim torsie. Wraz z pogłębianiem pocałunku lawenda przed moimi oczami rozwinęła się w fiolet, a potem w głęboki niebieski. Gdy tak się stało, oderwałem się od niej, żeby się nie zapomnieć. Georgia nie poruszyła głową, jakby jeszcze nie skończyła. Miała przymknięte powieki, a jej oczy były jak ciemna czekolada. Pragnąłem zatopić się w ich głębokim blasku i przykryć nas pościelą. Ale nie byliśmy sami.

Oderwałem wzrok od jej zmierzwionych włosów i słodkich ust i spojrzałem na chłopca, który obserwował nas w milczeniu. Westchnąłem, bo nadszedł czas pożegnania. To był moment, w którym mali chłopcy powinni się odwrócić. Zacząłem zamykać ściany wody i szepnąłem:

— Dobranoc, Stewy Stinker.

Georgia zeszywniała w moich ramionach.

— Dobranoc, Buzzard Bates — dodałem cicho.

— Dobranoc, Diehard Dan — wyszeptała Georgia drżącymi wargami i zacisnęła palce na mojej koszulce, desperacko próbując się nie rozkleić. Objąłem ją mocniej, doceniając jej wiarę i starania.

— Dobranoc, Eli — powiedziałem i poczułem, że odszedł.



MOJŻESZ

LEŻAŁEM W CIEMNOŚCIACH, słuchając oddechu Georgii obok mnie, i miałem nadzieję, że Mauna i Martin Shepherdowie nie spędzają bezsennej nocy, martwiąc się o córkę, która już raz doświadczyła miłości i straty. „Daj mi radość lub odejź” — powiedziała Mauna. A ja naprawdę nie chciałem odejść.

Rozmawialiśmy z Georgią przez kilka godzin, leżąc w ciemnościach mojego pokoju i patrząc na oświetlony blaskiem księżycy komiks namalowany przez Georgię na mojej ścianie. Georgia poczuła się miło, że nie miałem serca go zamalować, i obiecała domalować rano następny rozdział. Z jej głową na ramieniu, dotykiem pozbawionym kuszenia, pocałunkami bez zaborczości i przytulaniem bez wzniecania ognia namiętności spędziliśmy pierwszą od siedmiu lat noc razem. Zupełnie inną niż poprzednia. Może chcieliśmy zachować się właściwie lub nie chcieliśmy powtarzać błędów z przeszłości. A może chodziło o świadomość, że chociaż go nie widzimy, Eli wciąż był w pobliżu. Ja przez cały czas wyczuwałem jego obecność. W tej chwili wystarczyło mi przytulanie Georgii, więc utrzymywałem płomień w ryzach.

Gdy północ zmieniła się w pierwszą godzinę, a potem drugą, wspomniałem Georgii o odprowadzeniu jej do domu, lecz ona objęła mnie w pasie, położyła głowę na mojej piersi i buntowniczo odmówiła. Nie nalegałem zbyt mocno i zacząłem głaskać ją po włosach. W pewnym momencie poczułem, że zasypia, zostawiając mnie samego z moimi myślami i obawami, które wraz z upływem kolejnych godzin tylko się pogłębiały. Zastanawiałem się, czy moje emocje były po prostu produktem ubocznym miłości. Teraz, gdy ją wyznałem i przyznałem, że jej potrzebuję, bałem się, że ją stracę.

Nad ranem po cichu wstałem, założyłem buty i kurtkę, nie planując wychodzenia dalej niż na tylny taras. Wymagał odnowienia i chciałem to skończyć, zanim pojawi się śnieg. Wychodząc z pokoju, uchwyciłem wzrokiem rozpoczęty wczoraj obraz pełnych gracji pleców Georgii i pochylonej nad nią mojej głowy. Chciałem więcej. Wypełnię wszystkie ściany jej obrazami, nawet jeśli miałyby to na celu wyłącznie przekonanie samego siebie, że ona jest moja, a ja jestem jej. Może wtedy przestałbym się tak niepokoić.

Było zimno, zimniej niż wczoraj. Zastanawiałem się, czy nie wrócić po rękawiczki. Nie wyszło to jednak poza fazę myślenia, bo moje ręce wyprzedzały głowę o dwa kroki. Oddałem się pracy, ruszając się energicznie, żeby odpędzić chłód. Zostawiałem obłoki pary po każdym wydechu, a wygładzanie wszystkich nierówności było dziwnie terapeutyczne. Szczerbate słońce wychyliło się zza

wschodnich wzgórz. Nie przyniosło ze sobą ciepła, lecz zatrzymałem się, żeby obserwować jego mozolną wędrówkę nad dolinę. Odezwał się spóźniony kogut. Zaśmiałem się z jego partackich wysiłków i usłyszałem rżenie konia w odpowiedzi na pianie. Spojrzałem na trawiaste pole, na którym w pewnej odległości ode mnie zgromadziły się konie Georgii. Calico oddzieliła się od reszty i znowu zarżała, rzucając głową i wyprostowując nogi, jakby wiedziała, że ją obserwuję. Przegalopowała krótki odcinek, po czym zawróciła i pogalopowała z powrotem. Potrząsała przy tym grzywą i podnosiła wysoko kopyta, jakby cieszyła się ze wschodu słońca. Dołączył do niej Sackett. Skubał ją i trącał dla zabawy, a ja uśmiechnąłem się znowu, bo przypomniało mi się, jak porównałem kiedyś Georgię do tego konia maści palomino. Obserwowałem ich paradowanie i zabawy jeszcze przez kilka minut, gdy nagle mój wzrok przykuł szczegół, którego wcześniej nie zauważyłem. Może dlatego, że zawsze skupiałem się na Georgii, kiedy pracowała z końmi, albo dlatego, że jedyny raz, gdy byłem blisko Calico, stała za moimi plecami. W każdym razie miała na zadzie inne piętno niż Sackett.

Odstawiłem wiaderko z bejcą, położyłem na wierzchu pędzel i ruszyłem na koniec tylnego podwórka Gi, żeby się lepiej przyjrzeć. Sackett i Calico obserwowały moje nadejście i chociaż Calico rzuciła głową i przedreptała dookoła, to nie uciekły przede mną. Jest postęp. Ale kiedy Calico zbliżyła się do dzielącego nas ogrodzenia, stanąłem jak wryty. Miała na lewym boku literę „A” w okręgu. Dużą literę „A” w okręgu. Jak na sprawdzianie Molly. I jak na postoju dla ciężarówek, w pobliżu którego znaleziono jej ciało. Włosy zjeżyły mi się na karku, a węzeł w żołądku urósł dwukrotnie. Eli wciąż pokazywał mi Calico, od samego początku. A ja, chcąc nie chcąc, zastanawiałem się, czy na pewno chodzi wyłącznie o jego miłość do tego zwierzęcia.

Przez chwilę myślałem, żeby wejść do środka i obudzić Georgię, ale zamiast tego wyciągnąłem telefon z kieszeni i wybrałem numer Taga, licząc na to, że usłyszy dzwonek o siódmej rano we wtorek i odbierze. Nie był człowiekiem, który lubi zrywać się wcześniej z łóżka.

— Mo — odpowiedział po trzecim sygnale. Wiedziałem, że nie śpi już od jakiegoś czasu. W jego głosie pobrzmiwała ta energia, którą emanował po tym, jak przez kilka godzin spuszczał komuś łomot w swojej siłowni.

— Tag.

— Skoro przypomniałeś już sobie swoje imiona, powiedz, o co chodzi?

— Calico, klacz Eliego, ma na zadzie inne piętno niż pozostałe konie Georgii. Dlaczego?

— Odkupili ją od kogoś po napiętnowaniu — odparł od razu.

Przytaknąłem, chociaż nie mógł tego widzieć.

— Calico ma literę A w okręgu, Tag. Kółko z wielkim A w środku. — Czekałem, wierząc w to, że zrozumie znaczenie tego faktu.

Tag milczał przez kilka długich chwil, lecz ja nie wypełniałem ciszy, czekając, aż się zastanowi.

— To może być zbieg okoliczności — powiedział w końcu, ale wiedziałem, że w to nie wierzy. W moim życiu nie było zbiegów okoliczności. A Tag spędził ze mną wystarczająco dużo czasu, żeby to wiedzieć.

Przekląłem, używając jednego z ulubionych słów Taga, a w moim głosie słychać było echo strachu i frustracji.

— O co chodzi, stary? — spytał Tag.

— Nie wiem. Moja zmarła matka zsyła mi dziwaczne sny, na ścianach pojawiają się kolejne martwe dziewczyny, syn próbuje przekazać mi coś, czego najwyraźniej nie rozumiem, a w łóżku mam kobietę, którą boję się stracić. — Potarłem twarz w nagłym przypływie zmęczenia. Żałowałem, że nie zostałem w łóżku z Georgią. Nie stracę jej, jeśli zawsze będę miał ją obok siebie.

— Co Eli ci pokazuje? Poza koniem.

Byłem wdzięczny, że nie skomentował tego, że mam kobietę w łóżku. Wiem, że chciał. Wręcz słyszałem, jak zmusza się do przygryzienia języka.

— Wszystko. — Westchnąłem. — Pokazuje mi wszystko.

— Ale co najczęściej?

— Calico, Georgię... pieprzonego Stewy Stinkera i gang bad menów.

— Jakich bad menów? — zainteresował się Tag.

— Nie chodzi o prawdziwych ludzi, tylko o postacie z książki, którą Georgia zawsze mu czytała. — Powiedziałem to, chociaż wcale nie byłem pewien.

Wracałem w stronę domu i zauważyłem Georgię. Stała z kubkiem kawy w dłoni oparta o przesuwne szklane drzwi, a drugą dłonią starała się utrzymać na sobie kołdrę z mojego łóżka. Włosy opadały jej w nieładzie na ramiona, a twarz wciąż miała zmiękczone przez sen rysy. To wystarczyło, żeby zmiękły mi kolana i bym poczuł chęć pogonienia wszystkich bad menów z mojego umysłu.

— Muszę kończyć, Tag. Kobieta z mojego łóżka się obudziła.

— Na razie, szczęściarzu. Nie zapomnij jej spytać, skąd ma tego konia.

XXX

GEORGIA

ELI NIGDY NIE MIAŁ ULUBIONEGO KOLORU. Nie umiał się zdecydować. Każdego dnia wybierał inny. Pomarańcz, jabłkowa czerwień, błękit, zieleń traktorów Johna Deera. Raz przez cały tydzień trzymał się żółtego, bo takiego koloru było słońce, lecz potem zmienił zdanie i stwierdził, że najlepszy jest brązowy, bo Calico, on i ja mamy brązowe jak błoto oczy, a on uwielbiał błoto. Za każdym razem, gdy ktoś go pytał o ulubiony kolor, odpowiadał inaczej, aż pewnego dnia odparł: „Tęcza”.

W tamtym roku w rocznicę jego śmierci kupiłam pięćdziesiąt wielkich balonów we wszystkich kolorach, jakie mogłam znaleźć, wypożyczyłam zbiornik z helem, żeby móc je nadmuchać na miejscu, i wypuściłam je w zagrodzie w ramach swojej prywatnej ceremonii. Myślałam, że dzięki temu poczuję się lepiej, ale gdy widziałam, jak odlatują coraz wyżej i wyżej, czułam obezwładniający żal. Nie mogłam patrzeć, jak te delikatne, radośnie kolorowe bańki unoszą się poza zasięg moich dłoni, a ja mam świadomość, że już nie wrócą.

Tego roku nie wiedziałam, co zrobić. Podobał mi się pomysł sadzenia drzew, ale to nie była ta pora roku. Podobał mi się pomysł przekazania w imieniu Eliego datku na organizację charytatywną, ale nie miałam zbyt wiele pieniędzy. Mojżesz uwzględnił Eliego w swoim muralu w stodole i namalował go na białym koniu wspinającym się po chmurach. Eli miał odchyloną głowę i uniesione rączki, a nagie stópki przyciskał do boków tego wspaniałego zwierzęcia. Mural był prawie skończony i wyglądał spektakularnie. Moi rodzice nie skomentowali go ani słowem, ale przyłapałam raz tatę, jak patrzył na mural z podziwem, a po jego policzkach ciekły łzy. Tato wciąż obwinał się o śmierć Eliego. Miał potężne poczucie winy do przewyciężenia. Ale z tego, że uśmiechał się wtedy przez łzy, można było wnioskować, że powoli sobie odpuszcza. I może to wystarczyło. Może to, że wszyscy powoli wychodziliśmy z rozpacz i że Mojżesz wrócił, było wystarczającym sposobem uczczenia tej rocznicy. Może wcale nie trzeba było żadnych wielkich gestów, żeby wyrazić naszą pamięć.

Gdy rano wychodziłam od Mojżesza, upierając się, że dam radę przejść bez eskorty na drugą stronę ulicy, przyciągnął mnie do siebie, pocałował i powiedział, że będzie za mną tęsknił. A potem patrzył za mną, jakbym była balonem, a on bał się, że odleczę.

— Georgio! — zawołał nagle.

Odwróciłam się z uśmiechem.

— Tak?

— Skąd macie Calico?

To było dziwne pytanie, które tak bardzo nie pasowało do jego tęsknego spojrzenia, że przez chwilę stałam oniemiała.

— Od szeryfa Dawsona. A co?



GEORGIA

DOM BYŁ NIETYPOWO CICHY, gdy wsunęłam się przez drzwi i poszłam na palcach do swojego pokoju, żeby przygotować się na dzisiejszy dzień. Drzwi do pokoju rodziców były zamknięte, co o ósmej trzydzieści we wtorek było dość niezwykle. Nie kwestionowałam jednak swojego szczęścia, bo nie miałam ochoty tłumaczyć się z tego, że nie wróciłam na noc.

Nie ucieknę przed tą rozmową i przed koniecznością podjęcia decyzji. Ale teraz nie byłam jeszcze na to gotowa.

Miałam dziś dość napięty grafik. Do południa dwugodzinna sesja z autystycznymi dziećmi, a potem spotkanie informacyjne z jakimiś szychami z Hill Air Force Base, których interesowało wykorzystanie hipoterapii do pomagania lotnikom i ich rodzinom w zmaganiach z zespołem stresu pourazowego. Baza Hill AFB mieściła się w Ogden, dwie i pół godziny na północ od Levan, i nie wyobrażałam sobie, jak miałyby to wyglądać w praktyce, gdyby chcieli, żebym zjawiała się w niej kilka razy w tygodniu. Chciałam jednak spróbować i zaczynałam się przekonywać, że być może jest to znak od losu. Poza tym Mojżesz miał mieszkanie w Salt Lake, które leżało zaledwie trzydzieści minut od Ogden. Stamtąd dojazdy kilka dni w tygodniu byłyby znacznie łatwiejsze. Mojżeszowi też uprościłoby to życie, gdybyśmy chcieli być razem. W Levan świetnie się mieszkało, ale nie jemu. Nie sądzę, żeby chciał wprowadzić się do domu Kathleen i spędzić tu resztę życia na malowaniu obrazów i obserwowaniu, jak szkolę konie i uczę ludzi. Ale może istniał jakiś sposób, żeby to wszystko zrealizować.

O trzeciej Dale Garret miał wpaść po Cussa. Jego uparty koń był już odpowiednio ułożony i nie mogłam się doczekać zaprezentowania Dale'owi jego postępów. Lecz gdy wybiła trzecia, a ja zakończyłam już na dzisiaj wszystkie zajęcia i spotkania, Dale nie wyglądał, jakby też nie mógł się doczekać. Podjechał swoją półciężarówką z przyczepą na konia, więc najwyraźniej był

gotów zabrać Cussa, ale siedział w szoferce przez dobre dwadzieścia minut, a ja czekałam i zastanawiałam się, o co mu chodzi. W końcu ruszyłam w stronę samochodu, ale Dale zatrzymał mnie wyciągniętym palcem, więc stanęłam ze założonymi rękami i dość mocno zirytowana czekałam, aż skończy rozmowę. Gdy wyszedł z szoferki, przywitałam się z nim i od razu odwróciłam się w stronę stodoły, w której Cuss czekał na demonstrację jeździecką. Dale bez ogródek wyjaśnił mi jednak, co go tak zajęło.

— Słyszałaś o dziewczynie Kendricków?

Spięłam się trochę, lecz szłam dalej. Przypomniała mi się wczorajsza rozmowa z Mojżeszem. Rozmawialiśmy o dziewczynie Kendricków, ale z jakiegoś powodu nie sądziłam, żeby chodziło mu o tę dziewczynę Kendricków.

— Lisie?

— Tak. O niej. Drobna blondynka, około siedemnastu lat.

Wzdrygnęłam się wewnątrz, ale zachowałam neutralny wyraz twarzy.

— Tak, znam ją. Ale nie słyszałam.

— Znaleźli jej vana z otwartymi drzwiami porzuconego na poboczu na północ od miasta. Wczoraj wyjechała od chłopaka z Nephi i nie dotarła do domu. Jej rodzice zorientowali się rano, zadzwonili do chłopaka, obdzwonili jej przyjaciółki i sąsiadów, po czym powiadomili policję. W całym mieście jest o tym głośno.

— O, nie — westchnęłam.

— No. Niewiarygodne. — Spojrzał na mnie badawczo. — Ludzie znowu o tobie mówią, Georgio. Wstyd mi za nich, ale twoje imię już na zawsze będzie splecione z jego imieniem.

Uniosłam brwi i ściągnęłam usta.

— O czym ty mówisz, Dale?

— Tym razem policja działa natychmiast. Słyszałem, że sprawdzili vana pod kątem odcisków. W ramach rutynowego postępowania. I ktoś zdradził, że znaleźli mnóstwo odcisków Mojżesza Wrighta.



MOJŻESZ

ZASNAŁEM. Miałem dosyć. Rano skończyłem szlifować taras. Mój wzrok co chwilę błędził w stronę zagród i zabudowań Georgii, żeby uchwycić ją

spojrzeniem. To pomagało mi się rozluźnić i łagodziło dręczące mnie obawy. Gdy już nie mogłem wytrzymać bólu pleców, a moje dłonie ze zmęczenia stały się niedbałe, zrobiłem sobie przerwę, zjadłem coś i wszedłem do wielkiej wanny, którą zajmowała wczoraj Georgia. To wzbudziło we mnie tęsknotę i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym ją tu jak najszybciej sprowadzić. Ciepło i chlupot wody działały na mnie kojąco, zwłaszcza że nie spałem w nocy. Moje powieki zrobiły się ciężkie, myśli zaczęły spowalniać, więc w parnym zamroczeniu zakończyłem kąpiel, ospale wciągnąłem jakieś dżinsy i padłem brzuchem na łóżko, zanurzając twarz w poduszce, na której spała Georgia.

Zasnąłem natychmiast.

Obudziła mnie broń wymierzona w moją głowę.



— TO BYŁO ZBYT ŁATWE. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko skończyć. Myślałem, że będę musiał zastrzelić cię od razu, gdy wejdziesz do środka.

Zastanawiałem się, dlaczego tego nie zrobił, i doszedłem do wniosku, że strzał w plecy do śpiącego człowieka trudniej wyjaśnić. Był ubrany w mundur — ciemnobrązowe spodnie, schludnie wyprasowana koszula. Wyglądał bardzo oficjalnie, a ja miałem wrażenie, że oficjalnie jestem martwy.

— Przyjechał pan, żeby mnie aresztować czy zabić, szeryfie? — spytałem grzecznie z rękami w górze, gdy popychał mnie lufą, bym zszedł po wąskich schodach na parter. Nie miałem pojęcia, dokąd idziemy, ale byłem nagi od pasa w górę i bosy, więc mój ubiór nie nadawał się do wyjścia z domu. Mój ubiór nie pasował do scenariusza, który być może sobie uroił.

Zatrzymaliśmy się w kuchni.

— Weź jeden z tych noży. Albo nie, weź cały stojak — poinstruował mnie, wskazując na nowy zestaw noży z czarnymi rączkami, które kupiłem do domu.

Patrzałem na niego bez ruchu. Nie miałem zamiaru pomóc mu w zabiciu mnie.

Strzelił w szafkę, blisko mojej głowy. Miał beznamiętne spojrzenie i pewną rękę.

— Weź nóż! — powtórzył podniesionym głosem, czekając z palcem na spuście, aż ulegnę.

Obserwowałem go przez chwilę z łomoczącym sercem i przyspieszonym pulsem. Adrenalina podpowiadała mi, że bym wykonał jego polecenie i zaczął rzucać w niego nożami. Sięgnąłem do stojaka, wybrałem najdłuższy i najostrzejszy nóż i chwyciłem go swobodnie. Szeryf najwyraźniej nie rozmawiał z siostrzeńcem o

moim uwielbieniu dla noży.

— Chce pan, żebym w pana rzucił, szeryfie? Może nawet lekko zranił, żeby wyglądało, jakby nie miał pan wyjścia? Przyjechał pan, żeby mnie aresztować z jakiegoś niejasnego dla mnie powodu, ja wyskoczę z nożem, a pan będzie musiał mnie zastrzelić. Taki jest plan? Czy nie powinien mi pan przeczytać moich praw lub wyjaśnić, dlaczego jestem aresztowany?

— Jestem tu w sprawie zniknięcia Lisy Kendrick — odparł z palcem na spuście i oczami wbitymi w nóż, czekając na mój ruch, żeby mógł wykonać swój. — Gdy będziesz martwy, znajdę ją tu. Związaną. Odurzoną. I nikt nie będzie mnie o nic pytał. Nikt nie będzie mi miał za złe, że jesteś martwy.

Albo mu odbiło, albo ja znowu czegoś nie dostrzegałem.

— Chyba Sylvie Kendrick? — spytałem zdezorientowany.

— Nie, Lisę. Miałem takie szczęście wczoraj w nocy, że zobaczyłem ją na ulicy. Wiedziałem, że przyjechałaś jej vanem, żeby wyciągnąć Davida Taggerta z aresztu. To było jak mały cud. Dla mnie.

— Zabił pan moją matkę? Tak się to wszystko zaczęło, szeryfie? — spytałem cicho, próbując jak najszybciej poskładać wszystkie fragmenty układanki.

— Ja jej nie zabiłem. Ja ją kochałem. Tak bardzo ją kochałem. A ona była dziwką. Wiesz, jakie to uczucie zakochać się w dziwce? — Zaśmiał się, lecz brzmiało to bardziej jak szloch. Natychmiast zresztą się opanował, zgrzytnął zębami i poprawił dłoń.

Wiedziałem jednak, że trafiłem w czuły punkt. W NAPRAWDĘ czuły punkt.

— W ogóle nie jesteś do mnie podobny. Nie mogłem w to uwierzyć, gdy cię zobaczyłem. Maleństwo podpięte do kupy maszyn. Myślałem, że to jakaś pomyłka, bo miałeś być mój — powiedział i uderzył się w pierś lewą dłonią. — Myślałem, że jesteś mój, ale kolor nie pasuje, prawda?

Skrzywiłem się, gdy znowu parsknął. Przesunąłem się nieznacznie w stronę drzwi i ścisnąłem mocniej nóż. Ze złości podszedł o krok bliżej, ale wiedziałem, że jeszcze nie skończył.

— Oczywiście, że nie jesteś mój! Ależ byłem głupi. Jenny się po prostu puszczała. Zrobiłbym dla niej wszystko. Nie potrafiłem tego pojąć. Potrafisz to pojąć? — Jacob Dawson przyglądał mi się z zagubieniem w oczach, najwyraźniej oczekując ode mnie wyjaśnienia czegoś, z czym nie potrafił się uporać od dwudziestu pięciu lat. — Zeszła na złą drogę. Myślałem, że uda mi się ją uratować, ale ona nie chciała zrezygnować z tego gówna. Nie potrafiła przestać. Tak jak Molly Taggert i Sylvie Kendrick. Przypominały mi ją. Śliczne dziewczyny, które też zeszły na złą drogę. Krzywdziły swoje rodziny. Wyświadczyłem im przysługę. Zmierzały w tę samą stronę co Jenny, samolubne

suki. Narkotyki, ucieczki z domu... Wyświadczyłem im przysługę. Uwolniłem je od samych siebie i oszczędziłem ich rodzinom kolejnych cierpień.

— Ile ich jeszcze było? Ile jeszcze dziewczyn pan uwolnił? — spytałem, starając się nie brzmieć sarkastycznie. — I co z Georgią? To był pan, prawda? Na tej imprezie. Próbował pan porwać Georgię. Ona nie pasuje do tego schematu, szeryfie. Lisa Kendrick też nie.

— Nie chciałem porywać Georgii. Stała plecami do mnie i myślałem, że to ktoś inny. Ale zjawiała się ty i musiałem ją uwolnić. W sumie wyświadczyłeś mi przysługę. Przykro byłoby mi skrzywdzić Georgię. A Lisie nic się nie stanie. Nie będzie tylko niczego pamiętać. Wstrzyknąłem jej tyle badziewia, że nie wiem, czy uda jej się w ogóle przypomnieć, jak się nazywa.

Nie odezwałem się. Szeryf nie był zbyt wysoki ani specjalnie umięśniony i zasadniczo nad nim górowałem. Byłem od niego znacznie wyższy i przypuszczalnie cięższy o jakieś dwadzieścia pięć kilogramów. Ale on miał broń. I kompletnie postradał zmysły.

Żal, poczucie winy, spaczona logika i lata starań, by ukryć swe winy i nie pokazać prawdziwej twarzy ludziom, którzy go kochali i szanowali, powoli wytrawiły z niego całe człowieczeństwo i zdrowy rozsądek. I pozbawiły go światła, które oddzielało go od czekających go ciemności. A teraz stał w kuchni mojej babci, w miejscu, w którym zakończyła swoje życie, i pokazywał mi swoje prawdziwe oblicze. Na pewno przyniosło mu to ulgę, lecz nie robił tego dla rozgrzeszenia. Nie chodziło mu też o to, by się chełpić czy tłumaczyć przede mną. On chciał mnie zabić, jeśli atramentowe plamy na obrzeżach mojej wizji mogły cokolwiek zapowiadać. A zawsze zapowiadały. Podglądacze znali jego intencje i zjawili się, żeby zobaczyć, jak je zrealizuje.

— Wiedziałem, że przez cały czas się ze mnie naigrawasz. Gdy namalowałeś twarz Molly Taggert pod estakadą, domyśliłem się, że w jakiś sposób poznałeś prawdę. I na pewno widziałeś mnie w tę noc na imprezie, ale nigdy nic nie powiedziałaś. Zachowywałaś się, jakbyś nie miał o niczym pojęcia. Potem jednak, po śmierci Kathleen, zobaczyłem ściany. — Zerknął w stronę salonu, w stronę ściany, której żaden z nas nie mógł teraz widzieć. — Wszystkie te obrazy na ścianach. Dziewczyny. Namalowałeś dziewczyny! Lecz mimo to... nigdy nic nie powiedziałaś. Nie wiedziałem, o co ci chodzi. Próbowiałem przestać. Chciałem rzucić to na ciebie. Ale potem ją zobaczyłem. Czwartego. W ten sam dzień, w który zmarła Jenny. Zobaczyłem dziewczynę, która wyglądała jak Jenny. Uśmiechnęła się do mnie, tak jak kiedyś Jenny. I była naćpana. Naćpana jak meliniara. Poszedłem za nią, gdy wracała do domu, i ją porwałem.

Nie wiedziałem, o kim on mówi, ale domyślałem się, że chodziło mu o zaginioną dziewczynę z Nephi, którą Tag widział na ogłoszeniu w barze.

— Wczoraj byłem w starym młynie z moim siostrzeńcem, który chciał zostawić

tam parę rzeczy. Czekałem w samochodzie i zobaczyłem Georgię Shepherd, jak wyslizguje się przez drzwi i ucieka, jakby zobaczyła diabła. Kazałem Terrence'owi przejechać obok jej domu i zobaczyłem was, jak przytuleni szliście do ciebie. Ona też wie? Powiedziałaś jej o mnie?

Milczałem, bo nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje. Pewnie nie miało to większego znaczenia, ale nie byłem w nastroju na pogaduchy.

— Czemu dziewczyny zawsze wybierają śmiecia? Jennifer. Georgia. Nie rozumiem tego.

Wciąż milczałem, chociaż nie umknęła mi ironia tego, że morderca wielu kobiet nazywa mnie śmieciem.

— Chciałem sprawdzić, o co chodziło Georgii. O co wam obojgu chodziło. Gdy Terrence mnie odwiózł, wziąłem samochód i pojechałem do młyna. Nie byłem w nim od czasu, gdy został zamknięty trzydzieści lat temu. Nie miałem po co tam chodzić. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem twój obraz na ścianie. Molly, Sylvie, Jenny i inne, mnóstwo innych. Nie wiem, jak to wszystko rozgryzłeś i czego chciałeś, ale wróciłeś do Levan, chociaż kazałem ci trzymać się z daleka. Dałem ci możliwość odejścia. A ty wróciłeś, żeby znowu malować. — Podniósł desperacko głos na ostatnim słowie, jakby naprawdę wierzył, że przez cały czas się z niego naigrawałem i prowadziłem grę w kotka i myszkę, której w końcu nie wytrzymał. On myślał, że wróciłem do Levan z jego powodu. Że obraz w starym młynie jest nowy i że znowu próbuję go stąd wykurzyć. I to popchnęło go do skrajności.

Nie bałem się. To było najdziwniejsze. Serce mi łomotało i miałem przyspieszony oddech, ale to były tylko reakcje fizjologiczne. W głowie, w tej części mnie, która widziała rzeczy niewidoczne dla innych, czułem się dobrze. Byłem spokojny. Ludzie obawiają się nieznanego, lecz ja nie stałem przed nieznanym. Śmierć mnie nie przerażała. Przerażało mnie natomiast zostawienie Georgii na łasce Jacoba Dawsona. Skoro on myśli, że ona wie o jego postępach, to ją zabije.

Przypuszczalnie czeka mnie śmierć, ale Jacob Dawson także musi umrzeć. Nie mogę pozwolić mu przeżyć. Nawet jeśli Eli zobaczy, jak go zabijam.

A zobaczy.

Stał na lewo ode mnie, tuż poza zasięgiem dłoni. Miał na sobie piżamę z Batmanem, razem z peleryną i kapturem. Uśmiechał się łagodnie tym samym smutnym uśmiechem, pod którego wpływem zawsze się zastanawiałem, ile zostało w nim z dziecka. Nie miał już ciała, które mogłoby się rozwijać i które wskazywałoby upływające lata i rosnące doświadczenie. Ale nie był czterolatkiem, który czeka, aż ktoś mu wyjaśni, co tu się dzieje. On wiedział. I przez cały czas próbował mi to powiedzieć.

On czekał, by zabrać mnie do domu.

GEORGIA

BRZMIAŁO TO, JAKBY GDZIEŚ W ODDALI silnik wystrzelił w tłumik. Stłumiony, niegroźny odgłos. Ale oboje z Dale'em Garrettem odwróciliśmy się w tę stronę, próbując coś dojrzeć.

— To był strzał z broni palnej — stwierdził w zamyśleniu z oczami wbitymi w widoczny za polem tył domu Kathleen Wright.

A ja rzuciłam się do biegu.

— Georgio! — wrzasnął za mną. — Stój, Georgio! Do diabła, dziewczyno!

Nie wiedziałam, czy za mną pobiegł, czy sięgnął po telefon, ale miałam nadzieję, że wybrał to drugie. Był stary i gruby i nie chciałam, żeby się zabił, próbując mnie gonić po polach.

Nie mam pojęcia, ile czasu zajęło mi przedostanie się przez okrągłą zagrodę, pole i ogrodzenie podwórka Kathleen, ale miałam wrażenie, jakby minęły całe lata. Dekady. Gdy dotarłam na taras i rzuciłam się na szklane przesuwne drzwi, okazało się, że są zamknięte. Krzyknęłam z frustracji i przerażenia. Mojżesz pracował tu przez większą część dnia, ale zamknął za sobą, kiedy skończył. Obiegałam dom, a moje myśli wybuchały pod wpływem strachu jak fajerwerki, podsuwając mi najbardziej szalone obrazy.

Obok półciężarówki Mojżesza stał biały chevrolet tahoe ze złotym napisem „Juab County Sheriff's Department” na boku. Gdy podbiegałam do drzwi wejściowych, na podwórko zajechał czarny hummer i zahamował, wzniesając tumany kurzu. Z auta wyskoczył David „Tag” Taggert z bronią w dłoni i morderstwem na twarzy, a ja niemal zemdlałam z ulgi.

Wtedy jednak usłyszałam drugi strzał.

— Zostań tutaj! — wrzasnął Tag i rzucił się w stronę drzwi.

Ale pobiegłam za nim. Musiałam. Tag, nie zatrzymując się, wpadł przez drzwi, a mnie uderzył zapach z wnętrza. Tym razem nie był to zapach farby. Ani ciasta. Pachniało prochem strzelniczym i krwią. Tag wrzasnął znowu, a jego ramię odskoczyło, gdy wypalił z broni. Dwukrotnie. Drugi strzał trafił w okno jadalni. Posypało się szkło, a Tag przekroczył coś i opadł na kolana. Myślałam, że został trafiony, i wyciągnęłam do niego dłoń. Jego potężne plecy zasłaniały mi resztę pokoju, ale prawie potknęłam się o szeryfa Dawsona, który leżał bezwładnie na wznak z wzrokiem wbitym w sufit, z dużym nożem sterczącym z piersi i raną postrzałową na głowie.

Dopiero wtedy dostrzegłam Mojżesza.

Leżał na boku na podłodze w kuchni, wokół niego rosła coraz większa plama krwi. Tag go odwrócił i próbował zatamować krwawienie, przeklinając go, przeklinając Boga i przeklinając siebie.

Podbiegłam do Mojżesza tak samo jak wtedy, gdy wiele lat temu zmarła Gigi, gdy Mojżesz był pokryty farbą, a nie krwią, i gdy śmierć patrzyła na mnie ze ścian, a nie z jego oczu. I tak samo jak wtedy nie byłam w stanie mu pomóc.



MOJŻESZ

BYŁO JASNO, CZUŁEM SIĘ BEZPIECZNIE i doskonale wiedziałem, kim jestem i gdzie się znalazłem. Eli stał obok mnie, trzymając mnie za rękę, a w oddali zobaczyłem zbliżających się innych zmarłych. Chyba nie byłbym w stanie ich wszystkich namalować, chociaż obraz przypuszczalnie oddawałby to lepiej niż słowa. Mimo tego delikatnego poruszenia i otaczającego mnie mocnego światła to Eli skupiał całą moją uwagę. Podniósł wzrok i obserwował mnie bacznie. A potem się uśmiechnął.

— Jesteś moim tatą. — Jego głos był wyraźny i słodki. Rozpoznałem w nim głos ze wspomnień, którymi dzielił się ze mną Eli, chociaż teraz słyszałem go znacznie lepiej, bo nie był przytłumiony i brzmiał wręcz krystalicznie czysto.

— Tak — przytaknąłem. — Jestem. A ty jesteś moim synem.

— Jestem Eli. A ty mnie kochasz.

— Kocham.

— Ja też cię kocham. I kochasz moją mamę.

— Tak — szepnąłem, pragnąc z całego serca, żeby tutaj była. — To straszne, że została tam sama.

— Nie na zawsze. To szybko mija — stwierdził mądrze Eli łagodnym głosem.

— Myślisz, że ona wie, jak bardzo ją kochałem?

— Dałeś jej kwiaty i przeprosiłeś.

— Tak.

— Całowałeś ją.

Nie potrafiłem nic wykrztusić, więc tylko przytaknąłem.

— Namalowałeś jej obrazki i przytulałeś ją, gdy płakała.

— Tak — szepnąłem.

— I śmiałeś się z nią.

Znowu przytaknąłem.

— W ten sposób pokazuje się miłość.

— Naprawdę?

Eli przytaknął z emfazą. Potem milczał przez chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał.

— Czasem można wybrać, wiesz? — odezwał się w końcu.

— Co?

— Czasem można wybrać. Większość ludzi postanawia zostać, bo tu jest pięknie.

— Czy ty postanowiłeś zostać?

Eli potrząsnął głową.

— Czasem można wybrać, a czasem nie można.

Milczałem, chłonąc go wzrokiem. Był taki wyraźny, jasny, obecny i idealny, że miałem ochotę porwać go w ramiona i nigdy nie wypuścić.

— Czy ktoś po ciebie przyszedł, gdy umarłeś, Eli? — spytałem niemal błagalnie, bo musiałem to wiedzieć.

— Tak. Gigi. I babcia.

— Babcia?

— Twoja mama, głuptasku.

Uśmiechnąłem się, bo przypominał mi Georgię, lecz mój uśmiech niemal od razu zgasł.

— Nie sądziłem, że moja mama tu będzie. Nie była zbyt dobrą osobą — odparłem cicho. Zaskoczyło mnie, że mówi o niej „babcia”, jakby wypełniła swoją rolę równie dobrze jak Gigi.

— Niektórzy ludzie chcą być źli. Niektórzy nie chcą. Babcia nie chciała być zła.

— To był tak prosty koncept, emanujący dziecięcą mądrością i pogodzeniem z odwieczną walką dobra ze złem, że mogłem zareagować tylko w jeden sposób.

— Mogę cię przytulić, Eli?

Uśmiechnął się i natychmiast znalazł się w moich ramionach, obejmując mnie za szyję. Zanurzyłem głowę w jego włosach i poczułem, jak ich ciemny jedwab łaskocze mnie w nos. Pachniał proszkiem do pielęgnacji dzieci, świeżą słomą i

wypranymi skarpetkami. Uchwyciłem też ślad perfum Georgii, jakby tuż przed jego odejściem też go tak przytulała, a on zachował tę cząstkę jej na zawsze. Był ciepły, ruchliwy i miał gładki i miękki policzek, gdy przycisnął go do mojego policzka.

Kiedy śnimy, nie wiemy o tym, że śnimy. W snach mamy normalne ciała i możemy dotykać, całować, biegać i odczuwać. Nasze myśli w jakiś sposób kreują rzeczywistość. Tutaj było podobnie. Wiedziałem, że ani ja, ani Eli nie mamy ciała. Nie miało to jednak znaczenia. Przytulałem syna, który sprawiał wrażenie zupełnie realnego. I nie zamierzałem go wypuścić.

Eli odsunął trochę głowę i spojrzał na mnie poważnie. Jego brązowe oczy były tak podobne do oczu Georgii, że miałem ochotę się w nich zatopić. Potem puścił mnie i ujął moją twarz w swe drobne dłonie.

— Musisz wybrać, tato.



GEORGIA

MOJŻESZ UMARŁ W DRODZE DO SZPITALA. Tak mi później powiedziano. Nie pozwolili nam z nim jechać, więc wskoczyliśmy z Tagiem do jego hummera i ruszyliśmy za karetką, nie zważając na ograniczenia prędkości, lecz i tak utknęliśmy w poczekalni, gdy w końcu dotarliśmy do Nephi.

Czekaliśmy przytuleni do siebie, a oni próbowali przywrócić go do życia. Tag był biały na twarzy i dłonie drżały mu z przerażenia, kiedy wyznał, że podejrzewa, iż Jacob Dawson zabił jego siostrę i przypuszczałnie wiele innych dziewcząt.

— Mojżesz zadzwonił do mnie dziś rano, Georgio, i spytał o piętno na Calico, okrąg z literą A. Nie dawało mi to spokoju. W końcu zadzwoniłem do ojca i spytałem go o to, licząc, że może akurat będzie coś wiedział. Powiedział, że okrąg z literą A to znak Jacoba Dawsona. Kupiliśmy od niego kilka koni tamtego lata, kiedy zaginęła Molly. Wszystkie miały ten znak. Ojciec nawet dał Molly jednego z nich.

— Ranczo Andersona — stwierdziłam beznamiętnie. — Matka Jacoba Dawsona nazywała się Anderson. Po śmierci ojca odziedziczyła ranczo, a jej brat dostał stary młyn. A gdy szeryf Dawson skończył dwadzieścia jeden lat, przekazała mu je razem z całym żywym inwentarzem.

Przyjechała policja. Mnóstwo policji. Część funkcjonariuszy z wydziału szeryfa, a część z Nephi. Zabrali Taga na przesłuchanie. Mnie też przesłuchiwali, lecz

zrobili to w szpitalu i pozwolili mi zostać. Szeryf zginął od pocisku Taga i noża, którym najprawdopodobniej rzucił Mojżesz. Bałam się o Taga i o Mojżesza, a także o to, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

Potem zjawili się rodzice, którzy przyciszonymi i pełnymi niedowierzania głosami powiedzieli, że w samochodzie szeryfa znaleziono odurzoną i związaną Lisę Kendrick. Nagle nikt już nie czuł się tak pewnie w świecie jak kiedyś. Jak na ironię to szeryf Dawson powiedział mi kiedyś: „Nigdy nie można być zbyt pewnym siebie w towarzystwie zwierząt, bo gdy myślisz, że masz je rozpracowane, one robią coś, czego w ogóle się nie spodziewasz”. On to wiedział.

Kiedy już wyczerpałam całą swoją dzielność, poszłam do małej kaplicy, schowałam twarz w umazanych krwią dłoniach i zaczęłam mówić do Eliego. Szeptalam do niego, opowiadałam mu o Mojżeszu, o naszych przeżyciach, o tym, jak rozwinął skrzydła, i o tym, że był najbardziej utalentowany z nas wszystkich. W końcu zapłakana poprosiłam go, żeby sprowadził Mojżesza jeszcze raz, jeśli jest w stanie.

— Odeślij go, Eli — błagałam. — Jeśli masz jakikolwiek wpływ na to miejsce, odeślij go.



MOJŻESZ

JUŻ DAWNO TEMU POWIEDZIAŁEM, że go straciłem. W dniu, kiedy go poznałem, jego już nie było. Wiedziałem, że nie żyje. Wiedziałem, lecz i tak czułem ból. Nieznośny. Nie straciłem go w taki sposób jak Georgia, ale to nie umniejszało mojej straty. Straciłem go, zanim go poznałem. I nie byłem na to przygotowany.

A potem, gdy pokazywał mi fragmenty swojego krótkiego życia i swoją wielką miłość, a ja z każdym dniem kochałem go jeszcze bardziej, było mi coraz trudniej, a nie coraz łatwiej. Prawdę powiedziawszy, od momentu, kiedy uznałem, że to wszystko, co mam, z chęcią poświęciłbym się czemuś innemu. Czemukolwiek, byle nie temu. Ale to właśnie zostało mi dane. I nie byłem na to przygotowany.

Nie sposób wyrazić tego uczucia, gdy trzeba się pożegnać. Gdy trzeba wybrać. Koniec końców jednak wybór został dokonany za mnie. Trzymając mojego syna w ramionach, usłyszałem z oddali głos jego matki, która opowiadała naszą historię. Historię o narodzinach Eliego, jego śmierci i tym, jak zza grobu nas

uzdrowił. Słuchałem tego razem z Elim.

W każdej opowieści najtrudniejsze są pierwsze słowa. To niemal tak, jakby wydobyć ich z siebie i przerzucenie na papier zobowiązywało do zobaczenia wszystkiego aż do końca. Bo skoro już się coś zaczęło, to trzeba to skończyć.

A my jeszcze nie skończyliśmy. Ja i Georgia. Wiedziałem o tym. Eli też o tym wiedział.

— Musisz już iść, tato — szepnął.

— Wiem.

Poczułem, że się ześlizguję, niemal jakbym spadał. Podobnie jak wtedy, gdy zamykałem wody.

— Dobranoc, Stewy Stinker — powiedział, a w jego głosie słychać było uśmiech.

— Dobranoc, Buzzard Bates — wykrztusiłem z trudem, bo język stanął mi kołkiem w gardle.

— Do zobaczenia wkrótce, Twardy Tato.

— Do zobaczenia, synu — szepnąłem, a on zniknął.



GEORGIA

JEGO HISTORIA TRAFIŁA DO przedpołudniowego dziennika. Małe dziecko porzucone w koszu na pranie w obskurnej pralni w niebezpiecznych okolicach West Valley City. Dziecko matki uzależnionej od narkotyków, które przypuszczalnie będzie miało z tego powodu sporo problemów. Dwadzieścia pięć lat później jego historia znowu trafiła do mediów. Tym razem była to historia o artyście, który komunikował się ze zmarłymi i załatwił zabójcę.

Tag i Mojżesz zostali oczyszczeni z wszelkich podejrzeń w związku ze śmiercią szeryfa Jacoba Dawsona. Oczyszczono ich z zarzutów, gdy na terenie posiadłości szeryfa znaleziono szczątki Sylvie Kendrick i wielu innych, wciąż niezidentyfikowanych dziewcząt. Lisa Kendrick w pełni wydobrzała i chociaż nie pamiętała porwania przez szeryfa, przypomniała sobie, że gdy szła drogą, w pewnym momencie zatrzymał się za nią samochód z zapalonymi światłami.

Szacuje się, że Jacob Dawson przez dwadzieścia pięć lat zamordował kilkanaście dziewczyn z Utah i mógł być odpowiedzialny za kilka podobnych zaginięć w sąsiednich stanach. Było jednak jeszcze sporo ziemi do przeszukania

i niestety przypuszczalnie też sporo ciał do odkrycia, gdyż szeryf odziedziczył sto akrów, w tym pole graniczące z postojem dla ciężarówek i estakadą, w pobliżu której znaleziono ciało Molly Taggert.

Całe miasto śledziło tę historię. Każdy oglądał reportaże, a tylko po to, żeby poczuć się ważnym, zmyślał to, czego nie wiedział, i udawał, że ma dostęp do ukrywanych informacji — tak samo jak za pierwszym razem, gdy Levan trafiło do wiadomości. To była świetna historia, a ludzie uwielbiają historie równie mocno, jak uwielbiają dzieci.

Jednak mimo tego uwielbienia dla opowieści o małym Mojżeszu, który stał się swego rodzaju jasnowidzem, po wyjeździe ekipy telewizyjnej życie wróciło do normy i jak zwykle wiele osób nie potrafiło w to uwierzyć. Tak jak powiedział Mojżesz: jeśli boisz się prawdy, nigdy jej nie znajdziesz. Ale nam to nie przeszkadzało. Nie chcieliśmy zostać znalezieni.

Pozwoliliśmy ludziom uwierzyć w to, co chcieli, i pogodziliśmy się z tym, że tak robią. Pozwoliliśmy, by wyblakły barwy i rozmyły się detale. Koniec końców ludzie będą opowiadać taką wyblakłą historię, udając, że taka właśnie była. Bo to świetna historia.

Historia o „przed” i „po”, o zaczynaniu od nowa i o wieczności. Historia pełna skaz i pęknięć, szaleństw i dziur. Przede wszystkim jednak historia o miłości.

Nasza historia.

EPILOG

GEORGIA

— NIE RUSZAJ SIĘ, JUŻ PRAWIE SKOŃCZYŁEM — nalegał, więc westchnęłam i położyłam głowę z powrotem na ramię. Mojżesz obsesyjnie mnie malował. Moje ciężarne ciało nie było szczególnie piękne, lecz on się z tym nie zgadzał, włączając mój zaokrąglony brzuch do swojej codziennej listy plusów, obok moich nóg, oczu, blond włosów i tego, że moje piersi zrobiły się o rozmiar większe.

Komu potrzebny fotograf, gdy masz za męża światowej sławy malarza? Miałam tylko nadzieję, że któregoś dnia akty Georgii Wright nie zawisną w sypialni jakiegoś bogacza lub, co gorsza, w muzeum, gdzie tysiące oczu będą codziennie oglądać moje plusy.

— Mojżeszu? — odezwałam się cicho.

— Tak? — Na ułamek sekundy oderwał wzrok od płótna.

— W Georgii obowiązuje nowe prawo.

— Czy ono bezpośrednio przeczy któremuś z praw Mojżesza?

— Tak. Przeczy — wyznałam.

— Hm, cóż. Wysłuchajmy go. — Odłożył pędzel, wytarł dłonie w szmatkę i podszedł do łóżka, na którym byłam ułożona wraz z udrapowanym prześcieradłem niczym rubensowska madonna. To on nauczył mnie tego słowa i zdawał się uważać je za pozytywne.

— Nie będziesz malować — nakazałam stanowczo. Oparł kolano na łóżku i nachylił się nade mną, kładąc silne dłonie po obu stronach mojej głowy. Odwróciłam się nieznacznie, żeby na niego spojrzeć.

— Nigdy? — Uśmiechnął się.

Obserwowałam, jak opuszcza głowę i muska ustami moje usta. Nie zamknął jednak swoich złotozielonych oczu, tylko patrzył prosto w moje. Podkuliłam palce i zatrzepotałam rzęsami, rozkoszując się pieśczołą jego smakowitych ust.

— Nie. Nie nigdy, tylko czasami — westchnęłam.

— Tylko wtedy, gdy jestem w Georgii? — szepnął z uśmiechem.

— Tak. I musisz tam być jak najczęściej. Cały czas. Nieustannie.

Mojżesz pocałował mnie czule, głaszcząc dłonią mój zaokrąglony brzuch. Dziecko kopnęło entuzjastycznie, a my oderwaliśmy się od siebie i zaczęliśmy się śmiać.

— Trochę tam tłoczno — powiedział posepnie, lecz w jego oczach tańczyła radość. Był szczęśliwy, a moje serce było tak poruszone, że z trudem łapałam oddech.

— Tu też jest dość tłoczno. — Położyłam dłoń na sercu, próbując się nie rozkleić jak typowa kobieta w ciąży, lecz poniosłam sromotną klęskę. — Kocham cię, Mojżeszu — powiedziałam, ujmując jego twarz w swoje dłonie.

— Ja też cię kocham, Georgio — odparł. — Przed, po i zawsze.



MOJŻESZ

STARAŁEM SIĘ NIE MIEĆ ŻADNYCH OCZEKIWAŃ. Życie po śmierci to było coś zupełnie innego niż życie przychodzące na świat. Georgia wyglądała spokojnie. Pięknie. Była starym wyjadaczem, jak sama stwierdziła. Ale ja przegapiłem pierwszy raz, więc teraz bałem się w ogóle mrugnąć, żeby nie umknęło mi coś ważnego. I nie byłem spokojny.

Tag też nie był spokojny. Musiał poczekać na zewnątrz. Był moim najlepszym przyjacielem, ale nawet najlepsi przyjaciele nie dzielą się pewnymi rzeczami. Poza tym nie sądzę, żeby Georgia była w stanie urodzić i do tego pilnować nas obu, żebyśmy nie zemdleli.

Jedyne, co potrafiłem zrobić, to stać przy jej łóżku i trzymając ją za rękę, modlić się do Boga, do Gi, do Eliego i do wszystkich, którzy mogli mnie wysłuchać. Modliłem się o siłę i opanowanie. Siłę, żeby być mężczyzną, jakiego Georgia potrzebuje, i opanowanie, żeby nie poddać się pokusie pokrycia ścian szpitalnego pokoju Georgii zwariowanym murałem.

Gdy nasza córka przyszła na świat, krzycząc, jakby się kończył, też zacząłem płakać. Stałem się beksą. Po tylu latach kontrolowania wód wszystko wskazywało na to, że to one zaczęły mnie kontrolować. Jak jednak mógłbym nie płakać? Dziewczynka była piękna. Idealna. Zdrowa. A kiedy położyli ją Georgii na piersi i Georgia uśmiechnęła się, jakbyśmy stworzyli coś cudownego, mogłem tylko przytaknąć. Stworzyliśmy dwie cudowne istoty.

— Kathleen — powiedziała.

— Kathleen — zgodziłem się.

— Chyba odziedziczyła po tobie oczy i nos — stwierdziła Georgia, tuląc naszą córkę, która z całą pewnością nie miała mojego nosa. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Miała jednak moje oczy. I oczy mojej matki. Teraz mogłem to przyznać.

— Masz oczka po tatusiu? — zagruchała Georgia.

— Po tobie odziedziczy kolor ciała. I włosy — dodałem od siebie, przyglądając się różowemu odcieniowi jej skóry i jasnemu meszkowi na jej drobniutkiej główce. Zacząłem się zastanawiać, jakich barw użyć, żeby ją namalować.

— Ma usta po Elim, Mojżeszu. Może odziedziczy jego uśmiech. — Georgia nieznacznie spoważniała, a ja poczułem ukłucie w sercu. Tęskniliśmy za nim. Za Elim. Jego nieobecność była jedynym ciemnym odcieniem w tej chwili.

— Mam taką nadzieję. To był wyjątkowy uśmiech — powiedziałem i pocałowałem Georgię w usta, które wyglądały identycznie jak usta Eliego i usta Kathleen.

— Moje włosy, twoje oczy, uśmiech Eliego, imię prababci...

— I charyzma Taga. Miejmy nadzieję, że będzie miała charyzmę Taga. — Zaśmialiśmy się razem.

Potem Georgia skierowała się do naszej córeczki, głaszcząc jej pulchne policzki i tuląc ją do siebie:

— To jest twoich pięć plusów, Kathleen. Pięć plusów na dzisiaj i na zawsze.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywaliśmy się w naszą córkę. Przestała płakać i z rączką zaciśniętą na moim palcu patrzyła z szeroko otwartymi oczami poza nas.

Odwrociłem głowę, zastanawiając się, co zobaczyła.

I ja też go zobaczyłem. Przez chwilę. Kątem oka dostrzegłem przebłysk tego uśmiechu.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

W przypadku każdej książki trzeba podziękować tak wielu osobom, że zawsze boję się, iż kogoś pominię.

Przede wszystkim dziękuję moim dzieciom. Czerpią korzyści z mojego pisarstwa, ale czasem muszą też znosić niewyspaną i przepracowaną mamę. Jestem wdzięczna za ich miłość, poczucie humoru i cierpliwe przewracanie oczami. Dziękuję też mężowi, Travisowi, za jego entuzjastyczne i wyrozumiałe wsparcie. Pójdziemy jeszcze razem na siłownię, obiecuję.

Rodzicom i teściom, rodzeństwu i przyjaciołom za to, że uważają mnie za niesamowitą, albo przynajmniej tak mi mówią. Kocham Was i doceniam to, co robicie dla mnie, Trávisa i dzieci.

Mojej asystentce, Tamarze Debbaut. Poważnie. Dzięki Tobie zachowałam głowę na karku. Nie wiem, jak to się stało, że miałam takie szczęście, ale każdego dnia jestem za Ciebie wdzięczna.

Agencji Dystel and Goderich za pilnowanie moich pleców i przekonywanie mnie, że jestem prawdziwą pisarką.

Mandy Lawler z Alpha Literary Services za przyjaźń i całą pracę włożoną w tę książkę. Cieszę się, że Cię spotkałam, zanim zaczęłaś być naprawdę zajęta.

Karey White za nieoceniony wkład redaktorski.

Cassy Roop z Pink Ink Designs za formatowanie i za pojawienie się, gdy byłam w potrzebie! Świetnie jest znajdywać nowych przyjaciół. Dziękuję także Hang Le za niezwykłą okładkę tej książki. Ludzie są pod wrażeniem Twoich prac.

EAGALA Equine Therapy i Allison McKenna za pozwolenie na obserwację sesji hipoterapeutycznych i odpowiadanie na moje niezliczone pytania. To było niesłychanie odkrywczе i poruszające doświadczenie. Więcej informacji na temat tej fascynującej metody terapeutycznej znajdziesz pod adresem <http://www.eagala.org>.

Koleżankom i kolegom po fachu za wsparcie i łaskawość, blogerkom, które dość entuzjastycznie przyjęły moją pracę, oraz przede wszystkim czytelniczkom i przyjaciołkom. Dziękuję Wam wszystkim z całego serca za codzienne łyzy wdzięczności! Całuję Was i ściskam serdecznie!

Zastrzeżenie:

Calico the Wonder Horse i *The Saga of Stewy Stinker* to prawdziwe książki napisane przez Virginie Lee Burton (1909 - 1969), która jest autorką wielu

klasycznych książek dla dzieci, w tym *Mike Mulligan and his Steam Shovel* i *Katy and the Big Snow*. Książka *Calico the Wonder Horse* została opublikowana przez HMH Books for Young Readers i ewentualne naruszenie praw autorskich było niezamierzone.

Chcesz wrócić do Levan? Poznaj historię Samuela i Josie w książce *Running Barefoot*, dostępnej wyłącznie w sklepie Amazon.

Inne książki Amy Harmon:

Making Faces

Infinity + One

A Different Blue

Running Barefoot

Slow Dance in Purgatory

Prom Night in Purgatory

Aktualności na temat Amy Harmon:

Newsletter

<http://eepurl.com/46ciz>

Strona internetowa

<http://www.authoramyharmon.com>

Twitter

https://twitter.com/aharmon_author

Facebook

<http://www.facebook.com/authoramyharmon>

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

Prolog

CZEŚĆ 1. PRZED

I

GEORGIA

II

GEORGIA

III

MOJŻESZ

GEORGIA

IV

GEORGIA

MOJŻESZ

GEORGIA

V

MOJŻESZ

GEORGIA

VI

MOJŻESZ

GEORGIA

GEORGIA

VII

MOJŻESZ

GEORGIA

VIII

MOJŻESZ

GEORGIA

GEORGIA

IX

MOJŻESZ

GEORGIA

X

MOJŻESZ

GEORGIA

MOJŻESZ

GEORGIA

XI

MOJŻESZ

GEORGIA

XII

MOJŻESZ

XIII

MOJŻESZ

GEORGIA

MOJŻESZ

XIV

MOJŻESZ

MOJŻESZ

GEORGIA

CZEŚĆ 2. PO

XV

GEORGIA

MOJŻESZ

XVI

MOJŻESZ

MOJŻESZ

XVII

MOJŻESZ

MOJŻESZ

GEORGIA

XVIII

MOJŻESZ

GEORGIA

XIX

MOJŻESZ

GEORGIA

MOJŻESZ

GEORGIA

XX

GEORGIA

MOJŻESZ

XXI

MOJŻESZ

MOJŻESZ

XXII

GEORGIA

MOJŻESZ

MOJŻESZ

XXIII

MOJŻESZ

MOJŻESZ

GEORGIA

XXIV

GEORGIA
MOJŻESZ
MOJŻESZ

XXV

MOJŻESZ
MOJŻESZ

XXVI

GEORGIA

XXVII

GEORGIA
MOJŻESZ

XXVIII

GEORGIA

XXIX

MOJŻESZ
MOJŻESZ

XXX

GEORGIA
GEORGIA
MOJŻESZ

XXXI

GEORGIA
MOJŻESZ
GEORGIA
MOJŻESZ
GEORGIA

EPILOG

GEORGIA
MOJŻESZ
KONIEC

PODZIĘKOWANIA